

Frank Abagnale
Stan Redding

Złap mnie, jeśli potrafisz

Z angielskiego przełożyła Dorota Pomadowska

Świat Książki

Frank Abagnale

Stan Redding

Złap mnie, jeśli potrafisz

Z angielskiego przełożyła Dorota Pomadowska

Świat Książki

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału CATCH ME IF YOU CAN

Projekt okładki Cecylia Staniszewska, Ewa Łukasik

Zdjęcie na okładce Cover art TM& © 2003 DreamWorks L.L.C.

Redaktor prowadzący Tomasz Jendryczko

Redakcja Jacek Ring

Korekta Dorota Wojciechowska, Paulina Surowców

12105462

Copyright © 1980 by Frank W. Abagnale.

Published by arrangement with Doubleday, a division of Random House, Inc. Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa 2003

Świat Książki Warszawa 2003

Skład i łamanie Joanna Duchnowska

Druk i oprawa Łódzka Drukarnia Dzielowa SA

ISBN 83-7311-5170C

Nr 3639

Spis treści

ROZDZIAŁ 1	
PIERWSZE KROKI.....	7
ROZDZIAŁ 2	
PILOT BEZ DOŚWIADCZENIA.....	23
ROZDZIAŁ 3	
LATAJĄCY HOLENDER.....	42
ROZDZIAŁ 4	
PEDIATRA BEZ DYPLOMU.....	59
ROZDZIAŁ 5	
NIELEGALNY PRAWNIK.....	83
ROZDZIAŁ 6	
TAPECIARZ W ROLLSIE.....	97
ROZDZIAŁ 7	
RYZYKOWNA GRA.....	125
ROZDZIAŁ 8	
EUROPEJSKIE WAKACJE.....	149
ROZDZIAŁ 9	
FRANCUSKA GOŚCINNOŚĆ.....	174
ROZDZIAŁ 10	
ABAGNALE - POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY!	199

Opis z okładki

„Wciąga bez reszty!... Uruchamia pokusę oszustwa, która tkwi w każdym z nas”

- „Houston Chronicle”

„Niezależnie od tego, co czytelnik może sądzić na temat jego przestępstw, z pewnością czytając ten kryminał zacznie w końcu chichotać”

- „Charlottesville Progress”

Frank W. Abagnale alias Frank Williams, Robert Conrad, Frank Adams i Robert Monjo był jednym z najbardziej zuchwałych oszustów, fałszerzy, hochsztaplerów i specjalistów od ucieczek w historii. W trakcie swojej krótkiej, acz burzliwej kariery przestępcy Abagnale zdążył być drugim pilotem pasażerskiego odrzutowca linii lotniczych PanAm, przez pół roku udawać lekarza-pediatrę w szpitalu, wykonywać bez uprawnień zawód prawnika, podawać się za profesora socjologii w college'u, a także zrealizować fałszywe czeki na ponad 2,5 miliona dolarów i to wszystko zanim skończył dwadzieścia jeden lat. Poszukiwany przez policję dwudziestu sześciu krajów prowadził luksusowe życie na bakier z prawem, dopóki nie dosięgnął go wymiar sprawiedliwości. Obecnie uważany za jednego z największych specjalistów w dziedzinie oszustw finansowych, Abagnale jest czarującym łobuzem, którego międzynarodowe wyczyny i pomysłowe ucieczki - nawet z samolotu -sprawiają że Złap mnie, jeśli potrafisz to powieść, która wciąga czytelnika bez reszty.

Na podstawie książki Złap mnie, jeśli potrafisz (Catch Me if You Can) powstał film w reżyserii Stevena Spielberga. Franka W. Abagnale'a zagrał Leonardo Di Caprio, a w agenta FBI wcielił się Tom Hanks.

* * *

Mojemu Ojcu.

ROZDZIAŁ pierwszy.

Pierwsze kroki.

Alter ego to nasze ulubione wyobrażenie własnej osoby. W lustrze pokoju w paryskim hotelu Windsor przyglądałem się swojemu ulubionemu wizerunkowi - ciemnowłosemu, przystojnemu, młodemu pilotowi pasażerskich linii lotniczych, idealnie zadbanemu, o gładkiej cerze i szerokich ramionach. Skromność nie jest moją cnotą, a wówczas w ogóle nie grzeszyłem żadnymi cnotami.

Zadowolony ze swojego wyglądu podniosłem torbę, wyszedłem z pokoju i dwie minuty później stałem przy okienku kasy hotelowej.

- Dzień dobry, kapitanie - powiedziała kasjerka ciepłym głosem. Oznakowania na moim mundurze wskazywały na to, że jestem pierwszym oficerem, czyli drugim pilotem, ale Francuzi już tacy są. Mają skłonności do przeceniania wszystkiego, co może służyć obronie kobiet, wina i sztuki.

Podpisałem rachunek, który mi podsunęła, i miałem zamiar odejść, ale nagle odwróciłem się ponownie, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki czek na wypłatę pensji.

- Byłbym zapomniał. Czy mogłaby pani zrealizować dla mnie ten czek? Przez to wasze paryskie życie nocne jestem prawie zupełnie splukany, a przede mną jeszcze cały tydzień pracy. - Uśmiechnąłem się prosząco.

Wzięła do ręki czek linii lotniczych Pan American i rzuciła okiem na sumę.

- Oczywiście, że mogę, kapitanie, ale muszę uzyskać zgodę szefa, ponieważ kwota jest spora - odparła. Weszła do biura za kasą i wróciła po chwili z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Podała mi czek do podpisania.

- Przypuszczam, że chciałby pan dolary amerykańskie? - zapytała i nie czekając na moją odpowiedź, odliczyła siedemset osiemdziesiąt sześć dolarów i siedemdziesiąt trzy centy. Przesunąłem w jej kierunku pięćdziesiąt dolarów.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pani podziękowała odpowiednim osobom, bo jakoś mi to umknęło - powiedziałem z uśmiechem.

Rozpromieniła się.

- Oczywiście, kapitanie. To bardzo miłe z pana strony - odrzekła. - Życzę bezpiecznego lotu i proszę nas znowu odwiedzić.

Wziąłem taksówkę na lotnisko Orly, poinstruowaawszy kierowcę, żeby wysadził mnie przy wejściu do linii TWA. Przeszedłem obok kasy biletowej w hallu i okazałem swoją licencję pilota FAA* oficerowi operacyjnemu.

* FAA, Federal Aviation Administration - Federalny Urząd Lotnictwa (przyp. tłum.).

Sprawdził nazwisko w spisie pasażerów.

- W porządku, pierwszy oficer Frank Wiliams, pracownik linii lotniczych podróżujący za darmo do Rzymu. Przyjąłem. Proszę to wypełnić. - Wręczył mi znajomy różowy blankiet dla pasażerów, którzy nie płacą za przelot, a ja wpisałem potrzebne dane. Wziąłem torbę i podszedłem do bramki odprawy celnej z napisem: „Tylko dla członków załogi”. Dźwignąłem torbę, żeby ustawić ją na ladzie, ale inspektor, pomarszczony staruszek z sumiastymi wąsami, rozpoznał mnie i machnął ręką.

Kiedy zmierzałem w kierunku samolotu, podszedł do mnie jakiś chłopiec, wpatrując się z niemym podziwem w mój mundur, na którym błyszczały złote belki i inne ozdoby.

- Będzie pan pilotował? - zapytał. Sądząc po akcencie, był Anglikiem.

- Nie, jestem pasażerem podobnie jak ty - odparłem. - Latam na liniach Pan Am.

- Lata pan boeingiem 707? Potrząsnąłem głową.

- Kiedyś latałem - odparłem. - Teraz pilotuję DC-8.

Lubię dzieciaki. Ten chłopak przypominał mi samego sprzed kilku lat. Na pokładzie przywitała mnie atrakcyjna stewardesa o blond włosach i pomogła umieścić rzeczy w schowku na bagaże dla członków załogi.

- Mamy komplet, panie Wiliams - oznajmiła. - Pokonał pan dwóch konkurentów do rozkładanego fotela. Będę obsługiwać kabinę pilotów.

- Dla mnie tylko mleko - powiedziałem. - A jeśli będzie pani zajęta, to proszę się mną nie przejmować. Autostopowiczom nie przysługuje nic poza jazdą za darmo.

Zajrzałem do kabiny. Pilot, drugi pilot i nawigator sprawdzali sprzęt i urządzenia przed startem, ale na mój widok uprzejmie przerwali na chwilę.

- Cześć. Jestem Frank Wiliams z Pan Am. Nie przerywajcie sobie.

- Gary Giles - przedstawił się pierwszy pilot, wyciągając rękę na powitanie. Skinął głową w kierunku dwóch pozostałych mężczyzn. - Bili Austin - numer dwa, i Jim Wright. Miło cię poznać. - Wymieniłem uściski dłoni z dwoma pozostałymi lotnikami i zagłębiłem się w rozkładanym fotelu, pozwalając im kontynuować pracę.

W ciągu dwudziestu minut wystartowaliśmy. Giles podniósł 707 na wysokość ponad dziewięciu tysięcy metrów, sprawdził parametry lotu, połączył się z wieżą kontroli lotów na lotnisku Orly, a potem wstał z fotela. Popatrzył na mnie przelotnie, po czym wskazał swój fotel.

- Frank, może byś przez chwilę pokierował tym ptakiem - zaproponował. - A ja pójde sprawdzic, co slychac u pasazerow.

Był to z jego strony uprzejmy gest, czasami postępuje się tak wobec pilota konkurencyjnych linii lotniczych lecącego w charakterze pasażera. Zrzuciłem czapkę na podłogę i wsunąłem się na fotel kapitana, świadom tego, że w moich rękach spoczywa los stu czterdziestu istnień ludzkich, łącznie z moim własnym. Austin, który przejął kontrolę nad sterami, kiedy Giles wstał z fotela, przekazał to mnie.

- Oddaję stery w pana ręce, kapitanie - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

Natychmiast przełączyłem ten gigantyczny odrzutowiec na automatycznego pilota i miałem nadzieję, że zadziała, bo ja nie potrafiłem sterować nawet latawcem.

Nie latałem na liniach Pan Am ani w ogóle na żadnych liniach. Byłem oszustem, jednym z najbardziej poszukiwanych przestępców na czterech kontynentach, a wtedy właśnie wykonywałem swoją pracę, siejąc zamieszanie w głowach kilku miłych ludzi.

Zanim skończyłem dwadzieścia jeden lat, zgromadziłem dwa i pół miliona dolarów. Kradłem nawet pięć centów i większość tej forsy wydałem na dobre ciuchy, wykwintne jedzenie, luksusowe apartamenty, fantastyczne panienki, drogie gabloty i inne przyjemności życia.

Bawiłem się we wszystkich stolicach europejskich, wygrzewałem na najsłynniejszych plażach świata i spędzałem miło czas w Ameryce Południowej, na wybrzeżach mórz południowych, na Dalekim Wschodzie i w co miłszych zakątkach Afryki.

Nie było to jednak całkiem beztroskie życie. Wprawdzie nigdy nie znalazłem się w sytuacji bez wyjścia, ale często musiałem się zdrowo napocić. Wiele razy wychodziłem tylnymi drzwiami, schodami przeciwpożarowymi albo przez dach. W ciągu pięciu lat porzuciłem więcej ubrań, niż niejeden człowiek zdoła zebrać przez całe życie. Byłem zwinniejszy niż piskorz.

Dziwnym trafem nigdy nie czułem się jak przestępca. Nie zmieniało to jednak faktu, że nim byłem i zdawałem sobie z tego sprawę. Szanowane autorytety i dziennikarze opisywali mnie jako jednego z najbardziej przebiegłych fałszerzy czeków, kanciarzy i specjalistów od ucieczek - jednym słowem oszusta najcięższego kalibru. Byłem hochsztaplerem i pozerem o niewiarygodnych zdolnościach. Czasami niektóre moje wcielenia i sztuczki zadziwiały nawet mnie, ale nigdy nie oszukiwałem samego siebie. Zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, że nazywam się Frank Abagnale junior, jestem fałszerzem czeków i oszustem, a jeśli mnie złapią, na pewno nie dostanę za to żadnego Oscara. Po prostu wpakują mnie do więzienia.

Miałem absolutną rację. Odsiedziałem swoje we francuskim lochu, siedziałem w szwedzkim kiciu i oczyściłem się ze wszystkich amerykańskich grzeszków w federalnym więzieniu w Petersburgu w Wirginii. Przebywając w tym ostatnim, dobrowolnie poddałem się analizie psychologicznej, którą przeprowadził kryminolog-psychiatra z tamtejszego uniwersytetu stanowego. Spędził dwa lata, robiąc mi różne testy ustne i pisemne, a kilka razy zastosował nawet wykrywacz kłamstw i wstrzykiwał serum prawdy.

Doktorek stwierdził, że mam bardzo niewielką skłonność do popełniania przestępstw. Innymi słowy - nie miałem prawa być oszustem.

Jeden z nowojorskich gliniarzy, który najwytrwalej mnie ścigał, przeczytał ten raport i syknął.

- Psychiatra chyba z nas kpi. - Zaśmiał się. - Ten spryciarz robi na szaro kilkaset banków, obrabia połowę hoteli na świecie ze wszystkiego z wyjątkiem pościeli, robi w konia każdą linię lotniczą i zalicza większość stewardes, fałszuje tyle czeków, że spokojnie wystarczyłoby na wytapetowanie ścian Pentagonu, prowadzi własne cholerne uniwersytety i college,

10

kradnie ponad dwa miliony dolarów, robiąc idiotów z połowy policjantów w dwudziestu krajach i on ma mieć niewielką skłonność do popełniania przestępstw?

To co, do cholery, by zrobił, gdyby miał wielką skłonność do popełniania przestępstw? Splądrowałby Fort Knox?

Detektyw pokazał mi raport. Byliśmy uprzejmymi dla siebie przeciwnikami.

- Nabrałeś tego doktora, prawda, Frank?

Odparłem, że na każde pytanie odpowiedziałem zgodnie z prawdą i wypełniłem wszystkie testy tak szczerze, jak tylko mogłem. Ale jakoś go nie przekonałem.

- No, dobrze - rzekł. - Możesz nabierać federalnych, ale nie mnie. Nabrałeś tę oferę. - Potrząsnął głową. - Oszukałbyś nawet własnego ojca, Frank.

Już to zrobiłem. Dzięki mojemu ojcu zdobyłem pierwsze punkty w swojej karierze. Ojciec miał jedną cechę czyniącą z niego doskonałego naiwniaka, mianowicie ślepe zaufanie, toteż oskubałem go na trzy tysiące czterysta dolarów. Miałem wtedy dopiero piętnaście lat.

Urodziłem się i spędziłem pierwsze szesnaście lat życia w nowojorskim Bronxville. Byłem trzecim spośród czworga dzieci i imię dostałem po ojcu. Gdybym chciał zrobić z siebie trudne dziecko, mógłbym powiedzieć, że jestem ofiarą rozbitego domu, ponieważ moi rodzice rozstali się, kiedy miałem dwanaście lat. Ale wtedy tylko bym ich niesłusznie skrzywdził.

Stroną, która najbardziej ucierpiała na skutek rozstania i późniejszego rozwodu, był mój ojciec. On naprawdę szalał za mamą. Moja matka, Paulette Abagnale, jest Francuzko-Algierką, którą tata poznał, kiedy w czasie drugiej wojny światowej służył w wojsku w Oranie. Mama miała zaledwie piętnaście lat, a tata dwadzieścia osiem i chociaż wtedy ta różnica wieku nie wydawała się mieć żadnego znaczenia, to jestem przekonany, że później przyczyniła się do rozpadu ich małżeństwa.

Po zwolnieniu z wojska ojciec założył własny interes w Nowym Jorku, mianowicie sklep papierniczy na rogu ulicy Czterdziestej i Madison Avenue, który nazwał „Gramercy's”. Odniósł spory sukces. Mieszkaliśmy w dużym, luksusowym domu i może nie byliśmy bajecznie bogaci, ale z pewnością prowadziliśmy dostatnie życie. Moim braciom, siostrze i mnie w dzieciństwie niczego nie brakowało.

Dziecko zwykle dowiaduje się ostatecznie o tym, że między rodzicami istnieje poważny konflikt. Tak właśnie było ze mną i wiem, że moje rodzeństwo też nie zdawało sobie z niczego sprawy.

11

Myśleliśmy, że mama jest zadowolona ze swojej roli gospodyni domowej i matki, i tak zresztą było, ale do czasu. Natomiast tata był kimś więcej niż tylko odnoszącym sukcesy biznesmenem. Uczestniczył również aktywnie w życiu politycznym, będąc jednym z filarów partii republikańskiej w Bronksie. Jako członek i były prezes

nowojorskiego Klubu Sportowego, mnóstwo czasu spędzał zarówno ze znajomymi z kręgów biznesowych, jak i politycznych.

Tata był również zapalonym wędkarzem morskim. Ciągle latał na dalekomorskie połowy do Puerto Rico, Kingston, Belize albo innych kurortów nad Morzem Karaibskim. Nigdy nie zabierał ze sobą mamy, chociaż powinien. Moja matka była wojowniczo nastawioną feministką, jeszcze zanim zbuntowała się Gloria Steinem. Pewnego dnia, kiedy ojciec wrócił z wypadu na marlina, zastał pusty dom. Mama spakowała się i wyprowadziła razem z dziećmi do dużego mieszkania. Trochę się zdziwiliśmy, ale mama spokojnie wyjaśniła, że ona i tata nie mogą się dogadać i dlatego zdecydowała się mieszkać osobno.

Tak czy inaczej, postanowiła się wyprowadzić. Tata był zaszokowany, zaskoczony i zraniony tą decyzją. Błagał ją, żeby wróciła do domu, obiecywał, że będzie lepszym mężem i ojcem i że ograniczy swoje wędkarskie wycieczki. Przymykał nawet, że przestanie zajmować się polityką.

Mama wysłuchiwała go, ale niczego nie obiecała. Wkrótce, jeśli nie dla ojca, to dla mnie stało się jasne, że nie miała zamiaru wrócić. Zapisła się do szkoły stomatologicznej w Bronksie i zaczęła naukę zawodu technika dentystycznego.

Tata się nie poddawał. Wpadał do nas pod byle pretekstem, błagając, nakłaniając, żebrząc i przypochebiając się mamie. Czasami tracił panowanie nad sobą.

- Psiakrew, kobieto, nie możesz zrozumieć, że cię kocham?! - ryczał. Cała ta sytuacja oczywiście odbijała się na nas, chłopcach. A na mnie

szczególnie. Kochałem tatę. Byłem z nim najbliżej związany i zaczął wykorzystywać mnie w swojej kampanii odzyskania mamy.

- Porozmawiaj z nią, synu - prosił mnie. - Powiedz, że ją kocham. Powiedz jej, że wszyscy będziemy szczęśliwsi, gdy ponownie zamieszkamy razem. Powiedz jej, że ty byłbyś szczęśliwszy, gdyby wróciła do domu, że wszystkie dzieci byłyby szczęśliwsze.

Przekazywał przeze mnie prezenty dla mamy i uczył przemów, które miały złamać jej opór.

Jako mediator między ojcem i matką poniosłem całkowite fiasko.

12

Mojej mamy nie dało się oszukać. A tata prawdopodobnie jeszcze bardziej sobie tym zaszkodził, bo mama miała mu za złe, że wykorzystał mnie w ich małżeńskich rozgrywkach. Rozwiodła się z tatą, kiedy miałem czternaście lat.

Tata był zdruzgotany, a ja - rozczarowany, bo naprawdę bardzo chciałem, żeby się pogodzili. Ale mojemu ojcu trzeba przyznać jedno - kiedy kochał kobietę, to do końca życia. Próbował odzyskać mamę aż do swojej śmierci w 1974 roku.

Kiedy mama w końcu rozwiodła się z ojcem, postanowiłem z nim zostać. Mama nie była zachwycona moją decyzją, ale ja czułem, że tata potrzebuje jednego z nas i nie powinien zostać sam, i przekonałem ją. Tata był mi wdzięczny i zadowolony. Nigdy nie żałowałem swojej decyzji, chociaż tata chyba tak.

Życie z ojcem to była całkiem inna bajka. Spędziłem mnóstwo czasu w najlepszych klubach Nowego Jorku. Odkryłem, że biznesmeni nie tylko piją trzy martini do lunchu, ale też whisky z piwem jedząc brunch*, i tankują mnóstwo szkockiej z wodą sodową do kolacji.

* Brunch - połączenie późnego śniadania z lunchem (przyp. tłum.).

Politycy, jak również szybko zauważyłem, mają większe zrozumienie dla spraw tego świata i są bardziej skłonni zainwestować pieniądze, kiedy siedzą nad szklaneczką bourbona z lodem. Tata ubił przy barze mnóstwo interesów i dokonał wielu posunięć politycznych, a ja mu w tym wszystkim towarzyszyłem. Skłonności do alkoholu mojego ojca początkowo mnie zaniepokoiły. Nie uważałem go za alkoholika, ale popijał tęgo i obawiałem się, czy nie wpadł w nałóg. Chociaż bez przerwy pił, nigdy nie widziałem go pijanego i po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że po prostu miał mocną głowę.

Byłem zafascynowany współpracownikami, przyjaciółmi i znajomymi mojego taty. Znajdowali się wśród nich przedstawiciele wszystkich warstw społecznych Bronksu: lokalni działacze polityczni, gliniarze, przywódcy związków zawodowych, szefowie firm, kierowcy ciężarówek, dostawcy, maklerzy giełdowi, urzędnicy, taksówkarze i specjaliści od reklamy. Cały ten szemrany światek. Niektórzy wyglądali tak, jakby właśnie wyszli spod pióra Damona Runyona.

Po pół roku włączenia się z tatą byłem kuty na cztery nogi i o wiele bardziej bystry; nie taką edukację przewidział dla mnie ojciec, ale co zrobić, tak już wyszło.

13

Tata miał dużą siłę przebicia jako polityk. Dowiedziałem się o tym, kiedy zacząłem chodzić na wagary i włączyć się z kilkoma dzieciakami z sąsiedztwa, które rodzice zostawili samym sobie. Nie należeli do żadnego gangu ani niczego w tym rodzaju. Nie popełniali żadnych poważnych przestępstw. To byli chłopcy z rodzin patologicznych, którzy chcieli, żeby ktokolwiek zwrócił na nich uwagę, choćby pracownik szkoły ścigający wagarowiczów. Być może właśnie dlatego zacząłem się z nimi włączyć. Może sam chciałem zwrócić na siebie uwagę. Chciałem, żeby moi

rodzice znowu byli razem, i miałem nadzieję, że jeśli będę się zachowywał jak młodociany przestępca, to może stanie się to dla nich pretekstem do pogodzenia.

Nie byłem dobry w roli młodocianego przestępcy. Czułem się przeważnie dość głupio, kradnąc cukierki czy wślizgując się do kina bez biletu. Byłem o wiele dojrzały niż moi towarzysze i wyższy. W wieku piętnastu lat wyglądałem jak dorosły mężczyzna, mając metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i ważąc siedemdziesiąt siedem kilogramów, i jak przypuszczam uszło nam na sucho mnóstwo psikusów tylko dlatego, że wyglądałem jak nauczyciel prowadzący grupę uczniów albo starszy brat opiekujący się młodszym rodzeństwem. Czasami sam się tak czułem i często irytowała

mnie ich dziecinność.

Jednak najbardziej przeszkadzał mi ich brak klasy. Nauczyłem się dość wcześnie, że ludzie z klasą są powszechnie podziwiani. Prawie każde przewinienie, grzech czy przestępstwo traktuje się pobłażliwiej, jeśli tylko widać w nim jakiś ślad dobrego smaku.

Te dzieciaki nie potrafiły nawet buchnąć samochodu z odrobiną finezji. Kiedy ukradli pierwszą gablotę, wstąpili po mnie i nie ujechaliśmy nawet dwóch kilometrów, jak zgarnął nas patrol policji. Te gnojki ukradły samochód z podjazdu, gdy tymczasem jego właściciel podlewał trawnik. Skończyliśmy wszyscy w „Hiltonie” dla młodocianych przestępców.

Tata nie tylko wyciągnął mnie stamtąd, ale jeszcze załatwił, że usunięto z protokołu wszystkie wzmianki o moim udziale w tym incydencie. Była to kumoterska sztuczka, która miała później wielu gliniarzom spędzać sen z powiek. Nawet słonia jest łatwiej wytropić, jeśli na początku natrafi się na jego ślad.

Tata nie dał mi wycisku.

- Wszyscy popełniamy błędy, synu - rzekł. - Wiem, co chciałeś tym osiągnąć, ale nie tędy droga. Według prawa wciąż jesteś dzieckiem, ale fizycznie stałeś się już mężczyzną. Może powinieneś też zacząć myśleć jak mężczyzna.

14

Porzuciłem starych kumpli, zacząłem regularnie chodzić do szkoły i poszukałem sobie dorywczej pracy jako urzędnik spedycyjny w magazynach w Bronksie. Tata był zadowolony - tak zadowolony, że aż kupił mi starego forda, z którego zrobiłem prawdziwie genialną pułapkę na laski.

Jeśli miałbym na coś zwalić winę za moje przyszłe haniebne czyny, to zrzuciłbym ją na tego forda. Ten samochód miał zgubny wpływ na moją moralność, wprowadził

mnie w świat kobiet i szalałem bez opamiętania przez sześć lat. To był cudowny okres w moim życiu.

Niewątpliwie w życiu mężczyzny są też inne okresy, w których rozsądek ustępuje miejsca libido, ale żaden nie wywiera takiego wpływu na płaty czołowe mózgu, jak okres po zakończeniu dojrzewania, kiedy nie można zebrać myśli, a każdy przechodzący w pobliżu kociak sprawia, że krew płynie szybciej. W wieku piętnastu lat, rzecz jasna, wiedziałem o istnieniu dziewczyn. Były zbudowane inaczej niż chłopcy. Ale nie wiedziałem dlaczego, aż pewnego dnia zatrzymałem się na czerwonym świetle, jadąc świeżo odremontowanym samochodem, i zobaczyłem tę dziewczynę - przyglądała się mnie i mojej bryczce. Kiedy dostrzegła, że zwróciłem na nią uwagę, wywróciła oczami, wypięła biust, zakręciła tyłkiem, i nagle cały pogrążyłem się w myślach. Obudziła we mnie piekielne moce. Nie pamiętam, jak wsiadła do samochodu ani gdzie potem pojechaliśmy, ale nigdy nie zapomnę, jaka była jedwabista, miękka, przymilna, ciepła, absolutnie zachwycająca i słodko pachnąca; wiedziałem, że znalazłem sport kontaktowy, który sprawi mi prawdziwą frajdę. Robiła ze mną takie rzeczy, które wywabiałyby kolibra z krzewu hibiskusa i spowodowały, że buldog zerwałby się z łańcucha.

Współczesne książki na temat praw kobiet w sypialni nie robią na mnie żadnego wrażenia. Kiedy Henry Ford stworzył model-T, kobiety zrzuciły swoje bloomery* i przeniosły seks na drogi.

* Bloomer - nazwa kostiumu dla kobiet pochodząca od nazwiska amerykańskiej pionierki feminizmu, Amelii Bloomer; kostium składał się z krótkiej spódnicy i długich szerokich spodni zmarszczonych w kostkach (przyp. tłum.).

Kobiety stały się moją jedyną słabością. Rozkoszowałem się nimi. Nie mogłem się nimi nasycić. Budziłem się, myśląc o kobietach. Kładłem się spać, marząc o kobietach. Wszystkie były śliczne, z nogami aż po szyję, zapierające dech w piersiach, fantastyczne i czarujące. Chodziłem na złoty harcerek o świcie. W nocy szukałem ich z latarką.

15

W porównaniu ze mną Don Juan odczuwał łagodne pożądanie. Miałem obsesję na punkcie seksownych kobiet.

Po kilku pierwszych zbliżeniach sam stałem się czarującym facetem. Kobiety niekoniecznie muszą być kosztowne, ale nawet najbardziej figlarna Fraulein oczekuje, żeby od czasu do czasu kupić jej hamburgera i colę, choćby dla dodania sił. A ja po prostu nie miałem tyle forsy, żeby płacić za panienki. Musiałem znaleźć sposób na zdobycie pieniędzy.

Odszukałem ojca, który już coś wiedział na temat mojego odkrycia płci pięknej i związanych z nią uciech.

- Tato, to naprawdę miłe z twojej strony, że dałeś mi samochód, i czuję się jak ostatni dupek, prosząc o więcej, ale mam kłopoty z tym autem - tłumaczyłem się. - Potrzebuję karty kredytowej na paliwo. Dostaję kieszonkowe tylko raz w miesiącu, a muszę przecież zapłacić za obiady w szkole, pójść na mecz, umówić się na randkę i takie różne, no i czasami brakuje mi kasy na benzynę. Spróbuję sam płacić swoje rachunki i obiecuję, że nie nadużyję twojej hojności, jeśli dasz mi kartę.

Mówiłem wtedy bez zająknienia, niczym irlandzki handlarz końmi i byłem w tym szczerzy. Tata trawił moją prośbę przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

- W porządku, Frank, ufam ci - powiedział, wyjmując z portfela kartę Mobil. - Używaj jej. Od tej chwili ja nie będę nią płacił. To twoja karta i sam będziesz płacił co miesiąc rachunki, ale zachowaj umiar. Nie mam zamiaru martwić się, że możesz mnie wykorzystać.

I tu popełnił błąd. Nasza umowa działała przez pierwszy miesiąc. Przyszedł rachunek z firmy Mobil i zapłaciłem całą kwotę przekazem pieniężnym. Ale przez te płatności zostałem bez grosza przy duszy i znowu nie mogłem swobodnie oddać się pogoni za kobietami. Zacząłem odczuwać frustrację. Przecież gonitwa za szczęściem to nieodłączny przywilej Amerykanów, nieprawdaż? Czułem się tak, jakby pozbawiono mnie jednego z moich praw konstytucyjnych.

Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma uczciwych ludzi. Zapewne jakiś oszust. Poza tym jest to ulubione usprawiedliwienie kapusiów. Wielu ludzi prawdopodobnie marzy o tym, żeby być przebiegłym przestępcą, międzynarodowym złodziejem diamentów albo kimś w tym rodzaju, ale nie wykraczają poza fantazjowanie na ten temat. Inni od czasu do czasu mają ochotę popełnić jakieś przestępstwo, szczególnie jeśli w grę wchodzi gruba forsa, i myślą, że nikt nie będzie ich podejrzewał o kradzież. Tacy ludzie zwykle opierają się pokusie.

16

Mają wrodzoną zdolność do rozróżniania dobra od zła i zwycięża w nich zdrowy rozsądek.

Ale istnieją również ludzie, u których instynkt współzawodnictwa bierze górę nad rozsądkiem. Określone sytuacje stają się dla nich wyzwaniem, niczym wysoki szczyt dla alpinisty - przez sam fakt, że istnieją. Nie zastanawiają się nad swoimi czynami w kategoriach dobra czy zła. Postrzegają przestępstwo jako grę, której celem nie jest bynajmniej łup. Liczy się tylko sukces przedsięwzięcia. Oczywiście, jeśli uda się zdobyć spory łup, to jeszcze lepiej.

Ci ludzie są szachistami świata przestępczego. Najczęściej mają iloraz inteligencji na poziomie geniusza, a w ich umysłach gońce i koniki są zawsze gotowe do ataku. Nigdy nie spodziewają się, że ktoś może ich zaszachować. Zawsze są zdumieni, że rozpracował ich jakiś gliniarz o średnim poziomie inteligencji, a gliniarz jest zawsze zdziwiony motywami przestępstwa. Przestępstwo jako wyzwanie? A niech to diabli.

Ale to właśnie wyzwanie spowodowało, że zrobiłem swój pierwszy przekręt. No dobra, potrzebowałem pieniędzy. Każdy, kto cierpi na nieuleczalną skłonność do kobiet, potrzebuje gotówki. Jednak naprawdę nie zastanawiałem się nad brakiem funduszy, kiedy pewnego popołudnia zatrzymałem się na stacji benzynowej Mobil i zauważyłem ogromny szyld na stojaku z oponami. Było tam napisane: „Powiększ debet na karcie Mobil, a my założymy ci nowy komplet opon”. Od razu przyszło mi na myśl, że kartą Mobil można płacić nie tylko za benzynę czy ropę. Nie potrzebowałem nowych opon - te, które miałem, w zasadzie były nowe - ale kiedy czytałem to hasło, nagle zrodził się w mojej głowie misterny plan. Cholera, to może się udać, pomyślałem.

Wysiadłem i podszedłem do pracownika, który był jednocześnie właścicielem stacji. Zналиśmy się z widzenia, ponieważ często robiłem sobie tutaj krótkie postoje na sikanie. Nie było tu dużego ruchu.

- Więcej bym zarobił, napadając na stacje benzynowe, niż prowadząc je - narzekał kiedyś.

- Ile kosztowałby komplet opon z białym rantem? - zapytałem.

- Do tego auta jakieś sto sześćdziesiąt dolarów, ale przecież ma pan dobre gumy - odpowiedział.

Kiedy popatrzył na mnie, wiedziałem, że wyczuł, iż za chwilę złożę mu jakąś propozycję.

- To prawda, tak naprawdę nie potrzebuję żadnych opon - przyznałem.

17

- Ale cierpię na brak gotówki. Powiem panu, jaki mam plan. Kupię komplet tych opon i zapłacę za nie kartą. Tylko że ich nie wezmę. Pan da mi za nie sto dolarów. Nadal będzie pan miał opony, a kiedy mój ojciec zapłaci rachunek za kartę, odbierze pan swoją działkę. Od razu będzie pan do przodu, a kiedy naprawdę uda się sprzedać te opony, w pana kieszeni znajdzie się jeszcze sto sześćdziesiąt dolarów. Co pan na to? Człowieku, zrobisz na tym niezły interes.

Przyglądał mi się uważnie, ale w jego oczach dostrzegłem chciwość.

- A co z twoim staruszkiem? - zapytał ostrożnie. Wzruszyłem ramionami.

- Ojciec nigdy nie przygląda się mojemu samochodowi. Powiedziałem mu, że potrzebuję nowych opon, a on kazał mi zapłacić za nie kartą.

Ale facet nadal miał wątpliwości.

- Pokaż no prawo jazdy. Karta może być kradziona - powiedział. - Podałem mu prawo jazdy dla niepełnoletnich kierowców, na którym widniało to samo nazwisko co na karcie kredytowej. - Masz dopiero piętnaście lat? Wyglądasz na dwadzieścia pięć - rzekł, oddając mi dokument.

Uśmiechnąłem się.

- Ale zrobiłem już trochę kilometrów - odparłem. Kiwnął głową.

- Muszę zadzwonić do Mobil i dostać potwierdzenie - zawsze tak robimy, gdy kwota jest większa - wyjaśnił. - Jeśli wszystko się zgadza, to ubijemy interes.

Wyjechałem ze stacji z pięcioma dwudziestodolarówkami w portfelu. Kręciło mi się w głowie ze szczęścia. Jako że wtedy nie miałem jeszcze nigdy w ustach alkoholu, nie mogłem porównać swojego stanu umysłu z upojeniem szampanem, ale było to najbardziej oszałamiające uczucie, jakiego doznałem - przynajmniej na przednim siedzeniu samochodu.

Tak naprawdę czułem się przytłoczony własną przebiegłością. Jeśli raz się udało, to dlaczego nie miałyby się udać po raz drugi? I tak też było. W ciągu następnych kilku tygodni udało mi się zrobić ten sam numer tyle razy, że straciłem rachubę. Nie potrafię policzyć, ile kompletów opon, akumulatorów i innych akcesoriów samochodowych zakupiłem za pomocą tej karty kredytowej, a potem sprzedałem za część ceny. Załatwiłem w ten sposób wszystkie stacje Mobil w Bronksie. Czasem wrabiałem gościa przy dystrybutorze, żeby dał mi dziesięć dolarów i podpisał bon na benzynę i ropę wart dwa razy tyle. Wykorzystałem tę kartę, ile tylko wlaźło.

18

Oczywiście wszystkie te pieniądze przepuściłem na cizie. Na początku działałem przekonany, że za moje rozrywki płaci Mobil, więc co tam do licha. Potem w mojej skrzynce na listy wylądował rachunek za pierwszy miesiąc. Koperta była bardziej wypchana paragonami niż gęś na święta Bożego Narodzenia. W myślach je zsumowałem i zacząłem się zastanawiać nad zasileniem szeregów stanu duchownego, ponieważ zdałem sobie sprawę, że Mobil obciąży tymi rachunkami ojca. Nie przeszło mi nawet przez myśl, że tata okaże się w tej grze takim frajerem. Wyrzuciłem rachunki do kosza na śmieci. Upomnienie, które dostałem dwa tygodnie później, też wylądowało w koszu. Zastanawiałem się, czy nie stanąć twarzą w twarz z ojcem i nie przyznać się do wszystkiego, ale nie miałem dość odwagi. Wiedziałem, że prędzej czy później się dowie, ale wołałem, żeby powiedział mu o tym ktoś inny.

Najdziwniejsze jest to, że czekając na spotkanie na szczycie między ojcem a firmą Mobil, nie zaprzestałem swojego procederu. Nadal robiłem przekręty za pomocą tej karty i wydawałem szmal na piękne kobiety, chociaż zdawałem sobie sprawę, że przepuszczam pieniądze ojca. Człowiek opętany nieokiełznaną potrzebą seksu nie ma sumienia.

W końcu u mojego ojca w sklepie zjawił się komornik z firmy Mobil. Mężczyzna uderzył w ton przepraszający.

- Panie Abagnale, jest pan naszym klientem od piętnastu lat i wysoko sobie to cenimy. Ma pan u nas najwyższy limit kredytu, nigdy nie zalega pan z płatnościami i nie przyszedłem tutaj po to, żeby nękać pana rachunkami - powiedział komornik do mojego ojca, który słuchał ze zdziwionym wyrazem twarzy. - Proszę pana, interesuje nas tylko jedna rzecz. Jakim sposobem, u licha, mógł pan zaciągnąć dług na sumę trzech tysięcy czterystu dolarów za paliwo, olej, akumulatory i opony do jednego forda rocznik 1952 w ciągu trzech miesięcy? W ciągu ostatnich sześćdziesięciu dni założył pan do tego auta czternaście kompletów opon, w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni kupił pan dwadzieścia dwa akumulatory i niemożliwe, żeby pański samochód palił sto pięćdziesiąt litrów benzyny na sto kilometrów. Przypuszczamy, że nie ma pan nawet wystarczająco dużej miski olejowej na cały ten olej, który pan zakupił... Panie Abagnale, czy nie myślał pan o tym, żeby wymienić ten samochód na nowy za dopłatą?

Tata był zszokowany. - Ale skąd, przecież ja nawet nie korzystam z tej karty, używa jej mój syn - powiedział, kiedy doszedł do siebie. - To chyba jakaś pomyłka.

19

Komornik położył na ladzie kilkaset rachunków za rzeczy zakupione na kartę Mobil. Na każdym widniał podrobiony przeze mnie podpis ojca.

- Jak on to zrobił? I dlaczego? - wykrzyknął stary.

- Nie mam pojęcia - odparł komornik. - Może jego o to zapytamy?

I tak też zrobili. Odpowiedziałem, że nie mam nic wspólnego z tym oszustwem. Żaden z nich nie dał się jednak przekonać. Spodziewałem się, że tata wpadnie w szal. Ale on był raczej zakłopotany niż zły.

- Posłuchaj, synu, jeśli powiesz nam, jak to zrobiłeś i dlaczego, zapomnimy o całej sprawie. Nie będzie żadnej kary i zapłacę te rachunki - zaproponował.

Moim zdaniem tata był wspaniałym facetem. Nigdy mnie nie okłamał. Natychmiast przyznałem się do winy.

- To wszystko przez te dziewczyny, tato. - Westchnąłem. - Robią ze mną, co chcą. Nie umiem tego wyjaśnić.

Tata i komornik pokiwali głowami ze zrozumieniem. Tata położył mi rękę na ramieniu w geście współczucia.

- Nie martw się, chłopcze. Einstein też nie umiał tego wytłumaczyć -
pocieszył mnie.

Ojciec mi wybaczył, ale z mamą nie poszło tak łatwo. Była naprawdę zmartwiona całym zajściem i winała ojca za moje występki. Ponieważ nadal sprawowała nade mną opiekę, postanowiła odseparować mnie od ojca. Co gorsza, idąc za radą jednego z ojców z katolickiej organizacji charytatywnej, w której od zawsze działała, wysłała mnie do Port Chester, w Nowym Jorku, prywatnej katolickiej szkoły dla chłopców sprawiających problemy wychowawcze.

Szkoła nie miała wiele wspólnego z zakładem poprawczym. Przypominała raczej obóz dla chłopców z wyższych sfer niż placówkę wychowawczą. Mieszkałem w ładnym domku z sześcioma innymi chłopcami i pomijając to, że nie wolno było opuszczać terenu kampusu i znajdowałem się pod stałym nadzorem, było całkiem niezłe.

Zakonnicy, którzy prowadzili szkołę, należeli do organizacji dobroczynnej. Wiedli podobny tryb życia jak ich podopieczni. Posiłki spożywaliśmy wszyscy razem we wspólnej jadalni, a doskonałego jedzenia nie brakowało. Na terenie kampusu było kino, sala telewizyjna, świetlica, basen i sala gimnastyczna. Nigdy nie doliczyłem się wszystkich urządzeń rekreacyjnych i sportowych, oddanych do naszej dyspozycji. Lekcje trwały od ósmej rano do piętnastej, od poniedziałku do piątku, a poza tym mogliśmy spędzać czas tak, jak chcieliśmy.

20

Braciszkanie nie prawili kazań na temat naszych haniebnych postępów ani nie zanudzali nas świętymi lekturami i trzeba było naprawdę narozrabiać, żeby zostać ukaranym, co przeważnie równało się zakazowi opuszczenia domku przez kilka dni. Nigdy potem nie zetknąłem się z podobną instytucją, dopóki nie wylądowałem w amerykańskim więzieniu. Od tego czasu często zastanawiam się, czy aby katolickie organizacje charytatywne nie kierują potajemnie federalnym systemem więziennictwa.

Jednak żywot mnicha działał mi na nerwy. Jakoś to znosiłem, ale swój pobyt w szkole postrzegałem jako karę, i to niesprawiedliwą. Pomimo wszystko tata przebaczył mi, a on był jedyną ofiarą moich przestępstw. Więc co ja tu w ogóle robię? - pytałem sam siebie. W szkole najbardziej doskwierał mi brak kobiet. Panowała tam surowa męska atmosfera. Nawet widok zakonnic wzbudzał we mnie dreszczyk emocji.

Zapewne gdybym wiedział, co w tym czasie działo się z ojcem, popadłbym w jeszcze większą depresję. Nigdy nie informował mnie o wszystkim, ale podczas mojego pobytu w szkole znalazł się w poważnych tarapatach finansowych i zbankrutował.

Był kompletnie zdruzgotany. Musiał sprzedać dom, dwa ogromne cadillaki i wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. W ciągu kilku miesięcy przestał żyć jak milioner i zaczął prowadzić żywot urzędnika poczty. Tym właśnie się zajmował, kiedy po roku przyjechał odebrać mnie ze szkoły. Był urzędnikiem pocztowym. Mama ustąpiła i zgodziła się, żebym znowu zamieszkał z ojcem. Gwałtowna zmiana stopy życiowej ojca zaszokowała mnie i miałem poczucie winy. Ale tata nie pozwoliłby na to, żebym się obwiniał. Zapewniał mnie, że te trzy tysiące czterysta dolarów, które mu gwizdnąłem, nie przyczyniło się do upadku jego firmy.

- Nawet tak nie myśl, synu. To była kropla w morzu - powiedział wesoło.

Wyglądało na to, że tata nie zamartwiał się nagłym pogorszeniem statusu społecznego i brakiem pieniędzy, natomiast mnie to przygnębiało. I to raczej nie martwiłem się o siebie, tylko o tatę. Był na samym szczycie, prawdziwa szczycha, a teraz musiał pracować za marną pensję. Próbowałem podpytać go o przyczyny tego fiaska.

- A co z twoimi przyjaciółmi, tato? - zapytałem. - Pamiętam, że zawsze wyciągałeś ich z oparów. Żaden z nich nie chce ci pomóc?

Tata uśmiechnął się drwiąco.

- Zobaczysz, Frank, że kiedy jesteś na szczycie, otaczają cię setki ludzi, którzy podają się za twoich przyjaciół.

21

Kiedy przegrasz, to będziesz mógł się nazwać szczęśliwcem, jeśli choć jeden z nich postawi ci filiżankę kawy. Gdybym mógł cofnąć czas, ostrożniej wybierałbym przyjaciół. Mam kilku dobrych kumpli. Nie należą do ludzi zamożnych, ale to właśnie jeden z nich załatwił mi tę pracę na poczcie.

Nie miał ochoty rozpamiętywać swoich niepowodzeń ani dyskutować o ich szczegółach, ale irytowało mnie to, szczególnie że jechaliśmy jego samochodem. Był gorszy od mojego forda, którego sprzedał, a pieniądze wpłacił na konto na moje nazwisko. Tata jeździł teraz rozklekotanym starym chevy.

- Nie wkurza cię to, że jeździsz tym gruchotem, tato? - zapytałem go kiedyś. - Po cadillacu to dla ciebie degradacja. Dobrze mówię?

Tata się roześmiał.

- Frank, masz złe podejście do całej sprawy. Nie jest ważne to, co ktoś ma, ale kim jest. Ten samochód mi wystarcza. Ma cztery kółka i jedzie do przodu. Liczy się tylko

to, że wiem, kim jestem i jaki jestem, a nie to, co myślą o mnie ludzie. Uważam, że jestem uczciwym człowiekiem i jest to dla mnie ważniejsze niż posiadanie dużego samochodu... Jeśli człowiek wie, kim jest i jaki jest, to wszystko się dobrze ułoży.

Problem polegał na tym, że wtedy nie wiedziałem, kim jestem ani jaki jestem.

W ciągu zaledwie trzech lat poznałem odpowiedzi na te pytania.

- Kim ty właściwie jesteś? - zapytała mnie rozkoszna brunetka, kiedy położyłem się obok niej na plaży w Miami.

- Tym, kim chcę być - odpowiedziałem. I tak też się stało.

22

ROZDZIAŁ drugi.

Pilot bez doświadczenia.

W wieku szesnastu lat opuściłem dom w poszukiwaniu swojej drogi życiowej. Nikt mnie nie zmuszał do odejścia, ale po prostu nie byłem tam szczęśliwy. Sytuacja na froncie mojego rozdwojonego domu nie uległa zmianie. Tata nadal chciał odzyskać mamę, lecz ona nie ustępowała. Tata dalej wykorzystywał mnie jako mediatora w swoich zalotach do mamy, a ona ciągle miała do niego pretensje, że obsadził mnie w roli Kupidyna. Zresztą mnie też się to nie podobało. Mama skończyła szkołę dla techników dentystycznych i pracowała w klinice stomatologicznej Larchmont. Wydawała się zadowolona - ze swojego nowego, niezależnego życia.

Nie miałem zamiaru uciekać. Ale za każdym razem, kiedy tata wkładał mundur urzędnika pocztowego i jechał do pracy swoim rozklekotanym samochodem, czułem się przygnębiony. Nie mogłem zapomnieć, jak nosił garnitury od Louisa Rotha i jeździł luksusowymi samochodami.

Pewnego czerwcowego ranka 1964 roku obudziłem się i poczułem, że nadszedł czas, żeby odejść. Wydawało mi się, że słyszę szept dochodzący z jakiegoś odległego zakątka świata: „Chodź”. Więc poszedłem.

Nie pożegnałem się z nikim. Nie zostawiłem żadnego listu. Miałem dwieście dolarów na rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowym w Westchester, filii banku Chase Manhattan. Było to konto, które założył mi przed rokiem ojciec, a z którego do tej pory nie korzystałem. Wygrzebałem swoją książeczkę czekową, spakowałem najlepsze ubrania do jednej walizki i złapałem pociąg do Nowego Jorku.

Mój cel podróży niezupełnie można było nazwać odległym zakątkiem świata, ale pomyślałem sobie, że stanowi doskonały punkt wyjścia.

Gdybym przyjechał z Kansas albo z Nebraski, Nowy Jork ze swoim jazgotliwym metrem, budzącymi respekt drapaczami chmur, strumieniami hałaśliwych samochodów i niekończącymi się sznurami ludzi prawdopodobnie sprawiłby, że szybko wiałbym z powrotem na prerię. Ale dla mnie Nowy Jork stanowił wyzwanie. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Nie minęła godzina, odkąd wysiadłem z pociągu, kiedy spotkałem chłopca w moim wieku, którego naciągnąłem na to, żeby zaprosił mnie do swojego domu. Powiedziałem jego rodzicom, że pochodzę z prowincji, moi rodzice nie żyją, a ja muszę sobie sam radzić i gdzieś się zatrzymać, dopóki nie znajdę pracy. Powiedzieli, że mogę zostać w ich domu, jak

długo zechcę.

Nie miałem zamiaru nadużywać ich gościnności. Chciałem postawić wszystko na jedną kartę i wyjechać z Nowego Jorku, chociaż nie wiedziałem jeszcze, gdzie pojedę i co będę robił.

Miałem wyraźnie sprecyzowany cel. Chciałem osiągnąć sukces w jakiejś dziedzinie. Miałem zamiar wejść na szczyt jakiejś góry. Nikt i nic nie mogło mnie od tego powstrzymać. Chciałem uniknąć błędów mojego ojca. O tym byłem absolutnie przekonany.

Szybko okazało się, że Wielkie Jabłko* nie było wcale takie soczyste, nawet dla tubylca.

* Big Apple - Wielkie Jabłko, potoczna nazwa Nowego Jorku (przyp. tłum.).

Nie miałem problemów ze znalezieniem pracy. Pracowałem u mojego ojca jako magazynier i dostawca, i miałem doświadczenie w prowadzeniu sklepu papierniczego. Zacząłem dzwonić do dużych firm handlujących artykułami papierniczymi, przedstawiając im prawdę. Mam dopiero szesnaście lat, mówiłem, wyleciałem ze szkoły średniej, ale znam się dobrze na artykułach papierniczych. Menedżer trzeciej firmy, do której poszedłem, zatrudnił mnie za półtora dolara za godzinę. Byłem wystarczająco naiwny, żeby uwierzyć, iż jest to zadowalająca pensja.

W ciągu tygodnia pozbyłem się złudzeń. Uświadomiłem sobie, że nie zdołam utrzymać się w Nowym Jorku za sześćdziesiąt dolarów tygodniowo, nawet gdybym mieszkał w najpodlejszym hotelu i żywił się w najtańszych barach. Jeszcze bardziej frustrowało mnie to, że zostałem sprowadzony do roli widza w sprawach damsko-

męskich. Panienki, z którymi spotykałem się do tej pory, spaceru po Central Parku i hot doga z budki na kółkach z pewnością nie zaliczyłyby do czarujących randek.

24

Sam nie byłem zachwycony takim sposobem spędzania czasu. Po hot dogach mi się odbija.

Przeanalizowałem sytuację i doszedłem do następującego wniosku: płacili mi mało nie dlatego, że nie ukończyłem szkoły, tylko dlatego, że miałem zaledwie szesnaście lat. Chłopcu po prostu nie przysługiwały te same stawki co mężczyźnie.

W ciągu jednej nocy postarzałem się o dziesięć lat. Ludzie, a szczególnie kobiety, zawsze byli zaskoczeni, kiedy dowiadawali się, że jestem jeszcze nastolatkiem. Doszedłem do wniosku, że skoro wyglądam na starszego, niż jestem w rzeczywistości, to niech za niego uchodzę. W szkole byłem najlepszy z rysunków. Zdołałem w bardzo przekonujący sposób zmienić datę urodzenia w prawie jazdy z 1948 na 1938 rok. Następnie poszedłem sprawdzić, jak wygląda rynek pracy z punktu widzenia dwudziestosześcioletka, który wyleciał ze szkoły średniej, trzymając w portfelu dowód niezbitcie potwierdzający mój nowy wiek.

Dowiedziałem się, że siatka płac dla mężczyzny bez dyplomu szkoły średniej bynajmniej nie wprawiłaby w zakłopotanie twórców ustawy o płacach minimalnych. Nikt nie kwestionował mojego nowego wieku, ale w najlepszej ofercie pracy, jaką otrzymałem, wymieniono sumę dwóch dolarów siedemdziesięciu pięciu centów na godzinę, na stanowisku pomocnika kierowcy ciężarówki. Paru potencjalnych pracodawców powiedziało mi bez ogródek, że wysokość pensji nie zależy od wieku, tylko od wykształcenia. Im lepiej wykształcony pracownik, tym więcej zarabia. Doszedłem do smutnego wniosku, że człowiek bez dyplomu szkoły średniej jest jak wilk z trzema nogami na środku pustyni. Być może przeżyje, ale z trudem. Wtedy jeszcze nie przyszło mi do głowy, że dyplomy, podobnie jak daty urodzenia, można łatwo sfałszować.

Zarabiając sto dolarów tygodniowo, mógłbym przeżyć, ale na pewno nie pożyć. Za bardzo lubiłem kobiety, a każdy, kto notorycznie obstawia konie na wyścigach, potwierdzi, że obstawianie młodych klaczy to najprostsza droga do bankructwa. Wszystkie dziewczyny, z którymi romansowałem, były rasowymi młodymi klaczami i kosztowały mnie kupę forsy.

Zacząłem wypisywać czeki na poczet mojego dwustudolarowego konta za każdym razem, kiedy brakowało mi pieniędzy na rozrywki. Te pieniądze stanowiły rezerwę, której nie chciałem naruszać i starałem się być pod tym względem konsekwentny. Realizowałem czeki tylko na sumę dziesięciu dolarów albo najwyżej dwudziestu i

początkowo przeprowadzałem wszystkie transakcje w oddziale banku Chase Manhattan.

25

Potem zorientowałem się, że domy towarowe, hotele, sklepy spożywcze i inne firmy także realizują czeki imienne pod warunkiem, że suma nie jest przesadnie wysoka i przedstawi się wiarygodny dowód tożsamości. Odkryłem również, iż wystarczy do tego celu moje przerobione prawo jazdy, i kiedy tylko potrzebowałem zrealizować czek na dwadzieścia lub dwadzieścia pięć dolarów, wpadałem do najbliższego hotelu albo domu towarowego. Nikt mnie o nic nie wypytywał, nikt nie upewniał się w banku, czy czeki miały pokrycie. Podawałem razem z czekiem moje podrobione prawo jazdy i dostawałem je z powrotem wraz z gotówką.

To było dziecinnie proste. Zbyt proste. Po kilku dniach wiedziałem, że przekroczyłem stan konta i czeki, które wypisywałem, nie mają pokrycia. Mimo to nadal realizowałem czeki za każdym razem, kiedy potrzebowałem pieniędzy, żeby uzupełnić pensję albo sfinansować smakowitą kolację z kolejną piękną lalunią. Jako że moja pensja wymagała ciągłych dotacji, a po Nowym Jorku chodzi mnóstwo kociaków, wkrótce zacząłem realizować dwa lub trzy czeki dziennie.

Starłem się zracjonalizować swoje działania. Tata zajmie się czekami bez pokrycia, powtarzałem sobie. Albo uspokajałem swoje sumienie filozofią oszusta: jeśli ludzie są na tyle głupi, żeby zrealizować czek bez sprawdzania, czy ma pokrycie, zasługują na to, aby ich oszukać. Pocięczałem się również tym, że jestem nieletni. Gdyby nawet mnie złapali, to biorąc pod uwagę łagodność nowojorskiego prawa dla nieletnich przestępców i pobłażliwość miejscowych sędziów, jest mało prawdopodobne, żebym dostał surową karę. Ponieważ wcześniej nie byłem karany, prawdopodobnie odesłaliby mnie do rodziców. Pewnie nawet nie musiałbym zwracać ukradzionych pieniędzy.

Kiedy już rozwiązałem swoje skrupuły za pomocą tych mglistych usprawiedliwień, porzuciłem pracę i zacząłem utrzymywać się wyłącznie z fałszowania czeków. Nie liczyłem dokładnie czeków, które fałszowałem, ale mój standard życia wyraźnie się poprawił. Mój standard randek również.

Po dwóch miesiącach taśmowej produkcji fałszywych czeków uzmysłowiłem sobie kilka nieprzyjemnych faktów. Byłem hochsztaplerem. Ni mniej, ni więcej. Mówiąc potocznie, stałem się profesjonalnym tapeciarzem. Nie przejmowałem się tym zbyt, ponieważ byłem skutecznym tapeciarzem, a wtedy osiągnięcie sukcesu w czymkolwiek miało dla mnie największe znaczenie.

26

Natomiast bardziej martwiło mnie ryzyko zawodowe związane z fałszowaniem czeków. Wiedziałem, że ojciec zgłosił moje zaginięcie na policji. Gliniarze przeważnie nie poświęcają zbyt wiele czasu poszukiwaniom zaginionych szesnastolatków, chyba że podejrzewają popełnienie przestępstwa. Niewątpliwie mój przypadek należał do wyjątków, jako że popełniłem poważne przestępstwo, fałszując dziesiątki czeków. Zdawałem sobie sprawę, że policja poszukuje mnie niejako uciekiniera, ale złodzieja. Wszyscy handlowcy i biznesmeni, których naciągnąłem, też na mnie czyhają.

Krótko mówiąc, byłem w pierwszej lidze. Wiedziałem, że jeszcze przez jakiś czas zdołam umykać policji, ale zdawałem sobie również sprawę z tego, że jeśli zostanę w Nowym Jorku i nadal będę zaśmiecał kasy fałszywymi czekami, to w końcu mnie złapią. Mogłem też wyjechać z Nowego Jorku, ale ta perspektywa mnie przerażała. Myśl o odległym zakątku świata nagle zaczęła przyprawiać mnie o dreszcze i stała się nieprzyjemna. Pomimo mojej brawurowej demonstracji niezależności, na Manhattanie zawsze mogłem kurczowo chwycić się koła ratunkowego. Mama i tata znajdowali się na wyciągnięcie ręki. Wiedziałem, że zachowaliby się lojalnie, mimo mojego niecnego postępowania. Natomiast gdybym poleciał do Chicago, Miami, Waszyngtonu albo innej odległej metropolii, sytuacja wyglądałaby znacznie gorzej.

Miałem praktykę tylko w jednej dziedzinie - fałszowaniu czeków. Nawet nie rozważałem innego źródła utrzymania, i to było dla mnie najważniejsze. Czy potrafiłbym nabierać handlowców w innym mieście równie łatwo, jak naciągałem nowojorczyków? W Nowym Jorku miałem aktualny, chociaż bezwartościowy rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy i ważne, chociaż dopiero za dziesięć lat, prawo jazdy, a to pozwalało mi prowadzić mój niecny proceder, który przynosił całkiem niezłe zyski. W każdym innym mieście ten stos czeków imiennych (tylko kwoty były fikcyjne, a nazwisko prawdziwe) i moje tandetnie przerobione prawo jazdy byłyby bezużyteczne. Zanim zacząłbym działać, musiałbym najpierw zmienić nazwisko, zdobyć fałszywy dowód tożsamości i założyć konto bankowe na nowe nazwisko. Wszystko to razem wydawało mi się skomplikowane i ryzykowne. Byłem dobrze prosperującym oszustem, ale brakowało mi jeszcze pewności siebie.

Kilka dni później szedłem ulicą Czterdziestą Drugą, bijąc się z myślami na temat mojej trudnej sytuacji, kiedy nagle z obrotowych drzwi hotelu Commodore wypadło rozwiązanie moich rozterek.

27

Gdy podszedłem do wejścia, wysypała się z niego cała załoga samolotu linii lotniczych Eastern Airlines: kapitan, drugi pilot, nawigator i cztery stewardesy. Wszyscy zaśmiewali się i prowadzili ożywioną rozmowę pochłonięci swoją joje de

vivre, czyli innymi słowy radością życia. Mężczyźni byli szczupli i przystojni, a dzięki mundurom ze złotymi ozdobami roztaczali wokół siebie aurę poszukiwaczy przygód. Dziewczeta miały doskonałą figurę i były prześliczne, pełne gracji i barwniejszym egzotyczne motyle na łące.

Zatrzymałem się i obserwowałem, jak wsiadali do służbowego autobusu, i pomyślałem sobie, że nigdy nie widziałem tak wspaniale wyglądającej grupy ludzi.

Poszedłem dalej, nie mogąc o nich zapomnieć, kiedy nagle przyszedł mi do głowy pomysł tak zuchwały i karkołomny, że aż mnie wprowadził w zdumienie.

A gdybym tak został pilotem? Oczywiście nieprawdziwym pilotem. Nie miałbym zdrowia do wyczerpujących lat studiowania, szkolenia, szkoły lotniczej, pracy i innych przyziemnych zajęć, które musi wykonać człowiek, żeby zasiąść w kabinie pilota pasażerskiego odrzutowca. Ale gdybym tak miał mundur pilota i mógł korzystać z przywilejów pilota linii lotniczych... Dlaczego nie, pomyślałem, mógłbym wtedy wejść do każdego hotelu, banku i firmy w kraju i zrealizować czek. Piloci to ludzie, których się szanuje i podziwia. Ludzie, którzy wzbudzają zaufanie. Ludzie zamożni. Nikt nie spodziewa się, że pilot linii lotniczych mieszka na stałe w okolicy. Ani że jest fałszerzem czeków.

Otrząsnąłem się z tej myśli. Ten pomysł był zbyt karkołomny, zbyt śmieszny, żeby w ogóle się nad nim zastanawiać. Ambitny, owszem, ale nedorzeczny.

Kiedy doszedłem do skrzyżowania Czterdziestej Drugiej z Park Avenue, przed moimi oczami ukazała się siedziba linii lotniczych Pan American. Popatrzyłem do góry na wznoszący się wysoko biurowiec i nie widziałem budynku ze stali, kamienia i szkła, zobaczyłem szczyt do zdobycia.

Dyrektorzy tej słynnej firmy nie zdawali sobie sprawy z tego faktu, ale właśnie wówczas Pan Am zdobył najkosztowniejszego podniebnego kowboja. Który w dodatku nie umie latać. Ale, do diaska, zgodnie z prawami fizyki trzmiel też nie powinien latać. Jednak mimo to lata i jeszcze zbiera mnóstwo pyłku. I na tym kończyły się moje ambicje. Chciałem być takim trzmielom w gnieździe linii Pan Am.

28

Spędziłem całą noc na rozmyślaniach i obudziłem się tuż przed świtem z wstępnym planem w głowie. Czułem, że będę musiał wymyślić wszystko na poczekaniu, ale czyż to nie jest podstawą każdego działania? Człowiek słucha i się uczy.

Obudziłem się tuż po pierwszej po południu, chwyciłem książkę telefoniczną i na żółtych stronach odszukałem numer linii Pan Am. Wykręciłem numer centrali i

powiedziałem, że chciałbym porozmawiać z kimś z działu zakupów. Natychmiast mnie połączono.

- Johnson, mogę w czymś pomóc? Niczym Cezar przy Rubikonie, rzuciłem kości.

- Tak - odparłem. - Nazywam się Robert Black i jestem drugim pilotem z filii Pan American w Los Angeles. - Zrobiłem pauzę, żeby sprawdzić jego reakcję, serce mi waliło jak młot.

- Tak, co mogę dla pana zrobić, panie Black? - Był uprzejmy i rzeczowy, więc poszedłem na całość.

- Przylecieliśmy tutaj dziś o ósmej rano, a o siódmej wieczór mam stąd wylecieć - powiedziałem. Wymyśliłem godziny lotów na poczekaniu, mając nadzieję, że Johnson nie zna dokładnie rozkładu. Ja oczywiście go nie znałem. - Nie mam pojęcia, jak to się stało - mówiłem dalej, udając rozgoryczenie. - Pracuję w tej firmie od siedmiu lat i nigdy mi się coś takiego nie przydarzyło. Chodzi o to, że ktoś ukradł mój mundur, albo gdzieś zawieruszył, a jedyny zapasowy mam w domu w Los Angeles. Dzisiaj wieczorem mam lot i jestem przekonany, że nie mogę go odbyć w cywilnym ubraniu... Nie wie pan, gdzie mogę dostać mundur, może poda mi pan nazwę jakiejś firmy albo powie, gdzie można coś takiego wypożyczyć?

Johnson zachichotał.

- No cóż, to nie jest znowu taki wielki problem - odparł. - Ma pan coś do pisania?

Powiedziałem, że tak, a on mówił dalej.

- Proszę pójść do Well-Built Uniform Company i zwrócić się do pana Rosena. On wszystkim się zajmie. Zadzwońię do niego i uprzedzę go, że pan przyjdzie. Mógłby pan powtórzyć, jak się nazywa?

- Robert Black - odrzekłem, mając nadzieję, że pyta tylko dlatego, że zapomniał. Jego ostatnie słowa mnie uspokoiły.

- Proszę się nie martwić, panie Black. Rosen się panem zajmie - powiedział wesoło Johnson. Miał głos jak harcerz, który właśnie zrobił dobry uczynek, i tak też było.

29

W niecałą godzinę później wszedłem do Well-Built Uniform Company. Rosen był drobnym mężczyzną niskiej postury z metrem krawieckim przewieszonym przez ramię.

- Oficer Black? - zapytał piskliwym głosem, a kiedy przytaknąłem, pokiwał na mnie palcem. - Niech pan idzie za mną.

Poszedłem za nim przez labirynt wieszaków, na których wisały przeróżne mundury, najwyraźniej dla pracowników kilku linii lotniczych, aż zatrzymał się obok stojaka z granatowymi mundurami.

- Jaką ma pan rangę? - zapytał Rosen, przeglądając rząd marynarek. Nie znałem się nic a nic na terminologii lotniczej.

- Drugi pilot - odparłem, mając nadzieję, że to właściwa odpowiedź.

- Pierwszy oficer, co? - powiedział i zaczął podawać mi marynarki i spodnie do przymierzenia. W końcu Rosen był usatysfakcjonowany moim wyglądem. - Nie leży idealnie, ale nie mam czasu na przeróbki. Powinno wystarczyć, dopóki nie znajdzie pan czasu na zrobienie odpowiednich przymiarek. - Wziął marynarkę, po czym zręcznie i szybko przyszył na maszynie po trzy złote belki na każdym mankiecie. Potem dopasował mi odpowiednią czapkę z daszkiem. Nagle zauważyłem, że tej marynarce

i czapce czegoś brakuje.

- A gdzie są skrzydełka i godło Pan Am? - zapytałem.

Rosen popatrzył na mnie pytającym wzrokiem, a mnie przeszły ciarki. Wszystko sknociłem, pomyślałem. Rosen wzruszył ramionami.

- Nie zajmujemy się tym. Szyjemy tylko mundury. Zapewne chodzi panu o odznaki. W Nowym Jorku wydaje je wyłącznie biuro Pan Am. Musi pan pobrać skrzydełka i godło w magazynie Pan Am.

- Aha, dziękuję - odparłem, uśmiechając się. - W Los Angeles odbieramy mundury i emblematy w jednej firmie. Ile jestem winien za ten mundur? Wypiszę panu czek.

Kiedy zacząłem szukać książeczki czekowej, zaświtało mi w głowie, że na czekach widnieje nazwisko Frank Abagnale junior, co prawie na pewno zdemaskuje moją maskaradę. Ale Rosen sam zapobiegł katastrofie.

- Jest pan winien dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów, ale nie mogę przyjąć czeku. - Udałem rozczarowanie.

- Cholera, panie Rosen, w takim razie będę musiał zrealizować czek i przynieść panu gotówkę.

Rosen potrząsnął głową.

- Gotówki też nie mogę - odparł. - Będę musiał obciążyć rachunkiem pańskie konto pracownicze, a potem ta suma zostanie potrącona z pańskiego dodatku mundurowego albo z pensji.

Taka jest procedura. - Rosen był prawdziwą kopalnią informacji na temat funkcjonowania linii lotniczych i byłem mu za to wdzięczny.

Podał mi formularz w trzech egzemplarzach i zacząłem go wypełniać. Obok rubryki na nazwisko zobaczyłem pięć połączonych ze sobą kratek i słusznie się domyśliłem, że należało tam wpisać numer konta, na które wpływała pensja. Pięć kratek. Pięć cyfr. Wpisałem do kratek pierwsze pięć liczb, które przysły mi na myśl, podpisałem formularz i oddałem go Rosenowi. Oderwał dolną kopię i podał mi ją.

- Dziękuję bardzo, panie Rosen. - Wyszedłem, niosąc w ręku piękny mundur. Jeśli nawet Rosen coś mi odpowiedział, już tego nie usłyszałem.

Wróciłem do pokoju i wykręciłem jeszcze raz numer centrali Pan Am.

- Przepraszam najmocniej, ale skierowano mnie do działu magazynów - powiedziałem, udając zakłopotanego. - Może mi pani powiedzieć, co to jest? Nie pracuję w tej firmie, ale mam dla nich dostawę.

Dziewczyna w centrali okazała się bardzo pomocna.

- Dział magazynów to skład naszej firmy - wyjaśniła. - Mieści się w hangarze numer czternaście na lotnisku Kennedy'ego. Wie pan, jak tam dojechać?

Powiedziałem, że wiem, i podziękowałem za informację. Wsiadłem do autobusu jadącego na lotnisko i poczułem się nieswojo, kiedy kierowca otworzył drzwi przed hangarem numer czternaście. Bez względu na to, co linie Pan Am przechowują w hangarze czternastym, musi to mieć ogromną wartość. Hangar przypominał fortecę, która była otoczona wysokim murem najeżonym zwojami drutu kolczastego, a wejścia do niej strzegli uzbrojeni wartownicy. Napis na budkach strażniczych przy każdym wejściu ostrzegał: „Tylko dla personelu”.

Kiedy robiłem rozpoznanie, stojąc na przystanku autobusowym, na teren magazynów weszło z tuzin albo więcej pilotów, stewardes i cywilów. Zauważyłem, że cywile zatrzymywali się i pokazywali strażnikom identyfikatory, ale większość mundurowych, piloci i stewardesy przechodzili tylko przez bramę, a niektórzy nawet nie spojrzeli na wartownika. Potem jeden z nich odwrócił się, żeby powiedzieć coś do wartownika, i dostrzegłem, że w klapie marynarki, poniżej odznaki pilota ma przypięty identyfikator.

W tym dniu miało padać. Zabrałem ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy, czarny, podobny do tych, które część pilotów zarzucała na ramiona. Swój świeżo zdobyty mundur miałem schowany w worku marynarskim.

31

Pewnie podobnie czuł się Custer, kiedy natknął się na wodza Siuksów, Siedzącego Byka.

Zachowałem się również jak on. Ruszyłem do ataku. Poszedłem do jednej z toalet na lotnisku i przebrałem się w mundur, chowając cywilne ubranie do torby. Następnie wyszedłem z terminalu i udałem się prosto do najbliższego wejścia do hangaru numer czternaście.

Wartownik siedział w swojej budce odwrócony do mnie plecami. Kiedy podszedłem do bramy, zsunąłem płaszcz przeciwdeszczowy na lewe ramię, zasłaniając nim całą lewą stronę marynarki i zdjąłem czapkę. Gdy wartownik odwrócił się, żeby mi się przyjrzeć, przeczesywałem włosy palcami, trzymając czapkę w lewej ręce.

Nie zatrzymałem się. Uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem chłodnym tonem:

- Dobry wieczór. - Wartownik nawet nie próbował mnie zatrzymać, chociaż mi odpowiedział.

Chwilę później znalazłem się wewnątrz hangaru czternastego. To naprawdę był hangar. W środku nad wszystkim dominował błyszczący boeing 707, który stał z tyłu. Ale w hangarze czternastym znajdowały się również oddzielone przegródkami biura szefa pilotów i szefa stewardes, biura meteorologiczne firmy i dziesiątki innych boksów, w których, jak przypuszczałem, mieściły się inne działy linii lotniczych Pan Am.

W środku aż roiło się od ludzi. Wydawało się, że są tam dziesiątki pilotów, dwa razy tyle stewardes i niezliczona wprost liczba cywilów zlewających się w falujący tłum. Domyśliłem się, że cywile byli urzędnikami, kasjerami lotniczymi, mechanikami i innymi pracownikami personelu naziemnego.

Gdy stałem w holu, nagle ogarnęły mnie obawy i zacząłem się wahać. Ni stąd, ni zowąd poczułem się jak szesnastolatek i byłem pewny, że każdy, kto na mnie spojrzy, zauważy, iż jestem za młody, żeby być pilotem, a potem zawiadomi policję.

Nie patrzyłem na nikogo. Ludzie, którzy rzucali na mnie okiem, nie okazywali jakiegoś specjalnego zainteresowania. Na ścianie przede mną wisiał ogromny afisz, na którym widniały nazwy różnych działów i strzałki wskazujące drogę. Dział magazynowania był na końcu korytarza po mojej lewej stronie i okazał się pomieszczeniem o charakterze wojskowym, w którym znajdowało się mnóstwo półek z pudłami.

Kiedy stanąłem przy ladzie, zza ogromnego biurka wstał patykowaty młodzieniec, którego nazwisko było wytłoczone po prawej stronie jego koszuli.

- Moge w czymś pomóc? - zapytał, leniwie przeciągając samogłoski. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem sposób mówienia charakterystyczny dla mieszkańców południowych stanów. Spodobało mi się.

- Tak - rzekłem, próbując uśmiechnąć się ze smutkiem. - Potrzebuję skrzydełek i godła na czapkę. Wczoraj wieczór mój dwuletni synek schował mi mundur i nie chce albo nie potrafi powiedzieć, co z nim zrobił.

Magazynier wybuchnął śmiechem.

- Maamy tu chybaa więcej skrzydełek dla dzieciaków i dziewczyn niż dla pilotów - odparł rozbawiony. - W każdym razie dużo ich wymieniamy. Proszę. Niech mi pan poda nazwisko i numer pracownika. - Wziął formularz z podajnika na dokumenty, który stał na biurku, i położył go na ladzie razem z parą złotych skrzydełek i naszywką na czapkę z emblematem linii Pan Am, po czym wstał z przygotowanym długopisem.

- Robert Black, pierwszy oficer, 35099 - powiedziałem, naklejając emblemat i przypinając skrzydełka do munduru. - Jestem z Los Angeles. Potrzebny panu mój adres?

Uśmiechnął się szeroko.

- Niece, te cholerne komputery nie potrzebują nic więcej oprócz cyfr -wyjaśnił, wręczając mi kopię rachunku. Zacząłem powoli wychodzić z budynku, próbując niepostrzeżenie wmieszać się w tłum. Chciałem zdobyć jak najwięcej informacji na temat pilotów i funkcjonowania linii lotniczych, a teraz miałem ku temu doskonałą okazję.

Pomimo ogromnej liczby pilotów i innych członków personelu latającego wyglądało na to, że wszyscy są dla siebie obcy. Najbardziej interesowały mnie laminowane plakietki, które większość pilotów dumnie nosiła na piersi. Zauważyłem też, że stewardesy miały podobne identyfikatory, ale nosiły je przypięte do pasa z portmonetką.

Kilku pilotów przeglądało ogłoszenia przypięte pinezkami na wielkiej tablicy ogłoszeń w holu. Przystanąłem tam i udawałem, że czytam niektóre ogłoszenia, szczególnie notatki służbowe FAA i linii Pan Am, i dzięki temu mogłem przyjrzeć się z bliska identyfikatorowi jednego z pilotów. Był troszeczkę większy niż prawo jazdy i przypominał to, które miałem w kieszeni, jeśli nie liczyć kolorowego zdjęcia paszportowego w górnym prawym rogu oraz nazwy i logo linii Pan American na samej górze w charakterystycznych kolorach firmowych.

Oczywiście, kiedy wyszedłem z hangaru, wiedziałem już, że sam mundur nie wystarczy, aby udało mi się z powodzeniem zagrać rolę pilota Pan Am. Potrzebowałem identyfikatora i znacznie więcej informacji na temat funkcjonowania firmy. W toalecie przebrałem się z powrotem w cywilne ubranie i zacząłem włączyć się po bibliotekach publicznych i antykwariatach, studiując wszystkie dostępne materiały na temat pilotów, latania i linii lotniczych. Szczególnie cenna okazała się niewielkich rozmiarów książeczka, na którą się natknąłem. Były to wspomnienia emerytowanego kapitana linii Pan Am, pełna zdjęć i zawierająca wiele terminologii lotniczej. Dopiero później przekonałem się, że język, którym posługiwał się ów pilot, był nieco przestarzały.

W książkach i czasopiśmie, które przeglądałem, brakowało - moim zdaniem - wielu informacji. Toteż znowu zadzwoniłem do Pan Am.

- Chciałbym porozmawiać z jakimś pilotem - powiedziałem telefonistce. - Jestem reporterem gazetki szkolnej i chciałbym napisać artykuł o życiu pilotów - wie pani, o tym, dokąd latają, jak są szkoleni i tym podobne. Myśli pani, że jakiś pilot będzie chciał ze mną porozmawiać?

W liniach Pan Am pracują sympatyczni ludzie.

- Mogę cię przełączyć do poczekalni dla załogi - powiedziała telefonistka. - Może znajdzie się tam ktoś, kto będzie chciał odpowiedzieć na kilka pytań.

Połączono mnie z kapitanem, który był uszczęśliwiony, że może mi pomóc. Ujęło go, że młodzi ludzie wykazują zainteresowanie pracą w liniach lotniczych. Podałem się za Bobby'ego Blacka i po kilku nieszkodliwych pytaniach zacząłem bombardować kapitana pytaniami, na które potrzebowałem odpowiedzi.

- Ile lat ma najmłodszy pilot, który pracuje w liniach Pan Am?

- To zależy - odpowiedział kapitan. - Mamy kilku nawigatorów, którzy prawdopodobnie nie mają więcej niż dwadzieścia trzy, może cztery lata. Nasz najmłodszy drugi pilot nie ma jeszcze trzydziestki. Kapitan ma pod czterdziestkę albo między czterdziestką a pięćdziesiątką.

- Rozumiem - odparłem. - A czy jest możliwe, żeby drugi pilot miał dwadzieścia sześć lat albo nawet mniej?

- Nie - odpowiedział bez zastanowienia. - Nie sądzę, żebyśmy mieli zbyt wielu pilotów w tym wieku, ale zauważyłem, że w niektórych liniach lotniczych pracuje mnóstwo młodych ludzi. Oczywiście dużo zależy od typu samolotu i stażu pracy. Wszystko opiera się na wysłudze lat, to znaczy, jak długo dany pilot pracuje w firmie.

Przychodziły mi do głowy coraz to nowe rzeczy, o które chciałem zapytać.

- Kiedy zatrudniacie ludzi, to znaczy mam na myśli, ile trzeba mieć lat, żeby zacząć pracować w liniach lotniczych, powiedzmy w Pan Am?

- O ile dobrze pamiętam, na stanowisku nawigatora można być oficjalnie zatrudnionym w wieku dwudziestu lat - wyjaśnił kapitan, wykazując się bardzo dobrą pamięcią.

- A czy jest to możliwe, żeby później, po sześciu czy ośmiu latach pracy, zostać drugim pilotem? - naciskałem.

- Tak, to możliwe - przyznał. - W zasadzie powiedziałbym, że nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby zdolny młody człowiek został drugim pilotem po sześciu czy ośmiu latach pracy, a nawet wcześniej.

- Czy może pan mi powiedzieć, ile zarabiają piloci? - zapytałem.

- Podobnie jak w innych kwestiach zależy to od stażu pracy, rodzaju tras, na których się lata, liczby godzin lotów tygodniowo i innych czynników - odpowiedział kapitan.

- Powiedziałbym, że drugi pilot może zarobić do trzydziestu dwóch tysięcy dolarów, a kapitan około pięćdziesięciu tysięcy rocznie.

- Ilu pilotów jest zatrudnionych w liniach Pan Am? - zapytałem. Kapitan zachichotał.

- Synu, zadajesz trudne pytania. Nie znam dokładnej liczby. Ale według moich szacunków może pracować u nas około tysiąca ośmiuset pilotów. Dokładne dane możesz sprawdzić w dziale personalnym.

- To mi wystarczy - odparłem. - W ilu miejscach pracują ci piloci?

- Masz na myśli bazy - poprawił mnie. - Mamy pięć baz na terenie Stanów Zjednoczonych: San Francisco, Waszyngton, Chicago, Miami i Nowy Jork. W tych miastach mieszkają na stałe nasze załogi. Zgłaszają się do pracy w danym mieście, powiedzmy w San Francisco, wylatują stamtąd i przylatują z powrotem do tego miasta. Musisz wiedzieć, że nie jesteśmy przewoźnikiem krajowym, co oznacza, iż nie latamy z jednego miasta do drugiego na terenie kraju. Jesteśmy wyłącznie przewoźnikiem międzynarodowym, który obsługuje trasy zagraniczne.

Te informacje bardzo mi pomogły.

- Być może wyda się to panu dziwne, kapitanie, i z pewnością uzna pan to za osobliwe pytanie, ale czy gdybym był drugim pilotem z bazy w Nowym Jorku, a pan też byłby drugim pilotem w tej samej bazie, to czy moglibyśmy się nigdy nie spotkać?

- To bardzo prawdopodobne, szczególnie gdybyśmy obaj byli drugimi pilotami, ponieważ nigdy byśmy nie latali tym samym samolotem - wyjaśnił gadatliwy kapitan.

35

- Jeśli nie spotkalibyśmy się na jakiejś imprezie firmowej, co jest nieprawdopodobne, mogliśmy nigdy się na siebie nie natknąć. Prędzej można poznać kapitanów czy inżynierów lotu niż drugich pilotów. Mógłbyś latać z różnymi kapitanami i nawigatorami i natknąć się na nich ponownie, jeśli zostałbyś przeniesiony, ale nigdy nie będziesz leciał razem z innym drugim pilotem. W każdym samolocie leci tylko jeden drugi pilot. W rzeczywistości w całej firmie pracuje tylu pilotów, że nie znają się nawzajem. Ja pracuję w tych liniach lotniczych od osiemnastu lat i nie sądzę, żebym znał więcej niż sześćdziesięciu, no może siedemdziesięciu pilotów.

Pomału zaczynałem coraz więcej rozumieć.

- Słyszałem, że piloci mogą latać za darmo, to znaczy jako pasażerowie. Czy to prawda? - powiedziałem, zachęcając go do dalszych wynurzeń.

- Tak - odparł kapitan. - Ale mówisz o dwóch różnych rzeczach. Mamy pewne przywileje w podróży. To znaczy, ja i moja rodzina możemy polecieć gdzieś samolotem, gdy są wolne miejsca. Możemy je zająć, płacąc jedynie podatek od sprzedaży biletów. Za to musimy zapłacić. Poza tym pracownik linii lotniczej może służbowo polecieć dokądś za darmo. Na przykład, jeśli mój szef wyda mi dziś wieczór polecenie, że jutro mam odbyć lot z Los Angeles, mogę tam polecieć samolotem linii Delta, Eastern, TWA albo innego przewoźnika, który ma takie połączenie z tym miastem, żebym dotarł tam na czas. Mogę wtedy zająć wolne miejsce dla pasażerów albo, co zdarza się znacznie częściej, siedzieć na dodatkowym fotelu. Jest to mały rozkładany fotel w kabinie pilotów, na którym przeważnie siedzą piloci innych linii lotniczych podróżujący służbowo, VIP-y albo kontrolerzy z Federalnego Urzędu Lotnictwa.

- Czy wtedy trzeba pomagać w pilotowaniu samolotu? - przepytywałem go dalej.

- Nie - odpowiedział. - Jesteś na pokładzie samolotu innego przewoźnika, rozumiesz. Mogą ci zaproponować przejście sterów przez uprzejmość, ale ja zawsze odmawiam. Latamy samolotami innych linii, żeby gdzieś się dostać, a nie pracować - dodał ze śmiechem.

- Jak to się robi, mam na myśli latanie służbowo za darmo? - Byłem zachwycony. A kapitan cierpliwie odpowiadał na moje pytania. Chyba lubił dzieci.

- Pewnie chcesz wiedzieć wszystko ze szczegółami? - zapytał uprzejmie i zaczął opowiadać.

36

- Używamy do tego celu tak zwanej różowej karty. Odbywa się to tak. Powiedzmy, że chcę polecieć do Miami samolotem linii Delta. Zgłaszam się do ich obsługi, pokazuję mój identyfikator Pan Am i wypełniam różową kartę, wpisując cel podróży, stanowisko w Pan Am, numer pracowniczy i numer licencji pilota wydanej przez FAA. Dostaję kopię tego formularza i to jest mój „bilet służbowy”. Kiedy wchodzę na pokład, daję tę kopię stewardesie i w ten sposób podróżuję na dodatkowym fotelu. Moja ciekawość była nadal nie zaspokojona, a wyglądało na to, że kapitan nie ma nic przeciwko dalszym pytaniom.

- A jak wygląda licencja pilota? - zapytałem. - Jak dyplom do powieszenia na ścianie, prawo jazdy czy jakoś inaczej?

Roześmiał się.

- Nie, to nie jest dyplom, który wiesz się na ścianie. Tak naprawdę trudno to porównać do czegokolwiek. Wielkością przypomina prawo jazdy, ale nie ma tam zdjęcia. Jest to po prostu biały kartonik z danymi wydrukowanymi czarną czcionką.

Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas pozwolić temu miłemu człowiekowi, żeby wrócił na swój wygodny fotel.

- O kurczę, strasznie panu dziękuję, kapitanie - powiedziałem. - Był pan naprawdę super.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc, chłopcze - odparł. - Mam nadzieję, że kiedyś uda ci się zdobyć skrzydełka pilota, jeśli o tym właśnie marzysz.

Skrzydełka to ja już zdobyłem. Teraz potrzebowałem identyfikatora i licencji pilota. Identyfikatorem zbytnio się nie przejmowałem. Znacznie gorzej było z licencją. Federalny Urząd Lotnictwa bynajmniej nie zajmował się sprzedażą wysyłkową.

Zacząłem kombinować, skąd by tu wytrzasnąć odpowiedni identyfikator. Otworzyłem żółte strony pod hasłem „IDENTYFIKATORY” i wybrałem firmę z siedzibą przy Madison Avenue (każda firma zajmująca się identyfikatorami, która ma siedzibę przy Madison Avenue, musi mieć również klasę, pomyślałem) i poszedłem tam ubrany niczym biznesmen. Firma mieściła się w eleganckim lokalu z recepcją.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała bez zbędnych wstępów recepcjonistka.

- Chciałbym porozmawiać z kimś, kto zajmuje się sprzedażą - odpowiedziałem równie rzeczowym tonem.

Pracownik odpowiedzialny za sprzedaż wyglądał i zachowywał się jak człowiek pewien siebie,

37

który nie ma zamiaru tracić czasu na rozmowy o jednym identyfikatorze, więc postanowiłem zawojować go czymś, co -jak przypuszczałem - przyciągnie jego uwagę, czyli perspektywą dużej

transakcji.

- Nazywam się Frank Williams i reprezentuję linie Carib Air z Puerto Rico - rozpocząłem chłodnym tonem. - Jak panu zapewne wiadomo, rozszerzamy nasze usługi na kontynentalne Stany Zjednoczone i posiadamy obecnie dwuosobową załogę w naszej siedzibie na lotnisku Kennedy'ego. Na razie używamy tymczasowych identyfikatorów z kartonu i chcemy zamienić je na oficjalne, laminowane z kolorowym zdjęciem i firmowym logo, podobne do tych, które mają inne linie lotnicze. Zależy nam na wysokiej jakości tych identyfikatorów, a o ile mi wiadomo, zajmujecie się tutaj tylko takimi produktami. - Jeśli ten gość wiedział o istnieniu linii Carib Air i o tym, że rozwijają swoje usługi na Stany Zjednoczone, to z pewnością wiedział więcej niż ja. Ale bynajmniej nie był to człowiek, który pozostawiał bieg wypadków losowi, mając w perspektywie intratny kontrakt.

- Oczywiście, panie Williams. Pozwoli pan, że pokażę, czym dysponujemy - odparł entuzjastycznie, prowadząc mnie do swojego biura. Zdjął z półki ogromny, oprawiony w skórę katalog próbek, przejrzał jego zawartość od papieru welinowego po obligacje z pięknymi znakami wodnymi, a następnie zaprezentował mi całą stronę różnych wzorów identyfikatorów.

- Obecnie większość linii lotniczych, dla których pracujemy, używa tej karty. - Wskazał kartę, która wyglądała jak duplikat identyfikatorów linii Pan Am. - Znajduje się na niej numer pracownika, nazwa bazy, stanowisko, opis, zdjęcie i jeśli firma sobie tego życzy, logo. Myślę, że ta byłaby najlepsza.

Skinąłem głową, całkowicie się zgadzając.

- Tak, myślę, że właśnie takiego identyfikatora potrzebujemy. - To był dokładnie taki identyfikator, jakiego potrzebowałem. Urzędnik podał mi całkowity koszt, łącznie ze wszystkimi opcjami.

- Czy mógłbym dostać próbkę? - zapytałem pod wpływem impulsu. -Chciałbym pokazać ją członkom zarządu, ponieważ to do nich będzie należało ostatnie słowo.

Handlowiec spełnił moją prośbę w ciągu kilku minut. Przyjrzałem się identyfikatorowi.

- W porządku, tylko że jest pusty - powiedziałem. - Proszę posłuchać.

Zróbmy go do końca, żeby zobaczyli, jak wygląda kompletny produkt. Możemy wykorzystać mnie jako potencjalnego właściciela.

- To wspomniały pomysł - przystał sprzedawca, prowadząc mnie do aparatu fotograficznego, który robił zdjęcia paszportowe w ciągu kilku minut.

Zrobił kilka zdjęć, z których wybraliśmy jedno (odał mi resztę odbitek), a następnie przykleił je do identyfikatora, starannie wcześniej przycinając. Potem wpisał w odpowiednich rubrykach moje fałszywe nazwisko, sfingowany stopień (drugi pilot), fikcyjny numer identyfikacyjny pracownika, wzrost, wagę, kolor włosów i oczu, wiek i płeć. Potem włożył identyfikator do przezroczystej, plastikowej koszulki i wręczył mi go razem ze swoją wizytówką.

- Jestem pewien, że będzie pan zadowolony z naszych usług, panie Williams - powiedział, odprowadzając mnie do wyjścia.

Już byłem zadowolony z ich usług, z wyjątkiem jednego szczegółu. Ten śliczny identyfikator nie miał charakterystycznego logo linii Pan Am i nazwy firmy. Zastanawiałem się właśnie nad tym, jak rozwiązać ten problem, kiedy nagle mój wzrok przykuła wystawa sklepu modelarskiego. Ujrzałem cały szereg modeli samolotów, w tym kilku samolotów pasażerskich. A wśród nich znajdował się piękny odrzutowiec linii Pan Am, ze słynnym logo firmowym na ogonie i nazwą firmy napisaną na kadłubie i skrzydłach samolotu literami o zastrzeżonym wzornictwie.

Ten model był dostępny w kilku rozmiarach. Kupiłem najmniejszy do złożenia, za dwa dolary czterdzieści dziewięć centów, i popędziłem do swojego lokum. Wysypałem części samolotu. Zgodnie z instrukcją namoczyłem kalkomanię, dopóki litery nie zaczęły odchodzić od papieru. Litery - zarówno logo, jak i nazwy firmy - były zrobione z mikroskopijnie cieniutkiego plastiku. Przyłożyłem logo Pan Am do lewego górnego rogu identyfikatora i ostrożnie ułożyłem nazwę firmy wzdłuż górnej krawędzi karty. Kiedy wyschły, wyraźne znaki z kalkomanii wyglądały jak oryginalnie wydrukowane.

Wyszło idealnie. Wierna kopia identyfikatora Pan Am. Trzeba by mieć spektroskop, żeby dostrzec, że te znaki były tak naprawdę na zewnątrz plastikowej obwoluty. Mógłbym przypiąć ten identyfikator do klapy marynarki i udać się nawet na zebranie zarządu linii Pan Am.

Jednak jako fałszywy pilot nadal byłem uziemiony. Przypomniałem sobie słowa kapitana, którego wypytywałem pod fałszywym pretekstem: „Najważniejsza jest licencja pilota. Musisz ją mieć przy sobie zawsze, kiedy pilotujesz samolot.

Ja swoją noszę zawsze w jednej okładce z identyfikatorem. Licencję pilota trzeba okazywać równie często jak identyfikator".

Trawiłem ten problem ponad dwa dni, ale nie mogłem wymyślić żadnego sposobu, żeby bez nauki zdobyć świadectwo szkoły lotniczej. Znowu zacząłem chodzić po księgarniach, kartkując różne wydawnictwa na temat latania. Nie wiedziałem dokładnie, czego właściwie szukam, ale

w końcu znalazłem.

To było to. Niewielka reklama na tylnej okładce jednej z książek, którą umieściła firma z Milwaukee produkująca pamiątkowe tablice dla lotników. Firma reklamowała duplikaty licencji pilota, wygrawerowane w srebrze i umieszczone na przepięknych tablicach z drewna dębowego o wymiarach 20 cm x 28 cm, za jedyne trzydzieści pięć dolarów. Używano do tego celu standardowej matrycy, na której odcisnięto licencję używaną przez FAA. Trzeba było tylko podać odpowiednie dane, w tym numer licencji pilota i jego kwalifikacje, a firma wysyłała replikę dyplomu, którą potem można było wszędzie powiesić. A więc okazało się, że FAA ma jednak dział sprzedaży wysyłkowej.

Oczywiście natychmiast zapragnąłem takiej pamiątki. Czułem, że jeśli będę miał w ręku tę replikę, na pewno znajdzie się jakiś sposób na to, żeby przenieść ją na papier i zmniejszyć do odpowiednich rozmiarów. A wtedy będę miał upragnioną licencję pilota!

Byłem pochłonięty tym pomysłem. Nie napisałem do tej firmy, tylko zadzwoniłem do ich biura w Milwaukee. Powiedziałem, że chcę zamówić tablicę pamiątkową, i zapytałem, czy mogę dokonać transakcji przez telefon.

Sprzedawca nie wykazał najmniejszego zdziwienia tym, że tak bardzo mi się śpieszyło.

- Oczywiście może pan podać mi niezbędne informacje przez telefon, ale zanim zrobimy tablicę, musi pan przesłać czek lub przelać pieniądze - odparł mężczyzna. - W tym czasie możemy zrobić projekt i potraktujemy to jako ekspres. Wszystko razem będzie kosztować trzydzieści dolarów i pięćdziesiąt centów, łącznie z dostawą i dopłatą za ekspres.

Nie targowałem się. Podałem mu moje fałszywe nazwisko - Frank Williams. Podałem również swój zmyślony wiek i prawdziwą wagę, wzrost, kolor włosów i oczu, a także numer ubezpieczenia. Numer licencji i dyplomu pilota jest zawsze taki

sam jak numer ubezpieczenia. Przypisałem sobie najwyższe kwalifikacje, jakie może zdobyć pilot, czyli uprawnienia do pilotowania samolotów pasażerskich.

40

Powiedziałem, że zdawałem egzamin na DC-9, boeingach 727 i 707. Podałem mu adres poste restante w Nowym Jorku (nie ma w tym nic niezwykłego w przypadku pilotów samolotów pasażerskich, którzy spędzają mnóstwo czasu w podróży) i powiedziałem, że jeszcze tego samego dnia wyślę im pieniądze przekazem pocztowym. W rzeczywistości wysłałem te pieniądze w ciągu godziny. Był to pierwszy uczciwy przekaz, jakiego dokonałem w ciągu kilku tygodni.

Tablicę pamiątkową przesłano mi po tygodniu. Była wspaniała. Nie dość, że miałem dyplom pilota najwyższej klasy, to jeszcze na replice licencji widniał podpis dyrektora FAA.

Udałem się do jakiejś zapyziałej drukarni na Brooklynie i odszukałem szefa.

- Niech pan spojrzy, chciałbym zmniejszyć moją licencję tak, żebym mógł ją nosić w portfelu, wie pan, jak inni ludzie dyplom. Da się to zrobić? - zapytałem.

Drukarz z zachwytem przyglądał się tabliczce.

- Ludzie, nie wiedziałem, że piloci dostają coś takiego, jak kończą szkołę - powiedział. - Wygląda o niebo lepiej niż dyplom college'u.

- Tak naprawdę licencja pilota wygląda jak zwyczajny dyplom, ale zostawiłem ją w domu w Los Angeles - wyjaśniłem. - To jest prezent od mojej dziewczyny. Ale ponieważ Nowy Jork będzie przez kilka miesięcy moją bazą, chciałbym mieć kopię tej licencji takiej wielkości, żeby zmieściła mi się do portfela. Może pan to zrobić z tego czy będę musiał posłać po dyplom?

- Nie, to wystarczy - odparł i używając specjalnego aparatu, zmniejszył licencję do rzeczywistych rozmiarów, wydrukował ją na twardym białym kartonie, wyciął i podał mi. Cała operacja zajęła nie więcej niż pół godziny i kosztowała mnie pięć dolców. Zalaminowałem ją sam. Nigdy nie widziałem prawdziwej licencji pilota, ale ta, do licha, wyglądała autentycznie.

Włożyłem mundur pilota, który przerobiłem tak, że leżał jak ulał, zsunąłem czapkę na bok i złapałem autobus na lotnisko La Guardia.

Byłem gotowy do lotu. Oczywiście pod warunkiem, że ktoś będzie pilotował samolot.

41

ROZDZIAŁ trzeci.

Latający Holender.

W mundurze jest jakiś czar, szczególnie w takim, który sugeruje, że ktoś ma rzadkie umiejętności, odwagę lub wyjątkowe osiągnięcia na koncie.

Skrzydółka spadochroniarza mówią nam o tym, że mamy do czynienia ze szczególnym typem żołnierza. Symbol delfina na mundurze marynarza okrętu podwodnego oznacza wyjątkowego marynarza. Niebieski kolor munduru policjanta symbolizuje władzę. Uniform strażnika leśnego wywołuje skojarzenia z dziką przyrodą. Nawet krzykliwy strój portiera nasuwa nam niejasne skojarzenia na temat przepychu i królewskiego życia.

Mając na sobie mundur pilota linii Pan Am, czułem się wspaniale, kiedy wchodziłem na lotnisko La Guardia. Oczywiście wzbudzałem szacunek i poważanie. Mężczyźni patrzyli na mnie z podziwem i zazdrością. Piękne kobiety i dziewczyny uśmiechały się do mnie. Policjanci uprzejmie kiwali głowami. Piloci i stewardesy uśmiechali się, rozmawiali ze mną albo wyciągali rękę na powitanie, kiedy mnie mijali. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, którzy mnie zauważyli, wydawali się sympatyczni i przyjaźnie nastawieni.

Ta atmosfera uderzała do głowy i uwielbiałem to. Mówiąc szczerze, natychmiast się od tego uzależniłem. W ciągu kolejnych pięciu lat mundur stał się moim alter ego. Korzystałem z niego w ten sam sposób, w jaki ćpun daje sobie w żyłę herę. Kiedy tylko czułem się samotny, załamany,

42

odrzucony lub niepewny własnej wartości, przebierałem się w mundur pilota i szukałem tłumu. Ten mundur zapewniał mi szacunek i godność. Bez niego czułem się czasem niepotrzebny i przygnębiony. Mając go na sobie, czułem się tak, jakbym nosił czapkę szczęścia i chodził w siedmiomilowych butach.

Tego ranka falowałem razem z tłumem w holu lotniska La Guardia, rozkoszując się swoją fikcyjną pozycją społeczną. Miałem szczerzy zamiar polecieć na lewo do jakiegoś odległego miasta i zacząć tam fałszować czekci, ale postanowiłem, że jeszcze przez jakiś czas tego planu nie wprowadzę w czyn. Za bardzo rozsmakowałem się w tym, że ludzie zwracali na mnie uwagę i okazywali mi szacunek.

Zgłodniałem. Wszedłem do jednej z wielu kafejek na lotnisku, usiadłem na stołku przy barze i zamówiłem kanapkę oraz mleko. Kiedy prawie kończyłem posiłek, na

stołku po przekątnej usiadł drugi pilot linii TWA. Zamówił kawę i bułkę, a potem spojrzał na mnie z niejakim zaciekawieniem.

- A skąd to pilot Pan Am wziął się na La Guardia? - zapytał od niechcienia. Najwyraźniej linie Pan Am nie kursowały z tego lotniska.

- Przyleciałem tutaj z San Francisco pierwszym lotem, na jaki udało mi się załapać - odparłem. - Muszę zabrać się stąd jakąś maszyną na lotnisko Kennedy'ego.

- Na jakim sprzęcie latasz? - zapytał, wgrzyzając się w bułkę.

Moje szare komórki zamarły. Prawie zgłupiałem. Sprzęt? Co on ma na myśli? Silniki? Urządzenia w kabinie pilota? Co to znaczy? Nie przypominałem sobie, żebym kiedyś słyszał to słowo w powiązaniu z liniami pasażerskimi. Gorączkowo szukałem w głowie odpowiedzi, ponieważ najwyraźniej dla niego było to oczywiste pytanie. W myślach przeglądałem wspomnienia emerytowanego kapitana linii Pan Am, małą książeczkę, którą naprawdę polubiłem i praktycznie przyswoiłem sobie jako podręcznik latania. Ale nie przypominałem sobie, żeby autor kiedykolwiek użył słowa „sprzęt”.

Jednak musiało mieć to jakieś znaczenie. Pilot z TWA patrzył na mnie, czekając na odpowiedź.

- General Electric - odparłem z nadzieją w głosie. Z pewnością nie była to właściwa odpowiedź. Spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem, a jego wyraz twarzy zmienił się na podejrzliwy. - Ach tak - odparł, ale jego głos nie brzmiał już tak przyjaźnie. Zajął się swoją kawą i bułką.

Wypiłem jednym haustem resztę mleka i rzuciłem na ladę trzy dolary,

43

co było więcej niż szczodłą zapłatą za posiłek. Wstałem i kiwnąłem głową do pilota TWA.

- Na razie - powiedziałem i ruszyłem w kierunku drzwi.

Warknął coś w odpowiedzi. Nie jestem pewien, co dokładnie, ale jego słowa brzmiały podejrzenie, chyba mi dobrze nie życzył.

Wszystko jedno, co miał na myśli, ale wiedziałem, że nie byłem wystarczająco przygotowany do zadania, pomimo całej mojej wcześniejszej pracy i przygotowań. Zrozumiałem, że między innymi muszę lepiej poznać terminologię lotniczą. Kiedy wychodziłem z terminalu, zauważyłem stewardesę z linii TWA, która mocowała się z ciężką torbą.

- Mogę pani pomóc? - zapytałem, chwytając bagaż. Przystała na to ochno.

- Dzięki - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Tam na zewnątrz

stoi bus naszej załogi.

- Wystarczy wsiąść? - zapytałem, kiedy szliśmy w stronę busa.

- Tak, jestem kompletnie wykończona. Połowę pasażerów stanowili biznesmeni handlujący whisky, którzy wracali z konferencji w Szkocji, więc może sobie pan wyobrazić, co wyprawiali.

Mogłem i roześmiałem się.

- Na jakim sprzęcie latasz? - zapytałem zniechęca.

- Siedem zero siedem i uwielbiam je - odparła, kiedy dźwignąłem jej walizkę i wrzuciłem do busa. - Wielkie dzięki, kolego. Potrzebowałam twoich mięśni.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - powiedziałem i naprawdę tak myślałem. Była szczupła i elegancka, miała twarz elfa i kasztanowe włosy. Naprawdę atrakcyjna. W innej sytuacji należałbym, żeby poznać ją bliżej. Wtedy nawet nie zapytałem, jak ma na imię. Była słodka, ale wiedziała też wszystko o pasażerach latających z jednego miejsca do drugiego i randka z nią mogła okazać się kłopotliwa.

Ludzie, którzy pracują w liniach lotniczych, najwyraźniej uwielbiają rozmawiać o sprawach zawodowych, a wtedy bez wątpienia jeszcze nie byłem na to przygotowany. A więc sprzęt oznaczał samolot, rozmyślałem, idąc w stronę swojego autobusu. Zrobiło mi się trochę głupio, ale w połowie drogi na Manhattan wybuchnąłem histerycznym śmiechem, bo wyobraziłem sobie całą sytuację. Pilot z TWA pewnie zdążył już wrócić do pokoju socjalnego dla pilotów i opowiedział swoim kolegom o tym, jak przed chwilą spotkał jakiegoś palanta z Pan Am, który lata na pralkach automatycznych.

44

Następne kilka dni spędziłem na szperaniu. Kiedyś już raz się przekonałem, że najlepszym źródłem informacji na temat linii lotniczych są właśnie linie lotnicze, toteż zacząłem dzwonić do różnych przewoźników i wypytywać ich pracowników o różne rzeczy. Podawałem się za studenta college'u, który pisze pracę na temat transportu, za autora piszącego książkę, dziennikarza pracującego w czasopiśmie albo początkującego reportera jednej z miejscowych gazet codziennych.

Przeważnie dzwoniłem do działu public relations. Zorientowałem się, że pracownicy tego działu uwielbiają mówić na temat swoich linii lotniczych. Szybko potwierdziły się moje przypuszczenia, że do tej pory posiadałem zaledwie podstawową wiedzę na temat lotnictwa, ale w ciągu tygodnia przerobiłem materiał szkoły średniej i właśnie pracowałem nad stopniem licencjata.

Ludzie odpowiedzialni za reklamę linii lotniczych, z których wielu jest jednocześnie członkami załogi, zapoznali mnie życzliwie z wieloma cennymi informacjami i szczegółami technicznymi. Tak więc dowiedziałem się, jakie są typy odrzutowców, których używają amerykańscy i zagraniczni przewoźnicy, ile palą, jakie mają osiągi, limity obciążenia, obłożenie miejsc, ile osób liczy załoga i inne tym podobne rzeczy.

Na przykład dowiedziałem się, że bardzo wielu pilotów samolotów pasażerskich to ekswojskowi. Dowiedziałem się też, że piloci bez doświadczenia w siłach powietrznych lub lotnictwie morskim pracowali wcześniej w liniach lotniczych drugiej ligi albo ukończyli prywatne szkoły latania w rodzaju „Embry-Riddle”.

Jak mnie poinformowano, Wyższa Szkoła Lotnicza „Embry-Riddle” w Daytona Beach na Florydzie jest najbardziej szanowaną i zapewne największą prywatną szkołą lotniczą w Stanach. Taka Sorbona dla lotników. Dzieciak po szkole średniej, który w ogóle nie ma pojęcia o lotnictwie, może zacząć naukę od podstaw w „Embry-Riddle” i po kilku latach potrafi pilotować każdy odrzutowiec pasażerski.

- Piloci, którzy nie przeszli do nas z sił powietrznych albo marynarki wojennej, skończyli „Embry-Riddle” - twierdził z dumą jeden z pracowników działu public relations.

Nie miałem zielonego pojęcia o wojsku. Nie odróżniłbym szeregowego od wiceadmirała. Więc przyznałem sobie stypendium w „Embry-Riddle”, ukończyłem ją fikcyjnie cum laude, a następnie przypisałem sobie kilka lat zmyślonego doświadczenia w liniach Eastern Airlines.

Kiedy poszerzyłem swoją wiedzę na temat terminologii lotniczej, wróciła mi pewność siebie.

45

Otworzyłem rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy na nazwisko Frank Williams, podałem adres na poste restante, a kiedy przesłano mi dwieście czeków imiennych, spróbowałem zrealizować kilka z nich w swoim przebraniu pilota.

Przypominało to safari w zoo. Kasjerzy nie umieli dostatecznie szybko wyjąć pieniędzy z kasy. Większość nawet nie pytała o dowód tożsamości. Ale mimo wszystko podtykałem im pod nos mój podrobiony identyfikator i lewą licencję pilota, ponieważ nie chciałem, żeby moje dzieło pozostało niezauważone. Kilka pierwszych czeków, które podpisałem, miało pokrycie. Pozostałe miały wartość papierka od gumy do żucia.

Zacząłem regularnie włączać się po lotnisku La Guardia, bynajmniej nie z zamiarem załapania się na jakiś lot, ale żeby spotkać personel linii lotniczych i podsłuchiwać fachowe rozmowy. Sprawdzając swoją znajomość słownictwa, unikałem lotniska Kennedy'ego, ponieważ stamtąd latały samoloty Pan Am. Obawiałem się, że

pierwszy pilot Pan Am, na którego się tam natknę, rozpozna we mnie oszusta i odda mnie z miejsca pod sąd wojskowy, oderwie mi skrzydełka pilota i guziki.

Na La Guardii zachowywałem się niczym opos na persymonie. Wydaje się, że niektóre książki ocenia się po okładkach, a w mundurze pilota natychmiast stałem się bestsellerem. Kiedy wchodziłem do kawiarni, gdzie zwykle siedział tuzin albo więcej pilotów i innych członków załogi, którzy mieli przerwę w pracy, zawsze ktoś zapraszał mnie, żebym się do niego czy do nich przysiadł. Przeważnie była to cała grupa, bo towarzystwo lotników lubi się gromadzić jak stado gęsi. To samo było w barach na lotnisku. Nigdy nie zamawiałem drinków, ponieważ wtedy jeszcze nie piłem alkoholu i nie wiedziałem, jak na mnie działa, ale nikt nie kwestionował mojej abstynencji.

Każdy pilot, jak zauważyłem, mógł taktownie odmówić drinka, tłumacząc się zasadą „Dwanaście godzin między butelką a dźwignią startu”. Najwyraźniej nikomu nie przyszło nawet do głowy, że nigdy nie widziałem dźwigni startu. Przyjmowano to zawsze jako pewnik. Skoro nosiłem mundur pilota Pan Am, to muszę nim być. Barnum* uwielbiałby lotników.

* Barnum Phineas Taylor - amerykański showman, żyjący w latach 1810-1891 (przyp. tłum.).

Początkowo niewiele się odzywałem. Przeważnie przysłuchiwałem się rozmowom, wyłapując słowa i zwroty, i szybko opanowałem język lotników. La Guardia była dla mnie jak szkoła Berlitz.

46

Niektóre podręczniki do nauki języka, z których korzystałem, były wprost zachwycające. Myślę, że stewardesy nie były przyzwyczajone do umawiania się z tak młodym pilotem, który wydawał się ich rówieśnikiem. „Cześć!” - mówiły, przechodząc obok i rzucając mi powłóczyście spojrzenia, którym towarzyszyło wyraźne zaproszenie w głosie. Czulem, że mogę odrzucić jedynie tyle ofert, żeby nie wyjść na niewychowanego, i wkrótce spotykałem się z kilkoma dziewczynami. Zabierałem je na kolacje, do teatru, na balet, do filharmonii, nocnych klubów i kina. Spotykaliśmy się też u mnie albo u nich w domu.

Uwielbiałem je za ich rozum.

Reszta też była fascynująca. Ale na początku bardziej interesowała mnie ich znajomość zawodu niż ciało. Oczywiście nie miałem nic przeciwko temu, jeśli jedno szło w parze z drugim. Sypialnia może być wspaniałą szkołą.

Byłem pojętym uczniem. Mam na myśli to, że przyswojenie sobie całej wiedzy na temat procedur finansowania podróży dla pracowników linii lotniczych wymaga

sporej koncentracji umysłu, szczególnie jeśli ktoś gryzie cię w ramię i wbija paznokcie w plecy. Pilny uczeń musi do nagiej damy nagle wyjeżdżać z tekstem: „O kurczę, to jest twój podręcznik lotu? Trochę się różni od tych, których używają nasze stewardesy”.

Wykorzystywałem ich wiedzę dyskretnie. Kiedyś spędziłem nawet tydzień w górskim kurorcie w stanie Massachusetts z trzema stewardesami i żadna z nich nie miała wątpliwości, iż jestem pilotem, chociaż miały zastrzeżenia co do mojej kondycji. Nie pomyślcie sobie, że stewardesy jako grupa zawodowa są rozwiązłe. To nieprawda. Historię o tym, że wszystkie stewardesy są rozpasane seksualnie, należy włożyć między bajki. Jeśli już, to można powiedzieć, że „stews” są w sprawach damsko-męskich przezorniejsze i bardziej doświadczone niż przedstawicielki innych zawodów. Wszystkie stewardesy, które poznałem, były inteligentnymi, światowymi i odpowiedzialnymi młodymi kobietami, doskonale znającymi się na swojej pracy i nigdy nie zaliczałem ich masowo. Jeśli dziewczyna była rozrywkowa, to wskoczyłaby ze mną do łóżka bez względu na to, czy była sekretarką, pielęgniarką, księgową czy jeszcze kimś innym. Stewardesy to porządne kobiety. Bardzo miło wspominam te, które poznałem, a jeśli niektóre moje wspomnienia są przyjemniejsze od innych, to nie znaczy, że mają podłoże seksualne.

Nie udało mi się zdobyć tylko jednej dziewczyny, którą pamiętam bardzo dobrze. Była stewardesą w liniach Delta, spotkałem ją na początku moich studiów nad żargonem lotniczym.

47

Miała samochód na lotnisku i któregoś popołudnia zaproponowała, że podrzuci mnie na Manhattan.

- Mogłabyś wysadzić mnie przy hotelu Plaza? - zapytałem, kiedy przechodziliśmy przez hall terminalu. - Muszę zrealizować czek, a tam mnie znają. - Wcale mnie tam nie znali, ale chciałem, żeby tak było.

Stewardesa przystanęła i wskazała ręką na dziesiątki kas biletowych, które ciągnęły się wzdłuż ogromnego holu. Na lotnisku La Guardia swoje kasy biletowe prowadzi pewnie więcej niż sto linii lotniczych.

- Zrealizuj czek w jednej z kas. W każdej ci go przyjmą.

- Naprawdę? - zapytałem, usiłując ukryć zdziwienie. - To czek imienny, a wiesz, że nie latamy z tego lotniska.

Wzruszyła ramionami.

- To nie ma znaczenia - odparła. - Jesteś pilotem linii Pan Am i masz na sobie mundur. Każda linia lotnicza zrealizuje twój czek przez grzeczność. Przecież na lotnisku Kennedy'ego też tak robią, prawda?

- Nie wiem. Nigdy nie realizowałem czeku w kasie biletowej - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Najbliżej była kasa Pan American. Podeszedłem i stanąłem przed kasjerką, która nie była zajęta.

- Czy mogłaby pani zrealizować dla mnie czek na sto dolarów? - zapytałem, trzymając w ręce książeczkę czekową.

- Oczywiście, z przyjemnością- odparła z uśmiechem i wzięła do ręki ten plik czeków bez pokrycia, ledwo rzuciwszy nań okiem. Nawet nie zapytała mnie o dowód tożsamości.

Później wielokrotnie realizowałem czeki w kasach biletowych. Buszowałem po La Guardii niczym lis po kurzej fermie. Ryzyko przyłapania mnie przy takim natężeniu ruchu na lotnisku było minimalne. Jednego dnia realizowałem czek w kasie linii Eastern, a następnie przechodziłem do innej części terminalu i korzystałem z kasy innej firmy. Byłem ostrożny. Nigdy nie wracałem po raz drugi do tej samej kasy. Wypracowałem skróconą wersję tego przekrętu na lotnisku Newark i odegrałem kilka solówek na Taterboro. Produkowałem fałszywe czeki szybciej niż dobrze prosperująca fabryka.

Każdy hazardzista ma swoją taktykę. Moja polegała na tym, że szedłem do hoteli i moteli, w których zatrzymywały się załogi samolotów pasażerskich. Kupiłem nawet bilet powrotny do Bostonu, uczciwy bilet za nieuczciwe pieniądze, i wytapetowałem czekami lotnisko Logana i pobliskie hotele dla personelu latającego, zanim wróciłem do Nowego Jorku.

48

Podbudowany sukcesem i łatwością, z jaką przychodziło mi udawanie pilota, uznałem, że w końcu jestem w pełni przygotowany do operacji Przelot.

Mieszkałem w niskiej kamienicy bez windy przy West Side. Wynająłem małe mieszkanie na nazwisko Williams i płaciłem za czynsz regularnie gotówką. Właścicielka, którą widywałem jedynie przy okazji płacenia czynszu, była przekonana, że pracuję w sklepie papierniczym. Nikt z lokatorów mnie nie znał, a ja nigdy nie pojawiałem się w okolicy w mundurze pilota. Nie miałem telefonu ani nie otrzymywałem poczty na ten adres. Kiedy spakowałem się i wyszedłem z mieszkania, nie pozostawiłem po sobie żadnego śladu. Najlepszy pies gończy z gór Blue Ridge nie złapałby mojego tropu. Wsiadłem do autobusu jadącego na La

Guardię i udałem się do biura linii Eastern. Za odgradzoną ladą pracowało trzech mężczyzn.

- W czym mogę pomóc, proszę pana? - zapytał jeden z nich.
- Muszę dostać się do Miami najbliższym samolotem, jeśli będzie wolne miejsce - odparłem, pokazując swój podrobiony identyfikator Pan Am.
- Mamy jedno wolne miejsce w samolocie, który startuje za piętnaście minut, panie Williams - odpowiedział. - Wolałby pan polecieć tym czy zaczekać na następny nasz lot po południu? W obydwóch dodatkowy fotel jest wolny.

Nie chciałem przeciągać sprawy.

- Polecę tym samolotem - odpowiedziałem. - Będę miał więcej czasu na opalanie.

Podsunał mi różowy blankiet. Widziałem go po raz pierwszy, ale był mi dobrze znany dzięki rozmowie z uczynnym kapitanem. Wymagano podstawowych informacji: imienia i nazwiska, nazwy firmy, numeru pracownika i stanowiska. Wypełniłem blankiet, oddałem go urzędnikowi, który oderwał kopię i dał mi ją. Wiedziałem, że jest to moja karta pokładowa. Potem podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z wieżą lotów, a mnie serce podeszło do gardła.

- Tutaj Eastern - powiedział. - Mamy dodatkowego pasażera na lot numer 602 do Miami. Frank Williams, drugi pilot, Pan Am... W porządku, dzięki.

Odłożył słuchawkę i kiwnął głową w stronę drzwi za szklaną szybą.

- Może pan przejść tędy, panie Williams. Pasażerowie wchodzą na pokład przy wejściu po pana lewej stronie.

49

To był 727. Większość pasażerów weszła już na pokład. Wręczyłem stewardesie, która stała przy wejściu, różową kartę i ruszyłem do kabiny pilotów, jakbym to robił nie wiadomo od jak dawna. Czuję się pewny siebie i przystojny, kiedy włożyłem swój bagaż do schowka wskazanego przez stewardesę i przeciskałem się przez luk do kabiny.

- Cześć. Nazywam się Frank Williams - powiedziałem do trzech mężczyzn, którzy siedzieli w środku. Jak się później dowiedziałem, byli zajęci kontrolą stanu oprzyrządowania przed startem samolotu i tylko kiwnęli mi głową. Rozejrzałem się po kabine wypełnionej po brzegi sprzętem i znowu serce stanęło mi w gardle. Nie widziałem nigdzie żadnego dodatkowego fotela. W kabine znajdowały się tylko trzy fotele i to zajęte. Nawigator popatrzył na mnie i uśmiechnął się.
- Przepraszam - powiedział, sięgając ręką i zamykając drzwi. - Siadaj. Kiedy drzwi się zamknęły, rozłożyło się małe siedzenie. Osunąłem

się na to mikroskopijne siedzenie, czując potrzebę zapalenia papierosa.

Ale nie zapaliłem.

Nikt nie odezwał się do mnie ani słowem, dopóki nie wystartowaliśmy. Potem kapitan, mężczyzna o rumianej twarzy z brązowymi włosami przyprószonymi siwizną, przedstawił siebie, drugiego pilota i nawigatora.

- Jak długo pracujesz w Pan Am? - zapytał kapitan, a z jego głosu wywnioskowałem, że jest to jedynie kurtuazyjne pytanie.

- Teraz będzie ósmy rok - odparłem i natychmiast żałowałem, że nie powiedziałem szósty.

Jednak żaden z nich nie wydawał się zaskoczony. Najwyraźniej był to staż zgodny z moją rangą.

- Na jakim sprzęcie lataasz? - zapytał drugi pilot.

- Siedem zero siedem - odpowiedziałem. - Jeszcze kilka miesięcy temu latałem na DC-8.

Mimo że przez cały lot do Miami czułem się, jakbym siedział na rozżarzonych węglach, w gruncie rzeczy to wszystko wydawało mi się dziecinnie proste. Zapytali mnie, gdzie się szkoliłem, na co odparłem, że w „Embry-Riddle”. Powiedziałem im, że do Pan Am zwerbowali mnie prosto po szkole. Potem rozmowa była zdawkowa i obojętna i toczyła się głównie między trzema oficerami z Eastern. Nie zapytano mnie więcej o nic, co mogłoby podważyć mój fałszywy status. W pewnym momencie drugi pilot, który prowadził nasłuch, podał mi słuchawki i zapytał, czy chcę posłuchać, ale podziękowałem, mówiąc, że wolę stacje z muzyką rockową. Wzbudziło to ogólne rozbawienie.

50

Pilnie przysłuchiwałem się ich rozmowom, zapamiętując wyrażenia slangowe, których używali, i przyswajając sobie żargon lotniczy. Wszyscy trzej byli żonaci i rozmowa toczyła się głównie wokół ich rodzin.

Stewardesa, która obsługiwała kabinę pilotów, była atrakcyjną niewysoką brunetką. Kiedy wracałem z toalety, zatrzymałem się i wciągnąłem ją w rozmowę. Dowiedziałem się, że nocuje w Miami i zanim wróciłem do kabiny, zdążyłem się z nią umówić na wieczór. Miała się zatrzymać u przyjaciółki, która na stałe mieszkała w Miami.

Zanim opuściłem pokład, podziękowałem pilotom. Kurtuazyjnie życzyli mi szczęścia, a kapitan powiedział, że mogę skorzystać z dodatkowego fotela „za każdym razem, kiedy będę w potrzebie”.

Nigdy przedtem nie byłem w Miami. Barwna tropikalna roślinność i palmy rosnące wokół terminalu, ciepłe promienie słońca i jasne przejrzyste niebo zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Brak drapaczy chmur, poczucie jakiejś przestrzenności, ludzie ubrani kolorowo i na luzie - wszystko to sprawiło, że czułem się, jakby ktoś przeniósł mnie do jakiejś egzotycznej i wspaniałej krainy.

Stojąc w terminalu, uświadomiłem sobie, że przecież nie mam zielonego pojęcia, gdzie w Miami nocują pracownicy Pan Am. Ale można się tego było łatwo dowiedzieć. Podeszedłem do kasy biletowej Pan Am, a dziewczyna, która obsługiwała pasażerów, przeprosiła ich na chwilę i odwróciła się do mnie.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała, patrząc na mnie z ciekawością.

- Tak - odparłem. - To mój pierwszy pobyt w Miami. Zastępuję kogoś. Normalnie stąd nie latam, a przyleciałem tutaj w takim pośpiechu, że nie zdążyli mi powiedzieć, gdzie mam się zatrzymać. Gdzie mamy hotel w Miami?

- Nasza załoga nocuje w motelu Skyway, jeśli przerwa jest krótsza niż dwadzieścia cztery godziny - odpowiedziała uprzejmie.

- Niech będzie - skwitowałem.

- To bardzo blisko - dodała. - Może pan poczekać na firmowy bus albo wziąć taksówkę. Życzy pan sobie pojechać taksówką?

- Myślę, że tak - odparłem. Wiedziałem, że pojedę taksówką. Nie miałem zamiaru wsiadać do busa pełnego prawdziwej załogi Pan Am.

- Wobec tego proszę chwileczkę poczekać. - Wróciła na swoje stanowisko. Otworzyła szufladę, wyjęła kartę wielkości karty kredytowej i wręczyła mi ją. - Proszę ją okazać któremuś z taksówkarzy przed wejściem. Życzę miłego pobytu.

51

Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest abonament na bezpłatne przejazdy ważny we wszystkich firmach taksówkowych w Miami. Piloci żyją w przysłowiowej krainie mlekiem i miodem płynącej, pomyślałem, wychodząc z terminalu. Lubiłem miód i kiedy zameldowałem się w hotelu, wiedziałem, że trafiłem do właściwej barci. Zgłosiłem się pod fałszywym nazwiskiem i podałem adres na poste restante w Nowym Jorku. Recepcjonistka wzięła kartę, spojrzała na nią i przybiła na środku czerwoną pieczętkę „członek załogi”.

- Będę chciał się wymeldować jutro rano - powiedziałem.

Skinęła głową.

- W porządku. Może pan to podpisać już teraz, żeby nie tracić czasu rano.

- Jutro podpiszę - odparłem. - Być może będę miał jeszcze dziś wieczór trochę wydatków. - Wzruszyła ramionami i wypełniła kartę.

W motelu nie spotkałem nikogo z załogi Pan Am. Jeśli ktoś był wśród ożywionego tłumu, który kręcił się wokół basenu, to nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. W pokoju przebrałem się w cywilne ubranie i zadzwoniłem do stewardesy z Eastern pod numer, który mi podała. Przyjechała po mnie samochodem swojej przyjaciółki i spędziliśmy miło czas w nocnych klubach Miami Beach. Nie zmuszałem jej do niczego, ale nie zachowywałem się również jak dżentelmen. Sukces mojego pierwszego występu w charakterze fałszywego lotnika tak zawrócił mi w głowie, że się zapomniałem. Kiedy sobie to uświadomiłem, wyrzuciła mnie pod motelem i pojechała do domu.

Wymeldowałem się o wpół do szóstej rano. Kiedy zszedłem do holu, był tam tylko zaspany recepcjonista po nocnej zmianie. Wziął ode mnie klucz i dał mi rachunek za pokój do podpisania.

- Czy mógłbym zrealizować czek? - zapytałem, podpisując rachunek.

- Oczywiście. Ma pan swój identyfikator? - zapytał.

Podaliśmy mu identyfikator i wypisałem czek na sto dolarów, wystawiony na hotel. Recepcjonista na odwrocie czeku napisał fikcyjny numer identyfikacyjny pracownika z mojego sfalszowanego identyfikatora i wręczył mi go z powrotem wraz z pięcioma banknotami po dwadzieścia dolarów każdy. Zamówiłem taksówkę na lotnisko i godzinę później odleciałem do Dallas samolotem linii Braniff. Piloci nie byli dociekliwi, ale w czasie lotu przeżyłem kilka niebezpiecznych momentów. Nie wiedziałem, że samoloty Pan Am nie latają z Dallas. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że piloci lecący za darmo zawsze muszą być w podróży służbowej.

52

- Po co ci, u licha, lecieć do Dallas? - zapytał drugi pilot niby od niechcienia. Zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć, kiedy sam podsunął mi rozwiązanie. - Masz jakiś czarter czy co?

- Tak, fracht - powiedziałem, wiedząc, że Pan Am świadczy na całym świecie usługi przewozowe i temat ucichł.

Przenocowałem w motelu, w którym zatrzymywały się załogi z różnych linii lotniczych, rankiem naciągnąłem zajazd na fałszywy czek na sto dolarów i natychmiast poleciałem do San Francisco. Przez następne dwa lata zawsze

postępowałem według tego schematu, wprowadzając niewielkie zmiany. Gliny nazywają to modus operandi.

Mój sposób działania był bardzo prosty. Wykorzystywałem cel działania linii lotniczych, moteli i hoteli. Hotele i motele zlokalizowane w pobliżu lotnisk w wielkich miastach i międzynarodowych portów lotniczych były rzecz jasna zainteresowane zawarciem umów z jak największą liczbą linii lotniczych, aby zarabiać na noclegach tranzytowych personelu latającego. Zapewniało to przynajmniej minimalny wskaźnik wykorzystania miejsc noclegowych, a większość firm niewątpliwie zdawała sobie sprawę, że obecność pilotów i stewardes przyciągnie innych podróżnych szukających noclegu. Linie lotnicze również widziały w tym korzyści, ponieważ hotele zapewniały rezerwację miejsc noclegowych dla załóg samolotów nawet w czasie konferencji i innych uroczystości, kiedy trudno było o wolny pokój. Wiedziałem na podstawie licznych rozmów na ten temat, że personel latający lubił ten układ, zgodnie z którym linie lotnicze były obciążane bezpośrednio kosztami zakwaterowania i przysługujących załodze posiłków. Upraszczało to znacznie księgowanie rachunków za wydatki.

Porozumienie dotyczące podróżowania pracowników linii lotniczych na pokładzie innego przewoźnika za darmo było również systemem opartym na dobrej praktyce biznesowej. Chodziło tutaj o coś więcej niż tylko zwykłą uprzejmość. Ten system pozwalał osiągnąć maksymalną mobilność pilotów i drugich pilotów, która była niezbędna w sytuacjach awaryjnych.

Jednak nadzór, rewizje ksiąg rachunkowych i inne formy kontroli dotyczące tych umów i postanowień były, przynajmniej w tamtych czasach, prowadzone byle jak, praktycznie nie istniały. Środki bezpieczeństwa na lotniskach ze zrozumiałych względów były wtedy minimalne. Jeszcze nie nadszedł czas ataków terrorystycznych na lotniska i porwań samolotów. Lotniska miały niski wskaźnik przestępczości, a największym problemem były kradzieże.

53

Najwyraźniej nikt przedtem nie kontrolował różowych blankietów „dla dodatkowego pasażera” i nie zweryfikował, czy pilot działa bona fide. Formularz składał się z oryginału i dwóch kopii. Otrzymywałem oryginał jako kartę pokładową i oddawałem go stewardesie w ramach zapłaty za przelot. Wiedziałem, że pracownik obsługi naziemnej zawsze dzwonił do wieży kontroli lotów, informując kontrolerów o tym, że na pokładzie takiego a takiego lotu będzie leciał dodatkowy pasażer, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, iż kopię różowego blankietu przekazywano do Federalnego Urzędu Lotnictwa. Przepuszczalnie trzecią kopię przechowywano w archiwum operacyjnym danych linii lotniczych. Pracownik linii lotniczych, który złożył doniesienie na policję na temat moich eskapad, powiedział to, co wydało mu

się logicznym wytłumaczeniem: „Nikommu nawet nie przyjdzie do głowy, że facet w mundurze pilota, który ma stosowne dokumenty i zna odpowiednie procedury, jest zwykłym oszustem. Niech

to szlag!" .

Ja zawsze przypuszczałem, że większość różowych blankietów, które wypełniałem, łądowała w koszu na śmieci, i to zarówno oryginał, jak i kopie. Istniały również inne czynniki, które przechylały szale na moją stronę. Na początku nie działałem na dużą skalę. Realizując czek w motelach, hotelach i lotniczych kasach biletowych, ograniczałem się do sumy stu dolarów i niejednokrotnie dowiadywałem się, że nie ma wystarczającej ilości gotówki w kasie, żeby spieniężyć czek na więcej niż pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt pięć dolarów. Zanim jeden z moich fałszywych czeków dotarł do izby rozrachunkowej w Nowym Jorku, mijało kilka dni, a kiedy zwracano czek z pieczętką „brak środków", już dawno nie było po mnie śladu. Do mojego sukcesu przyczynił się również fakt, że miałem legalne (przynajmniej na pierwszy rzut oka) konto. Bank nie zwracał moich czeków z adnotacją „podrobiony", „fałszywy" albo „falsyfikat". Odsyłali czek jedynie z uwagą „brak środków".

Linie lotnicze i właściciele bazy noclegowej robią niezły interes na czekach. Większość czeków, które zwracają im banki z powodu braku środków, nie jest próbą defraudacji. Zazwyczaj po prostu pechowo brakuje środków na koncie ludzi, którzy płacą czekami. Na ogół odszukiwano takie osoby i regulowano należności. Natomiast w moim przypadku wiele fałszywych czeków, które wypisywałem, dołączano do kolekcji, zanim podjęto jakiegokolwiek próby namierzenia mnie przez linie Pan Am. Jestem przekonany, że równie często poszkodowana firma po prostu umarzała ten dług i nie podejmowała prób wyjaśnienia sprawy.

54

Te firmy, które zgłaszały sprawę policji, w zasadzie dopomogły mi w popełnieniu przestępstwa. Niewiele posterunków policji, nawet w wielkich miastach, ma wydział albo ekipę zajmującą się fałszerstwami finansowymi, w której pracują specjaliści z prawdziwego zdarzenia. A żaden detektyw z dowolnej formacji policyjnej nie ma do czynienia z trudniejszą sprawą niż rozpracowanie szczegółów fałszowania czeków. Przestępstwo to należy do najczęściej popełnianych, a prawdziwy zawodowiec w tej dziedzinie jest najbardziej uparty spośród wszystkich przestępców i najtrudniej go złapać. Tak jest teraz i tak też było wtedy, i nie ma to żadnego związku ze zdolnościami czy determinacją policjantów zaangażowanych w śledztwo. Biorąc pod uwagę liczbę spraw, które muszą codziennie rozpracować, i tak należy podziwiać ich wskaźnik wykrywalności przestępstw. Tacy policjanci zazwyczaj zajmują się sprawami największego kalibru. Powiedzmy, że zespół detektywów pracuje nad sprawą fałszerstwa czeków, w tym czeków na wypłatę pensji, w którego wyniku

lokalni handlowcy tracą dziesięć tysięcy dolarów tygodniowo, co jest najwyraźniej koronkową robotą jakiejś szajki oszustów. Policja otrzymuje również doniesienie właściciela sklepu jubilerskiego, któremu artysta od fałszywych czeków ukradł pierścionek wart trzy tysiące dolarów. A także od banku, w którego kasie zrealizowano fałszywy czek na siedem i pół tysiąca dolarów. I jeszcze dziesiątki innych skarg na gości hotelowych, którzy dopuścili się fałszerstw. Aż tu menedżer jakiegoś motelu składa doniesienie, że jakiś oszust podający się za pilota linii lotniczych naciągnął go na sto dolarów. Do przestępstwa doszło dwa tygodnie temu.

I co wtedy robi policja? Podejmuje rutynowe działania, ot co. Ustala, że adres tego człowieka w Nowym Jorku jest fałszywy. Sprawdzają w liniach Pan Am, że na liście płac nie ma pilota o takim nazwisku. Może posuną się nawet do tego, aby sprawdzić, że ten oszust naciągnął jakieś linie lotnicze na przejażdżkę za darmo do Chicago, Filadelfii, Los Angeles czy też do innego odległego miasta. Zawiadamiają telegraficznie policję w danym mieście i odkładają raport do szuflady, na wypadek gdyby kiedyś trzeba było wrócić do sprawy. Robią wszystko, co leży w ich mocy.

A tymczasem ja niczym trzmiel nadal latałem z miejsca na miejsce i przy okazji zbierałem nektar.

Nikogo nie powinien dziwić fakt, że mogłem działać tak swobodnie i bezczelnie. Wtedy policja nie miała jeszcze dostępu do Krajowego Centrum Informacji o Przestępczości. Gdybym miał przeciwko sobie łączy policyjnych komputerów i przepastne, budzące respekt bazy danych na temat

55

przestępczości, moja kariera prawdopodobnie nie trwałaby tak długo. A ponadto byłem pionierem taktyki działania tak nieprawdopodobnej, pozornie niewykonalnej i do tego stopnia bezczelnej, że zdawała egzamin.

W ostatnich miesiącach moich przygód wpadłem na kapitana krajowych lotów, z którym wcześniej kilkakrotnie latałem. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, ale kapitan z miejsca rozwiał moje obawy swoim serdecznym przywitaniem. Potem roześmiał się i powiedział: „Wiesz, Frank, parę miesięcy temu rozmawiałem ze stewardesą z Deltę, która oznajmiła mi, że jesteś oszustem. Powiedziałem jej, że to bzdura i że jakoś poradziłeś sobie z układem sterowania mojego samolotu. Cóż ty zrobiłeś tej dziewczynie, chłopie, wyrzuciłeś ją z łóżka?”.

Moje przygody. Przez pierwszych kilka lat właśnie tak to postrzegałem, jako przygodę. Przygodę w świecie przestępczym, ale mimo to przygodę.

Prowadziłem zapiski, potajemny dziennik, w którym notowałem zwroty, dane techniczne, rozmaite informacje, nazwiska, daty, miejsca, numery telefonów, myśli i inne dane, które według mnie były potrzebne albo mogły okazać się pomocne.

Było to połączenie dziennika pokładowego, podręcznika, małej czarnej listy, pamiętnika i lotniczej biblii, a im dłużej działałem, tym bardziej puchła od notatek. Jedną z pierwszych notatek w dzienniku było hasło „światlny system naprowadzający”. Usłyszałem ten termin podczas swojego drugiego lotu i zapisałem go, żeby później sprawdzić, co oznacza. Światlny system naprowadzający są to światła naprowadzające na pasie startowym, których używa się przy lądowaniu. Dziennik jest pełen różnego rodzaju drobiazgów, które okazały się nieocenione w odgrywaniu mojej roli. Jeśli człowiek wciela się w postać pilota, to warto wiedzieć różne rzeczy, na przykład ile paliwa zużywa boeing 707 w czasie lotu (ponad dziewięć tysięcy litrów na godzinę) albo że wysokość lotu samolotu lecącego na zachód zawsze jest liczbą parzystą (20000 stóp, 24000 stóp itd.), podczas gdy samoloty lecące na południe unoszą się zawsze na wysokościach, które są liczbami nieparzystymi (19000 stóp, 27000 stóp itd.), lub że wszystkie lotniska mają swój kod (LAX w Los Angeles; JFK i LGA w Nowym Jorku itd.).

Przebiegły oszust przywiązuje dużą wagę do szczegółów. Poza najważniejszymi informacjami zapisywałem w notatniku nazwiska członków załóg, które poznałem,

56

typ sprzętu, na którym latają, trasy, nazwy linii lotniczych, dla których pracowali, i ich bazy. Załóżmy, że leciałem samolotem National.

- Skąd jesteście chłopaki?
- Mamy bazę w Miami.

Rzut oka do notatnika i pytałem:

- A co tam słyhać u Reda? Któryś z was na pewno zna Reda O'Daya. Jak się miewa nasz Irlandczyk?

Wszyscy trzej znali Reda O'Daya.

- Ho, ho, to ty znasz Reda?
- Jasne. Leciałem z nim kilka razy. To świetny facet.

Taka wymiana słów sprawiała, że mój image pilota stawał się bardziej wiarygodny, dzięki czemu unikałem niegroźnych przesłuchań, które musiałem znosić na początku. Obserwując i słuchając uważnie rozmów, stałem się biegły również w innych kwestiach, co umocniło moją wiarygodność. Po drugim locie, kiedy proponowano mi słuchawki, żebym posłuchał odgłosów ruchu lotniczego, zawsze je przyjmowałem,

choć wielu pilotów wołało głośniki kabinowe, a wtedy słuchawki były niepotrzebne.

Nieraz musiałem improwizować. Kiedy leciałem do miasta, z którego nie latały samoloty Pan Am, na przykład do Dallas, i nie miałem pojęcia, gdzie nocowały załogi, po prostu podchodziłem do najbliższej kasy biletowej. „Proszę mi pomóc. Mam pilotować samolot czarterowy, który przyleci tu jutro. Gdzie zatrzymują się członkowie załóg?” - pytałem.

Zawsze podawano mi nazwę albo nazwy pobliskich hoteli. Wybierałem jeden, jechałem tam i meldowałem się i nigdy nie kwestionowano tego, że prosiłem, aby rachunkiem za moje zakwaterowanie obciążyli Pan Am. Pytali jedynie o adres Pan Am w Nowym Jorku.

W przerwach melinowałem się w różnych miastach przez dwa lub trzy tygodnie dla celów logistycznych. Otwierałem konto, powiedzmy w banku w San Diego albo w Houston, podając adres mieszkania, które specjalnie w tym celu wynajmowałem (zawsze wynajmowałem jakiś kąt, za który można było płacić co miesiąc), a kiedy już dostawałem małą paczuszkę czeków imiennych, pakowałem manatki i znowu wracałem na podniebne szlaki.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem poszukiwany, ale przez pierwsze dwa lata nigdy nie wiedziałem na pewno, do jakiego stopnia deptają mi po piętach i kto dokładnie mnie ścigał. Każdy oszust od czasu do czasu dostaje trzęsawki, gdy nabiera przekonania, że zaraz go dopadną,

57

a ja nie należałem do wyjątków. Za każdym razem, kiedy przechodziły mnie dreszcze ze strachu, najchętniej schowałbym się w lisiej norze.

Albo w ramionach jakiejś lisicy. Niektóre dziewczyny, z którymi się spotykałem, były bardzo zdeterminowane, gdy dawały mi jasno do zrozumienia, że jestem doskonałym materiałem na męża. Kilka z nich nieustannie zapraszało mnie do swoich domów na parę dni, żebym poznał ich rodziców. Kiedy odczuwałem potrzebę ukrycia się na jakiś czas, wpadałem do pierwszej z brzegu i zatrzymywałem się u niej na kilka dni albo nawet tydzień, odpoczywając i relaksując się. Zawsze nawiązywałem doskonałe stosunki z rodzicami. Nigdy się nie zorientowali, że udzielają pomocy młodocianemu przestępcy.

Kiedy dochodziłem do wniosku, że sytuacja się uspokoiła, odfrucowałem, obiecując dziewczynie, że niedługo wrócę i wtedy porozmawiamy o wspólnej przyszłości. Oczywiście nigdy nie wracałem. Bałem się małżeństwa.

A poza tym moja matka nigdy by się na to nie zgodziła. Przecież miałem dopiero siedemnaście lat.

ROZDZIAŁ czwarty.

Pediatra bez dyplomu.

Lot krajowy numer 106 z Nowego Orleanu do Miami. Rutynowy schemat podróży. Osiągnąłem teraz biegłość w odgrywaniu swojej roli pilota bez doświadczenia. Stałem się pewny siebie, a nawet zuchwały w korzystaniu z dodatkowego fotela. Po odbyciu dwustu blagierskich lotów zajmowałem go z taką pewnością siebie, z jaką makler z Wall Street siada na swoim fotelu na giełdzie.

Poczułem nawet niejaką nostalgię, kiedy wszedłem do kabiny pilotów w DC-8. Mój pierwszy lot odbyłem właśnie na pokładzie linii National do Miami. Teraz, po dwóch latach znowu leciałem do Miami, i to samolotem tych samych linii. Uznałem, że tak właśnie ma być.

- Witam. Frank Williams. Miło z waszej strony, że mnie podrzucicie -powiedziałem, przybierając wyuczoną pozę i wymieniłem ze wszystkimi uścisk dłoni. Kapitan Tom Wright, podpułkownik lotnictwa, po czterdziestce, nieco znużone spojrzenie fachowca. Pierwszy oficer Gary Evans, trzydzieści parę lat, elegancki, o wesołej fizjonomii. Nawigator Bob Hart, pod trzydziestkę, chudy, poważny wyraz twarzy, nowy mundur, żółtodziób. Miłe chłopaki. Tacy, przy których nie muszę się specjalnie wysilać. W czasie kołowania w kierunku pasa startowego stewardesa przyniosła mi filiżankę kawy. Popijałem sobie kawę, obserwując ruch samolotów na pasie przed nami. W ten późny sobotni wieczór niebo było czarne, a samoloty widoczne tylko dzięki wewnętrznemu oświetleniu i migotającym

59

światłom sygnalizacyjnym, lądowały i wznosiły się niczym świecące chrabąszcze. Nigdy nie przestałem zachwycać się ruchem na lotnisku, bez względu na to, czy było to w nocy, czy też w dzień.

Wright najwyraźniej nie należał do tych, którzy korzystają z zestawu głośno mówiącego. Wszyscy trzej oficerowie mieli słuchawki, ale żaden nie zaproponował mi, żebym choć przez chwilę posłuchał. Zasada jest taka, że jeśli nikt tego nie proponuje, to samemu nie wypada prosić. Kabina pilotów w samolocie pasażerskim funkcjonuje tak, jak mostek kapitański na statku. Jeśli kapitan narzuci takie zachowanie, to przestrzega się ściśle protokołu. Wyglądało na to, że Tom Wright pilotował swój samolot według podręcznika. Rozmowy między trzema

oficerami a wieżą były lakoniczne i powierzchowne, raczej niezbyt ciekawe, zresztą jak większość tego typu wymian zdań. Jednak nagle ich rozmowa mnie zaintrygowała, do tego stopnia, że zmarszczyłem czoło.

Wright i Evans wymienili zdziwione i zagadkowe spojrzenia, a Hart nagle zaczął mi się podejrzliwie przyglądać. Następnie Wright odwrócił się w moim kierunku.

- Masz swój identyfikator Pan Am? - zapytał.

- Jasne - odpowiedziałem, podając mu identyfikator, a kiedy Wright przyglądał się uważnie mistrzowskiej podróbce, aż mnie ścisnęło w żołądku. - Tu lot 106 National do wieży... Taak, mam tu identyfikator... Pan Am... Wygląda, że jest w porządku... Numer pracownika? Trzy pięć zero dziewięć dziewięć... Mhmm... Rozumiem. Mhmm, chwilę.

Znowu się do mnie odwrócił.

- Masz licencję pilota FAA?

- Oczywiście - odparłem, próbując zapanować nad sytuacją i swoim pęcherzem. Był przepełniony niczym holenderski rów w czasie przyływu. Wright dokładnie przyglądał się fałszywemu dokumentowi. Był pierwszym prawdziwym pilotem, który przyjrzał się podrobionej licencji. Analizował ją z takim zaangażowaniem, jakby był znawcą dzieł sztuki, który ocenia autentyczność dzieła Gauguina, po czym się odezwał:

- Tak. Licencja FAA, numer zero siedem pięć trzy sześć sześć osiem zero pięć... Tak... Wielosilnikowe... Sprawdźcie ATR... Według mnie jest w porządku... Nie widzę w tym nic podejrzanego... Mmm, tak, metr osiemdziesiąt, brązowe włosy, brązowe oczy... W porządku, macie jak w banku.

Odwrócił się i oddał mi identyfikator i fikcyjną licencję pilota, a jego wyraz twarzy był połączeniem rozgoryczenia i przeprosin.

60

- Nie mam pojęcia, o co im chodziło - powiedział, wzruszając ramionami, ale nie zapytał, czy wiem coś na ten temat.

Oczywiście wiedziałem, ale nie miałem zamiaru mu się zwierzać. Usiłowałem wmówić sobie, że nic się nie stało, a pracownik wieży kontrolnej w Nowym Orleanie był po prostu nadgorliwy albo zrobił coś, co uważał za swój obowiązek. Być może, myślałem sobie, istniało jakieś zarządzenie FAA, które wymagało takiej kontroli, a po raz pierwszy w mojej karierze ten urzędnik działał zgodnie z zaleceniami. Ale te wytłumaczenia nie przemawiały do mnie. Najwyraźniej Tom Wright także nigdy wcześniej nie znalazł się w podobnej sytuacji.

Wyglądało na to, że wszyscy trzej zlekceważyli cały incydent. Zadawali mi typowe pytania, a ja udzielałem im podobnych odpowiedzi. Włączałem się do rozmowy, kiedy toczyła się wokół spraw zawodowych, a jak rozmawiali na tematy osobiste, grzecznie słuchałem. Siedziałem jak na szpilkach przez całą drogę do Miami, a w żołądku aż mnie ścisnęło ze strachu. Wright jeszcze nie zdążył wylądować w Miami, a nade mną znowu zawisł miecz Damoklesa. Złowroga konwersacja zaczęła się na nowo, kiedy kołowaliśmy w kierunku płyty postojowej.

- Damy sobie radę. Nie ma problemu - odpowiedział szorstko Wright na jakieś pytanie z wieży kontrolnej. - Przejmij ster, zaraz wracam - powiedział do Evansa, wstając ze swojego fotela i wychodząc z kabiny.

Wtedy byłem już przekonany, że jestem w opałach. Żaden kapitan nigdy nie opuściłby swojego stanowiska, chyba że zmusiłby go do tego jakieś nadzwyczajne okoliczności. Przez szparę w drzwiach zdołałem dostrzec kapitana, który szeptem rozmawiał z szefową stewardes. Nie miałem wątpliwości, że rozmawiali na mój temat.

Kiedy Wright wrócił do kabiny, nie odezwał się ani słowem. Próbowałem zachowywać się, jakby nic się nie stało. Czuję, że jakiegokolwiek zdenerwowanie z mojej strony mogłoby okazać się opłakane w skutkach, a sytuacja sama w sobie i tak była już fatalna. Dlatego bynajmniej nie byłem zaskoczony, kiedy drzwi do samolotu otworzyły się i na pokład weszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy szeryfa z okręgu Dade. Jeden z nich zablokował wyjście dla pasażerów, a drugi zajrzał do kabiny pilotów.

- Frank Williams? - zapytał, wodząc wzrokiem po wszystkich oficerach.

- To ja - powiedziałem, wstając z fotela.

- Panie Williams, będzie pan uprzejmy pójść z nami? - zapytał grzecznie, przybierając przyjazny wyraz twarzy.

61

- Oczywiście - odparłem. - Ale o co tu w ogóle chodzi?

To pytanie z pewnością zaintrygowało trzech oficerów i stewardesy. Wszyscy przyglądali się całej sytuacji z ciekawością. Jednak nikt nie zadał żadnego pytania, a policjanci nie zaspokoili ich ciekawości.

- Proszę pójść za mną - poinstruował mnie policjant, wychodząc z samolotu. Jego partner szedł za mną. Tymczasem załoga samolotu snuła domysły na temat tego, czy mnie aresztowano, czy też nie. Nikt nie wspomniał ani słowem o areszcie, ani o więzieniu. Nie skuli mnie kajdankami. Żaden z oficerów policji nie dotknął mnie ani nie dał do zrozumienia, że mam ograniczone prawa.

Natomiast ja nie miałem żadnych złudzeń. Nakryli mnie.

Policjanci zaprowadzili mnie przez terminal do radiowozu, który stał zaparkowany przy krawężniku przed głównym wejściem. Jeden z zastępców szeryfa otworzył prawe tylne drzwi.

- Będzie pan uprzejmy wsiąść, panie Williams. Mamy polecenie odwiezienia pana do centrum.

W trakcie drogi do biura szeryfa policjanci nie odezwali się do mnie ani słowem. Ja też siedziałem cicho, udając zakłopotanego i oburzonego tym, co mnie spotkało. Moi towarzysze musieli czuć się nieswojo i miałem niejasne przeczucie, że sami nie byli pewni, jaką rolę mają odegrać w całej sprawie. Zabrano mnie do małego pokoju w wydziale śledczym i posadzono przy jakimś biurku. Jeden z policjantów usiadł za biurkiem, a drugi zasłonił sobą zamknięte drzwi. Żaden z nich nie próbował mnie nawet przeszukać, obaj byli wręcz przesadnie uprzejmi. Ten za biurkiem nerwowo chrząknął.

- Panie Williams, wygląda na to, że istnieją jakieś wątpliwości co do tego, że pracuje pan dla linii Pan Am - powiedział raczej tonem usprawiedliwienia niż oskarżenia.

- Co?! - wykrzyknąłem. - Co za nedorzeczność! Oto jest mój identyfikator i licencja pilota. A teraz proszę mi powiedzieć, dla kogo ja pracuję. - Rzuciłem fałszywe dokumenty na biurko, zachowując się tak, jakby właśnie oskarżyli mnie o sprzedanie Rosjanom informacji na temat broni jądrowej. Policjant oglądał dokumenty z wyraźnym zakłopotaniem, po czym podał je drugiemu oficerowi, który spojrzał na nie i oddał je z powrotem, uśmiechając się nerwowo. Obaj wyglądali tak, jakby aresztowali samego prezydenta za nieprawidłowe przejście przez jezdnię.

- Jestem pewien, że jeśli wykaże pan trochę cierpliwości, wszystko się wyjaśni - powiedział ten za biurkiem. - Nie mamy nic wspólnego z tą

62

sprawą, proszę pana. Ci, którzy wydali nam takie instrukcje, niedługo się tu pojawią.

- Dobrze - zgodziłem się. - Ale kim oni są? - Nie musiał odpowiadać na moje pytanie. Znałem odpowiedź. Ale on nie odezwał się ani słowem.

Minęła godzina, bardziej kłopotliwa dla nich niż dla mnie. Jeden z nich na chwilę wyszedł i przyniósł kawę, mleko i kanapki, którymi mnie poczęstowali. Początkowo chwilę rozmawialiśmy. Udawałem obrazonego, a oni tylko mi to ułatwiali, zachowując się tak, jakby najchętniej zapadli się pod ziemię. Dziwnym trafem w miarę upływu czasu wyluzowałem się i odzyskałem pewność siebie. Przestałem demonstrować słuszną obrazę i starałem się trochę złagodzić ich zażenowanie.

Opowiedziałem kilka dowcipów lotniczych, a oni nieco się rozluźnili i zaczęli mnie wypytywać o doświadczenia zawodowe i typy samolotów, jakimi latałem.

Pytania były niezobowiązujące i ogólne, ale sformułowane tak, żeby ustalić, czy jestem pilotem z krwi i kości. Jeden z oficerów, który -jak się okazało - sam miał licencję pilota, po półgodzinnej rozmowie popatrzył na swojego kolegę i powiedział:

- Wiesz, Bili, myślę, że ktoś tu popełnił niezłą gafę.

Dochodziła północ, kiedy pojawił się tajemniczy „ktoś”. Miał pod trzydziestkę, był ubrany w nieskazitelnie skrojony garnitur i wyglądał poważnie. Rozłożył etui na dokumenty, w którym była złota odznaka.

- Pan Williams? FBI. Pozwoli pan ze mną.

Sądziłem, że jedziemy do biura FBI, ale on zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju i zamknął drzwi. Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

- Panie Williams, zostałem tutaj wezwany przez władze okręgu Dade, z którymi skontaktowała się jakaś agencja federalna z Nowego Orleanu. Niestety oficer, który odebrał telefon, nie zanotował nazwiska rozmówcy ani nazwy agencji, z której dzwonił. Myślał, że chodzi o nasze biuro. Ale tak nie było. Naprawdę nie mamy pojęcia, o co tutaj chodzi, ale najwyraźniej istnieją jakieś wątpliwości co do tego, że pracuje pan w liniach Pan Am. Mówiąc szczerze, panie Williams, jesteśmy w niejkiej rozterce. Działamy, opierając się na założeniu, że ten zarzut jest uzasadniony, i próbujemy wyjaśnić tę sprawę w ten czy inny sposób. Problem polega na tym, że akta pracowników znajdują się w Nowym Jorku, a biura Pan Am są zamknięte przez weekend. - Przerwał i skrzywił się. Podobnie jak policjanci czuł, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Pracuję w liniach Pan Am, o czym przekonałem się w poniedziałek rano, kiedy otworzą biuro - powiedziałem, udając nieco oburzonego. -

63

A co macie zamiar zrobić do tego czasu? Wsadzić mnie do więzienia? Jeśli macie taki zamiar, to mam prawo do adwokata. I zamierzam... Przerwał mi, podnosząc rękę, dłonią na zewnątrz.

- Niech pan mnie posłucha, wiem, jak wygląda sytuacja, jeśli naprawdę jest pan pilotem, a nie mam powodów przypuszczać, że jest inaczej. Czy ma pan tutaj jakichś przełożonych, z którymi możemy się skontaktować?

Potrząsnąłem głową.

- Nie. Mam bazę w Los Angeles. Przyleciałem tutaj zobaczyć się z dziewczyną i miałem zamiar wrócić na wybrzeże w poniedziałek. Mam tutaj wielu znajomych

pilotów, ale oni pracują w innych liniach. Znam też kilka stewardes, ale one też pracują dla innych przewoźników.

- Czy mogę prosić pana o dokumenty?

Podaliśmy mu identyfikator i licencję pilota. Przejrzał je i oddał mi, kiwając głową.

- Mam pewien pomysł, panie Williams - powiedział. - Może poda mi pan nazwiska kilku pilotów, których pan tutaj zna, i paru stewardes, które mogą poświadczyć pańską tożsamość. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale z pewnością jest to zagadka dla FBI i chciałbym ją

rozwikłać.

Wyjąłem swój notatnik i podałem mu nazwiska i numery telefonów kilku pilotów i stewardes, mając przez cały czas nadzieję, że ktoś spośród nich będzie akurat w domu i miło mnie wspomina. Oczywiście jako prawdziwego pilota.

W tym momencie naprawdę jestem pilotem „na topie”, myślałem, czekając na powrót agenta FBI, ale jak dotąd miałem niesamowity fart, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazłem. Najwyraźniej operator wieży lotów w Nowym Orleanie miał wątpliwości co do mojego prawdziwego statusu i poczynił wysiłki, żeby je wyjaśnić. Ale co mogło wzbudzić jego podejrzenia? Nie znałem odpowiedzi na to pytanie i nie miałem zamiaru jej szukać. Funkcjonariusze biura szeryfa popełnili błąd, nie namierzając źródła donosu, a agent FBI najwyraźniej pogłębiał ten błąd, ignorując FAA jako źródło informacji. Dla mnie to wszystko stanowiło zagadkę, ale nie próbowałem jej wyjaśniać. Gdyby wpadli na pomysł sprawdzenia mnie w FAA, byłoby po mnie.

Spędziłem nerwowe czterdzieści pięć minut, siedząc sam w pokoju, po czym w drzwiach pojawił się agent. Uśmiechał się do mnie.

- Panie Williams, jest pan wolny.

64

Kilka osób potwierdziło pańską tożsamość i chciałbym przeprosić za kłopot i niewygody, na które pana naraziliśmy. Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu.

Za jego plecami stał sierżant z biura szeryfa okręgu Dade.

- Chciałbym również przeprosić pana w naszym imieniu. To nasza wina. Po prostu cholerne nieporozumienie. Doniesienie złożył pracownik FAA z Nowego Orleanu. Poprosili nas, żebyśmy przymknęli pana, kiedy będzie pan wysiadał z samolotu, a my nie mieliśmy pojęcia, dokąd mamy pana zabrać, więc zadzwoniliśmy do biura FBI. Jest mi przykro jak cholera za całą tę sytuację.

Nie chciałem, żeby agent FBI podchwycił wątek FAA. Ten sierżant zdaje się naprawił błąd swojego wydziału. Rozłożyłem ręce w geście pojednania i uśmiechnąłem się.

- Naprawdę nic się nie stało. Rozumiem i cieszę się, że robicie to, co do was należy. Sam bym nie chciał, żeby ktoś latał sobie tu i tam w przebraniu pilota.

- Doceniamy to, że jest pan dla nas tak wyrozumiały, panie Williams -powiedział sierżant. - Aha. Zostawił pan torbę koło mojego biurka.

Oczywiście nie przeszukali jej. Na dnie ukryłem w bieliźnie siedem tysięcy dolarów.

- Pora na mnie, panowie - oznajmiłem, wymieniając ze wszystkimi uścisk dłoni. - Kobieta na mnie czeka, a jeżeli nie będzie chciała uwierzyć w tę dziwną historyjkę, to być może zadzwonię po pomoc do któregoś z was.

Agent FBI uśmiechnął się szeroko i wręczył mi swoją wizytówkę.

- Zadzwonź do mnie - powiedział. - Szczególnie jeśli twoja dziewczyna ma jakąś ładną koleżankę.

Umknąłem niczym dziki królik. Na zewnątrz złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć na dworzec autobusowy.

- Firma cienko przędzie - rzekłem, płacąc taksówkarzowi. Wyraz zdziwienia zniknął z jego twarzy, a zastąpił go uśmiech.

Poszedłem do poczekalni dworcowej, przebrałem się w cywilne ubrania, złapałem następną taksówkę i pojechałem prosto na lotnisko. Najbliższy samolot, jaki odlatywał z Miami, należał do linii Delta i leciał do Atlanty za pół godziny. Kupiłem bilet w jedną stronę na nazwisko Tom Lombardi i zapłaciłem gotówką. Uspokoilem się dopiero wówczas, kiedy wznieśliśmy się na stałą wysokość i skierowaliśmy na zachód. Podczas tego krótkiego lotu raz przyszedł mi na myśl ten młody agent FBI i miałem nadzieję, że jego szef nie dowie się o tym, jaką dał plamę.

65

Ten chłopak nie wyglądał na gościa, który byłby zadowolony, gdyby otrzymał polecenie wyjazdu służbowego do Tucumcari w Nowym Meksyku albo Nogales w Arizonie.

W Atlancie znałem pewną stewardesę pracującą w liniach Eastern. W każdym mieście znałem jakąś dziewczynę. Tej naopowiadałem, że mam sześć miesięcy wolnego, wakacje plus zwolnienie lekarskie.

- Pomyślałem sobie, że spędzę kilka miesięcy w Atlancie - powiedziałem.

- Skróć to sobie do miesiąca, Frank - odparła. - Za miesiąc przenoszą mnie służbowo do Nowego Orleanu. Ale do tego czasu możesz tu zostać.

Spędziłem tam bardzo przemiły i relaksujący miesiąc, a na koniec wynająłem ciężarówkę i pomogłem jej w przeprowadzce do Nowego Orleanu. Chciała, żebym tam z nią został na powtórkę „wakacji”, ale nie czułem się swobodnie w tym mieście. Intuicja podpowiadała mi, żeby wiać z Nowego Orleanu gdzie pieprz rośnie, toteż wróciłem do Atlanty, gdzie z jakichś powodów, których nawet nie próbowałem zrozumieć, czułem się bezpiecznie.

Apartamentowiec należał wtedy jeszcze do rzadkości w budownictwie. Jednym z najbardziej luksusowych w tamtych czasach był River Bend na przedmieściach Atlanty. Było to rozległe skupisko apartamentów, przypominające wielkie centrum odnowy biologicznej, w którym znajdowało się pole golfowe, basen o wymiarach olimpijskich, sauny, korty do gry w tenisa ziemnego, sala gimnastyczna, sale gier i własny klub. Moją uwagę zwróciła jedna z reklam w lokalnej gazecie „Journal” i postanowiłem obejrzeć cały ten teren.

Nie palę. Nigdy nie ciągnęło mnie do tego, żeby spróbować, jak smakuje tytoń. Wtedy jeszcze nie piłem alkoholu, zresztą nadal robię to przy wyjątkowych okazjach. Nigdy nie uczestniczyłem w żadnej sprzeczce, będąc pod wpływem alkoholu. Moja abstynencja należała do roli, którą grałem. Kiedy zacząłem udawać pilota, miałem wrażenie, że piloci nie nadużywają alkoholu, więc sam nie piłem, zakładając, iż zwiększy to moją wiarygodność. Natomiast kiedy dowiedziałem się, że niektórzy piloci, podobnie jak inni ludzie, kiedy tylko mogą, upijają się w sztok, całkiem straciłem zainteresowanie pić.

Moją jedyną słabością były kobiety. Czułem do nich niepohamowane pożądanie. Reklama kompleksu River Bend zachwalała go jako wspaniałe miejsce do zamieszkania, a inwestor najwyraźniej był niewzruszonym zwolennikiem uczciwej reklamy.

66

W River Bend aż roiło się od wspaniałych istot, a większość była młoda, z nogami aż po szyję, zgrabna i skąpo odziana. Nagle postanowiłem, że chcę zostać jednym z samców w tym raj.

Osiedle River Bend było drogie i elitarne. Kiedy powiedziałem menedżerowi, że chcę wynająć jednopokojowe mieszkanie na rok, musiałem wypełnić obszerny formularz. Było tam więcej pytań, niż może zadać przysza teściowa. Jako że wszystkie moje fałszywe dokumenty zostały wystawione na Franka W. Williamsa, postanowiłem pozostać przy tym nazwisku. Zatrzymałem się przy rubryce „zawód”. Chciałem wpisać „pilot linii lotniczych”, ponieważ wiedziałem, że dziewczyny będą

leciały na mój mundur jak muchy do miodu. Ale jeśli bym tak zrobił, to musiałbym podać linie Pan Am jako swojego pracodawcę, a z tym wolałem być ostrożny. Istniało pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś z biura mógłby zadzwonić do Pan Am.

Pod wpływem nagłego impulsu podałem jako zawód „lekarz”. Nie wpisałem nic pod hasłem „krewni” i „referencje” i zaproponowałem, że zapłacę z góry za pół roku, licząc na to, iż tym sposobem uniknę pytań o dane, które pominąłem. Położyłem na kwestionariuszu dwadzieścia cztery banknoty po sto dolarów każdy.

Asystentka menedżera, która przyjmowała formularz, była dociekliwa.

- Jest pan lekarzem? - zapytała takim tonem, jakby zawód lekarza był równie rzadko spotykany, jak biały kruk. - Jaką ma pan specjalność?

Pomyślałem sobie, że najlepiej podam się za takiego specjalistę, którego nikt w okolicy nie będzie potrzebował.

- Pediatria - zełgałem. - Ale w tym momencie nie wykonuję zawodu. Praktykuję w Kalifornii, jednak wziąłem roczny urlop, żeby nadzorować pewne projekty badawcze w Emory i poczynić trochę inwestycji.

- Brzmi interesująco - odparła, po czym spojrzała na stertę studolarówek. Zgarnęła je energicznie i wrzuciła do metalowej skrzynki w górnej szufladzie biurka. - Miło nam będzie gościć pana u nas, doktorze Williams.

Wprowadziłem się jeszcze tego samego dnia. Mieszkanie nie było zbyt obszerne, ale za to elegancko urządzone i znajdowało się w nim wystarczająco dużo miejsca, żebym mógł zrealizować swój plan.

Życie w River Bend było fascynujące, zachwycające, przyjemne, a nawet szalone. Co wieczór ktoś urządzał w swoim mieszkaniu imprezę, a oprócz tego zawsze coś się działo. Przeważnie wszędzie mnie zapraszano, bez względu na charakter wydarzenia. Pozostali mieszkańcy szybko

67

mnie zaakceptowali i z wyjątkiem typowych pytań, z którymi łatwo sobie radziłem, nikt nie wtykał nosa w moje życie osobiste czy prywatne sprawy. Nazywali mnie „doktorkiem” i oczywiście należeli do tych nielicznych, którzy nie rozróżniają lekarzy różnych specjalności. Jeden narzekał na stopy. Drugi miał tajemnicze bóle brzucha. Była też brunetka, która miała „dziwne uczucie duszności” w piersiach.

- Jestem pediatrą, lekarzem od dzieci. A ty potrzebujesz podiatry, czyli lekarza od stóp - powiedziałem temu pierwszemu.

- Nie mam pozwolenia na praktykę lekarską w stanie Georgia. Proponuję, żebyś porozmawiał ze swoim lekarzem rodzinnym - poradziłem drugiemu.

Brunetkę zbadalem osobiście. Miała za mały stanik.

Jednak na żadnym morzu nie można przez cały czas spokojnie żeglować, więc pewnego sobotniego popołudnia trafiłem na szkwał, który szybko przekształcił się w tragikomiczny huragan.

Usłyszałem pukanie do drzwi, otworzyłem i zobaczyłem przed sobą wysokiego, dystygowanego mężczyznę po pięćdziesiątce, który był ubrany swobodnie, ale z nienaganną dbałością. Miał sympatyczną fizjonomię i uśmiechał się do mnie, trzymając w ręku drinka.

- Doktor Williams? - zapytał i zakładając, że rozmawia z właściwą osobą, przeszedł do rzeczy. - Jestem doktor Willis Granger, ordynator oddziału pediatrii w Instytucie Pediatrii Smithers i w szpitalu ogólnym w Marietta.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby się odezwać, ale on mówił dalej, uśmiechając się szeroko.

- Jestem pańskim nowym sąsiadem. Wprowadziłem się właśnie wczoraj do mieszkania piętro niżej. Asystentka menedżera, pani Prell, powiedziała, że jest pan pediatrą. Nie mogłem się powstrzymać, żeby do pana nie zajrzeć i zapoznać się z kolegą po fachu. Ale może ja panu w czymś przeszkadzam?

- Nie, nie, ależ skąd, doktorze Granger. Proszę wejść - powiedziałem, mając nadzieję, że odmówi. Ale nie odmówił. Wszedł i rozsiadł się na sofie.

- Gdzie pan studiował, tutaj? - zapytał. Jak przypuszczam, było to normalne pytanie, jakie padało w czasie spotkania dwóch lekarzy. Znałem tylko jeden college, który miał wydział medycyny. - Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku - powiedziałem, modląc się, żeby nie był absolwentem tej uczelni.

68

Pokiwał głową.

- Świetna uczelnia. A gdzie pan robił staż?

Staż. Wiedziałem tylko tyle, że robi się go w szpitalu. Ale nigdy w życiu nie byłem w szpitalu. Przechodziłem wiele razy obok szpitali, ale w głowie utkwiła mi nazwa tylko jednego. Miałem nadzieję, że w tym szpitalu można było robić staż.

- Szpital Dziecięcy Harbor w Los Angeles - powiedziałem i czekałem na jego reakcję.

- Wspaniale - powiedział i ku mojej wielkiej uldze zakończył swoje prywatne dochodzenie.

- Wie pan, Smithers to nowy szpital. Niedawno zostałem powołany na stanowisko ordynatora oddziału pediatrycznego. Docelowo nasz szpital ma mieć siedem pięter,

ale do tej pory oddano do użytku sześć i jak na razie nie mamy za wielu pacjentów. Może któregoś popołudnia wpadłby pan do mnie na lunch, pokazałbym panu szpital. Myślę, że się panu spodoba.

- Brzmi wspaniale. Z przyjemnością przyjdę - odparłem i zaraz potem mój gość wyszedł. Po jego wizycie nagle poczułem się przybity i znękany, od razu przyszło mi do głowy, żeby natychmiast spakować manatki i wiać z River Bend, a nawet z samej Atlanty. Granger, który zamieszkał piętro niżej, dokładnie pode mną, stanowił poważne zagrożenie dla mojej dalszej egzystencji w River Bend. Gdybym został, byłoby jedynie kwestią czasu, żeby zorientował się, iż jestem oszustem, i prawdopodobnie nie dałby mi spokoju. Zapewne powiadomiłby odpowiednie władze.

Zmęczyła mnie już ta włóczęga. Od dwóch lat byłem w podróży i nie bawiło mnie już związane z tym podniecenie, blask i uciecha. Potrzebowałem jakiegoś miejsca, które mógłbym nazwać domem, w którym miałbym chwilę spokoju i kilku przyjaciół. River Bend przez dwa miesiące było dla mnie takim właśnie miejscem i dlatego nie chciałem stamtąd wyjeżdżać. Byłem tam szczęśliwy.

W miejsce przygnębienia poczułem zawziętą złość. Do diabła z Grangerem. Nie pozwolę, żeby wepchnął mnie z powrotem do zamkniętego kółka, jakim było fałszowanie czeków. Po prostu postaram się go unikać. Jeśli przyjdzie mnie odwiedzić, powiem, że jestem zajęty. Kiedy on wróci do domu, ja wyjdę.

Jednak, jak się okazało, nie było to takie proste. Granger był człowiekiem sympatycznym i towarzyskim. Zaczął bywać na przyjęciach, na które i mnie zapraszano. Jeśli go nie zaproszono, wpraszał się sam. I tym sposobem wkrótce stał się jednym z najbardziej lubianych mieszkańców.

69

Nie mogłem go unikać. Kiedy spotykał mnie poza domem, krzyczał za mną i zatrzymywał na pogawędkę. A kiedy wiedział, że jestem w domu, przychodził do mnie.

Ratowało mnie jedno. Granger nie lubił rozmawiać na tematy zawodowe. Wolał pogadać o ślicznotkach, które poznał w River Bend, i o tym, jak dobrze się z nimi bawił. „Wiesz Frank, tak naprawdę nigdy nie posmakowałem kawalerskiego życia - zwierzył mi się. - Ożeniłem się wcześniej, popełniliśmy oboje błąd, decydując się na to małżeństwo, a potem za długo w nim trwaliśmy. Sam nie wiem dlaczego. Dopiero teraz dobrze się bawię. Czuję się, jakbym znowu miał trzydzieści lat”. Albo rozmawiał ze mną na temat polityki, stosunków międzynarodowych, samochodów, sportu, moralności i tym podobnych rzeczy. Był wykształconym i elokwentnym człowiekiem, który orientował się w zaskakująco

wielu sprawach.

Zacząłem czuć się swobodnie w towarzystwie Grangera. W zasadzie polubiłem go i sam szukałem jego towarzystwa. Jednak spodziewając się, że temat pediatrii pojawi się prędzej czy później, zacząłem spędzać dużo czasu w bibliotece i czytać książki napisane przez lekarzy-pediatrów, artykuły na temat medycyny dziecięcej w czasopiśmie medycznych i inną dostępną literaturę przedmiotu. Szybko posiadałem ogólną wiedzę o pediatrii i doszedłem do wniosku, że wiem wystarczająco dużo, żeby poradzić sobie w typowych rozmowach na ten temat.

Po kilku tygodniach studiów poczułem się na tyle zorientowany w tej dziedzinie, żeby przyjąć zaproszenie Grangera na lunch w szpitalu.

Przywitał mnie w holu i niezwłocznie przedstawił recepcjonistce.

- To jest doktor Williams, mój przyjaciel z Los Angeles i do czasu powrotu do Kalifornii również mój sąsiad. - Nie jestem pewien, dlaczego zostałem przedstawiony tej recepcjonistce, chyba że Granger chciał mi pomóc. Bądź co bądź była to śliczna młoda kobieta.

W trakcie naszej wyczerpującej wycieczki po szpitalu Granger przedstawiał mnie w podobny sposób wielu osobom. Zwiedziliśmy każdy oddział. Poznałem administratora szpitala, głównego radiologa, ordynatora fizjoterapii, przełożoną pielęgniarek, stażystów, innych lekarzy i dziesiątki pielęgniarek. Zjedliśmy lunch w szpitalnym barku, a sądząc po liczbie lekarzy i pielęgniarek, którzy dosiedli się do nas, doktor Granger był lubiany i cieszył się dużą popularnością w swoim środowisku.

Później często bywałem w szpitalu, głównie z powodu Brendy Strong, pielęgniarki, z którą zacząłem się umawiać, ale również dlatego, że była

70

tam ogromna biblioteka medyczna zaopatrzona w najnowsze książki, periodyki i czasopisma medyczne na temat wszystkich aspektów pediatrii. Mogłem godzinami buszować po bibliotece, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Co więcej, zorientowałem się, że dzięki moim częstym wizytom w tym przybytku wiedzy zyskałem szacunek lekarzy wykraczający poza uznanie czysto zawodowe.

- Większość lekarzy uważa, że jesteś niezły, skoro chcesz być na bieżąco nawet na urlopie - powiedziała mi Brenda.

- A ja myślę, że ty też jesteś całkiem niezłą.

Miała trzydzieści lat, była dojrzałą, pociągającą brunetką podchodzącą z zapalem do spraw seksu. Czasami zastanawiałem się, co by było, gdyby dowiedziała się, że jej kochanek jest osiemnastoletnim oszustem. Ale nawet ja nie myślałem o sobie jako o

nastolatku. No może czasami. Kiedy patrzyłem na swoje odbicie w lustrze, widziałem dojrzałego mężczyznę w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat i tak się czułem. Kiedy zmieniłem sobie datę urodzenia, byłem niesfornym chłopcem, ale w ciągu dwóch lat mój zegar dojrzałości psychicznej przesunął się do przodu, żeby nadążyć za wyglądem.

Nadal gustowałem w dojrzałych kobietach. Wśród personelu szpitala było kilka kuszących podlotków, które nie miały jeszcze dwudziestu lat, ale jakoś nigdy mnie nie pociągały. Wolałem wyrafinowane i doświadczone kobiety, dwudziestolatki albo starsze. Takie jak Brenda.

Po kilku wizytach w szpitalu rozwiały się moje początkowe obawy i zacząłem rozkoszować się rolą fałszywego medyka. Doświadczałem podobnych przyjemności i łechtania własnego ego, które znałem już ze swojego poprzedniego wcielenia pilota.

Szedłem sobie jednym ze szpitalnych korytarzy i spotykałem pielęgniarkę, która uśmiechała się do mnie i mówiła:

- Dzień dobry, doktorze Williams.

Albo natykałem się na grupę stażystów, którzy kiwali głowami z szacunkiem i mówili chórkiem:

- Dzień dobry, doktorze Williams.

Albo spotykałem jednego ze starszych rangą lekarzy, który podawał mi rękę i mówił:

- Miło znów pana widzieć, doktorze Williams.

Przez cały dzień chodziłem, czując się w swoim przebraniu niczym Hipokrates. Zacząłem nawet paradować z małą złotą laską Eskulapa wpiętą w klapę marynarki. Nikt nawet nie próbował przypierać mnie do muru.

71

Nie miałem żadnych problemów aż do pewnego popołudnia, kiedy wychodziłem ze szpitala po lunchu z Grangerem i Brendą i zatrzymał mnie John Colter, menedżer.

- Doktorze Williams! Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? - I nie czekając na moją odpowiedź, ruszył w stronę swojego biura, które znajdowało się w pobliżu.

- Niech to szlag - powiedziałem i zdałem sobie sprawę, że mówię to na głos dopiero wtedy, kiedy przechodzący obok sanitariusz uśmiechnął się pod nosem. Miałem ochotę zwać, ale stłumiłem to pragnienie. W głosie Coltera nie usłyszałem żadnego zdenerwowania czy wątpliwości. Jego prośba, chociaż szorstka, nie wydawała się mieć związku z jakimikolwiek podejrzeniami. Wszedłem za nim do jego biura.

- Proszę spocząć, doktorze - odezwał się Colter, wskazując wygodny fotel, a sam usiadł za biurkiem. Natychmiast się rozluźniłem. Nadal zwracał się do mnie per „doktorze”, a jego zachowanie było prawie nadskakujące.

Tak naprawdę to Colter czuł się zakłopotany. Chrząknął.

- Doktorze, chcę prosić pana o bardzo dużą przysługę. Grzeczność, o którą w zasadzie nie mam prawa prosić - powiedział Colter, krzywiąc się. - Zdaję sobie sprawę z tego, że moja propozycja będzie nadużyciem pańskiej uprzejmości, ale mam poważny kłopot i myślę, że właśnie pan mógłby pomóc mi go rozwiązać. Czy zechce mi pan pomóc?

Popatrzyłem na niego zdezorientowany.

- Pomogę panu z wielką przyjemnością, jeśli tylko potrafię - odparłem ostrożnie.

Colter pokiwał głową i od razu się ożywił.

- Doktorze, problem jest następujący. Na nocnej zmianie mam opiekuna stażystów, który nadzoruje pracę siedmiu stażystów i około czterdziestu pielęgniarek. Dzisiaj po południu zmarła w Kalifornii jego siostra. Pojechał tam i nie będzie go w pracy przez dziesięć dni. Doktorze, nie mam nikogo, kto mógłby go zastąpić na nocnej zmianie. Nikogo. Jeśli orientuje się pan, jak wygląda nasza sytuacja - a sądząc po pańskiej działalności, tak jest - to wie pan, że cierpimy w Atlancie na brak lekarzy. Nie mogę znaleźć żadnego lekarza, żeby zastąpił Jessupa, a sam nie mogę tego zrobić. Jak pan wie, nie jestem lekarzem. Nie mogę też dać na to stanowisko stażysty. Według przepisów tylko lekarz ogólny albo lekarz specjalista może pełnić funkcję opiekuna stażystów w takim szpitalu jak nasz. Nadąża pan za moim tokiem myśli?

72

Skinąłem głową. Podążałem za jego myślami, ale w sposób, w jaki szakał podąża za tygrysem. Czyli w przeciwną stronę. Tymczasem Colter ruszył na całego.

- Doktor Granger powiedział mi, że ma pan tutaj dość dużo wolnego czasu, że spędza pan mnóstwo czasu w domu, odpoczywając i zabawiając się z dziewczynami. Bez obrazy, doktorze. Zazdroszczę panu tego. - Zaczął mówić proszącym głosem. - Doktorze Williams, czy mógłby pan tu przychodzić i po prostu pobyc tutaj przez te dziesięć dni od północy do ósmej rano? Zapewniam pana, że niczym nie będzie pan musiał się zajmować. Wystarczy sama pańska obecność, żebym był w porządku z przepisami. Potrzebuję pana, doktorze. Dobrze panu zapłacimy. Do licha, jako premię mogę nawet wysłać na tę zmianę Siostrę Niewyżytą. Szczerze mówiąc, doktorze, mam nóż na gardle. Jeśli pan mi odmówi, to nie wiem, co do cholery zrobię.

Jego propozycja kompletnie mnie zaskoczyła, ale natychmiast odmówiłem.

- Panie Colter, naprawdę chciałbym panu pomóc, ale nie mogę się na to zgodzić - zaprotestowałem.

- Dlaczego? - zapytał Colter.

- Cóż, po pierwsze nie mam pozwolenia na praktykowanie w stanie Georgia - zacząłem, ale Colter zamknął mi usta, potrząsając stanowczo głową.

- Ale pan tak w rzeczywistości nic by nie robił - powiedział Colter. - Nie proszę, żeby pan naprawdę leczył pacjentów. Zależy mi tylko na tym, żeby pan odgrywał rolę zastępcy. Jeśli chodzi o pozwolenie, to nie musi pan go mieć. Ma pan przecież pozwolenie na wykonywanie zawodu w Kalifornii, a wymagania są tam równie wysokie, jeśli nie wyższe niż w Georgii i nasza izba lekarska je honoruje. Doktorze, wystarczy, że postawię pana przed komisją złożoną z pięciu lekarzy, którzy mają pozwolenie na praktykę w naszym stanie i pracują w tym szpitalu, a oni po przeprowadzeniu rozmowy z panem mają prawo wystąpić do lokalnych władz z prośbą o wydanie panu tymczasowego pozwolenia wykonywania zawodu. Doktorze, chciałbym zorganizować to spotkanie jutro rano. Co pan na to?

Rozsądek podpowiadał mi, żeby się wycofać. Wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem. Każde pytanie, które mogłoby paść nazajutrz, mogło mnie zdemaskować i ujawnić, jakim „doktorem” byłem w rzeczywistości. Specjalistą od cudownych maści.

Ale pociągało mnie nowe wyzwanie.

73

- Cóż, jeśli rzeczywiście nie jest to takie kłopotliwe i nie zajmie mi zbyt wiele czasu, z przyjemnością panu pomogę - zgodziłem się. - A teraz proszę mi powiedzieć szczegółowo, co będzie należało do moich obowiązków? Na co dzień zajmuję się teorią. Z wyjątkiem wizyt u pacjentów, których z takich czy innych powodów muszę przyjąć, nie mam pojęcia o tym, jak funkcjonuje szpital.

Colter zaśmiał się. Najwyraźniej kamień spadł mu z serca i wydawał się uszczęśliwiony.

- Niech to kule biją! Pańskie obowiązki? Wystarczy, że pan tu będzie, doktorze. Pokręci się tu i tam. Pokaże się tu i ówdzie. Pożartuje ze stażystami. Obmaca pielęgniarki. Do licha, Frank - będę mówił ci po imieniu, bo od tej pory jesteś moim przyjacielem - rób, co chcesz. Tylko bądź tu!

Następnego dnia rano ogarnęły mnie złe przeczucia, kiedy wszedłem do sali konferencyjnej, w której siedziało pięciu lekarzy. Znałem ich wszystkich z moich częstych wizyt w szpitalu, a przewodniczącym komisji był doktor Granger. Kiedy wszedłem, uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Rozmowa, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, okazała się farsą. Zadawano mi tylko podstawowe pytania. Jaką uczelnię medyczną ukończyłem? Gdzie odbywałem staż? Ile mam lat? Gdzie praktykowałem? Kiedy zrobiłem specjalizację z pediatrii? Żaden z lekarzy nie zadał mi żadnego pytania, które miałyby na celu sprawdzenie mojej znajomości przedmiotu. Wyszedłem stamtąd, trzymając w ręku pismo powołujące mnie na stanowisko tymczasowego opiekuna stażystów, a następnego dnia Granger przyniósł mi kolejne pismo ze stanowej izby lekarskiej, która zezwoliła, żebym praktykował w stanie Georgia przez rok na podstawie prawa wykonywania zawodu w Kalifornii.

Jednym z moich ulubionych programów telewizyjnych jest M*A*S*H, serial komediowy o szpitalu wojskowym w Korei. Zawsze, kiedy oglądam M*A*S*H, przypomina mi się moja „kariera medyczna” w szpitalu Smithers. Przypuszczam, że kilku lekarzom w stanie Georgia ten film również niezmiennie kojarzy się z pewnym opiekunem stażystów.

Moja pierwsza zmiana narzuciła ton wszystkim późniejszym „wycieczkom do szpitala”. Począwszy od chwili, kiedy przyjąłem błagalną prośbę Coltera, zdałem sobie sprawę z tego, że istniał tylko jeden sposób, dzięki któremu zdołałem przeprowadzić tę karkołomną operację. Gdybym chciał wystrychnąć na dudka siedmiu stażystów, czterdzieści pielęgniarek i dosłownie dziesiątki personelu pomocniczego,

74

musiałbym zgrywać przed nimi zadufanego w sobie bufona.

Postanowiłem, że przybiorę pozę niefrasobliwego, opanowanego i dowcipnego łobuza, mającego za nic przestrzeganie zasad, których uczą w szkołach medycznych. Zacząłem odgrywać swoją rolę od pierwszej chwili, kiedy przyjechałem na pierwszy nocny dyżur i spotkałem się z Brendą w moim gabinecie. Wyglądało na to, że Colter nie żartował. Brenda uśmiechała się do mnie.

- Proszę, doktorze, oto pański kitel i stetoskop - powiedziała, wręczając mi je.
- Nie musisz pracować na tej podłej zmianie - rzekłem, wskakując w białe wdzianko. - Kiedy Colter powiedział, że przydzielili cię na nocną zmianę, wziąłem to za żart. Porozmawiam z nim jutro.

Spojrzała na mnie figlarnym wzrokiem.

- Nie przydzielił mnie - odparła. - Poprosiłam przełożoną pielęgniarek, żeby wyznaczyła mnie na tę zmianę na określony czas - to znaczy, kiedy ty tu będziesz.

Szybko założyłem stetoskop i włożyłem jej rękę pod bluzkę, żeby przyłożyć słuchawkę do lewej piersi.

- Zawsze wiedziałem, że masz serce na swoim miejscu, siostró - powiedziałem. - Jaki mamy pierwszy punkt programu na dziś wieczór?

- Na pewno nie ten - odparła, odsuwając moją dłoń. - Proponuję, żebyś najpierw zrobił obchód piętra, zanim przejdziesz do łóżka.

Pediatrycja zajmowała całe szóste piętro szpitala. Znajdował się tam oddział noworodków, na którym leżało około tuzina niemowląt, i trzy skrzydła dla dzieci wracających do zdrowia po chorobie, kontuzji czy operacji, a także dzieci przyjętych w celu zdiagnozowania oraz leczenia. Było tam około dwudziestu małych pacjentów w wieku od dwóch do dwunastu lat, za których odpowiadałem. Na całe szczęście praktycznie nie zajmowałem się nimi, ponieważ każde dziecko było pod opieką jakiegoś pediatry, który ustalał plan leczenia i przepisywał odpowiednie leki.

Moja rola polegała wyłącznie na nadzorowaniu i obserwacji pracy innych, chociaż oczekiwano ode mnie również interwencji w nagłych sytuacjach. Miałem nadzieję, że nie będzie takowych, ale na wszelki wypadek wymyśliłem plan działania. Pierwszą noc spędziłem na zabieganiu o względy stażystów, którzy w praktyce opiekowali się pacjentami. Wszyscy chcieli zostać pediatrami, a szóste piętro było dla nich wspólnym poligonem doświadczalnym.

75

Po kilku godzinach obserwacji wydawali mi się równie kompetentni i zdolni jak ich starsi koledzy po fachu, ale naprawdę nie byłem odpowiednią osobą do wydawania opinii na ten temat. Przypominałoby to analfabetę, który wypowiada się na temat teorii względności.

Ale zanim nastał świt, wyczułem, że stażyści, wszyscy bez wyjątku, polubili mnie jako szefa i najprawdopodobniej nie popełniliby żadnego błędu. Pierwsza zmiana była leniwa i spokojna aż do siódmej rano, kiedy to zadzwoniła do mnie pielęgniarka odpowiedzialna za szóste piętro.

- Doktorze, zanim pan skończy dyżur, proszę nie zapomnieć o wypełnieniu kart - powiedziała.

- Tak, dobrze, proszę mi je przygotować - odparłem. Poszedłem do dyżurki i przejrzałem stertę kart, które mi przygotowała. Każdy pacjent miał swoją kartę, na której były zanotowane nazwy podanych leków, godziny, nazwiska pielęgniarek i stażystów, którzy opiekowali się pacjentem, a także zalecenia lekarza prowadzącego.

- To rubryka dla pana - powiedziała pielęgniarka, wskazując na puste miejsce na karcie pod hasłem UWAGI OPIEKUNA STAŻYSTÓW.

Zauważyłem, że inni lekarze pisali po łacinie. A może to była greka. Albo po prostu ich normalny charakter pisma. Oczywiście nie byłem w stanie tego odczytać. I

oczywiście nie chciałem również, żeby ktokolwiek odczytał to, co ja miałem napisać. Więc nabazgrałem na każdej karcie trochę hieroglifów i podpisałem się równie nieczytelnym pismem.

- Gotowe, panno Murphy - powiedziałem, oddając jej karty. - Jak pani zauważy, dałem pani szóstkę.

Roześmiała się. Podczas kolejnych dyżurów nieraz wywoływałem salwy śmiechu swoimi dowcipnymi uwagami, udając lekceważący stosunek do poważnych tematów i dziwacznych czynności. Na przykład pewnego dnia wczesnym rankiem przyszedł do mnie położnik z jedną ze swoich pacjentek, która była w ostatniej fazie porodu.

- Umyłby pan ręce i zerknął na to? Myślę, że będziemy mieli trojaczki - powiedział.

- Nie, ale dopilnuję, żeby miał pan pod dostatkiem wrzątku i czystych ręczników - zażartowałem. Uznał to za komiczne.

Ale wiedziałem, że stąпам po kruchym lodzie i o wpół do trzeciej nad ranem, pod koniec mojego pierwszego tygodnia, lód zaczął pode mną pękać.

- Doktorze Williams! Jest pan proszony do nagłego wypadku. Doktor Williams natychmiast proszony!

Do tej pory udało mi się uniknąć wizyty na ostrym dyżurze, a poza tym zawarłem z Colterem porozumienie, że nie będę się zajmował nagłymi wypadkami. Oстрым dyżurem miał się zajmować ktoś ze stałego personelu. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Nie cierpię widoku krwi. Nie mogę znieść widoku krwi. Kiedyś przechodziłem obok ostrego dyżuru i widziałem, jak wnosili poszkodowanego z wypadku. Był cały we krwi i jęczał, a ja pognałem do najbliższej toalety i zwymiotowałem.

A teraz wzywali mnie na izbę przyjęć. Nie mogłem udawać, że nie usłyszałem wezwania, ponieważ dwie pielęgniarki grmiały przez głośnik, ale guzdrałem się po drodze, jak tylko mogłem.

Najpierw skorzystałem z toalety. Potem zamiast zjechać windą, zszedłem schodami. Wiedziałem, że moje spóźnienie może przynieść szkodę temu komuś, ale o wiele bardziej szkodliwe by było, gdybym pognał tam na złamanie karku. Nie miałbym pojęcia, co robić. Szczególnie jeśli pacjent by krwawił.

Na szczęście ten nie krwawił. Był to dzieciak w wieku około trzynastu lat, miał twarz bladą jak płótno, leżał na stole wsparty na łokciach i patrzył się na trzech stażystów, którzy nad nim stali. Kiedy stanąłem w drzwiach, stażyści utkwili we mnie wzrok.

- Co tutaj mamy? - zapytałem.

- Wygląda na złamanie proste kości piszczelowej, około trzynastu centymetrów poniżej rzepki - powiedział starszy stażysta, doktor Hollis Carter. - Właśnie

przygotowywaliśmy się do zrobienia zdjęcia. Jeśli nie okaże się, że to coś poważniejszego, sugeruję wsadzić to w gips i odesłać go do domu.

Popatrzyłem na pozostałych dwóch stażystów, Carla Farnswortha i Sama Bice'a.

- Doktorze Farnsworth? Skinął głową.
- Zgadza się z tym, doktorze. To może nawet nie być złamanie.
- A pan co o tym sądzi, doktorze Bice?
- Myślę, że nie jest to nic poważnego - odparł.
- Cóż, panowie, chyba jestem tu zbędny. Do roboty - powiedziałem i wyszedłem. Dowiedziałem się później, że ten dzieciak miał złamany goleń, ale wtedy, opierając się na swojej wiedzy, mogłbym mu nawet zalecić okulary.

Na kolejnych dyżurach znowu wzywano mnie do izby przyjęć i za każdym razem pozwalałem stażystom zająć się pacjentem.

76

77

Przychodziłem, pytałem jednego z nich o diagnozę i o to, jak postąpiłby w danym przypadku. Kiedy uzyskałem odpowiedź, konsultowałem ją z jednym albo dwoma stażystami, którzy zwykle przy tym byli. Jeśli on albo oni zgadzali się z postawioną diagnozą, kiwałem autorytatywnie głową i mówiłem:

- W porządku, doktorze. Proszę się tym zająć.

Nie przypuszczałem nawet, że moje zachowanie w takich sytuacjach aż tak podobało się stażystom, ale wkrótce się o tym przekonałem. Uwielbiali mnie.

- Mówią, że jesteś niesamowity, Frank - powiedziała mi Brenda. - Szczególnie młody doktor Carter uważa, że jesteś wspaniały. Słyszałam, jak opowiadał znajomym, że kiedy był na wizycie u Mącona, wszedłeś, wysłuchałeś jego opinii na temat pacjenta i pozwoliłeś mu go naprawdę leczyć. Mówi, że dzięki tobie poczuł się jak praktykujący lekarz.

Uśmiechnąłem się.

- Po prostu jestem leniwy - odparłem.

Jednak już po pierwszym dyżurze zdałem sobie sprawę, że potrzebuję pomocy. Zdobyłem kieszonkowy słownik terminów medycznych i od tamtej pory, kiedy tylko usłyszałem, że stażyści albo pielęgniarki wypowiedzieli jakieś słowo albo zwrot, którego znaczenia nie rozumiałem, czmychałem na jeszcze nie dokończone siódme piętro, wchodziłem do jednego z pustych pomieszczeń i szukałem danego słowa. Czasem spędzałem tam piętnaście albo nawet dwadzieścia minut, kartkując słownik.

Podczas dyżuru, który miał być moją ostatnią nocą w przebraniu opiekuna stażystów, przyszedł do mnie Colter.

- Frank, wiem, że nie powinienem cię o to prosić, ale nie mam innego wyjścia. Doktor Jessup nie wróci do pracy. Postanowił zostać w Kalifornii i tam praktykować. Myślę, że uda mi się znaleźć zastępstwo w ciągu kilku tygodni. Czy mogę cię prosić, żebyś jeszcze tu posiedział przez ten czas? - Czekał na moją odpowiedź, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem. Trafił we właściwy moment. Zakochałem się w mojej nowej roli lekarza. Czuję się w niej prawie tak wspaniale, jak w roli fałszywego pilota. A poza tym teraz byłem w o wiele bardziej komfortowej sytuacji. Od kiedy zacząłem udawać pediatrę, nie sfałszowałem ani jednego czeku. W zasadzie odkąd podjąłem tymczasową pracę w szpitalu Smithers, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby podrobić cokolwiek. Szpital płacił mi stawkę „konsultanta” w wysokości 125 dolarów tygodniowo.

Poklepałem Coltera po plecach.

78

- Nie ma sprawy, John - zgodziłem się. - Czemu nie? I tak nie mam w tym momencie nic lepszego do roboty.

Byłem przekonany, że jeszcze przez dwa tygodnie mogę działać według swojego wypróbowanego schematu, ale z tych dwóch tygodni zrobił się miesiąc, a z miesiąca dwa miesiące, tymczasem Colter nadal nie znalazł nikogo na miejsce Jessupa. Moja pewność siebie nieco zmalała, a od czasu do czasu dręczyła mnie myśl, że Colter albo inny lekarz, może nawet Granger, zacznie sprawdzać moje kompetencje zawodowe, szczególnie gdybym w trakcie dyżuru znalazł się w jakiejś podbramkowej sytuacji. Wobec stażystów, pielęgniarek i innych podległych mi z urzędu pracowników szpitala nadal zgrywałem zuchwałego łobuza nie przejmującego się przepisami i ogólnie przyjętymi zasadami. Cała załoga pracująca na nocnej zmianie nadal lojalnie mnie popierała. Pielęgniarki miały mnie za uroczyego skurczybyka i doceniały to, że nigdy nie próbowałem ich osaczyć, kiedy byliśmy sam na sam. Stażyści byli dumni, że mogą pracować u mnie na zmianie. Zaprzyjaźniliśmy się i miałem u nich poważanie. Widzieli we mnie ekscentryka i profesjonalistę. „Traktuje nas pan inaczej niż pozostali lekarze, doktorze Williams - powiedział mi w zaufaniu Carter. - Kiedy zajmujemy się pacjentem, a oni wchodzą, to natychmiast każą nam się odsunąć na bok i przejmują go. A pan wręcz przeciwnie. Pozwala nam pan kontynuować i samemu rozwiązać problem. Dzięki panu jesteśmy prawdziwymi lekarzami”.

Jasne, że pozwalałem. Nie miałem zielonego pojęcia o medycynie. Ci młodzi lekarze dowiedzieli się o tym dopiero kilka lat później, ale wyłącznie dzięki nim udała mi się ta cała maskarada. Kiedy sytuacja stawała się niebezpieczna, przynajmniej dla mnie,

a ból głowy przekraczał poziom mojej wiedzy medycznej, zostawiałem sprawę stażystom i uciekałem do mojego pokoju na siódmym piętrze.

Na szczęście podczas mojej kadencji w Smithers nigdy nie znalazłem się w sytuacji zagrożenia czyjegoś życia, ale bywały trudne chwile, w których ratowała mnie jedynie maska ekscentryka. Na przykład kiedyś wczesnym rankiem złapała mnie położna.

- Doktorze Williams, właśnie odebraliśmy poród, a kiedy przecinaliśmy pępowinę, doktor Martin został wezwany do sali obok na cesarskie cięcie. Pytał, czy byłby pan uprzejmy zrobić rutynowe badanie noworodka.

Nie mogłem odmówić. Kiedy przyszła położna, rozmawiałem właśnie z dwoma pielęgniarkami z mojej zmiany.

- Pomogę panu, doktorze - zaproponowała jedna z nich, Jana Stern,

79

oddana dyplomowana pielęgniarka, która sama studiowała medycynę i chciała zostać pediatrą specjalizującym się w noworodkach.

Ruszyła pierwsza na oddział noworodków, a ja, ociągając się, poszedłem za nią. Zwykle zatrzymywałem się przed szklaną szybą sali noworodków, żeby popatrzeć na malutkie pomarszczone dzieci w inkubatorach lub w kołyskach przypominających pudełka, ale nigdy nie wchodziłem do środka. Przypominały mi stado miauczących kociaków, a ja zawsze trochę nieufnie podchodziłem do kotów, nawet tych małych.

Otworzyłem drzwi do sali, a siostra Stera natychmiast chwyciła mnie za ramię.

- Doktorze! - wykrztusiła.

- Co się stało? - zapytałem, szukając rozpaczliwie wzrokiem jednego z moich zaufanych stażystów.

- Nie może pan tak tu wejść! - zbesztła mnie. - Musi pan wyszorować ręce, włożyć kitel i maskę. Przecież pan o tym wie! - Podała mi zielony kitel i sterylną maskę. Skrzywiłem się.

- Proszę mi pomóc z tymi cholernymi ciuchami - warknąłem. - I po co ta maska? Przecież mam tylko obejrzeć to dziecko, a nie sterczeć nad nim godzinami. - Wiedziałem, do czego potrzebna mi była maska. Chciałem zatuszować swoją gafę. I udało mi się. Westchnęła z dezaprobatą.

- Szczerze mówiąc, doktorze, czasami posuwa się pan za daleko - powiedziała rozdrażnionym tonem.

Było to niemowlę płci męskiej, które nadal było całe czerwone z wysiłku po ciężkiej drodze przez wąski kanał życia. Patrzyło na mnie smętnym wzrokiem.

- W porządku, mały, weź głęboki oddech i zasysaj go - zarządziłem, naśladowując wojskowy ton, i przyłożyłem stetoskop do piersi dziecka.

Siostra Stern chwyciła mnie za rękę, śmiejąc się.

- Doktorze! Nie można badać noworodka tym stetoskopem! Używa się stetoskopu pediatrycznego. - Po czym wypadła z sali i wróciła, trzymając w ręce mniejszą wersję stetoskopu. Nie miałem pojęcia, że istnieją różne rozmiary tego urządzenia. - Czy mógłby pan przestać dowcipkować? Mamy mnóstwo pracy.

Cofnąłem się i pomachałem do dziecka.

- Doktor Stern, zróbmy tak. Pani zbada chłopca. Chciałbym sprawdzić, co pani umie.

Dała się złapać na haczyk.

- Oczywiście, że mogę to zrobić - odparła takim tonem, jakbym ją obraził,

80

ale najwidoczniej była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Przyłożyła stetoskop, potem zawiesiła go na szyi i zaczęła poruszać rączkami noworodka, jego nóżkami i pośladkami, zaglądać mu w oczy, uszy, usta, odbył i przesuwając rękami po jego główce i całym ciele. Odsunęła się do tyłu i spojrzała na mnie wyzywającym wzrokiem. - No i jak? Pochyliłem się do przodu i pocałowałem ją w czoło.

- Dziękuję, pani doktor, uratowała pani mojego jedyne go syna - powiedziałem płaczącym głosem.

Dziecko przestało spoglądać żalnym wzrokiem. Nikt nie jest do końca pewien, czy noworodki myślą albo czy mają świadomość tego, co się wokół nich dzieje. To znaczy nikt oprócz mnie. Ten dzieciak wiedział, że jestem oszustem. Widziałem to w jego oczach.

Potem jeszcze kilkakrotnie badałem noworodki. Oczywiście nigdy nie miałem zielonego pojęcia, co tak naprawdę robię, ale dzięki siostrze Stern wiedziałem przynajmniej, jak to zrobić. Jednak nadal spędzałem mnóstwo czasu w swoim kantorku na siódmym piętrze.

Wiem, że w pewnych sytuacjach moje głupawe zachowanie drażniło ludzi. Na przykład w nocy, w trakcie jedenastego miesiąca mojej maskarady, kiedy pielęgniarka przybiegła do dyżurki, gdzie właśnie wypisywałem na kartach pacjentów swoje niemożliwe do odcyfrowania komentarze.

- Doktorze Williams! Mamy fioletowe dziecko na sali 608! Proszę szybko ze mną. - Pracowała tu od niedawna i zaledwie miesiąc wcześniej skończyła szkołę. Dokuczałem jej swoimi typowymi żartami. Podczas pierwszego dyżuru kazałem jej „przynieść wiadro pary na oddział noworodków, ponieważ chcę wysterylizować salę”. Pognała z zapalem do kotłowni, gdzie skierował ją usłużny stażysta.

Dziwnym trafem w ciągu tych jedenastu miesięcy udawania lekarza nigdy nie słyszałem terminu „fioletowe dziecko”. Pomyślałem sobie, że się na mnie odgrywa.

- Zaraz tam będę - odrzekłem - ale najpierw muszę sprawdzić to zielone dziecko w sali 609. - Kiedy nawet nie ruszyłem się z miejsca, pielęgniarka wybiegła, wołając jednego ze stażystów. Schowałem się za rogiem i zajrzałem do mojego słownika medycznego. Dowiedziałem się, że fioletowe albo raczej sine dziecko to takie, które cierpi na sinicę albo niedotlenienie, zwykle na skutek sinicznej wady serca. Pognałem do sali 608 i odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem, że jeden z moich stażystów znowu mnie uratował. Rozpinał właśnie nad dzieckiem przenośny namiot tlenowy.

81

- Wezwałem lekarza prowadzącego. Jest w drodze. Zajmę się tym, dopóki tu nie dotrze, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Nie miałem nic przeciwko. Ta historia mną wstrząsnęła. Zdałem sobie sprawę z tego, że grałem rolę, która mnie przerosła. Do tej pory miałem szczęście, ale nagle uświadomiłem sobie, że przez moje wygłupy jakieś dziecko mogło umrzeć. Postanowiłem znaleźć Coltera i zrezygnować z pracy i nie ulec żadnym błaganiom.

Tymczasem Colter sam mnie znalazł.

- No cóż, Frank, możesz znowu być playboyem - powiedział wesoło. - Mamy nowego opiekuna stażystów. Ściągnąłem go z Nowego Jorku. Będzie tu jutro.

Kamień spadł mi z serca. Następnego dnia wpadłem do szpitala, żeby odebrać ostatnią pensję i bynajmniej nie byłem rozczarowany tym, że nie spotkałem mojego zastępcy. Kiedy wychodziłem ze szpitala, spotkałem Jasona, starszego stróża, który pracował na nocnej zmianie.

- Co pan dzisiaj tak wcześnie w pracy, Jason? - zapytałem.

- Dzisiaj jestem na dwie zmiany, doktorze - odparł Jason.

- Jeśli jeszcze nie słyszałeś, Jason, to od dzisiaj już tu nie pracuję - powiedziałem. - W końcu znaleźli zastępstwo.

- Słyszałem, proszę pana - odrzekł Jason. Spojrzał na mnie zagadkowym wzrokiem.

- Doktorze, czy mogę pana o coś zapytać?

- Oczywiście, Jason. Pytaj, o co chcesz. - Polubiłem go. To był miły staruszek.

Wziął głęboki oddech.

- Doktorze, pan o tym nie wie, ale ja zawsze odpoczywałem sobie na siódmym piętrze. I od roku widziałem, że wchodził pan do kantorka na bieliznę. Nigdy nie pan tam nie zanosił ani stamtąd nie wynosił. Wiem, że pan nie pije, a w tym kantorku przecież nic nie ma. Nic a nic, doktorze. Przeszukałem ten pokój dziesiątki razy. Doktorze, moja ciekawość nie daje mi spokoju. Co pan robił w tym kantorku? Przysięgam, że nikomu nie powiem.

Roześmiałem się i uściskałem go.

- Jason, ja po prostu przyglądałem się swojemu pępkowi. To jest cała tajemnica. Przysięgam...

Jednak wiem, że mi nie uwierzył. Prawdopodobnie nadal przeszukuje ten kantorek.

82

ROZDZIAŁ piąty.

Nielegalny prawnik.

Tydzień po tym, jak przestałem pracować w szpitalu, skończyła się moja umowa wynajmu mieszkania w Balmorhea i postanowiłem wyjechać z Atlanty. Nie musiałem tego robić, a przynajmniej nie odczuwałem takiego przymusu, ale pomyślałem sobie, że nierozsądnie byłoby zostać. Lis, który mieszka cały czas w jednej norze, staje się łatwym kąskiem dla terierów, a ja czułem, że za długo siedzę w jednym miejscu. Orientowałem się, że cały czas jestem poszukiwany, a nie chciałem ułatwiać sprawy psom gończym.

Później dowiedziałem się, że moja decyzja wyjazdu z Atlanty była trafna. Mniej więcej w tym samym czasie w Waszyngtonie inspektor FBI Sean O'Riley dostał polecenie służbowe, żeby zostawić wszystkie inne sprawy i skupić się wyłącznie na schwytaniu mnie. O'Riley był wysokim, ponurym mężczyzną o wyglądzie irlandzkiego biskupa i uporze psa gończego, wybitnym agentem oddanym swojej pracy i pod każdym względem nieskazitelnie uczciwym człowiekiem.

Zacząłem podziwiać O'Rileya, chociaż robiłem wszystko, żeby pokrzyżować mu szyki i postawić go w trudnym położeniu. Jeśli O'Riley żywił jakieś odczucia do mojej osoby, to jestem pewien, że nie było wśród nich wrogości. O'Riley nie był złośliwym człowiekiem. Oczywiście wtedy nie miałem jeszcze pojęcia o jego

istnieniu. Z wyjątkiem młodego agenta w Miami i oficerów z okręgu Dade, policjanci, którzy zajmowali się moją sprawą, stanowili dla mnie zagadkę.

83

Postanowiłem zaszyć się na jakiś miesiąc w stolicy innego południowego stanu. Jak zwykle na mój wybór miał wpływ fakt, że znałem tam pewną stewardesę. Nic mnie bardziej nie przyciągało niż piękna kobieta.

Miała na imię Diana i znałem ją z przerwami od jakiegoś roku. Nigdy nie lecieliśmy razem, a poznałem ją w terminalu lotniska w Atlancie. Przedstawiłem jej się jako Robert F. Conrad, pierwszy oficer pracujący w liniach Pan Am, czasem używałem tego pseudonimu. Byłem zmuszony posługiwać się tym nazwiskiem w kontaktach z nią, ponieważ mieliśmy romans, w trakcie którego zaczęła wypytywać mnie o moją przeszłość, łącznie z przebiegiem wykształcenia. Większość pilotów ma wyższe wykształcenie, ale nie wszyscy studiowali jako główny kierunek aeronautykę. Powiedziałem Dianie, że skończyłem prawo, ale nigdy nie pracowałem w zawodzie, ponieważ kariera pilota wydawała mi się nie tylko bardziej ekscytująca, ale również bardziej dochodowa niż prawo. Bardzo łatwo przyjęła argument, że mężczyzna może porzucić sałę sądową dla kabiny pilotów.

Równie dobrze jednak pamiętała o moich zmyślonych na poczekaniu studiach prawniczych. Kilka dni po moim przyjeździe do miasta, zabrała mnie na przyjęcie, które urządzał jeden z jej przyjaciół, i przedstawiła mnie sympatycznemu facetowi, niejakiemu Jasonowi Wilcoxowi.

- Na pewno się zaprzyjaźnicie, Jason jest jednym z zastępców prokuratora stanowego - powiedziała Diana, po czym zwróciła się do Wilcoxa. - A Bob jest prawnikiem, który nigdy nie siedział za biurkiem, bo został pilotem.

Wilcox natychmiast się zainteresował.

- A gdzie studiowałeś?

- Na Harvardzie - odparłem. Pomyślałem sobie, że jeśli mam zgrywać absolwenta prawa, to chociaż niech to będzie prestiżowa uczelnia.

- Ale nigdy nie pracowałeś w zawodzie? - zapytał.

- Nie - odparłem. - Dostałem licencję pilota w tym samym tygodniu, w którym skończyłem prawo, a w Pan Am zaoferowano mi stanowisko nawigatora. Jako że pilot dostaje trzydzieści do czterdziestu tysięcy dolarów rocznie, a ja kocham latanie, więc przyjąłem tę pracę. Może kiedyś wrócę do prawa, ale teraz latam jakieś osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Niewielu prawników pracujących w zawodzie może sobie na to pozwolić.

- Masz absolutną rację - zgodził się Wilcox. - Gdzie latasz? Rzym? Paryż? Pewnie po całym świecie.

Potrząsnąłem głową.

- Teraz w ogóle nie latam - odrzekłem. - Wysłali mnie na urlop. W zeszłym miesiącu w firmie zrobili cięcia personalne, a ja nie miałem wystarczająco długiego stażu pracy. Mogą do mnie zadzwonić za pół roku, a nawet za rok. A teraz objam się i jestem na bezrobociu. Podoba mi się.

Wilcox popatrzył na mnie zdezorientowany.

- A jak ci szło na Harvardzie? - zapytał. Czuję, że do czegoś zmierza.

- Chyba dość dobrze - odparłem. - Skończyłem studia ze średnią 3,8. A dlaczego pytasz?

- Prokurator generalny szuka prawników do swojego biura - odparł Wilcox. - W zasadzie jest w sytuacji podbramkowej. Może zostaniesz adwokatem i przyłączysz się do nas? Poręczę za ciebie. Oczywiście nie płacą tyle, co w liniach lotniczych, ale lepsze to niż zasiłek dla bezrobotnych. No i zdobędziesz trochę praktyki zawodowej, a to ci na pewno nie zaszkodzi.

Niewiele brakowało, a natychmiast odrzuciłbym jego propozycję. Ale im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej mnie to intrygowało. Kolejne wyzwanie. Wzruszyłem ramionami.

- Co musiałbym zrobić, żeby zdać egzamin adwokacki w waszym stanie? - zapytałem.

- Naprawdę niewiele - odparł Wilcox. - Wystarczy, że przedłożysz odpis dyplomu z Harvardu w stanowym biurze rejestru adwokatów i złożysz podanie o przyjęcie w poczet palestry. Na pewno ci nie odmówią. Oczywiście będziesz musiał sobie przypomnieć nasze przepisy prawa cywilnego i karnego, ale pożyczę ci wszystkie potrzebne książki. Jako że jesteś z innego stanu, będziesz mógł podchodzić do egzaminu trzy razy. Nie powinieneś mieć z tym żadnych kłopotów.

Odpis dyplomu z Harvardu. To może okazać się karkołomne, pomyślałem, ponieważ uniwersytet i ja nic o sobie nie wiemy. Ale gdybym rozumował w ten sposób, to nie zostałbym także absolwentem szkoły lotniczej. A tymczasem czyż nie miałem w portfelu licencji pilota wyglądającej na autentyczną, w której było wyraźnie napisane, że posiadam odpowiednie kwalifikacje do pilotowania samolotów pasażerskich? I znowu odżyło we mnie zamiłowanie do ryzyka.

Napisałem list do sekretarza wydziału prawa na Harvardzie i poprosiłem o przesłanie rozkładu zajęć w semestrze zimowym i informatora na temat studiów. Po kilku

dniach w mojej skrzynce pocztowej znalazłem materiały, o które prosiłem. W informatorze wymieniano wszystkie kursy,

84

85

które trzeba zaliczyć, żeby otrzymać tytuł doktora praw Uniwersytetu Harvarda. Znalazłem tam również kilka logo i nagłówek listów. Ale nadal nie miałem zielonego pojęcia, jak wygląda dyplom uniwersytecki.

Diana była absolwentką uniwersytetu stanowego Ohio, gdzie studiowała zarządzanie. Niby od niechcienia wciągnąłem ją w rozmowę na temat studenckich czasów. Jak się okazało, uczestniczyła bardzo aktywnie w życiu studenckim, będąc kimś w rodzaju żeńskiej odmiany playboya.

- Zdaje się, że nie miałaś zbyt wiele czasu na naukę - powiedziałem żartobliwie.
- Wręcz przeciwnie. Miałam średnią 3,8. A na wyższych latach byłam na liście najlepszych studentów. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Można się dobrze bawić i mieć dobre stopnie.
- E tam, opowiadasz! Nie wierzę, że miałaś taką średnią. Musiałbym zobaczyć na własne oczy twój dyplom - zaprotestowałem.

Uśmiechnęła się zwycięsko.

- Cóż, cwaniaczku, akurat tak się składa, że mam go pod ręką - odparła i kilka minut później przyniosła z sypialni dokument.

Odpis dyplomu składał się z czterech standardowej wielkości stron liniowanego papieru, które w rzeczywistości zawierały oceny zdobyte przez nią w trakcie czterech lat studiów, poświadczone przez sekretarza uczelni. W nagłówku pierwszej strony była nazwa uniwersytetu napisana dużą, tłustą czcionką, a poniżej znajdowała się pieczęć stanu Ohio. Potem było jej nazwisko, rok ukończenia studiów, stopień naukowy, jaki otrzymała, i nazwa wydziału, który go nadał (Wydział Zarządzania). Na pozostałych stronach linijka pod linijką wypisano nazwy kursów, które ukończyła, daty, liczbę godzin i stopnie. Na końcu każdego roku wypisano średnią ocen, a w ostatnim okienku widniała średnia z całych studiów: 3,8. Na ostatniej stronie w prawym dolnym rogu widniała pieczęć uniwersytetu stanu Ohio, a na niej pieczęć notariusza i podpis sekretarza szkoły.

Zanim oddałem jej dyplom, zapisałem sobie w pamięci jego układ, chłonąc go, niczym gąbka wodę.

- W porządku, jesteś nie tylko seksowna, ale i łebska - powiedziałem, udając skruchę.

Następnego dnia poszedłem na zakupy do sklepu dla plastyków, sklepu papierniczego i sklepu z materiałami biurowymi. Zakupiłem trochę papieru czerpanego standardowych rozmiarów, materiały graficzne, litery samoprzylepne o kilku typach czcionki, piórka i ołówki, nożyk modelarski, klej, ekierkę, złoty lak i wyłaczarkę, której używają notariusze.

Zacząłem od tego, że po prostu wyciąłem logo wydziału prawa Uniwersytetu Harvarda i przykleiłem je w górnej części kartki czerpanego papieru. Potem poniżej nazwy uczelni nakleiliśmy pieczętkę wydziału, którą także wyciąłem z katalogu. Następnie wpisałem swoje imię i nazwisko, rok ukończenia studiów, stopień naukowy, po czym za pomocą ekierki i piórka kreślarskiego starannie narysowałem linie na czerpanym papierze. Następnie, używając drukowanych liter samoprzylepnych, skrupulatnie nakleiliśmy nazwy wszystkich kursów wymaganych do ukończenia studiów prawniczych na Harvardzie, przedmiotów dodatkowych i moje fikcyjne oceny. Na wypadek gdyby Wilcox zobaczył dyplom, przyznałem sobie średnią 3,8 z trzech lat studiów.

Kiedy skleiliśmy wszystkie strony razem, całość wyglądała jak kartki ze stołu kreślarskiego, ale kiedy zrobiłem kserokopię, efekt był wspaniały. Wyglądały zupełnie jak wyrzucone z profesjonalnej drukarki. Ukończyłem swój fałszywy dokument, wyłaczając w dolnej części ostatniej strony złotą pieczęć i odciskając na niej, celowo niewyraźnie, pieczęć notariusza, którą wypełniłem grubym piórem, wypisując z rozmachem nazwisko sekretarza wydziału prawa Uniwersytetu Harvarda, nadmieniając poniżej, że jest on jednocześnie notariuszem.

Nie miałem pojęcia, czy moje dzieło istotnie przypominało prawdziwy dyplom Harvardu, czy też nie. Generalną próbą miało być przedłożenie fałszywego dokumentu w biurze stanowego rejestru adwokatów. Wilcox pracował w zawodzie od piętnastu lat, a od dziewięciu był zastępcą prokuratora stanowego. Miał również szerokie kontakty w lokalnym środowisku prawniczym. Powiedział mi, że jestem pierwszym absolwentem Harvardu, jakiego poznał.

Spędziłem trzy tygodnie w bibliotece biura Wilcoxa, zgłębiając opasłe tomy, i doszedłem do wniosku, że prawo jest o wiele prostsze i nudniejsze, niż się spodziewałem, a następnie z duszą na ramieniu stawiłem się w biurze rejestru adwokatów. Jakiś student prawa, który pracował tam jako urzędnik, przejrzał mój fałszywy dyplom, pokiwał głową z aprobatą, zrobił kopię i oddał mi z powrotem mój „oryginał”, razem z podaniem o przystąpienie do egzaminu adwokackiego. Kiedy wypełniałem formularz, kartkował kalendarz i wezwał kogoś przez telefon.

- Może pan zdawać egzamin w następną środę, jeśli jest pan gotów -oznajmił, po czym uśmiechnął się zachęcająco. - Dla kogoś z Harvardu to jak spacer.

Być może dla prawdziwego absolwenta prestiżowego uniwersytetu był to spacer.

86

87

Dla mnie był to morderczy bieg, osiem godzin przypuszczeń, snucia domysłów, niepewności i na wpół świadomych domniemań.

Oblałem.

Jednak ku mojemu zdziwieniu notka o tym, że nie zdałem, została dołączona do testu, w którym zostały tylko poprawne odpowiedzi i pytania, jakie rzekomo pominąłem. Najwyraźniej miałem jakieś plecy w biurze rejestru adwokatów. Wróciłem do biura Wilcoxa i zacząłem okupować jego bibliotekę, koncentrując się na tych pytaniach, na które nie udzieliłem odpowiedzi. W miarę wolnego czasu Wilcox mnie douczał. Po sześciu tygodniach poczułem, że jestem gotów do drugiego podejścia.

I zawałem. Ale znowu oddano mi testy z zaznaczeniem, na które pytania odpowiedziałem poprawnie, a gdzie się pomyliłem. Właściwie byłem zadowolony, że w ogóle udało mi się odpowiedzieć na tyle pytań, i postanowiłem zdać ten egzamin w ostatnim podejściu.

Siedem tygodni później podszedłem do egzaminu po raz trzeci i zdałem! W ciągu dwóch tygodni otrzymałem dyplomik poświadczający, że zostałem przyjęty do rejestru adwokatów, i zezwalający na wykonywanie zawodu. Oszalałem. Nie miałem nawet matury, nie mówiąc o tym, że moja stopa nigdy nie postąpiła na uniwersytecie, a tutaj zostałem zaprzysiężonym prawnikiem! Uważałem swój brak wyższego wykształcenia za drobny szczegół, ale po czterech miesiącach wkuwania przepisów zrozumiałem, że w prawie aż roi się od szczegółów. To przez te szczegóły prawo jest takie pochrzanione.

Wilcox dotrzymał obietnicy. Załatwił mi rozmowę kwalifikacyjną ze stanowym prokuratorem generalnym, który dzięki referencjom od Wilcoxa przyjął mnie na stanowisko swojego zastępcy. Dostałem pensję w wysokości dwunastu tysięcy ośmiuset dolarów rocznie.

Zostałem przydzielony do działu prawa gospodarczego, jednego z wydziałów prokuratury generalnej. Prawnicy w tym dziale zajmowali się drobnymi roszczeniami wobec państwa, procesami o naruszenie prywatnej własności, przypadkami samowoli budowlanej i innymi czynnościami związanymi z nieruchomościami.

To znaczy większość się tym zajmowała. Starszy rangą prawnik, do którego mnie przydzielono jako asystenta, nazywał się Phillip Rigby i był dumnym potomkiem starego i utytułowanego miejscowego rodu. Rigby uważał się za arystokratę południa, a ja byłem uosobieniem jego dwóch najsilniejszych animozji. Nie dość, że

byłem Jankesem, to jeszcze do tego katolickim Jankesem! Rigby zdegradował mnie do roli „chłopca na posyłki”.

88

Latałem po kawę, po taką czy owaką książkę, jednym słowem po cokolwiek, co przyszło mu do głowy. Byłem najlepiej opłacanym posłańcem w całym kraju. Rigby był kawałem wiejskiego chama. Moją opinię podzielało wielu młodych asystentów, których większość pochodziła stąd, ale mieli zadziwiająco liberalne poglądy.

Byłem popularny wśród młodych urzędników w wydziale. Nadal miałem ponad dwadzieścia tysięcy dolarów lewego szmalu i wydawałem go bez ograniczeń na przyjaciół, których poznałem w sądzie, zabierając ich na kolacje do ekskluzywnych restauracji, rejsy statkiem i wieczory w eleganckich klubach nocnych. Celowo stwarzałem pozory, że pochodzę z zamożnej nowojorskiej rodziny, chociaż nigdy tego wprost nie powiedziałem.

Mieszkałem w szpanerskim apartamencie z widokiem na jezioro, jeździłem wypożyczonym jaguarem i zgromadziłem garderobę godną brytyjskiego księcia. Każdego dnia szedłem do pracy w innym garniturze, częściowo dlatego, że sprawiało mi to niekłamaną przyjemność, ale przede wszystkim dlatego, iż zawartość mojej szafy najwyraźniej wkurzała Rigby'ego. O ile się orientowałem, miał trzy garnitury, z których jeden był tak żenujący, że zapewne odziedziczył go w spadku po swoim dziadku -pułkowniku armii konfederatów. Rigby też był żaloszny.

Moja elegancja oburzała Rigby'ego, ale innym się podobała. Pewnego dnia w sądzie, kiedy rozprawa zaczęła się z niewielkim opóźnieniem, sędzia wychylił się ze swojego miejsca i zwrócił do mnie:

- Panie Conrad, być może nie wnosi pan zbyt wiele do naszych rozpraw pod względem znajomości prawa, ale z pewnością prezentuje pan dużą klasę. Jest pan najlepiej ubranym posłańcem na południu i wysoki sąd udziela panu pochwały. - To był prawdziwy wyraz uznania i zrobiło mi się bardzo miło, a Rigby o mało co nie dostał ataku apopleksji.

Tak naprawdę byłem bardzo zadowolony ze swojej roli chłopca na posyłki. I bynajmniej nie tęskniłem za tym, żeby zająć się jakąś sprawą. Istniało zbyt wielkie niebezpieczeństwo, że mój brak elementarnej wiedzy prawniczej może wyjść na jaw. Poza tym sprawy, którymi zajmowaliśmy się z Rigbym, przeważnie należały do tak nudnych i męczących, że byłem usatysfakcjonowany, kiedy on się nimi zajmował. Od czasu do czasu rzucał mi kość, pozwalając zaprezentować jakąś pomniejszą kwestię dotyczącą ziemi albo sporządzić wstępną opinię w danej sprawie. Lubiłem te sprawy i ogólnie rzecz biorąc, przypuszczam, że radziłem sobie z nimi bez szkody dla profesji prawnika. Rigby był wysokiej klasy profesjonalistą

i siedząc z nim, wiele się nauczyłem, o wiele więcej niż z tych wszystkich prawniczych książek i egzaminów.

W zasadzie moje stanowisko pracy przypominało raj, matecznik, którego psy gończe nie potrafiły namierzyć. Niewielu przyszłoby do głowy, żeby szukać przestępcy wśród oskarżycieli publicznych pracujących w prokuraturze generalnej, szczególnie jeśli poszukiwany jest nastolatkiem, który wyleciał ze szkoły średniej.

Kilka tygodni po tym jak zacząłem pracować w prokuraturze, Diana została przeniesiona służbowo do Dallas. Tylko przez chwilę byłem zasmucony tym, że ją straciłem. Wkrótce potem zacząłem się spotykać z Gloria, córką wysokiego urzędnika państwowego. Gloria była energiczną, atrakcyjną, pełną temperamentu dziewczyną, a jedyną jej wadą było to, że nie bardzo lubiła seks. Ale przynajmniej nauczyłem się, że ubrana kobieta również może być czarująca.

Gloria pochodziła z rodziny zagorzałych metodystów i często towarzyszyłem jej w kościele, oczywiście przy założeniu, że nie jestem kandydatem do nawrócenia. Był to z mojej strony gest tolerancji religijnej, który został doceniony przez jej rodziców, i w zasadzie dobrze się z tym czułem. W rzeczywistości zaprzyjaźniłem się z młodym pastorem tego kościoła, który namówił mnie, żebym zaangażował się w ich działalność na rzecz dzieci i młodzieży. Uczestniczyłem aktywnie w budowie kilku placów zabaw dla dzieci w ubogich dzielnicach i działałem w kilku komitetach zarządzających innymi projektami dotyczącymi młodzieży miejskiej. Dziwaczne hobby jak na oszusta, ale nie miałem poczucia, że jestem hipokrytą. Po raz pierwszy w życiu bezinteresownie dawałem coś z siebie i poczułem się dobrze.

Jednak grzesznik, który ciężko pracuje w winnicach Kościoła, bez względu na to, jak cenny jest jego trud, też nie może przesadzić z nadgodzinami. Wziąłem na siebie o jedno członkostwo w komitecie za dużo i winogrona zaczęły kwaśnieć.

W tej właśnie komisji znalazł się prawdziwy absolwent Harvardu. Co gorsza, ukończył tam prawo i bardzo się ucieszył, że mnie poznał. Wprost szalał z radości. Wtedy odkryłem coś na temat gości po Harvardzie. Przypominają borsuki. Uwielbiają trzymać się razem we własnych norach. Samotny borsuk zawsze spotka innego borsuka. Facet po Harvardzie na obcym terenie zawsze znajdzie kolegę po Harvardzie. A potem oczywiście będą rozmawiać o Harvardzie.

Ten facet natychmiast rzucił się na mnie z całym entuzjazmem Stanleya, który natknął się na Livingstone'a na bezdrożach Afryki.

Kiedy skończyłem studia? Kto mnie uczył? Które dziewczyny znałem? Do jakiego klubu należałem? Do jakich pubów chodziłem? Z kim się przyjaźniłem?

W końcu zdołałem odeprzeć jego ataki, udzielając bezmyślnych odpowiedzi albo ignorując go i poświęcając uwagę sprawom, które były właśnie omawiane na zebraniu. Ale od tamtej pory wykorzystywał każdą sposobność, żeby mnie znaleźć. Dzwonił do mnie, żebyśmy poszli na lunch. Wpadał do mnie do biura, kiedy przebywał w okolicy. Dzwonił, zapraszając mnie na przyjęcia, wyjazdy, partię golfa albo inne wydarzenia kulturalne. I zawsze zdołał skierować naszą rozmowę na temat Harvardu. W których budynkach miałem zajęcia? Czy znałem profesora takiego a takiego? Czy poznałem jakieś stare rodziny z Cambridge? Ludzie po Harvardzie, którzy spotykają kumpli z uczelni, najwyraźniej mają ograniczone tematy do rozmowy.

Nie mogłem go unikać i rzecz jasna nie potrafiłem też odpowiedzieć na wiele jego pytań. W końcu zaczął coś podejrzewać i zbierać res gestae przeciwko mnie jako fałszywemu absolwentowi Harvardu, a może nawet oszustowi. Kiedy dowiedziałem się, że wypytywał o moją przeszłość na kilku frontach i miał poważne wątpliwości co do mojej uczciwości i prawości, rzecz stała się dla mnie res iudicata.

Nic nikomu nie mówiąc, ulotniłem się po angielsku. Jednak bynajmniej nie zapomniałem zabrać swojej pensji. Pożegnałem się z Glorią, chociaż nie wiedziała, że już więcej mnie nie zobaczy. Powiedziałem jej tylko, że zmarł ktoś z mojej rodziny i muszę wrócić na kilka tygodni do Nowego Jorku.

Oddałem wypożyczonego jaguara i kupiłem jaskrawopomarańczową barracudę. Zapewne ta bryka tak się rzucała w oczy, że nie była najlepszym środkiem lokomocji dla poszukiwanego zbiega, ale spodobała mi się i chciałem ją mieć, a to wystarczyło. Usprawiedliwiałem tę decyzję, tłumacząc sobie, że przynajmniej samochód, jeśli nie kierowca, był szalowy, więc na pewno okaże się dobrą inwestycją. W dużej mierze było to sprytne posunięcie, ponieważ dawniej po prostu wynajmowałem samochody, a następnie porzucałem je na lotniskach, kiedy nie były mi już do niczego potrzebne. Tymczasem O'Riley, z czego nie zdawałem sobie sprawy, robił dobry użytek z tej praktyki, opracowując wzór moich ruchów.

Niemal przez rok udawałem lekarza. Odgrywałem rolę prawnika przez dziewięć miesięcy. Chociaż nie można powiedzieć, że przez ten czas żyłem ascetycznie, to nie podrabiałem żadnych czeków ani nie robiłem niczego, co mogłoby zwrócić uwagę policji.

91

Jeśli Rigby albo sam prokurator generalny nie będą domagali się wyjaśnienia mojego nagłego zniknięcia z pracy, miałem słuszne powody, żeby przypuszczać, iż nie jestem obiektem żadnej obławy. I tak też było, wyjąwszy uparte wysiłki O'Rileya, który pomimo swojej wytrwałości nadal szedł fałszywym tropem.

Próbowałem nadal nie podrabiać czeków, ponieważ nie narzekałem na brak pieniędzy. Moja ucieczka przed przesłuchaniami „kolegi z Harvardu” zamieniła się w coś w rodzaju wakacji. Przez kilka tygodni włóczyłem się po zachodnich stanach, zwiedzając Kolorado, Nowy Meksyk, Arizonę, Wyoming, Nevadę, Idaho, Montanę i zatrzymując się wszędzie tam, gdzie zaintrygował mnie jakiś malowniczy zakątek. Jako że zwykle w tych zakątkach spotykałem piękne i chętne kobiety, byłem wiecznie czymś zainteresowany.

Chociaż mój image przestępcy stopniowo zamazywał się i bladł, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się nawrócić. Myśląc o przyszłości, zatrzymałem się odpowiednio długo w ogromnej metropolii w Górach Skalistych, żeby zaopatrzyć się w podwójne dowody tożsamości jako fikcyjny pilot linii lotniczych.

Stosując ten sam schemat działania, który pozwolił mi zostać Frankiem Williamsem, pierwszym oficerem w liniach Pan Am, stworzyłem Franka Adamsa, rzekomego drugiego pilota w Trans World Airways, wyposażonego w mundur, fałszywy identyfikator i podrobioną licencję pilota. Zgromadziłem także dowody tożsamości w podwójnych egzemplarzach, dzięki którym jako Frank Williams mogłem być pilotem linii Pan Am albo TWA.

Niedługo potem pojechałem do Utah, stanu sławnego nie tylko ze względu na wyjątkowe walory przyrodnicze i tradycję mormonów, ale także nagromadzenie kampusów studenckich. Przypisawszy sobie kilka tytułów naukowych, uznałem, że byłoby uczciwie z mojej strony chociaż zobaczyć, jak wygląda kampus uniwersytecki, więc zwiedziłem kilka college'ów w Utah, spacerując i oglądając obrazki z życia studenckiego, a szczególnie studentki. Na terenie jednego z kampusów było tyle ślicznych dziewczyn, że kusiło mnie, żeby zapisać się na jakieś studia.

Jednak zamiast tego zostałem nauczycielem.

Kiedy pewnego popołudnia włóczyłem się w pobliżu swojego pokoju w motelu, czytając miejscową gazetę, moją uwagę zwróciła wiadomość o spodziewanym braku nauczycieli w semestrze letnim na jednym z uniwersytetów. W notce cytowano słowa dziekana wydziału, niejakiego doktora Amosa Grimesa,

92

który był najbardziej zmartwiony koniecznością znalezienia zastępstwa za dwóch profesorów socjologii. „Wygląda na to, że będziemy musieli szukać osób z odpowiednimi kwalifikacjami poza granicami naszego stanu tylko po to, żeby popracowały u nas przez trzy miesiące” - powiedział doktor Grimes w wywiadzie.

Ujrzałem w wyobraźni siebie siedzącego w sali wykładowej z jakimś tuzinem piękności na wydaniu i ta wizja tak zawładnęła moją wyobraźnią, że nie mogłem się jej oprzeć. Zadzwoiłem do doktora Grimesa.

- Doktor Grimes? Mówi Frank Adams - powiedziałem entuzjastycznym tonem. - Zrobiłem doktorat z socjologii na Uniwersytecie Columbia. Przyjechałem tu na trochę i właśnie przeczytałem w gazecie, że szuka pan nauczycieli socjologii.

- Tak, istotnie jesteśmy zainteresowani zatrudnieniem kilku nauczycieli - odparł ostrożnie doktor Grimes. - Rzecz jasna, zdaje pan sobie sprawę z tego, że byłoby to jedynie tymczasowe stanowisko, na okres letni? Rozumiem, że ma pan jakieś doświadczenie w nauczaniu.

- Oczywiście - rzekłem beztrąsko. - Ale od tamtego czasu minęło już kilka lat. Proszę pozwolić, że wyjaśnię moją sytuację, doktorze Grimes. Jestem pilotem w liniach Trans World Airways i właśnie zostałem wysłany na półroczny urlop z powodów zdrowotnych. Zapalenie ucha środkowego uniemożliwia mi w tym momencie latanie. Szukam jakiegoś tymczasowego zajęcia, a kiedy przeczytałem w gazecie ten artykuł, przyszło mi na myśl, że może byłoby miło wrócić znowu do sali wykładowej. Zanim zacząłem pracować w TWA, przez dwa lata byłem profesorem socjologii w City College w Nowym Jorku.

- Wygląda na to, że jest pan odpowiednim kandydatem na jedno z naszych stanowisk, doktorze Adams - powiedział doktor Grimes, tym razem z entuzjazmem w głosie. - Może przyjdzie pan jutro rano do mojego biura i porozmawiamy na ten temat.

- Będę zaszczycony, doktorze Grimes - odparłem. - Ponieważ nie znam tutejszych zwyczajów, czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie dokumenty są potrzebne do ubiegania się o stanowisko nauczyciela akademickiego w waszym college'u?

- W zupełności wystarczy odpis dyplomu z Columbii. Oczywiście, gdyby mógł pan uzyskać kilka listów rekomendujących z City College, byłoby to mile widziane.

- Nie ma sprawy. Każę sobie przesłać odpis dyplomu i listy polecające. Nie byłem na to przygotowany, wybierając się do Utah, ponieważ

93

nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby pracować tymczasowo jako nauczyciel, dopóki nie przeczytałem tej informacji w gazecie.

- Rozumiem to doskonale, doktorze Adams - rzekł doktor Grimes. -Do zobaczenia rano.

Jeszcze tego samego dnia napisałem do Uniwersytetu Columbia, prosząc o przesłanie informatora i innych materiałów na temat szkoły. Napisałem również naprędce list

do sekretarza City College, w którym podałem się za absolwenta z Utah szukającego posady nauczyciela akademickiego w Nowym Jorku, najchętniej socjologii. Zanim wysłałem listy, wynająłem skrzynkę poste restante na miejscowej poczcie.

Moja rozmowa z dziekanem Grimesem była bardzo przyjemna. Najwyraźniej od razu zrobiłem na nim odpowiednie wrażenie i spędziliśmy razem dużo czasu, a nawet zjedliśmy lunch w klubie wydziału, dyskutując o mojej „karierze” pilota. Doktor Grimes, podobnie jak wielu ludzi, którzy prowadzą siedzący tryb życia, miał romantyczne wyobrażenie na temat pilotów samolotów pasażerskich i z niecierpliwością oczekiwał potwierdzenia swojej wizji. Znałem aż za dużo anegdot, żeby zaspokoić jego niespełnione marzenia.

- Nie mam wątpliwości, że chcemy pana zatrudnić na ten czas, doktorze Adams - powiedział, kiedy wychodziłem. - Osobiście z niecierpliwością czekam, aż stawi się pan w kampusie.

W ciągu tygodnia dostałem z Columbii i City College materiały, o które prosiłem, i pojechałem do Salt Lake City, żeby zakupić wszystkie rzeczy potrzebne do podrobienia potrzebnych dokumentów. Mój gotowy „odpis dyplomu” był prawdziwym dziełem sztuki, na którym przypisałem sobie średnią ocen 3,7 i stopień doktora na podstawie dysertacji zatytułowanej „Socjologiczny wpływ lotnictwa na ludność terenów wiejskich w Stanach Zjednoczonych”. Zgodnie z moimi przewidywaniami, sekretarz nowojorskiego City College przysłał mi odpowiedź na firmowym papierze. Wyciąłem nagłówek listu i używając białej przezroczystej taśmy klejącej oraz wysokiej jakości papieru czerpanego, stworzyłem wierną kopię papieru firmowego uczelni. Następnie przyciąłem kartkę do wielkości papieru maszynowego, usiadłem i napisałem sobie dwa listy polecające, jeden od sekretarza, a drugi od dziekana wydziału socjologii.

W obu listach byłem ostrożny. Zawierały jedynie informację, że w latach 1961-1962 wykładałem socjologię w City College, że rada wydziału bardzo wysoko oceniła moją pracę i że sam się zwolniłem, ponieważ postanowiłem zostać pilotem.

94

Następnie zawiozłem listy do drukarni w Salt Lake City i kazałem zrobić po dziesięć kopii każdego, wyjaśniając, że szukam pracy nauczyciela na kilku uniwersytetach jednocześnie i stąd potrzebuję dodatkowych kopii na wysokiej klasy papierze. Najwyraźniej nie było to typowe zamówienie, ponieważ wykonano je niedbale.

Doktor Grimes ledwo rzucił okiem na dokumenty, które mu przyniosłem. Przedstawił mnie doktorowi Wilburowi Vanderhoffowi, prodziekanowi wydziału socjologii, który też tylko pobieżnie przejrzał papiery, po czym przekazał je do działu kadr. W ciągu godziny otrzymałem posadę nauczyciela, który miał wykładać

przez dwa letnie semestry, po sześć tygodni każdy, za pensję tysiąca sześciuset dolarów na semestr. Miałem trzy wykłady po półtorej godziny, trzy razy w tygodniu rano z pierwszym rokiem i dwa wykłady po półtorej godziny po południu dwa razy w tygodniu z drugim rokiem. Doktor Vanderhoff zaopatrzył mnie w dwa podręczniki, z których miałem uczyć, i dzienniki obecności.

- Inne materiały, które mogą się panu przydać, znajdzie pan w księgarni. Mają tam odpowiednie formularze zamówień - powiedział doktor Vanderhoff. Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że jest pan młody i ma pan dużo energii. Nasze letnie wykłady z socjologii przyciągają zwykle tłumy studentów. To będą ciężko zarobione pieniądze.

Miałem trzy tygodnie do rozpoczęcia zajęć. Pod pretekstem odświeżenia wiadomości poszedłem na kilka wykładów doktora Vanderhoffa, żeby mieć pojęcie, jak prowadzi się wykład na uczelni. Po nocach studiowałem dwa podręczniki, które okazały się bardzo interesującą i pouczającą lekturą.

Vanderhoff miał rację. Obie grupy były bardzo liczne. Na zajęcia pierwszego roku przyszło siedemdziesiąt osiem osób, a na drugim roku były sześćdziesiąt trzy osoby, z których większość stanowiły studentki.

To lato należało do najprzyjemniejszych w moim życiu. Bardzo polubiłem swoją nową rolę nauczyciela. Jestem pewien, że moim studentom też się podobało. Prowadziłem zajęcia według podręcznika, zgodnie z wymogami i nie miałem z tym większego kłopotu. Czytałem po prostu jeden rozdział do przodu i wybierałem fragmenty, którym chciałem poświęcić szczególną uwagę. Ale prawie codziennie na zajęciach obu grup odchodziłem od podręcznika, mówiąc o przestępczości, problemach młodzieży z rozbitych rodzin i skutkach, jakie te wszystkie zjawiska wywierają na społeczeństwo jako całość. Moje dygresje - które czerpałem z własnych doświadczeń, nieznanym studentom - zawsze wzbudzały ożywione dyskusje i debaty.

95

W weekendy odpoczywałem, zwiedzając malownicze tereny stanu Utah, zwykle w towarzystwie cudownej osoby.

Lato minęło tak szybko jak wiosna na pustyni i naprawdę żałowałem, że się skończyło. Doktor Vanderhoff i doktor Grimes byli zachwyceni moją pracą.

- Odezwij się, Frank - powiedział doktor Grimes. - Jeśli kiedyś będziemy mieć wakat na stanowisku profesora socjologii, będziemy cię chcieli do nas zwabić z tych twoich przestworzy - dodał.

Przynajmniej pięćdziesięciu spośród moich studentów odszukało mnie, żeby mi powiedzieć, jak bardzo podobały im się moje wykłady, pożegnać się i życzyć mi szczęścia. Nie miałem ochoty wyjeżdżać z tej Utopii, ale nie mogłem znaleźć

żadnego pretekstu, żeby tam zostać. Gdybym się tam za bardzo zasiedział, moja przeszłość mogłaby mnie dogonić, a nie chciałem, żeby ci ludzie stracili o mnie dobre zdanie.

Udałem się na zachód do Kalifornii. Kiedy przejeżdżałem przez góry Sierra Nevada, rozpętała się burza, ale to wszystko było niczym w porównaniu z trąbą powietrzną, którą sam miałem wkrótce sprowokować.

96

ROZDZIAŁ szósty.

Tapeciarnik w rollsie.

Były szef policji w Houston powiedział kiedyś o mnie tak: „Frank Abagnale mógłby wypisać czek na papierze toaletowym, na bank z okresu wojny o niepodległość, podpisać się jako «Elvis Presley» i zrealizować go w jakimkolwiek banku w mieście, używając jako dowodu tożsamości prawa jazdy wydanego w Hongkongu”. W miasteczku Eureka w stanie Kalifornia jest kilku pracowników banku, którzy potwierdziliby jego opinię. Właściwie gdyby wydano ją w formie rezolucji, zapewne znalazłyby się dziesiątki kasjerów i urzędników bankowych w całym kraju, którzy przychyliby się do takiego wniosku.

Nie byłem aż tak nieokrzesany. Ale pewne sytuacje, w których stawiałem personel banku były bardzo kłopotliwe, nie wspominając już o kosztach.

Eureka była dla mnie miastem, w którym zacząłem swoją karierę jako profesjonalny fałszerz. Oczywiście, kiedy tam przyjechałem, posiadałem już sztukę fałszowania czeków w stopniu zaawansowanym, ale tytuł magistra w tej dziedzinie zdobyłem właśnie w Kalifornii.

Eureka zupełnie przypadkiem stała się kamieniem milowym na drodze mojej kariery. To miasto miało być jedynie miejscem chwilowego postoju w drodze do San Francisco, ale pojawiła się nieoczekiwanie dziewczyna i zostałem kilka dni, żeby pobawić się w dom i zastanowić nad przyszłością. Owładnęła mną myśl, żeby uciec z kraju, ponieważ obawiałem się,

97

że cały oddział agentów FBI, szeryfów i detektywów depta mi po piętach. W zasadzie nie było jednak żadnych powodów, żeby aż tak się bać. Niemal od dwóch lat nie naciągałem nikogo na fałszywy czek, a „drugi pilot Frank Williams” też

dawno poszedł do lamusa. Powinienem się czuć dość bezpiecznie, ale tak nie było. Byłem zdenerwowany, płacziwy i pełen wątpliwości, a w każdym człowieku, który przyglądał mi się dłużej niż przez chwilę, widziałem gliniarza. Jednak po kilku dniach ta dziewczyna i Eureka jakoś rozproszyły moje wątpliwości. Dziewczyna swoim ciepłem i dobrymi chęciami, a Eureka swoimi możliwościami, dzięki którym miałem się wspiąć z poziomu drobnych kradzieży do wielkiego rabunku. Eureka jest uroczym małym miastem, położonym pośród sekwojowych lasów w północnej Kalifornii, przycupniętym na brzegu Pacyfiku. Wygląda jak malownicza baskijska wioska rybacka i rzeczywiście w jej porcie stoją duże, kolorowe kutry rybackie.

Dla mnie najbardziej fascynującym miejscem w Eurece były banki. Znajduje się tam więcej banków niż w jakimkolwiek innym mieście podobnej wielkości, które odwiedziłem. A ja potrzebowałem pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, jeśli miałem być fałszerzem na emigracji.

Nadal miałem kilka plików sfalszowanych czeków imiennych i byłem pewien, że z łatwością mogę upłynnić tuzin albo więcej w całym miasteczku i zdobyć jakieś tysiąc dolarów. Ale przyszło mi na myśl, że sztuczka z czekami imiennymi nie była znowu aż taka wspaniała. Należała do najłatwiejszych oszustw, ale wiązało się z nią zbyt duże ryzyko, a kara za sfalszowanie czeku na sto dolarów jest taka sama, jak za wprowadzenie w obieg fałszywych banknotów na sumę pięciu tysięcy dolarów. Czuję, że muszę wymyślić coś lepszego, dzięki czemu miałbym więcej miodu z tej samej ilości nektaru. Powiedzmy, чеки na wypłatę pensji. Na przykład czek Pan Am. Nikt nie będzie mi mógł nigdy zarzucić, że byłem nielojalnym złodziejem.

Poszedłem na zakupy. W sklepie papierniczym kupiłem książeczkę czekową in blanco. Чеки, które jeszcze wtedy znajdowały się w powszechnym użytku, idealnie nadawały się do moich celów, ponieważ to płatnik wpisywał potrzebne szczegóły, łącznie z nazwą odpowiedniego banku. Następnie wypożyczyłem elektryczną maszynę do pisania IBM, która miała kilka czcionek o różnym kroju pisma, w tym drukowane litery przypominające wyglądem pismo odręczne, a także kilka taśm do maszyny. Znalazłem sklep modelarski, w którym sprzedawano modele odrzutowców latających w Pan Am, i kupiłem kilka miniaturowych zestawów.

98

Na końcu wstąpiłem do sklepu z materiałami dla plastyków i nabyłem trochę samoprzylepnych liter i liczb z taśmy magnetycznej.

Zaopatrzony w to wszystko wróciłem do pokoju w motelu i zabrałem się do pracy. Wziąłem jeden z czeków in blanco i przykleiłem na górze kalkomanię z jednego z zestawów: PAN AMERICAN WORLD AIRWAYS. Poniżej nazwy wpisałem adres

linii lotniczych w Nowym Jorku. W lewym górnym rogu czeku przykleiłem logo Pan Am, a w przeciwległym rogu wpisałem na maszynie słowa „czek na wydatki służbowe”, zakładając, że takie czeki wyglądają inaczej niż typowe czeki na wypłatę pensji. Chciałem się w ten sposób zabezpieczyć na wypadek, gdyby jacyś kasjerzy w bankach Eureka widzieli kiedyś typowe czeki Pan Am.

Zrobiłem z siebie okaziciela czeku, oczywiście „Franka Williama” na sumę 568,70 dolarów, którą uznałem za rozsądną. W lewym dolnym rogu wpisałem CHASE MANHATTAN BANK i jego adres, pisząc nazwę banku na coraz czarniejszej taśmie, aż w końcu widać było słowa na sfalszowanym czeku.

Poniżej nazwy banku, w poprzek dolnego lewego rogu przykleiłem taśmą magnetyczną numer seryjny. Te liczby miały rzekomo być symbolem Banku Rezerwy Federalnej, do którego należał bank Chase Manhattan, numerem identyfikacyjnym Banku Federalnego i numerem konta linii Pan Am. Te numery są bardzo istotne dla każdego, kto realizuje czek i dziesięć razy ważniejsze dla fałszerza czeków. Dobry oszust w gruncie rzeczy żongluje liczbami, a jeśli nie zna tych właściwych, może skończyć na zupełnie innej kombinacji cyfr nadrukowanych na przedniej i tylnej stronie uniformu będącego własnością państwa.

Sfabrykowanie tego czeku było pracochłonnym i żmudnym zajęciem, zajęło mi dwie godziny i nie byłem usatysfakcjonowany efektem końcowym. Obejrzałem go i doszedłem do wniosku, że gdybym był kasjerem, nie zrealizowałbym takiego czeku.

Ale pod futrem z norek noszonym dla szpanu zwykle ma się sukienkę ze sklepu z używanymi rzeczami. Toteż dla zgrzebnego czeku wymyśliłem taką przykrywkę w rodzaju futra z norek. Wziąłem kopertę z okienkiem, przykleiłem na niej kalkomanię z nazwą linii Pan Am i nowojorski adres firmy, włożyłem do środka czystą kartkę papieru i wysłałem list na swój adres w motelu. Nazajutrz rano otrzymałem pismo, a miejscowy urząd pocztowy nieświadomie pomógł mi w moim planie. Pracownik poczty, który ostemplował znaczek, tak to sknocił, że nie można było odczytać, skąd nadeszła przesyłka. Uszczęśliwiło mnie jego niedbalstwo.

99

Włożyłem swój mundur pilota Pan Am, wsunąłem czek do koperty i schowałem ją w wewnętrznej kieszeni marynarki. Pojechałem do najbliższego banku, wszedłem energicznym krokiem i stanąłem przed kasą, w której siedziała jakaś młoda kobieta.

- Dzień dobry - powiedziałem z uśmiechem. - Nazywam się Frank Williams i jestem tu na kilkudniowym urlopie, zanim oddelegują mnie do Los Angeles. Czy mógłbym u pani zrealizować ten czek? Myślę, że mam stosowne uprawnienia.

Wyjąłem kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnąłem z niej czek i położyłem go na ladzie razem z fałszywym identyfikatorem i podrobioną licencją

pilota. Celowo położyłem na ladzie również kopertę z charakterystycznym logo Pan Am i adresem zwrotnym firmy.

Dziewczyna popatrzyła na moje dokumenty, rzuciła okiem na czek, ale najbardziej była zainteresowana moją osobą. Piloci pasażerskich linii lotniczych w mundurze najwyraźniej należeli w tym mieście do rzadkości. Podsunęła mi czek do podpisania, a kiedy odliczała gotówkę, zaczęła mnie wypytywać o moją pracę i miejsca, które widziałem. Odpowiadałem na te pytania w taki sposób, żeby jeszcze bardziej utwierdzić jej romantyczne wyobrażenia na temat pilotów.

Kiedy wychodziłem, pamiętałem, żeby zabrać kopertę. Upewniłem się, że ją zauważyła, co najwyraźniej umocniło jej przekonanie o autentyczności czeku. Ta transakcja potwierdziła również moje przypuszczenia, które miałem od dawna: nieistotne jest to, jak wygląda czek, tylko jak dobrze prezentuje się osoba, która chce go zrealizować, i wrażenie, jakie robi na urzędnikach i kasjerach.

Wróciłem do swojego pokoju hotelowego i pracowałem do późna w nocy, przygotowując jeszcze kilka czeków, każdy na sumę co najmniej pięciuset dolarów, a następnego dnia udało mi się je wszystkie zrealizować w różnych bankach w centrum miasteczka i na przedmieściach. Znając procedury obiegu czeków, obliczyłem, że mogę spędzić w Eurece dwa dni, realizując fałszywe чеки, a potem będę miał jeszcze trzy dni na wyjazd, zanim okaże się, że pierwszy czek jest bez pokrycia. Ale kryzys tożsamości, którego doświadczałem od czasu do czasu, zmusił mnie do zmiany planów.

Nigdy nie pogrążałem się w mojej zmyślonej tożsamości aż tak głęboko, żeby zapomnieć o tym, iż naprawdę nazywam się Frank Abagnale junior. W zasadzie w zwyczajnych kontaktach z ludźmi, kiedy nie czułem przymusu udawania kogoś innego i nie mogłem nic w ten sposób zyskać,

100

zawsze przedstawiałem się jako Frank Abagnale junior, wyluzowany gość z Bronksu.

Podobnie było w Eurece. Poza motelem, gdzie byłem zameldowany jako Frank Williams, i kontaktami z dziewczyną, która mi uległa, bo myślała, że jestem pilotem linii Pan Am, kiedy nie miałem na sobie munduru, stawałem się po prostu Frankiem Abagnale'em. W pewnym sensie moja prawdziwa tożsamość okazała się dla mnie azylem, w którym chroniłem się, uciekając przed stresami i napięciami związanymi z udawaniem kogoś innego.

W Eurece, w restauracji, gdzie podawano owoce morza, poznałem pewnego rybaka. Zatrzymał się przy moim stoliku i powiedział, że osobiście złowił właśnie tę rybę, którą jadłem, po czym przysiadł się do mnie, żeby porozmawiać. Jak się okazało, był

znawcą samochodów, więc opowiedziałem mu o swoim starym fordzie i o tym, jak go podrasowałem.

- A ja właśnie próbuję sobie coś takiego zorganizować, ford kabriolet rocznik 1950 - powiedział. - Nie masz przypadkiem zdjęć tego swojego cacka, co?

Potrząsnąłem głową.

- Mam, ale zostawiłem wszystkie w domu - odparłem.

- Daj mi swój adres w Nowym Jorku, to przyślę ci parę zdjęć mojego wózka, kiedy już go skończę robić - rzekł. - Niech to licho, mogę nawet przyjechać do Nowego Jorku i spotkać się z tobą.

Uznałem za mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek napisał do mnie albo przyjechał do Nowego Jorku i żeby mógł osobiście odebrać jego list albo go przyjąć, zacząłem więc przeszukiwać kieszenie, żeby znaleźć jakiś skrawek papieru, na którym mógłbym zapisać moje nazwisko i adres w Nowym Jorku.

Wykombinowałem, że napiszę to na jednym z pustych czeków. Pożyczyłem od kelnera ołówek i zacząłem pisać na odwrocie czeku swoje nazwisko i adres, kiedy rybak został wezwany do telefonu, który wisiał na ścianie przy wejściu. Rozmawiał z kimś przez parę minut, a potem pomachał w moim kierunku.

- Hej, Frank, słuchaj, muszę wracać na kuter! - krzyknął. - Wpadniesz jutro? - Po czym wypadł jak burza, zanim zdążyłem odpowiedzieć. - Chyba przydałby się wam lepszy ołówek - powiedziałem, wskazując na to, co napisałem na odwrocie czeku. Pismo było ledwo widoczne.

Włożyłem czek z powrotem do kieszeni, zamiast go podrzeć, co okazało się głupim i zarazem szczęśliwym posunięciem.

101

Kiedy wróciłem do pokoju, położyłem go na otwartej książeczce czekowej, przebrałem się i zadzwoniłem do swojej przyjaciółki. Spędziliśmy razem uroczy wieczór w dobrej restauracji gdzieś w lesie pod Eureką.

Było tak uroczo, że wspominałem to spotkanie jeszcze następnego dnia wczesnym rankiem, kiedy siadłem, żeby sfabrykować dodatkowe trzy czeki Pan Am. Zostały jeszcze trzy banki w mieście i jego okolicach, które nie otrzymały moich dzieł sztuki, a nie chciałem żadnemu z nich zrobić takiego afrontu. Opanowałem swój nowy schemat działania do perfekcji. Zapomniałem o wszystkich obawach przed policją deptającą mi po piętach. Zapomniałem też całkowicie o młodym rybaku, którego spotkałem poprzedniego dnia.

Kiedy skończyłem pierwszy czek, włożyłem go do nieco już podniszczonej koperty. W niecałe dwie godziny później sfalszowałem pozostałe dwa czeki i byłem gotów do

mojego ostatniego najazdu na Eurekę, który przebiegł bez najmniejszych komplikacji. Około południa wróciłem do motelu, dokładając prawie tysiąc pięćset dolarów do gotówki schowanej pod podszewką w mojej torbie podróżnej.

Tej nocy powiedziałem swojej przyjaciółce, że nazajutrz wyjeżdżam z miasta.

- Mam lot z San Francisco albo Los Angeles, jeszcze nie wiem dokładnie skąd - nałgałem. - W każdym razie będę często przyjeżdżał. Wynajmę jakąś awionetkę i zjawię się u ciebie. Dla odmiany obejrzymy sobie te lasy z lotu ptaka.

Uwierzyła mi.

- Umowa stoi - powiedziała i zaproponowała, żebyśmy poszli na nabrzeże do restauracji rybnej.

Wyglądała raczej na głodną niż nieszczęśliwą, co mi w zupełności odpowiadało. Ale w połowie kolacji zobaczyłem przez okno kuter, który wpływał do portu, i przypomniałem sobie młodego rybaka. Przypomniało mi się również, że zapisałem swoje prawdziwe nazwisko i adres w Nowym Jorku - przynajmniej adres mojego ojca - na odwrocie jednego z czeków. Na samą myśl przeszły mnie ciarki. Co ja, do cholery, zrobiłem z tym czekiem? Usiłowałem sobie to przypomnieć i jednocześnie prowadziłem ożywioną rozmowę ze swoją przyjaciółką, co sprawiło, że nasz ostatni wieczór nie należał do najprzyjemniejszych.

Kiedy wróciłem do pokoju, zacząłem szukać tego czeku, ale na próżno. Miałem mnóstwo pustych czeków, ale wszystkie były w książeczce. Musiałem w końcu w duchu przyznać, że właśnie ten czek zrealizowałem w jednym z trzech banków.

102

Ale to niemożliwe, pomyślałem, przecież musiałem podpisać każdy czek na odwrocie i na pewno zauważyłbym notkę. Ale czy na pewno? Przypomniałem sobie, jak niewyraźnie pisał ten ołówek. Moje pismo ledwie dało się odczytać, nawet w świetle dziennym. Mogłem nie zauważyć swoich bazgrołów, kiedy podpisywałem czek, szczególnie biorąc pod uwagę mój nowy schemat działania. Zauważyłem, że łatwiej mi wcisnąć kasjerowi fałszywy czek, jeśli skupię jego uwagę bardziej na sobie niż na podróbce.

Usiadłem na łóżku i zacząłem odtwarzać w pamięci wszystkie wypadki, które doprowadziły do tej sytuacji, i wkrótce doszedłem, co się stało. Położyłem ten feralny czek na otwartej książeczce czekowej. Nazajutrz rano, kiedy podrabiałem trzy czeki, wziąłem go, zupełnie zapomniawszy o spotkaniu z rybakiem. Kiedy czek był gotowy, włożyłem go natychmiast do koperty, został zatem zrealizowany w pierwszej kolejności. I wtedy przypomniałem sobie kasjerkę, która przyjęła ten czek. Poświęciłem jej dużo uwagi. Wyglądało na to, że za dużo.

No i w jakimś banku w Eurece leżał teraz sobie sfalszowany czek firmowy Pan Am podpisany przez fałszywego drugiego pilota, a na jego odwrocie widniały moje imię i nazwisko oraz adres ojca w Bronksie. Jeśli wyjdzie na jaw, że czek jest sfalszowany, nie trzeba będzie Sherlocka Holmesa, żeby skojarzyć fakty.

Zrobiło mi się gorąco jak w piecu hutniczym. Znowu zacząłem myśleć o wyjeździe z kraju i skoku przez granicę do Meksyku albo nawet do cieplejszych krajów. Ale tym razem niechętnie rozważałem taką możliwość. W Eurece obmyśliłem coś, co uznałem za świetną nową taktykę działania, która bardziej się opłaca niż gra w pokera znaczoną talią. Podekscytowany ewentualnym sukcesem swojego planu, odłożyłem na bok obawy, że pościg jest blisko, i wmówiłem sobie, że jestem absolutnie spokojny. Miałem zamiar zastosować moją nową taktykę jak kraj długi i szeroki. Wkurzało mnie, że muszę porzucić swoje plany, bo w głupi sposób się zdemaskowałem. Ale czy musiałem wycofać się z gry? Czy naprawdę się zdemaskowałem? Jeśli ja nie zauważyłem tych gryzmołów na odwrocie czeku, to może ktoś inny też ich nie dostrzegł.

Istniało również duże prawdopodobieństwo, że czek nadal leżał w tym banku. Zrealizowałem go wczesnym popołudniem i możliwe, że prześlą go do Nowego Jorku dopiero nazajutrz. Jeśli jest jeszcze w banku, być może uda mi się go odzyskać. Mógłbym im powiedzieć, że linie Pan Am wydały ten czek przez pomyłkę i nie powinienem go był zrealizować,

103

albo inną bajeczkę zmyśloną na poczekaniu. Byłem pewien, że uda mi się coś wykombinować, jeśli tylko czek jeszcze tam jest. Zasnąłem, rozmyślając o różnych wersjach wydarzeń.

Nazajutrz rano zanim zadzwoniłem do banku, spakowałem manatki i wymeldowałem się z motelu. Zapytałem telefonistkę o kierownika zmiany i przełączono mnie do kobiety, która przedstawiła się zdecydowanym głosem jako „Stella Waring”.

- Proszę pani, wczoraj u państwa w banku pewien pilot Pan Am zrealizował czek - powiedziałem. - Czy może mi pani powiedzieć... - Przerwała mi w połowie zdania.

- Tak, fałszywy czek - powiedziała oschłym głosem, nie pytając, kim jestem ani dlaczego dzwonię. - Zawiadomiliśmy FBI. Mają przysłać swojego agenta po ten czek.

Tym razem nie poczułem wyzwania. Działalem pod wpływem impulsu i konieczności ochrony swojej prawdziwej tożsamości.

- Wiem - odparłem. - Dzwonię z FBI. Chciałem państwa uprzedzić, że nasz agent pojawi się tam za jakieś piętnaście minut. Czy ten czek jest u pani, czy też agent powinien skontaktować się z kimś innym?

- Proszę mu przekazać, żeby skontaktował się ze mną. Będę miała ten czek. Oczywiście chcielibyśmy zatrzymać kopię dokumentu w naszym archiwum. Czy to możliwe?

- Oczywiście - zapewniłem ją. - Przekażę panu Davisowi, żeby zostawił u państwa kopię.

W ciągu piętnastu minut byłem w banku, ubrany w służbowy niebieski garnitur, ale zanim wszedłem, dyskretnie przyjrzałem się, kto jest w środku. Nie dostrzegłem nigdzie kasjerki, która zrealizowała ten feralny czek.

Gdybym ją zobaczył, to nie wszedłbym do środka. Nie wiedziałem, czy wyszła na przerwę, a nie byłbym zbyt uszczęśliwiony, gdyby pojawiła się, kiedy tam wejść, ale musiałem zaryzykować. Wszedłem do holu, skąd recepcjonistka skierowała mnie do stanowiska pani Waring, które znajdowało się na tym samym piętrze. Była szczupłą, przystojną kobietą po trzydziestce o wyglądzie i zachowaniu stuprocentowej businesswoman. Kiedy stanąłem przed jej biurkiem, podniosła wzrok.

- Pani Waring, jestem Bili Davis z FBI. Rozumiem, że mój szef dzwonił do pani? - powiedziałem.

Skinęła głową z grymasem na twarzy.

- Tak, panie Davis - odparła. - Mam ten czek. - Nie chciała, żebym się wylegitymował, ani nie miała cienia wątpliwości co do tego, kim jestem.

104

Wyciągnęła z szuflady czek i podała mi go. Obejrzałem go jak prawdziwy zawodowiec, co przyszło mi z łatwością jako fałszerzowi. Na odwrocie, ledwie dostrzegalne, widniało moje nazwisko i adres ojca.

- Wygląda dość tandetnie - rzuciłem ironicznie. - Dziwi mnie, że ktoś to w ogóle przyjął.

Pani Waring uśmiechnęła się cierpko na znak potwierdzenia.

- Tak, pracuje u nas kilka dziewcząt, które, no cóż, kiedy zobaczą przystojnego pilota albo innego mężczyznę wyglądającego na romantyczną postać, tracą głowę. Bardziej interesuje ich mężczyzna, niż to, co im wręcza - powiedziała głosem pełnym dezaprobaty. - Panna Caster, która przyjęła ten czek, jest tak załamana, że nie pojawiła się dzisiaj w pracy.

Rozluźniłem się, usłyszawszy tę informację, i zacząłem bawić się swoją rolą agenta federalnego.

- No cóż, będziemy musieli z nią porozmawiać, ale można to odłożyć na później - odparłem. - Czy zdążyła pani zrobić kopię dokumentu?

- Jeszcze nie, ale tam w kącie jest kserokopiarka. Zabierze mi to dosłownie minutę - odparła.

- Zajmę się tym - odparłem i poszedłem szybkim krokiem w kierunku kserokopiarki, zanim zdążyła się sprzeciwić. Zrobiłem tylko kopię przedniej strony, co pozostało nie zauważone.

- Pozwoli pani, że podpiszę się tutaj z dzisiejszą datą - powiedziałem, wyciągając pióro. - Ta kopia będzie dla państwa pokwitowaniem. Rozumie pani, że oryginał jest nam potrzebny jako materiał dowodowy. Będzie w prokuraturze generalnej. Myślę, że to wszystko. Doceniamy pani pomoc w tej sprawie. - Włożyłem do kieszeni obciążający mnie dowód i wyszedłem.

Później dowiedziałem się, że jakieś pięć minut po moim wyjściu przyszedł do banku prawdziwy agent FBI - zresztą jedyny federalny w całym mieście. Dowiedziałem się również, że pani Waring była więcej niż trochę zmartwiona, kiedy zorientowała się, iż została wystawiona do wiatru. No, ale w końcu agenci FBI też mają w sobie jakiś czar i nie trzeba być siksą, żeby dać się im zwieść.

Wcielenie się w rolę agenta FBI w tamtym punkcie mojej kariery nie należało do najmądrzejszych posunięć. Agenci federalni są na ogół sprawnie działającymi oficerami, ale kiedy ktoś podszywa się pod nich, to ich sprawność i determinacja wzrastają jeszcze bardziej. Udało mi się uniknąć, przynajmniej chwilowo, ujawnienia, że Frank Williams, fałszywy pilot,

105

tak naprawdę nazywał się Frank Abagnale junior, ale nieświadomie dałem O'Rileyowi nowy trop i od tamtego czasu aż do końca przypominało to pościg ogara za zającem.

Wciąż byłem na etapie nauki zawodu, aczkolwiek zaawansowanym, i miałem zwyczaj ryzykowania w sytuacjach, kiedy doświadczony fałszerz z pewnością by się wzdrygnął. Byłem niezależnym aktorem, który sam pisał scenariusze swoich filmów, reżyserował je i produkował. Nie znałem żadnych fachowców w swojej dziedzinie, nie szukałem wiedzy specjalistycznej i stroniłem od ulubionych miejsc spotkań świata przestępczego.

Wszyscy ludzie, którzy pomagali mi w podejrzanych interesach byli uczciwi, porządni i szanowali prawo. W zasadzie można powiedzieć, że podstawą mojego sukcesu była całkowita niezależność. Informatorzy ze świata przestępczego na mój temat nic nie mogli powiedzieć, ponieważ nic o mnie nie wiedzieli. Podczas gdy moją prawdziwą tożsamość ustalono w połowie śledztwa, policja wpadała na mój trop dopiero post factum. Moje oszustwa wychodziły na jaw zawsze kilka dni po

tym, jak zdążyłem uciec, a policja nigdy nie mogła mnie namierzyć, dopóki nie uderzyłem po raz kolejny, i to zwykle w jakimś bardzo odległym miejscu.

Kiedy zaczynałem uprawiać proceder fałszowania czeków, zdawałem sobie sprawę z tego, że wkraczam na drogę, z której nie ma odwrotu. Wybrałem podrabianie czeków jako zawód, sposób na życie i decydując się na to szemrane zajęcie, postanowiłem doskonalić swoje umiejętności. W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy studiowałem przebieg transakcji bezgotówkowych i procedur bankowych tak pilnie, jak inwestor bada dostępne rynki zbytu, i nie rzucając się w oczy, odrabiałem zadania domowe. Umawiałem się z kasjerkami i wyciskałem z nich informacje, jednocześnie zażywając z nimi przyjemności. Przesiadywałem w bibliotekach i przeglądałem fachowe czasopisma, dzienniki i podręczniki na temat handlu. Czytałem publikacje na temat finansów i szukałem możliwości, żeby porozmawiać z urzędnikami bankowymi. Jednym słowem doskonaliłem wszystkie swoje bezprawne sposoby działania.

Oczywiście, jak ktoś kiedyś zauważył, nie istnieje właściwy sposób, żeby zrobić coś niewłaściwego, ale najlepsi fałszerze czeków wiedzą, że sukces zależy od trzech czynników, a każdy z nich, albo najskromniejsza kombinacja wszystkich trzech, może przynieść większe zyski niż trójka na jednorękim bandycie.

Pierwszym czynnikiem jest osobowość, a pod tym pojęciem rozumiem także wygląd.

106

Najlepsi oszuści, niezależnie od tego, czy wciskają komuś podrobiony czek, czy też oferują fałszywe akcje, zawsze są nienagannie ubrani, wyglądają na pewnych siebie i budzą szacunek. Zwykle są też czarujący, uprzejmi i sprawiają wrażenie szczerych, niczym polityk, który chce zostać wybrany na drugą kadencję, chociaż czasami mogą zachowywać się z chłodną arogancją magnatów.

Drugim czynnikiem jest umiejętność obserwacji. Oczywiście tę umiejętność można w sobie rozwinąć, ale ja urodziłem się obdarzony darem (albo przekleństwem) zauważania rzeczy i szczegółów, których przeciętny człowiek nie dostrzega. Obserwacja, co postaram się zilustrować później, jest niezbędną cechą każdego skutecznego i pomysłowego złodzieja. Dziennikarz, który napisał o mnie artykuł, zauważył, że „dobry oszust umie odczytywać różne znaki, niczym Indianin, a Frank Abagnale byłby najlepszym zwiadowcą Paunisów na całej granicy, ale o wyglądzie na wpół ślepego początkującego pioniera”.

Trzecim czynnikiem jest żyłka badacza, która różni wyrachowanego kryminalistę od wysokiej klasy oszusta. Bandzior, który planuje napad na bank, może sprawdzić kilka podstawowych faktów, ale w końcu będzie polegał na spluwie. Jediną bronią oszusta jest jego mózg. Kanciarz, który decyduje udać się do banku z podrobionym

czekiem albo zamierza przeprowadzić bardziej wyrafinowane oszustwo, bada każdy szczegół przedsięwzięcia. U szczytu mojej kariery jako fałszerza wiedziałem tyle samo na temat czeków co przeciętna kasjerka zatrudniona w jakimkolwiek banku na świecie, albo nawet ciut więcej. Nie jestem pewien, czy istniało wielu bankowców, którzy dysponowali taką wiedzą w tej dziedzinie jak ja.

Oto kilka szczegółów na temat czeków, które znałem, w przeciwieństwie do większości naciąganych przeze mnie kasjerów bankowych. Na przykład autentyczny czek ma przynajmniej jeden perforowany (lub fryzowany) brzeg. W czekach imiennych ten brzeg znajduje się na górnej krawędzi, a w czekach firmowych dwie lub trzy krawędzie są oznakowane w taki sposób. Niektóre dobrze poinformowane firmy wydają czeki z czterema perforowanymi brzegami. Oczywiście pomysłowy fałszerz może skopiować i takie czeki, ale pod warunkiem że zainwestuje czterdzieści tysięcy dolarów czy nawet więcej w prasę perforacyjną, a jeśli tak zrobił, to wcale nie byłoby dowodem jego pomysłowości. Nie jest to rzecz, którą można nosić w walizce.

Istnieją również bezwartościowe czeki, które mają perforowaną krawędź, ale nie są fałszywe. Natomiast fałszywe jest konto w banku.

107

Za każdym razem, kiedy realizowałem czek imienny, tak naprawdę był to jedynie czek bez pokrycia. Zanim zacząłem realizować czeki, otwierałem rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy na fałszywe nazwisko, żeby otrzymać od pięćdziesięciu do stu czeków osobowych. Jak wspomniałem wcześniej, pierwszy i następny czek były zwykle w porządku. Potem wystawiałem same lewe czeki.

Wspomniałem, że dobry fałszerz czeków tak naprawdę gra w liczby, i tak jest. Wszystkie czeki, osobiste i firmowe, w lewym dolnym rogu, tuż nad krawędzią, mają wypisaną serię numerów. Weźmy na przykład czek, który w lewym dolnym rogu ma numer 11300119 546 085. W trakcie mojej kariery mistrza oszustw finansowych żaden spośród jakiejś setki kasjerów nie zwracał uwagi na te cyfry i jestem przekonany, że tylko garstka ludzi zajmujących się operacjami bezgotówkowymi wiedziała, co oznaczają te numery. Rozszyfruję je:

Numer 11 oznacza, że czek został wydrukowany w Jedenastym Oddziale Banku Rezerwy Federalnej. W Stanach Zjednoczonych jest dokładnie dwanaście Okręgów Banku Rezerwy Federalnej. Jedenasty obejmuje stan Teksas, gdzie został wydrukowany ten czek. Trójka po jedenastce oznacza, że czek został wydrukowany w Houston, ponieważ tam właśnie znajduje się biuro trzeciego oddziału tego okręgu. Cyfra 0 wskazuje na to, że przy użyciu tego czeku można uzyskać kredyt od ręki. Kolejne 0 identyfikuje izbę rozrachunkową (w Houston), a 119 jest numerem

identyfikacyjnym banku w okręgu. Liczba 546 085 to numer konta, które bank nadaje klientowi.

W jaki sposób fałszerz korzysta z tej wiedzy, zarabia gruby szmal i trafia na pierwsze strony gazet? Powiedzmy, że taki człowiek przychodzi zrealizować czek do banku. Czek wygląda na prawdziwy, wydany przez dużą i szanowaną firmę z Houston, wystawiony na miejscowy bank, a przynajmniej tak jest napisane na papierze. Jednak seria numerów w dolnym lewym rogu zaczyna się dwunastką, czego kasjer nie zauważa, a jeśli nawet, to on albo ona nie ma pojęcia, co oznaczają te cyfry.

Komputer jest sprytniejszy. Kiedy czek ląduje w banku izby rozrachunkowej, co następuje zwykle tej samej nocy, komputer go odrzuci, ponieważ w prawdzie na czeku jest napisane, że pieniądze ma wypłacić bank w Houston, ale numery mówią, że to bank w San Francisco, a komputery bankowe odczytują tylko numery. Dlatego dołącza się dokument do partii czeków, które są przekazane do Dwunastego Okręgu, w tym wypadku San Francisco, do akceptacji. W San Francisco kolejny komputer odrzuci czek,

108

ponieważ numer identyfikacyjny banku się nie zgadza i wtedy czek dostaje się w ręce urzędnika izby rozrachunkowej. Na ogół taki urzędnik zwraca uwagę tylko na wygląd zewnętrzny czeku, czyta, że jest płatny przez bank w Houston, i odsyła go z powrotem, myśląc, że komputer popełnił błąd. W każdym razie upływa od pięciu do siedmiu dni, zanim osoba, która zrealizowała czek, zorientuje się, że ktoś ją oszukał, a oszust już dawno czmychnął.

Wzbogaciłem się na tym, że pracownicy banków wykazywali się taką nieznajomością własnych kodów cyfrowych i operacji bezgotówkowych. W San Francisco, gdzie zabawiłem kilka tygodni po wyjeździe z Eureka, sfalszowałem kilkadziesiąt czeków Pan Am i zrealizowałem je w bankach w San Francisco, na lotnisku, a także w bankach i hotelach na przedmieściach, wymyślając takie kody, żeby zostały wysłane do odległych miast w rodzaju Bostonu, Filadelfii, Cleveland czy Richmond.

Żaden poszukiwacz złota nie znalazł go w Kalifornii tyle co ja. Moja podrobiona koperta nadal była nieoceniona w spieniężaniu fałszywych czeków, ale zużyła się już tak, że zaczęła się rozpadać. Potrzebowałem nowej koperty.

A może by tak zdobyć prawdziwą? - pomyślałem. San Francisco było jedną z baz linii Pan Am, a ja przecież byłem pilotem w tej firmie, nieprawdaż? Tak naprawdę nim nie byłem, ale kto, u licha, w tym się połapie? Pojechałem na lotnisko i zuchwale przespacerowałem się po hali operacyjnej Pan Am.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę dostać trochę papieru i koperty? -zapytałem pierwszą osobę, na którą się natknąłem, jakiegoś radiotelefonistę. - Nie jestem stąd.

- W magazynie za tym rogiem - odparł, wskazując mi kierunek. -Proszę sobie samemu wziąć.

Tak też zrobiłem, ponieważ w magazynie nie było nikogo. Porwałem stertę kopert, stos papieru firmowego z nagłówkiem Pan Am, wrzuciłem wszystko do aktówki i już miałem wychodzić, kiedy mój wzrok przykuła jeszcze jedna sterta papieru. Na formularzu, który leżał na samym wierzchu, napisano wytłuszczonym drukiem: UPOWAŻNIENIE DO OTRZYMANIA CZEKU. Wziąłem do ręki plik i przyjrzałem się formularzowi. Te druki były podaniami o zwrot kosztów służbowych, upoważniającymi kasjera firmy do wydania czeku na okaziciela wymienionego na formularzu, po podpisaniu go przez dyrektora oddziału Pan Am w San Francisco. Włożyłem paczkę formularzy do walizki. Kiedy wychodziłem, nikt mnie

109

nie zaczepił. Nie sędzę, żeby ktokolwiek zwrócił na mnie najmniejszą uwagę.

Formularz upoważniający do otrzymania czeku okazał się bardzo pomocnym papierkiem. Składałem formularz na pół i do środka wkładałem swój sfalszowany czek, po czym wsuwałem wszystko do prawdziwej koperty firmowej Pan Am. Zawsze upewniałem się, że formularz jest wypełniony poprawnie, jeśli nawet niezgodnie z prawem, a kiedy realizowałem swoje dzieła, za każdym razem kładłem kopertę na widocznym miejscu.

Pewnego dnia, kiedy wróciłem do domu po wycieczkach do banków Berkeley's, stwierdziłem, że nie ma już miejsca ani w mojej walizce, ani w worku na ubrania. Były pełne banknotów. Kradłem pieniądze szybciej, niż je wydawałem. Wziąłem ze sobą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, pojechałem do banku w San Jose, wynająłem sejf na nazwisko John Calcagne, zapłaciłem za trzy lata z góry i złożyłem pieniądze w sejfie. Następnego dnia pojechałem do banku w Oakland i powtórzyłem całą procedurę, zmieniając nazwisko na Peter Morelli.

A potem wróciłem do San Francisco i zabijałem się po uszy. Miała na imię Rosalie i pracowała jako stewardesa w American Airlines. Mieszkała w starej kamienicy z pięcioma koleżankami, które też były stewardesami, a poznałem ją, kiedy wszystkie wracały autobusem z lotniska. Przebywały na lotnisku w uczciwych celach. Ja popełniłem tam małe oszustwo. Umówiliśmy się na randkę jeszcze tego samego wieczora.

Rosalie była jedną z najbardziej uroczych kobiet, jakie znałem, i do dziś nie zmieniłem zdania. Blond włosy Rosalie zdobiły białe pasemka i, jak szybko zdążyłem się zorientować, cechował ją powściągliwy sposób bycia. Miała dwadzieścia cztery lata i wciąż pozostawała dziewicą, a na naszej drugiej randce poinformowała mnie, że chce zachować czystość aż do ślubu. Powiedziałem, że podziwiam jej postanowienie, bo tak było, ale i tak nie powstrzyma mnie to przed próbami jej rozebrania, kiedy tylko nadarzy się taka okazja.

Jako przyjaciółka Rosalie była nieoceniona. Lubiliśmy podobną muzykę, dobre książki, ocean, jazdę na nartach, teatr, podróże i dziesiątki innych uciech i zajęć. Była praktykującą katoliczką, ale nigdy nie nalegała, żebym chodził z nią do kościoła.

- Czemu nie prawisz mi kazań na temat moich grzechów? - zapytałem kiedyś żartobliwym tonem, kiedy przyjechałem po nią pod kościół. Roześmiała się.

110

- Nic mi nie wiadomo na ten temat, Frank - odparła. - Na pewno nie robisz nic złego, o czym bym nie wiedziała. Lubię cię takiego, jaki jesteś.

Zauważyłem, że z każdym naszym spotkaniem zbliżam się do niej coraz bardziej. Miała tak wiele zalet. Wydawała się uosobieniem kobiety, o której poślubieniu marzą mężczyźni: lojalna, o miłej powierzchowności, inteligentna, zrównoważona, rozsądna, urocza, no i nie paliła ani nie piła. Była jak placek z jabłkami, amerykańska flaga, marna, siostra i wiosna w postaci niewinnej dziewczyny.

- Rosalie, kocham cię - wyznałem jej pewnego wieczora. Skinęła głową.

- Ja też cię kocham, Frank - odparła cicho. - Może odwiedzimy moich rodziców i powiemy im o nas?

Jej rodzice mieszkali w Downey, na południe od Los Angeles. To była długa podróż, a po drodze zatrzymaliśmy się i wynajęliśmy pokój obok Pismo Beach. Spędziliśmy tam cudowną noc, podczas której Rosalie straciła dziewictwo. Naprawdę czułem się podle z tego powodu, ponieważ wiedziałem, że powinienem uszanować jej cnotę. Kiedy jechaliśmy jej samochodem, na co nalegała, ciągle ją przeproszałem.

Rosalie przytuliła się do mnie i uśmiechnęła.

- Przestań już przeproszać, Frank. Chciałam tego. A poza tym będziemy mieć dłuższą noc poślubną.

Jej rodzice byli bardzo sympatycznymi ludźmi. Przyjęli mnie serdecznie, a kiedy Rosalie powiedziała im, że mamy się zaimponować, byli wniebowzięci i pogratulowali nam z całego serca. Przez dwa dni nie rozmawialiśmy o niczym innym

poza planami ślubnymi, chociaż tak naprawdę nie poprosiłem Rosalie o rękę. Ale najwyraźniej przyjęli za pewnik, że tak było, i spodobałem im się.

Ale jak mogłem ją poślubić? Przecież myślała, że nazywam się Frank Williams i jestem pilotem linii Pan Am, mającym świetlaną przyszłość. Wiedziałem, że jeśli wzięlibyśmy ślub, nie mógłbym dalej udawać. Po pewnym czasie dowiedziałaby się, iż tak naprawdę nazywam się Frank Abagnale i jestem nastoletnim oszustem z zaszarganą przeszłością i nieuczciwymi planami na przyszłość. Powiedziałem sobie, że nie mogę jej tego zrobić.

A może jednak? Miałem osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce, co było całkiem pokaźną sumą jak na początek małżeństwa. Może Rosalie uwierzyłaby, że nie chcę już latać, że zawsze

111

chciałem założyć i prowadzić sklep z materiałami papierniczymi. Tak naprawdę nie chciałem, ale było to jedyne uczciwe zajęcie, na którym dobrze się znałem. Porzuciłem tę myśl. Nadal byłbym „Frankiem Williamsem”, a Franka Williamsa poszukiwała policja i FBI.

Miła wizyta zamieniła się dla mnie w prawdziwą gehennę. Czułem, że naprawdę kocham Rosalie i naprawdę chciałem się z nią ożenić, ale nie wiedziałem, jak mam to zrobić w takich okolicznościach.

A Rosalie myślała, że za mnie wyjdzie. Jej rodzice też tak myśleli. Uszczęśliwieni rzucili się w wir zajęć, ustalając datę ślubu za miesiąc, układając listę gości, planując przyjęcie weselne i zajmując się tym wszystkim, czym zajmują się rodzice i przyszła panna młoda. Brałem udział w wielu przygotowaniach, udając, że jestem szczęśliwy i nie mogę doczekać się dnia ślubu, ale gryzły mnie wyrzuty sumienia, palił wstyd i czułem się podle. Powiedziałem Rosalie i jej rodzicom, że moi rodzice pojechali na wakacje do Europy, toteż zgodzili się, że w takim razie trzeba poczekać ze wszystkim, dopóki stamtąd nie wrócą, co według mnie miało nastąpić za dziesięć dni.

- Jestem pewna, że twoja mama będzie chciała zająć się przygotowaniami, Frank - powiedziała moja przyszła teściowa.

- Na pewno - skłamałem, chociaż byłem pewien, że moja matka z pewnością chciałaby się zająć, ale mną.

Nie wiedziałem, co robić. Mieszkałem w domu Rosalie w pokoju gościnnym, a leżąc wieczorem w łóżku, słyszałem szepty jej rodziców, którzy spali w pokoju po przeciwnej stronie holu, i wiedziałem, że rozmawiają o tym, jakiego wspaniałego młodego człowieka poślubi wkrótce ich córka. Czułem się podle.

Pewnego popołudnia pojechaliśmy z Rosalie na przejażdżkę rowerami i dojechaliśmy do parku. Siedzieliśmy w cieniu ogromnego drzewa, a Rosalie, jak zwykle, trąkotała o naszej wspólnej przyszłości - gdzie będziemy mieszkać, ile będziemy mieć dzieci i tak dalej. Patrzyłem na nią, gdy mówiła, i nagle poczułem, że ona mnie zrozumie, że kocha mnie na tyle, żeby nie tylko mnie zrozumieć, ale też wybaczyć. Umiejętność współczucia była jedną z tych cech, które podobały mi się w niej najbardziej.

Położyłem jej delikatnie rękę na ustach.

- Rosalie - zacząłem zaskoczony swoim opanowaniem i spokojem. - Muszę ci o czymś powiedzieć i chciałbym, żebyś chociaż spróbowała mnie zrozumieć. Gdybym cię tak bardzo nie kochał, w ogóle nic bym ci nie powiedział, ponieważ jeszcze nikomu o tym nie mówiłem.

112

Ale tobie powiem, Rosalie, bo cię kocham i naprawdę chciałbym się z tobą ożenić. Rosalie, nie jestem pilotem Pan Am. Nie mam dwudziestu ośmiu lat. Tak naprawdę mam dopiero dziewiętnaście. Nie nazywam się Frank Williams, tylko Frank Abagnale. Jestem hochsztaplerem, Rosalie, oszustem i fałszerzem czeków i poszukuje mnie policja w całym kraju. Spojrzała na mnie zszokowana.

- Mówisz poważnie? - wydusiła w końcu. - Ale przecież poznałam cię na lotnisku. Masz licencję pilota. Widziałam ją! Masz identyfikator Pan Am. Byłeś w mundurze, Frank! Dlaczego mówisz mi takie rzeczy, Frank? Co się z tobą dzieje?

Zaśmiała się nerwowo.

- Stroisz sobie ze mnie żarty, Frank! Potrząsnąłem głową.

- Nie, Rosalie. Ja nie żartuję. Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą - odparłem i opowiedziałem jej całą swoją drogę z Bronksu do Downey. Mówiłem przez godzinę, obserwując jej wyraz twarzy i oczy, w których widziałem po kolei przerażenie, niedowierzanie, ból, rozpacz i żal, zanim wszystkie te uczucia zniknęły za ścianą płaczu.

Zanurzyła dłonie we włosach i zanosila się płaczem chyba całą wieczność. Potem wzięła ode mnie chusteczkę, wytarła oczy i twarz i wstała.

- Wracajmy do domu, Frank - powiedziała cicho.

- Jedź pierwsza, Rosalie - odparłem. - Zaraz do ciebie dołączę, ale potrzebuję побыć przez chwilę sam. Nie mów nic nikomu, dopóki nie wrócę. Chcę, żeby twoi rodzice dowiedzieli się o tym ode mnie. Obiecuj mi to, Rosalie.

Skinęła głową.

- Obiecuję, Frank. Do zobaczenia.

Odjechała urocza kobieta, która teraz wyglądała żałośnie. Wsiadłem na rower i jeździłem dookoła, rozmyślając. Rosalie niewiele powiedziała. A już z pewnością nie powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że mi wybacza i bez względu na wszystko weźmiemy ślub. Naprawdę nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myślała i jak zareaguje, kiedy pojawię się w jej domu. Czy w ogóle powinienem wracać? Zostawiłem u niej w domu jedynie trochę ubrań sportowych, kilka garniturów, bieliznę i zestaw do golenia. Swój mundur zostawiłem w pokoju motelu w San Francisco, a fałszywy identyfikator i licencję pilota miałem w kieszeni. Nigdy nie powiedziałem Rosalie, gdzie mieszkam. Zawsze dzwoniłem do niej i spotykaliśmy się u niej w domu. Kiedy raz zapytała mnie o to, odparłem, że

113

mieszkam w Alameda z kilkoma stukniętymi pilotami, którzy nie chcą mieć w mieszkaniu telefonu ani telewizora.

Ta odpowiedź chyba ją uspokoiła. Nie była wścibska i starała się brać ludzi takich, jacy są. Zresztą był to jeden z powodów, dla których lubiłem jej towarzystwo i umawiałem się z nią częściej, niż to czyniłem na ogół. Czuję się z nią bezpiecznie.

Ale w tamtej chwili wcale nie czułem się bezpiecznie i ogarnęły mnie wątpliwości, czy dobrze zrobiłem, przyznając się do wszystkiego. Zmusiłem się do tego, żeby odsunąć na bok wszelkie obawy. Po tym, co jej powiedziałem, mogła zrobić różne rzeczy, ale na pewno mnie nie zdradzi, wmawiałem sobie.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do niej i nie wybadać, co teraz do mnie czuje, ale postanowiłem spotkać się z nią osobiście i nakłonić ją do podjęcia decyzji. Podjechałem do jej domu od strony bocznej ulicy i tuż przed rogiem zatrzymałem się, zostawiłem rower i poszedłem wzdłuż płotu sąsiadów, dopóki nie zobaczyłem przez krzaki jej domu.

Przed domem Rosalie stał zaparkowany radiowóz z Los Angeles, a na podjeździe jakiś drugi samochód, który, chociaż nie oznakowany, wyraźnie wyglądał na samochód policyjny. Umundurowany policjant w radiowozie obserwował ulicę.

Moja urocza Rosalie doniosła na mnie.

Cofnąłem się do miejsca, w którym zostawiłem rower, i odjechałem w przeciwnym kierunku. Kiedy dotarłem do centrum miasta, porzuciłem rower i złapałem taksówkę na lotnisko w Los Angeles. W ciągu pół godziny siedziałem w samolocie lecącym do San Francisco.

Przez całą drogę dręczyło mnie niejasne przeczucie, które nie dawało mi spokoju, kiedy pakowałem się, płaciłem rachunek w motelu i jechałem z powrotem na

lotnisko. Kupiłem bilet do Las Vegas jako James Franklin i zostawiłem swoją barracadę na lotniskowym parkingu z kluczykami w stacyjce. Był to pierwszy z wielu samochodów, które kupiłem i porzuciłem.

W czasie lotu do Las Vegas nadal dręczyło mnie to dziwne uczucie. Nie był to smutek ani poczucie winy. Nie mogłem go nazwać, dopóki nie wysiadłem z samolotu w Nevadzie. Wtedy odkryłem, co to było.

Ulga. Byłem szczęśliwy, że Rosalie zniknęła z mojego życia! Ta konkluzja zadziwiła mnie, ponieważ jeszcze sześć godzin wcześniej rozpaczliwie szukałem sposobu, jak tu się z nią ożenić. Zaskoczony czy nie, nadal odczuwałem ulgę.

114

W Las Vegas byłem po raz pierwszy i to miasto okazało się dokładnie takie, a może nawet lepsze, niż je sobie wyobrażałem. W całym mieście panowała jakaś szalona, elektryzująca atmosfera, ulegali jej zarówno miejscowi, jak i turyści, którzy pędzili gdzieś gorączkowo w poszukiwaniu nie wiadomo czego. W porównaniu z tym miastem w Nowym Jorku panowała atmosfera błokiego spokoju. „Pogoń za hazardem - wyjaśnił taksówkarz, kiedy wspomniałem o atmosferze pośpiechu. - Wszyscy dali się na to złapać. Każdy chce zbić fortunę, a szczególnie szaraki. Przylatują tu samolotami albo przyjeżdżają dużymi gablotami i splukują się do reszty. W tym mieście wygrywają tylko właściciele kasyn. Wszyscy inni to przegrani. Niech pan mnie posłucha -jeśli chce się pan zabawić, to niech pan się zabawi z kociakami. Większość jest niewyżyta”.

Wynająłem apartament w motelu i zapłaciłem za dwa tygodnie z góry. Recepcjonista nie był zdziwiony, kiedy wyjąłem zwitek studolarówek, żeby zapłacić za pokój. Wkrótce zorientowałem się, że rulon banknotów w Las Vegas jest tym, czym drobne na prowincji.

Miałem zamiar zrobić sobie w Las Vegas jedynie przerwę na rekonwalescencję. Skorzystałem z rady taksówkarza i zacząłem zabawiać się z panienkami. Miał rację. Większość była rzeczywiście spragniona. Naprawdę wygłodzona. A w zasadzie umierała z głodu. Po tygodniu obcowania z tymi najbardziej wygłodniałymi poczułem się jak Mojżesz karmiący tłumy manną z nieba.

W każdym razie, jak napisano w Piśmie Świętym: „Kto daje ubogiemu - nie zazna biedy”.

Dokarmiłem wygłodniałą chłopczycę z basenu. Od trzech dni żywiła się darmowymi lunchami w kasynie, próbując jednocześnie skontaktować się z bratem w Phoenix, żeby poprosić go o pieniądze na bilet powrotny do domu.

- Przepuściłam wszystko - powiedziała ze smutkiem w głosie, pożerając ogromny stek ze wszystkimi dodatkami. - Wszystkie pieniądze, które ze sobą zabrałam, całą

forsę z konta, wszystko, co dostałam za biżuterię. Sprzedałam nawet swój bilet powrotny na samolot. Dobrze, że zapłaciłam za pokój z góry, bo pewnie spałabym teraz na dworcu. - Uśmiechnęła się wesoło. - Dobrze mi tak. Nigdy przedtem nie uprawiałam hazardu i wcale nie miałam zamiaru tego robić, kiedy tu przyjechałam. Ale to cholerne miejsce wciąga. - Popatrzyła na mnie podejrzliwie. - Mam nadzieję, że jesteś po prostu miły i dlatego postawiłeś mi obiad. Dziewczyny w tym mieście mają różne zagrania, ale ja nie jestem z tych.

115

Zaśmiałam się.

- Wyluzuj się. Wcale tak nie myślę. Wracasz do pracy w Phoenix? Skinęła głową.
- Mam taki zamiar, jeśli uda mi się skontaktować z braciszkiem. Jeśli nie wrócę do poniedziałku, to mogę stracić robotę.
- A co robisz? - zapytał. Wyglądała mi na sekretarkę.
- Jestem projektantką w firmie, która projektuje i drukuje czek - odparła. - W zasadzie uprawiam sztukę użytkową. To mała firma, ale robimy zamówienia dla kilku dużych banków i wielu innych firm.

Zaskoczyła mnie.

- A niech mnie - zaryzykowałam. - Brzmi interesująco. Opowiesz mi, jak to się robi?
- Zależy, czy projektujemy zwykłe czek, czy też wymyślne. Wiesz, takie z obrazkami, krajobrazami i w różnych kolorach. W przypadku zwykłych czeków sprawa jest prosta. Przyklejam czek na dużym kartonie według życzeń klienta, a potem fotografuję go aparatem I-Tek, zmniejszając go, a aparat robi odbitkę. Wkładamy odbitkę do małej maszyny i drukujemy czek w formie książeczek lub na luźnych kartkach papieru. Każdy potrafiłby to zrobić po niewielkim przeszkoleniu.

Miała na imię Pixie. Pochyliłem się do przodu i pocałowałem ją w czoło.

- Pixie, jak chciałabyś wrócić do domu dziś wieczór, samolotem? -zapytał.
- Żarty sobie ze mnie stroisz? - obruszyła się, patrząc na mnie nieufnie.
- Mówię poważnie - odparłem. - Jestem pilotem linii Pan Am. Co prawda nie latamy z Vegas, ale przysługuje mi lot za darmo. Mogę załatwić ci bilet do Phoenix w każdych liniach lotniczych, których samoloty latają na tej trasie. Będzie mnie to kosztowało tylko jedno niewinne kłamstwo. Powiem, że jesteś moją siostrą. Bez żadnych zobowiązań, dobra?
- Jasne, że tak - zgodziła się zachwycona i uściśniła mnie mocno. Kiedy się pakowała, kupiłem jej bilet i zapłaciłem za niego gotówką.

Zawiozłem ją na lotnisko, a kiedy wsiadała na pokład samolotu, wcisnąłem jej do ręki studolarówkę.

- Bez sprzeciwów - powiedziałem. - To pożyczka. Któregoś dnia wpadnę do ciebie, to mi oddasz.

Naprawdę pojechałem do Phoenix, ale nie miałem najmniejszego zamiaru jej szukać. Gdybym to zrobił, to musiałbym oddać jej pieniądze za to, że otworzyła mi drzwi do kopalni złota.

116

Nazajutrz namierzyłem hurtownię artykułów piśmienniczych.

- Myślę o założeniu małego sklepu papierniczego i punktu usług poligraficznych - powiedziałem sprzedawcy. - Ktoś mi poradził, że na początek powinien mi wystarczyć aparat I-Tek i mała prasa offsetowa i że używany sprzęt dobrej jakości byłby najpraktyczniejszy z ekonomicznego punktu widzenia.

Sprzedawca skinął głową.

- To prawda - przyznał. - Problem polega na tym, że trudno zdobyć używane aparaty I-Tek. Nie mamy ani jednego. Natomiast mamy w sprzedaży dobrą małą prasę offsetową, która była mało używana, i mogę panu dać na nią rabat, jeśli weźmie pan też nowy aparat I-Tek. Sprzedam panu oba urządzenia za osiem tysięcy.

Byłem trochę zaskoczony tą ceną, ale kiedy pokazał mi sprzęt i objaśnił, jak działa, osiem tysięcy wydało mi się śmieszną sumą za takie skarby. Aparat I-Tek jest po prostu fotoelektrycznym rytownikiem. Fotograficznie robi rycinę oryginalnej matrycy, która służy później do powielania. Tę lekką, giętką kliszę owija się następnie wokół walca prasy offsetowej i klisza drukuje się bezpośrednio na filcu drukarskim prasy, który z kolei powiela rycinę na papierze. Jak powiedziała Pixie, każdy potrafiłby to zrobić po niewielkim przeszkoleniu, a ja przeszedłem je na miejscu.

Aparat I-Tek i mała prasa, chociaż niezbyt ciężkie, miały spore rozmiary i niosło sieje nieporęcznie. W każdym razie nie były to rzeczy, z którymi można się włóczyć po całym kraju jak z bagażem podręcznym. Miałem zamiar zostać ich właścicielem tylko na pewien czas.

Znalazłem jakiś magazyn i wynająłem dobrze oświetlone pomieszczenie na miesiąc, płacąc z góry. Potem zdobyłem czek na osiem tysięcy wystawiony przez pewien bank i podpisany przez kasjera; aparat I-Tek oraz prasę przywiozłem do wynajętego pomieszczenia. Tego samego dnia zrobiłem rundkę po sklepach papierniczych i kupiłem wszystkie niezbędne materiały - deskę kreślarską, pisaki i ołówki, linijki, ostry nóż do papieru, litery i cyfry samoprzylepne, specjalny papier z niebieskiego i

zielonego kartonu, którego używa się do drukowania prawdziwych czeków na wydatki służbowe, i jeszcze parę innych rzeczy.

Nazajutrz zamknąłem się w swoim prowizorycznym warsztacie i wykorzystując różne materiały, zrobiłem faksymile podrobionego czeku Pan Am na wydatki służbowe, o wymiarach 40x60 cm, który do tej chwili podrabiałem ręcznie. Kiedy skończyłem, umieściłem swoje dzieło pod aparatem, ustawiłem skalę pomniejszenia na 9x19 cm i nacisnąłem przycisk.

117

Po kilku minutach zakładałem już kliszę na bęben prasy i drukowałem próbne kopie mojego wynalazku.

Byłem zaskoczony i zachwycony efektem swojej pracy. Dzięki pomniejszeniu zniknęły wszystkie niedociągnięcia i rozbieżności, jeśli chodzi o linie i krój liter, tak że nie można ich było rozpoznać gołym okiem. Wyciąłem jedną kopię z kartonu i obejrzałem dokładnie. Gdyby nie cztery gładkie krawędzie, mógłbym spokojnie pomyśleć, że trzymam w ręce prawdziwy czek!

Zrobiłem pięćset kopii fałszywych czeków, a następnie zamknąłem prasę offsetową i pozbyłem się jej razem z aparatem I-Tek. Wróciłem do hotelu, włożyłem mundur pilota, wsunąłem do płaszcza paczkę czeków i wyruszyłem, żeby zmierzyć się z tygrysem.

Tygrys okazał się dla mnie kociakiem. W ciągu tego popołudnia, w nocy i następnego dnia załatwiłem prawie sto kasyn, barów, moteli, klubów nocnych i innych siedlisk hazardu, a w Vegas prawie wszędzie można w coś zagrać. Automaty do gry stoją nawet w sklepach spożywczych. Wszyscy kasjerzy bez wahania realizowali moje lewe чеки. „Może pan spieniężyć mi ten czek i dać pięćdziesiąt dolarów w żetonach?” - pytałem i natychmiast dostawałem żetony i pozostałą kwotę w gotówce. Dla zachowania pozorów zwykle siedziałem w kasynie jakieś dwadzieścia do trzydziestu minut, grając przy stole, zanim uderzałem w kolejne miejsce i ku mojej uciechu w ten sposób jeszcze bardziej robiłem kasyna na szaro.

Zarobiłem 300 dolarów na automatach do gry. Wygrałem 1600 dolarów w blackjacka. Nie mając zielonego pojęcia, na czym polega gra w ruletkę, wygrałem 900 dolarów, a przy stołach do gry w kości zarobiłem 2100 dolarów. W sumie obrabowałem Las Vegas na 39000 dolarów! Wyjechałem z Nevady wynajętym cadillakiem, chociaż musiałem zostawić 1000 dolarów kaucji, bo powiedziałem, że będzie mi potrzebny na kilka tygodni.

Właściwie jeździłem nim prawie przez trzy miesiące. Zafundowałem sobie beztrudne wakacje, podróżując po północnym i środkowym zachodzie kraju i udając pilota na wakacjach, przedstawiałem się na przemian jako Frank Williams albo Frank

Adams. Nie chcąc zostawiać po sobie zbyt wyraźnych śladów, nie rozrzuciłem fałszywych czeków jak konfetti, ale zatrzymywałem się od czasu do czasu, żeby spieniężyć kilkadziesiąt z nich. Podjąłem 5000 dolarów w Salt Lake City, 2000 w Billings, 4000 w Cheyenne i naciągnąłem banki w Kansas City na 18000, zanim przyjechałem do Chicago, gdzie zaparkowałem cadillaca i poszedłem sobie.

Postanowiłem zaszyć się na jakiś czas w Chicago i zastanowić się poważnie nad swoją przyszłością,

118

a przynajmniej nad tym, gdzie ją spędzić. Znowu zaczęła mi chodzić po głowie myśl, żeby wyjechać z kraju. Niezbyt przejmowałem się swoim bezpieczeństwem, ale wiedziałem, że jeśli nadal będę działał w Stanach, to prędzej czy później mnie złapią. Oczywiście podstawowym problemem w wyjechaniu z kraju było zdobycie paszportu. Nie mogłem złożyć podania o paszport pod swoim prawdziwym nazwiskiem, ponieważ wygadałem się przed Rosalie i policja na pewno zdążyła już ustalić, że Frank Williams, Frank Adams i Frank Abagnale junior to jedna i ta sama osoba.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, krążąc po Chicago w poszukiwaniu jakiegoś lokum, ale jak się okazało, nie miałem zbyt wiele czasu na myślenie.

Wynająłem przyjemne mieszkanie przy Lakeshore Drive jako Frank Williams. Zrobiłem tak dlatego, że skończyły mi się чеки imienne, a zawsze lubiłem mieć dostęp do pieniędzy. W wielu motelach, jak się okazało, nie przyjmowano czeków firmowych, tylko чеки imienne do wysokości rachunku albo na sumę nie przekraczającą stu dolarów. Porzuciłem fałszowanie czeków imiennych jako źródło zarobku, ale nadal korzystałem z nich, płacąc za wynajęte pokoje. Nie chciałem wyklądać gotówki, jeśli mogłem załatwić sprawę jednym z moich wygodnych czeków.

W związku z tym tydzień po przyjeździe do Chicago wstąpiłem do jednego z miejscowych banków i otworzyłem rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy na pięćset dolarów. Przedstawiłem się jako pilot linii Pan Am i podałem adres firmy wysyłkowej w Nowym Jorku, do której zapisałem się niedawno jako subskrybent, żeby zatrzeć ślady.

- Chciałbym, żeby przesyłali moje чеки i wyciągi bankowe na ten adres - zwróciłem się do urzędnika, który zakładał mi konto, podając mu swój adres przy Lakeshore Drive. - Wie pan, chcę założyć tutaj konto, bo cały czas jestem służbowo w Chicago i wygodniej mi mieć konto w miejscowym banku.

Urzędnik zgodził się ze mną.

- Zacznie pan otrzymywać czeki za jakiś tydzień, panie Williams. Do tej pory może pan skorzystać z tych tymczasowych czeków - powiedział.

Umiejętność obserwacji. Powiedziałbym, że to bardzo cenna cecha u oszusta. Kiedy wszedłem do banku, zauważyłem bardzo ładną kasjerkę. Widziałem ją nadal oczyma wyobraźni nawet po wyjściu z banku, a kiedy myśli o niej nie dawały mi spokoju przez następnych kilka dni, postanowiłem się z nią umówić.

119

Parę dni później poszedłem do banku pod pretekstem dokonania wpłaty i wypełniałem stosowny formularz, kiedy moją uwagę przyciągnęło coś znacznie atrakcyjniejszego.

W lewym dolnym rogu formularza znajdowało się prostokątne okienko na numer konta deponenta. Nigdy go nie wypełniałem, ponieważ wiedziałem, że nie jest to wymagane. Kiedy kasjerka wkłada formularz do małego urządzenia, żeby wydrukować klientowi opieczetowany kwitek, maszyna jest tak zaprogramowana, że najpierw odczytuje numer konta. Jeśli numer jest wpisany, suma wpłaty zostaje automatycznie przelana na konto właściciela rachunku. Natomiast jeśli nie ma tego numeru, konto może i tak zostać zasilone na podstawie nazwiska i adresu, toteż tak naprawdę numer nie jest do niczego potrzebny.

Obok mnie siedział jakiś facet, który wypełniał formularz. Zauważyłem, że nie wpisał swojego numeru konta. Guzdrałem się w tym banku prawie przez godzinę, obserwując klientów, którzy przychodzili, żeby zdeponować gotówkę, czeki albo kwity poręczające kredyt. Żaden spośród dwudziestu klientów, jeśli nie więcej, nie wpisał numeru swojego konta.

Zapomniałem o dziewczynie. Ukradkiem wsunąłem do kieszeni plik formularzy wpłaty, wróciłem do mieszkania i używając samoprzylepnych cyfr przypominających wyglądem krój czcionki stosowanej na formularzach bankowych, wpisałem na każdym swój numer konta.

Następnego dnia rano wróciłem do banku i równie niepostrzeżenie położyłem plik formularzy wpłaty w przegródce na kupce pozostałych. Nie miałem pojęcia, czy moja sztuczka się uda, czy też nie, ale gra była warta świeczki. Cztery dni później wróciłem do banku i wpłaciłem 250 dolarów.

- Czy mogłaby mi pani przy okazji podać saldo? - zapytałem kasjerkę. - Zapomniałem zapisać sobie sumę czeków, którymi płaciłem w tym tygodniu.

Uczynna kasjerka zadzwoniła do działu księgowości.

- Saldo pańskiego konta, łącznie z dzisiejszą wpłatą, wynosi 42876 dolarów i 45 centów, panie Williams - odparła.

Tuż przed zamknięciem banku wróciłem tam i wypłaciłem czterdzieści tysięcy w czeku gotówkowym, wyjaśniając, że kupuję dom. Oczywiście nie kupiłem żadnego domu, ale z pewnością nabiłem sobie kabzę. Następnego dnia spieniężyłem czek w innym banku i po południu poleciałem do Honolulu, gdzie śliczna Hawajka powitała mnie pocałunkiem i nałożyła mi na szyję wieniec z kwiatów. Natomiast kiedy przyszło mi się odwdziaczyć, okazałem się podłym niewdzięcznikiem. W ciągu kolejnych dwóch tygodni nosiłem wieniec z fałszywych czeków wart trzydzieści osiem tysięcy dolarów,

120

spędziłem trzy dni, wieszając go na szyjach banków i hoteli w Oahu, Hawai, Maui i Kauai, a potem odleciałem do Nowego Jorku.

Byłem w Nowym Jorku po raz pierwszy od czasu, kiedy zacząłem uprawiać zawód oszusta, i kusilo mnie, żeby zadzwonić do rodziców, a może nawet się z nimi zobaczyć. Postanowiłem jednak tego nie robić zarówno ze wstydu, jak i innych powodów. Mógłbym powrócić do domu jako człowiek, który odniósł finansowy sukces przekraczający pojęcie mamy i taty, ale nie był to sukces, który by docenili albo zaakceptowali.

Zatrzymałem się w Nowym Jorku tylko na tak długo, by opracować nowy plan. Otworzyłem rachunek w jednym z oddziałów banku Chase Manhattan, a kiedy otrzymałem czeki na imię i nazwisko Frank Adams i na adres wynajętego mieszkania przy East Side, poleciałem do Filadelfii i rozejrzałem się po miejscowych bankach. Wybrałem bank, który miał całą przeszkloną ścianę frontową, dzięki której potencjalni klienci mogli przyjrzeć się temu, co działo się w środku. Urzędnicy bankowi, których biurka stały wzdłuż ściany, mieli stamtąd dobry widok na napływającą gotówkę.

Chciałem, żeby mój widok również był dla nich przyjemny, dlatego następnego dnia rano przyjechałem rolls-royce'em prowadzonym przez szofera, którego wynająłem specjalnie na tę okazję.

Kiedy szofer otwierał mi drzwi, dostrzegłem, że jeden z urzędników banku istotnie zauważył moje przybycie. Wszedłem do banku i skierowałem się prosto do niego. Ubrałem się jak przystało człowiekowi, który ma rollsa z szoferem. Miałem na sobie trzyczęściowy, szyty na miarę garnitur w kolorze perłowym, kapelusz filcowy za sto dolarów i buty z krokodylej skóry firmy Ballys. Wyraz oczu tego młodego bankiera powiedział mi, że mój strój został odebrany jako kolejna oznaka mojego bogactwa i władzy.

- Dzień dobry - powiedziałem energicznie, siadając przed jego biurkiem. - Nazywam się Frank Adams, spółka budowlana z Nowego Jorku. W ciągu tego roku będziemy

robić tutaj trzy projekty budowlane i chciałbym przelać trochę pieniędzy z mojego banku w Nowym Jorku. Chcę u was otworzyć rachunek.

- Oczywiście, proszę pana! - odparł entuzjastycznie, sięgając po jakieś formularze. - Czy chce pan przelać do nas wszystkie swoje fundusze?

- Jeśli ma pan na myśli moje osobiste konto, to tak - powiedziałem. -

121

Na razie nie jestem pewien co do pieniędzy firmowych. Muszę się bliżej przyjrzeć tym projektom, ale w każdym razie będziemy chcieli wpłacić tu pokaźną sumę.

- Jeśli chodzi o pana osobiste konto, panie Adams, to wystarczy, że wypisze mi pan czek na sumę do wysokości pańskiego salda w banku nowojorskim, a tam już zlikwidują konto.

- To wszystko? - zapytałem, udając zdziwienie. - Nie wiedziałem, że to takie proste.

- Wyjąłem książeczkę czekową z wewnętrznej kieszeni marynarki i trzymając ją tak, żeby nie mógł jej obejrzeć, zacząłem wodzić palcem po rzekomej kolumnie cyfr, mamrocząc pod nosem. Potem spojrzałem na niego. - Czy mogę skorzystać z kalkulatora? Wypisałem wczoraj kilka czeków, a nie jestem zbyt dobry w dodawaniu w pamięci.

- Oczywiście - odparł i odwrócił kalkulator, tak żebym mógł z niego skorzystać. Wpisałem kilka cyfr, a potem skinąłem głową.

- Obliczyłem, że moje saldo wynosi 17876,28 dolarów i jestem pewien, że się nie mylę - powiedziałem. - Ale może założymy rachunek na 17000. Będę bywał od czasu do czasu w Nowym Jorku i chciałbym mieć jakąś niewielką sumę na koncie.

Wypisałem mu czek na siedemnaście tysięcy i podałem dane niezbędne do otwarcia rachunku. Podałem adres hotelu, w którym się zameldowałem.

- Zatrzymam się tam, dopóki nie znajdę odpowiedniego mieszkania albo domu do wynajęcia - wyjaśniłem.

Młody bankier skinął głową.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie może pan wypisywać żadnych czeków na ten rachunek, dopóki pański czek nie zostanie rozliczony w Nowym Jorku. Nie powinno to potrwać dłużej niż cztery czy pięć dni, ale gdyby w tym czasie potrzebował pan pieniędzy, proszę się do mnie zgłosić, a ja się tym zajmę. Tutaj są na wszelki wypadek tymczasowe чеки.

Potrząsnąłem głową.

- To bardzo miło z pańskiej strony, ale przewidziałem to opóźnienie - odparłem. - Mam pod dostatkiem pieniędzy na własne potrzeby.

Wymieniłem z nim uścisk ręki i wyszedłem. Tej samej nocy poleciałem do Miami i następnego dnia po południu pojawiłem się przed wejściem następnego banku z przeszklonym frontem, znowu w rollsie, ale tym razem bez szofera, ubrany swobodnie, acz kosztownie. Kiedy wchodziłem do banku, spojrzałem na zegarek. Bank w Filadelfii mieli zamknąć za pół godziny.

122

Kiedy wszedłem do holu, przywitała mnie uderzająco piękna i elegancko ubrana kobieta, która zauważyła mój przyjazd.

- Czy mogę w czymś pomóc, proszę pana? - zapytała z uśmiechem. Po bliższym przyjrzeniu wydała mi się starsza, niż myślałem, ale nadal ponętna.

- Chyba tak - przyznałem, odwzajemniając jej uśmiech. - Ale myślę, że wolałbym porozmawiać z dyrektorem banku.

W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

- Ja jestem dyrektorem tego banku - powiedziała ze śmiechem. - A teraz w czym mogę panu pomóc? Z pewnością nie wygląda pan na kogoś, kto chciałby wziąć kredyt.

Rozłożyłem ręce udając, że się poddam.

- Nie, nic w tym rodzaju - odparłem. - Nazywam się Frank Adams i jestem z Filadelfii. Od lat rozglądam się po Miami za jakimś domem na lato. No i dzisiaj trafiłem na fantastyczną ofertę, dom na barce w pobliżu Biscayne Bay, ale facet chce, żebym wpłacił mu piętnaście tysięcy zaliczki dzisiaj do siedemnastej. Nie chce przyjąć czeku, a ja nie mam tutaj konta. Zastanawiam się, czy nie dałoby się zrobić tak, że wypisałbym czek na mój bank w Filadelfii, a pani wydałaby mi czek gotówkowy na sumę piętnastu tysięcy? Wiem, że będzie pani musiała skontaktować się z moim bankiem, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mam te pieniądze, ale gotów jestem zwrócić koszty. Naprawdę zależy mi na tym domu. Mam zamiar mieszkać tam przez połowę roku. - Przerwałem, patrząc na nią błagalnie.

Uroczo zacisnęła usta.

- Proszę mi podać nazwę pańskiego banku w Filadelfii i numer konta - powiedziała. Podałem jej nazwę banku, numer telefonu i numer rachunku. Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Filadelfii.

- Proszę z działem księgowości - poprosiła, kiedy uzyskała połączenie. A potem powiedziała: - Tak, mam tutaj czek wystawiony na rachunek numer 505-602, pan Frank Adams, na sumę piętnastu tysięcy dolarów. Proszę mi to sprawdzić.

Wstrzymałem oddech, gdy nagle zauważyłem krzepkiego strażnika, który stał w rogu holu. Wiedziałem z własnego doświadczenia, że urzędnicy w działach księgowości

bankowej, jeśli poprosi się ich o potwierdzenie wiarygodności czeku, rzadko sprawdzają saldo. Miałem nadzieję, że i tym razem tak będzie. Bo jeśli nie, to mogłem jedynie liczyć na to, że strażnik bankowy jest kiepskim strzelcem.

123

Usłyszałem, jak mówi:

- Dobrze, dziękuję - po czym odłożyła słuchawkę i popatrzyła na mnie z ciekawością. - Powiem ci coś, Franku Adamsie - powiedziała, znowu czarując się uśmiechając. - Przyjmę pański czek, jeśli przyjmie pan zaproszenie na przyjęcie, które dzisiaj organizuję. Brakuje mi przystojnych i zniewalających mężczyzn. Co pan na to?

- Umowa stoi - odrzekłem, odwzajemniając uśmiech, i wypisałem czek na bank w Filadelfii na piętnaście tysięcy, otrzymując w zamian czek gotówkowy.

Poszedłem na to przyjęcie. To była fantastyczna balanga. A pani dyrektor była fantastyczną kobietą- pod więcej niż kilkoma względami.

Nazajutrz rano spieniężyłem czek, zwróciłem rollsa i złapałem samolot do San Diego. W czasie lotu kilka razy pomyślałem o tej kobiecie i przyjęciu, i prawie wybuchnąłem śmiechem, kiedy przyszła mi do głowy pewna myśl.

Byłem ciekaw, jak zareaguje, kiedy dowie się, że tego samego dnia zaprosiła mnie na dwa przyjęcia, z których jedno było naprawdę kosztownym balem.

ROZDZIAŁ siódmy.

Ryzykowna gra.

Miałem plan działania na każdą okazję, a czasami nawet przepuszczałem okazje. Przystosowałem system bankowości amerykańskiej do swoich wymagań i odprowadzałem pieniądze ze skarbców bankowych niczym szop wypijający jajka. Kiedy pod koniec 1967 roku przekroczyłem granicę z Meksykiem, miałem nielegalne aktywa w wysokości prawie pół miliona dolarów, a kilkudziesięciu urzędników bankowych musiało za to odpokutować.

W zasadzie całkowicie opanowałem zonglerkę liczbami. Grałem nimi niczym pokerzysta znaczną talią. Wystarczy spojrzeć na jeden z czeków imiennych. W prawym górnym rogu jest numer czeku, prawda? To prawdopodobnie jedyny numer, na który zwraca się uwagę, i to pod warunkiem, że ktoś prowadzi dokładny rejestr dokumentów płatniczych. Na ogół ludzie nie znają nawet numeru swojego konta, a

większość pracowników banków umie odcyfrować numery kodu banku, które są wypisane wzdłuż jego dolnej krawędzi, jednak niewielu dokładnie przygląda się czekowi.

W latach 60. środki bezpieczeństwa w bankach były dość słabe, przynajmniej ja je tak postrzegałem. Znałem z własnego doświadczenia sytuację, kiedy na przykład przedstawiałem czek imienny wystawiony na jakiś bank w Miami, powiedzmy w innym miejscowym banku, a jedynym środkiem bezpieczeństwa, jaki podjęła kasjerka, było obejrzenie numeru

125

w prawym górnym rogu czeku. Im wyższy był ten numer, tym łatwiej przyjmowano ode mnie czek. Kasjerka tłumaczyła sobie tak: „Aha, numer czeku 2876 - ludzie, ten facet należy do naszego banku kawał czasu. Czek musi być w porządku”.

No więc jestem sobie w jakimś mieście na wschodnim wybrzeżu, na przykład w Bostonie, otwieram konto na dwieście dolarów w Bean State Bank jako Jason Parker, posługując się adresem pensjonatu. W ciągu kilku dni otrzymuję dwieście czeków imiennych, które są ponumerowane kolejno od 1 do 200 w prawym górnym rogu, w lewym rogu mają wpisane nazwisko i adres, no i oczywiście rząd jakichś małych cyferek wzdłuż dolnej krawędzi po lewej stronie. Numer seryjny rozpoczyna się od cyfr 01, ponieważ Boston należy do Pierwszego Okręgu Banku Rezerwy Federalnej.

Najlepsi złodzieje bydła na Dzikim Zachodzie byli ekspertami w znakowaniu bydła i jego podrabianiu. Ja byłem ekspertem w rozpoznawaniu numerów czeków i ich fałszowaniu przy użyciu samoprzylepnych cyfr i numerków z taśmy magnetycznej.

Z czeku numer 1 zrobiłem czek numer 3100, a numer seryjny przy dolnej krawędzi zaczynał się od cyfr 12. Poza tym czek wyglądał tak samo.

Następnie poszedłem do Rolniczej Kasy Oszczędnościowej, która ma swoją siedzibę jakieś tysiąc pięćset metrów od Bean State Bank.

- Chciałbym otworzyć rachunek oszczędnościowy - powiedziałem do urzędnika, który mnie przywitał. - Moja żona mówi, że trzymamy za dużo pieniędzy na rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowym.

- Dobrze, ile chciałby pan wpłacić? - zapytał on czy ona. Powiedzmy, że to był on. Wśród urzędników bankowych jest tyle samo gamoni płci żeńskiej co płci męskiej.

- Myślę, że sześć pięćset - odparłem, wypisując czek na Rolniczą Kasę Oszczędnościową. Kasjer bierze czek i rzuca okiem na numer w prawym górnym rogu. Zauważyła też, że czek jest wystawiony na Bean State Bank. Uśmiecha się. - W porządku, panie Parker. Pieniądze będzie pan mógł podjąć za trzy dni. Musimy

zaczekać na rozliczenie czeku, a ponieważ jest to czek na miejscowy bank, zajmie to tylko trzy dni.

- Rozumiem - powiedziałem. - Zaczekam. - Zdążyłem już sprawdzić, że taki jest czas oczekiwania na uruchomienie konta wprowadzony przez instytucje oszczędnościowo-pożyczkowe dla czeków wystawionych na miejscowe banki.

Czekam sześć dni i szóstego dnia rano wracam do Rolniczej Kasy Oszczędnościowej.

126

Ale tym razem celowo szukam innego kasjera. Wręczam mu swoją książeczkę oszczędnościową.

- Chciałbym wypłacić pięć i pół tysiąca - mówię. Gdyby kasjer zapytał, dlaczego aż tyle, powiedziałbym, że kupuję dom albo podałbym równie prawdopodobną przyczynę. Ale niewielu urzędników kas oszczędnościowo-pożyczkowych wnika w sprawy osobiste klientów.

W każdym razie ten nie wnikał. Sprawdził kartotekę mojego rachunku. Konto zostało założone sześć dni wcześniej. Najwyraźniej czek został rozliczony. Oddał mi książeczkę wraz z czekiem gotówkowym na pięć tysięcy pięćset dolarów.

Zrealizowałem go w Bean State Bank i wyjechałem z miasta... zanim mój czek na sześć tysięcy pięćset odesłano z Los Angeles, gdzie skierował go system komputerowy banku rozrachunkowego.

Zainwestowałem w nowy aparat I-Tek i prasę drukarską i powtórzyłem ten sam numer z czekami Pan Am na wydatki służbowe. Sfałszowałem różne partie czeków do użytku w różnych częściach kraju, chociaż wszystkie były rzekomo płacone przez bank Chase Manhattan w Nowym Jorku.

Nowy Jork należy do Drugiego Okręgu Banku Rezerwy Federalnej. Legalne чеки płacone przez banki w Nowym Jorku mają zawsze numery seryjne zaczynające się od cyfr 02. Ale wszystkie fałszywe чеки, którymi się posługiwałem na wschodnim wybrzeżu czy też w północno-wschodnich i południowo-wschodnich stanach, były najpierw przesyłane do San Francisco albo Los Angeles. Natomiast чеки, które wprowadzałem w obieg na południowym zachodzie, północnym wschodzie i na zachodnim wybrzeżu, były kierowane najpierw do Filadelfii, Bostonu albo do innego miasta na drugim końcu kraju.

Moja gra w numery była doskonałym systemem odciągającym uwagę okradanego i pozwalającym złodziejowi na ucieczkę. Miałem zawsze tydzień na to, żeby się ulotnić, zanim psy zwęszyły trop. Później dowiedziałem się, że byłem pierwszym fałszerzem czeków, który podrabiał numery seryjne. Zapędziłem bankierów w kozi

róg. Nie mieli zielonego pojęcia, co u licha się dzieje. Teraz już wiedzą i zawdzięczają to mnie.

Działalem według swoich schematów nawet w godzinach nadliczbowych, na terenie całego kraju, aż doszedłem do wniosku, że zapędziłem się za daleko i przestaję nad tym panować. Musiałem wyjechać z kraju. Zdobyciem paszportu mogłem się równie dobrze, jak w Richmond czy Seattle, martwić w Meksyku, ponieważ przy wjeździe do Meksyku potrzebowalem tylko wizy.

127

Zdobyłem ją w konsulacie meksykańskim w San Antonio, podając się za Franka Williamsa, pilota Pan Am, który leci służbowo do Mexico City samolotem linii Aero-Mexico.

Nie zabrałem ze sobą wszystkich dochodów z mojego przestępczego procederu. Jak pies, który ma dostęp do pudła z kośćmi u rzeźnika i szesnastu hektarów pola, zakopałem swój łup na terenie całych Stanów Zjednoczonych, umieszczając stopy pieniędzy w sejfach bankowych od wschodniego do zachodniego wybrzeża i od Rio Grandę po granicę z Kanadą.

Oczywiście zabrałem ze sobą do Meksyku jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ukrywając je w cienkich plikach w podszewce walizek i marynarek. Dobry celnik szybko znalazłby pieniądze, ale ja nie musiałem przechodzić przez kontrolę celną. Miałem na Sobie mundur pilota Pan Am i byłem z załogą linii Aero-Mexico.

Siedziałem w Mexico City przez tydzień. Potem poznałem stewardesę Pan Am, która spędzała pięciodniowy urlop w Meksyku, i przyjąłem jej zaproszenie na weekend w Acapulco. Kiedy samolot uniósł się w powietrze, nagle jęknęła i zakłęta.

- Co się stało? - zapytałem zaskoczony takimi słowami padającymi z tak czarujących ust.

- Miałam zrealizować swój czek z wypłatą na lotnisku - powiedziała. - Mam w portfelu dokładnie trzy pesos. No cóż, mam nadzieję, że przyjmą mi ten czek w hotelu.

- Mogę ci go zrealizować, jeśli to niezbyt duża suma - zaproponowałem. - Dzisiaj wieczór muszę wysłać swój na depozyt czekowy i mogę ci go spieniężyć w swoim banku. Jaka to kwota?

Naprawdę nie zależało mi na pieniądzach. Prawdziwy czek Pan Am! Chciałem go mieć. Dostałem go za 388 dolarów 15 centów i szybko schowałem. Nigdy nie zrealizowałem tego czeku, chociaż dzięki niemu zarobiłem prawdziwą fortunę.

Podobało mi się w Acapulco. Roilo się tam od pięknych ludzi, z których większość była sławna lub bogata, a czasami i jedno, i drugie. Zatrzymaliśmy się w hotelu

uczęszczanym przez załogi linii lotniczych, ale ani razu nie poczułem się zagrożony. Acapulco nie jest miejscem, w którym rozmawia się o sprawach zawodowych.

Pozostałem tam dotąd, aż moja stewardesa wróciła do swojej bazy w Miami. Zaprzyjaźniłem się z dyrektorem hotelu na tyle, że postanowiłem wybadać go na temat swojego problemu.

128

Kiedyś przyłączył się do mnie, kiedy jadłem kolację, a ponieważ był w wyjątkowo dobrym nastroju, postanowiłem spróbować.

- Pete, wpakowałem się w kabałę - zagałem.
- Co się, u licha, stało? - wykrzyknął zmartwionym głosem.
- Sprawa wygląda tak - zacząłem. - Właśnie dzwonił do mnie mój szef z Nowego Jorku. Chce, żebym poleciał jutro po południu z Mexico City do Londynu i zastąpił pilota, który zachorował.

Peter się uśmiechnął.

- I to ma być problem? Chciałbym mieć takie problemy jak ty. Potrząsnąłem głową.
- Kłopot w tym, Pete, że nie mam ze sobą paszportu. Zostawiłem go w Nowym Jorku, a powinienem go mieć przy sobie cały czas. Nie dam rady wrócić do Nowego Jorku po paszport i dostać się na czas do Londynu. A jeśli szef dowie się, że nie mam przy sobie paszportu, wyleje mnie z roboty. Co ja, do cholery, mam teraz zrobić, Pete?

Peter zagwizdał.

- Taak, naprawdę masz problem, co? - Zamyślił się głęboko, po czym pokiwał głową. - Nie wiem, czy to wypali, ale słyszałeś kiedyś o Kitty Corbett?

Nie słyszałem i tak też odpowiedziałem.

- Pisze o sprawach Meksyku, dama w podeszłym wieku. Mieszka tu od jakiś dwudziestu albo nawet trzydziestu lat i jest osobą powszechnie szanowaną. Mówi się, że bywa w pałacu prezydenckim w Meksyku, a nawet w Białym Domu. Myślę, że to prawda. - Uśmiechnął się pod nosem. - Wygląda na to, że właśnie siedzi przy tym stoliku koło okna. Wiem, że matkuje wszystkim amerykańskim włóczęgom, jeśli tylko ją na to naciągną, i uwielbia robić przysługi wszystkim, którzy zwrócą się do niej z jakąś prośbą. Myślę, że dzięki temu czuje się jak królowa matka. W każdym razie podejźmy do niej, postawmy jej drinka, powiedzmy jej kilka komplementów i trochę się pożalmy. Może ona znajdzie jakieś rozwiązanie.

Kitty Corbett była wytworną starszą panią. I do tego bystrą. Po paru minutach uśmiechnęła się do Petera.

- Dobra, panie oberzysto, co się stało? Nigdy nie przysiadasz się do mnie bez powodu. Co cię trapi tym razem?

Peter rozłożył ręce i roześmiał się.

- Nic nie potrzebuję, słowo! Ale Frank ma kłopot. Mów, o co chodzi, Frank.

129

Opowiedziałem jej praktycznie tę samą historyjkę co Peterowi, tylko że bardziej ją udramatyzowałem. Kiedy skończyłem, spojrzała na mnie.

- Widzę, że ten paszport jest ci naprawdę potrzebny. Problem polega na tym, że już jeden masz. Tylko że nie tam, gdzie potrzeba. Wiesz, że nie możesz mieć dwóch paszportów. To niezgodne z prawem.

- Wiem - odparłem, krzywiąc się. - Też mnie to martwi. Ale nie mogę stracić tej pracy. Może minąć sporo czasu, zanim uda mi się zatrudnić w jakichś innych liniach lotniczych, jeśli w ogóle się uda. Czekałem na przyjęcie do pracy w Pan Am aż trzy lata - przerwałem i potem wykrzyknąłem: - Zawsze marzyłem tylko o tym, żeby latać odrzutowcami pasażerskimi!

Kitty Corbett pokiwała głową ze współczuciem i pogrążyła się w myślach. Potem zacisnęła usta.

- Pete, podaj mi telefon.

Peter dał znak kelnerowi, który przyniósł telefon i podłączył go do gniazdka w ścianie obok. Kitty Corbett wzięła telefon, podniosła słuchawkę i zaczęła rozmawiać z telefonistką po hiszpańsku. Trwało to kilka minut, ale w końcu połączono ją z tym, z kim chciała rozmawiać.

- Sonja? Mówi Kitty Corbett - zaczęła. - Posłuchaj, mam do ciebie prośbę... - Po czym opowiedziała ze szczegółami moje perypetie, a następnie słuchała odpowiedzi z drugiej strony.

- Ja to wszystko wiem, Sonju - powiedziała. - I już wymyśliłam rozwiązanie. Po prostu wydajcie mu paszport tymczasowy, tak jak w sytuacji, gdyby normalny został zagubiony lub ukradziony. U licha, jak wróci do Nowego Jorku, może przecież podrzeć ten tymczasowy albo stary i załatwić sobie nowy.

Słuchała odpowiedzi przez jakąś minutę, po czym zasłoniła ręką słuchawkę i popatrzyła na mnie.

- Nie masz przypadkiem ze sobą aktu urodzenia, co?

- Mam. Noszę go w portfelu. Jest trochę zniszczony, ale czytelny. Kitty Corbett skinęła głową i znowu zwróciła się do swojej rozmówczynie.

- Sonju, on ma akt urodzenia... Myślisz, że da się to załatwić? Wspaniale! Jesteś kochana i jakoś ci się odwdzięczę. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

- No cóż, Frank, jeśli uda ci się dotrzeć do konsulatu amerykańskiego w Mexico City do jutra do dziesiątej rano, Sonja Gundersen, wicekonsul, wyda ci paszport tymczasowy.

130

Swój zgubiłeś, pamiętasz o tym? Ale jeśli powiesz o tym komukolwiek, zamorduję cię.

Ucałowałem ją i zamówiłem butelkę najlepszego szampana. Nawet sam wypilem kieliszek. Potem zadzwoniłem na lotnisko i dowiedziałem się, że samolot odlatuje za godzinę. Zarezerwowałem bilet i zwróciłem się do Petera.

- Posłuchaj, zostawię tu trochę moich rzeczy. Nie mam czasu, żeby się spakować. Każ to komuś spakować i przechowaj mi w swoim biurze, a ja odbiorę rzeczy za kilka tygodni, może wcześniej. Spróbuję w drodze powrotnej zahaczyć o Acapulco.

Włożyłem do jednej z walizek mundur, jeden garnitur i pieniądze. Peter zamówił mi taksówkę, kiedy zszedłem do holu. Naprawdę polubiłem tego faceta i chciałem mu się jakoś odwdzięczyć.

Wymyśliłem sposób. Odpaliłem mu jeden z moich fałszywych czeków. Wypisałem go na hotel, którego był dyrektorem.

Kolejny zrealizowałem na lotnisku, tuż przed wejściem na pokład samolotu do Mexico City. Kiedy przyleciałem do miasta, przebrałem się w mundur pilota, umieściłem torbę w schowku na lotnisku i o dziewiątej 45 pojawiłem się w biurze panny Gundersen.

Sonja Gundersen była rzeczową, energiczną blondynką, która nie traciła czasu.

- Proszę mi dać akt urodzenia.

Wyjąłem dokument z portfela i podałem jej. Przejrzała go i popatrzyła na mnie.

- Wydawało mi się, że Kitty powiedziała, iż nazywa się pan Frank Williams. Tu jest napisane, że nazywa się pan Frank W. Abagnale junior.

Uśmiechnąłem się.

- Dokładnie. Frank William Abagnale junior. Zna pani Kitty. Wypiła wczoraj trochę za dużo szampana. Swoim przyjaciółom też przedstawiała mnie jako Franka Williama. Ale myślałem, że pani podała moje pełne imię i nazwisko.

- Może i tak - zgodziła się panna Gundersen. - Słyszałam co drugie słowo. To te cholerne meksykańskie telefony. W każdym razie bez wątplenia jest pan pilotem Pan Am, a Frank William to część pana nazwiska, więc musi to być prawda.

Zgodnie z instrukcją wcześniej zrobiłem sobie dwa zdjęcia paszportowe. Dałem je pannie Gundersen i piętnaście minut później wyszedłem z konsulatu z paszportem tymczasowym w kieszeni.

131

Wróciłem na lotnisko, przebrałem się w garnitur i kupiłem bilet do Londynu na samolot British Overseas Airways, płacąc gotówką.

Usłyszałem, że lot będzie opóźniony i samolot na pewno nie wystartuje przed dziewiętnastą.

Przebrałem się z powrotem w swój mundur pilota i spędziłem sześć godzin, tapetując Mexico City swoimi ozdobnymi czekami bez pokrycia. Kiedy odlatywałem do Londynu, wzbogaciłem się o sześć tysięcy pięćset dolarów, a meksykańscy federales dołączyli do pościgu, który deptał mi po piętach.

W Londynie zameldowałem się w hotelu Royal Gardens w Kensington pod nazwiskiem F.W. Adams, przedstawiając się jako pilot linii TWA przebywający na urlopie. Użyłem innego pseudonimu, zakładając, że londyńska policja wkrótce otrzyma zapytanie o Franka W. Abagnale'a juniora, znanego również jako Frank Williams, byłego pilota Pan Am.

Zatrzymałem się w Londynie tylko przez kilka dni. Zacząłem odczuwać presję, to samo prześladowało mnie w Stanach. W Londynie uświadomiłem sobie, że wyjazd z kraju nie rozwiązał moich problemów, że oficerowie Scotland Yardu i policja meksykańska działali w tej samej branży co gliny w Nowym Jorku i Los Angeles - ścigali oszustów. A ja byłem oszustem.

Mając tę świadomość i małą fortunę w gotówce, którą ukryłem w różnych miejscach, powinienem żyć cicho i spokojnie pod przybranym nazwiskiem w jakimś mało znanym miejscu za granicą. Co prawda zdawałem sobie sprawę z zalet takiego rozwiązania, ale rozważa nie należała do moich najmocniejszych stron.

Teraz widzę, że w zasadzie nie potrafiłem mądrze oceniać sytuacji, wiedziony wewnętrznym przymusem, którego nie kontrolowałem. Żyłem, racjonalizując swoje działania: byłem poszukiwany, ścigała mnie policja, ergo policjanci byli złymi ludźmi. Musiałem kraść, żeby przeżyć i sfinansować swoją nieustanną ucieczkę przed złymi ludźmi, a co za tym idzie, miałem słuszne powody, żeby korzystać z nielegalnych środków wsparcia. W związku z tym po niecałym tygodniu spędzonym w Londynie zarzuciłem Piccadilly moimi małymi arcydziełami i odleciałem do

Paryża wielce zadowolony ze swojego irracjonalnego usprawiedliwienia, że po raz kolejny musiałem uciec się do oszustwa w samoobronie.

Psychiatra miałby zupełnie inny pogląd na moje zachowanie. Powiedziałby z pewnością, że chciałem dać się złapać. Tymczasem policja brytyjska zaczęła gromadzić akta na mój temat.

132

Być może chciałem, żeby mnie złapali. Niewykluczone, że nieświadomie szukałem pomocy, a moja podświadomość podpowiadała mi, że mogłem ją uzyskać od władz, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Miałem jednak świadomość tego, że kręcę się na szalonej karuzeli, która wpadła w niepohamowany wir, i nie potrafię z niej wysiąść, a jednocześnie wcale nie chciałem, żeby policja ją zatrzymała.

Po niecałych trzech godzinach pobytu w Paryżu poznałem Monique Lavalier i wdałem się z nią w romans, który nie tylko otworzył przede mną nowe perspektywy oszustwa, ale ostatecznie miał również doprowadzić do zniszczenia mojego źródła utrzymania. Patrząc na to z perspektywy czasu, mam wobec Monique dług wdzięczności. Linie Pan Am również są jej dłużnikiem, chociaż kilku urzędników tej firmy mogłoby mieć na ten temat inne zdanie.

Monique pracowała jako stewardesa w Air France. Spotkałem ją w barze hotelu Windsor, gdzie wraz z kilkudziesięcioma kolegami i koleżankami z pracy urządzali przyjęcie na cześć kapitana, który odchodził na emeryturę. Jeśli nawet poznałem tego szacownego jubilata, to go sobie nie przypominam, ponieważ zostałem zahipnotyzowany przez Monique. Uderzała do głowy niczym szampan, który tam podawano. Na przyjęcie zaprosił mnie jakiś pierwszy oficer z Air France, który spotkał mnie ubranego w mundur Pan Am, kiedy dopełniałem formalności w rejestracji. Natychmiast mnie zaczepił, zaciągnął do baru, a kiedy przedstawił mnie Monique, moje protesty gdzieś się ulotniły.

Miała urok i wszystkie zalety Rosalie, i brakowało jej zahamowań. Najwyraźniej zaintrygowałem Monique tak samo, jak ona mnie, ponieważ w trakcie mojego pobytu w Paryżu i kolejnych wizyt byliśmy nierozłączni. Monique, jeśli nawet myślała o tym, żeby wyjść za mnie za mąż, nigdy nie wspomniała na ten temat ani słowem, ale za to już po trzech dniach naszej znajomości przedstawiła mnie swojej rodzinie. Lavalierowie byli czarującymi ludźmi, a mnie szczególnie zaintrygował papa Lavalier. Był drukarzem, właścicielem małej drukarni akcydensowej na przedmieściach Paryża. Nagle przyszła mi do głowy myśl, żeby ulepszyć swoją taktykę fałszowania czeków, włączając do niej podrobione blankiety rachunków Pan Am.

- Wie pan, mam trochę znajomości w biurze Pan Am - powiedziałem niby od niechcenia w czasie lunchu. - Może mógłbym panu załatwić jakieś zlecenia.

Papa Lavalier cały się rozpromienił.

133

- Doskonale, doskonale! - wykrzyknął. - Zrobimy wszystko, co będzie trzeba, postaramy się i wykonamy, i będziemy bardzo wdzięczni, monsieur. - Monique pełniła funkcję tłumacza, ponieważ nikt z jej rodziny nie znał ani słowa po angielsku. Tego samego popołudnia ojciec Monique zabrał mnie na wycieczkę do swojej firmy, którą prowadził razem z dwoma synami. Pracował u niego jeszcze jakiś młody mężczyzna, który jak Monique mówił łamaną angielszczyzną, ale papa Lavalier zapewnił mnie, że on i jego synowie osobiście wykonują wszystkie zlecenia i mogą być pewien jakości ich usług.

- Cokolwiek chciałbyś wydrukować po angielsku, mój tata i bracia to zrobią - powiedziała Monique z dumą. - Są najlepszymi drukarzami w całej Francji.

Nadal miałem prawdziwy czek Pan Am na wypłatę pensji, który dostałem od stewardesy. Kiedy dokładnie mu się przyjrzałem, uderzyła mnie różnica między moją autorską wersją czeku a tym, jak wyglądał w rzeczywistości. Oczywiście moje podrobki były imponujące, w innym wypadku nie zdołałbym zrealizować tak wielu, ale kiedy położyłem jeden z nich obok prawdziwego czeku Pan Am, to aż rzucało się w oczy, że jest sfałszowany. Miałem sporo szczęścia, że udało mi się spieniężyć tyle swoich arcydzieł. Najwyraźniej kasjerzy, którzy je przyjmowali, nigdy nie mieli w ręce prawdziwego czeku Pan Am.

Przyszło mi jednak na myśl, że чеки Pan Am mogły być bardzo znane w bankach europejskich, ponieważ firma działała równie prężnie za granicą. Pomyślałem o tym już w Londynie, kiedy w jednym z banków, które naciągnąłem, kasjer zaczął się zbyt uważnie przyglądać mojemu dziełu sztuki.

- To czek na wydatki służbowe - powiedziałem, wskazując odpowiedni napis wykonany czarnym wytłuszczonym drukiem.

- Ach, tak. Oczywiście - odparł i zrealizował czek, ale z pewną niechęcią.

Teraz wpadłem na kolejny pomysł. Może Pan Am ma jakiś inny rodzaj czeków, na przykład w innym kolorze dla różnych kontynentów. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sprawdzę tę teorię, zanim zacznę wprowadzać w życie swój plan. Nazajutrz rano zadzwoniłem do paryskiego biura Pan Am i poprosiłem o połączenie z biurem obsługi klienta. Telefon odebrał mężczyzna, który sądząc po głosie, był młody i niedoświadczony, a jak się szybko okazało - bardziej to drugie. Zacząłem utwierdzać się w przekonaniu, że Fortuna była moją osobistą telefonistką.

- Proszę pana, mówi Jack Rogers z Agencji Spedycyjnej Diagle -przedstawiłem się.
- Zdaje się, że wasza firma przesłała nam przez pomyłkę jakiś czek.
- Hmm, a dlaczego pan tak uważa? - zapytał.
- Ponieważ mam przed sobą czek na tysiąc dziewięćset dolarów, wysłany z waszego biura w Nowym Jorku, a nie mam żadnej faktury, która odpowiadałaby takiej sumie - odparłem. - Nie mogę znaleźć żadnego śladu, żebyśmy cokolwiek dla was robili. Ma pan jakiś pomysł, skąd się wziął ten czek?
- Na pewno nie od ręki, panie Rogers. Jest pan pewien, że to czek od nas?
- Wydaje mi się, że tak - powiedziałem. - Jest to standardowych rozmiarów zielony czek z nazwą Pan American wydrukowaną dużymi literami wzdłuż górnej krawędzi i jest wypisany na tysiąc dziewięćset dolarów dla naszej firmy.
- Panie Rogers, nie wygląda mi na to, żeby to był nasz czek - powiedział ten facet. - Nasze czeki mają kolor niebieski i nazwę Pan Am wypisaną cieniowanymi literami na całym czeku, na którym widnieje jeszcze zarys kuli ziemskiej. Czy ten pański czek wygląda tak samo?

Trzymałem w ręce czek, który dostałem od stewardesy. Opisał go perfekcyjnie, ale nie powiedziałem mu nic na ten temat.

- Ma pan tam jakiś czek Pan Am? - nalegałem tonem człowieka, który nie chce mieć żadnych wątpliwości.
 - Tak, mam, ale... Przerwałem mu.
 - Przez kogo jest podpisany? Jak się nazywa rewident księgowy? - zapytałem.
- Powiedział mi. Nazwisko było takie samo jak na czeku, który miałem przed sobą. - Może mi pan przeczytać tą serię małych cyferek przy dolnej krawędzi? - naciskałem dalej.
- Ale po co? 02... - i wyrecytował je po kolei. Zgadzały się z numerem na czeku stewardesy.
 - Nie, ten czek podpisał jakiś inny gość, a numer też się nie zgadza -skłamałem. - Ale macie konto w Chase Manhattan, prawda?
 - Tak, ale mnóstwo innych firm też ma tam konta i może pan mieć czek od jakiejś innej firmy, która posługuje się naszą nazwą. Nie sądzę, żeby to był nasz czek, panie Rogers. Proponuję, żeby odesłał pan ten czek i nawiązał korespondencję na ten temat - powiedział uczynnie.

- Tak zrobię. Dzięki - odparłem.

Monique poleciała na trasę Berlin-Sztokholm-Kopenhaga, zatem nie będzie jej przez dwa dni. Tego dnia miała wylecieć z Paryża. Ledwo samolot z Monique na pokładzie zdążył wznieść się w powietrze, pojawiłem się w firmie jej ojca. Był zachwycony, że przyszedłem, i nie mieliśmy najmniejszych kłopotów z dogadaniem się, gdyż korzystałem ze swojej znajomości francuskiego, wpojonego przez matkę, i pomocy jego młodego pracownika, który mówił po angielsku.

Pokazałem mu czek, który dostałem od stewardesy Pan Am, ale zamazałem jej imię i nazwisko oraz sumę.

- Rozmawiałem z naszymi ludźmi z głównej siedziby firmy - powiedziałem. - Obecnie drukujemy te чеки w Stanach, dość kosztowna impreza. Powiedziałem im, że sądzę, iż pan zrobiłby to równie dobrze, ale po znacznie niższych kosztach. Myśli pan, że zdoła zrobić kopie tego чеку na wypłatę pensji w formie książeczki? Jeśli tak, to jestem upoważniony, żeby złożyć u pana zamówienie próbne na dziesięć tysięcy sztuk, pod warunkiem że cena będzie niższa niż w Nowym Jorku.

Przyglądał się czekowi.

- A ile kosztuje u was wydrukowanie takich czeków, monsieur? - zapytał.

Nie miałem zielonego pojęcia, ale podałem taką sumę, która moim zdaniem nie przyniosłaby ujmy nowojorskim drukarzom.

- Trzysta pięćdziesiąt dolarów za tysiąc sztuk - powiedziałem. Skinął głową.

- Mogę dostarczyć pańskiej firmie produkt dobrej jakości, który będzie wyglądał dokładnie tak samo, za dwieście dolarów za tysiąc sztuk - rzekł z zapalem. - Myślę, że nasza praca całkowicie was usatysfakcjonuje. - Zawahał się najwyraźniej czymś zakłopotany. - Monsieur, wiem, że pan i moja córka jesteście bliskimi przyjaciółmi i ufam panu bez zastrzeżeń, ale przyjęło się, że pobieramy zaliczkę w wysokości pięćdziesięciu procent - powiedział przeproszającym tonem.

Zaśmiałem się.

- Dostanie pan zaliczkę dziś po południu.

Poszedłem do jednego z paryskich banków ubrany w mundur pilota Pan Am i położyłem na ladzie przed okienkiem jednego z kasjerów tysiąc dolarów.

- Chciałbym czek gotówkowy na tę sumę - powiedziałem. -

136

Jako nadawcę przekazu proszę wpisać Pan American World Airways, natomiast odbiorcą będzie firma Maurice Lavalier i Synowie, Drukarnia Akcydensowa.

Dostarczyłem czek jeszcze tego samego popołudnia. Następnego dnia papa Lavalier miał już gotową próbkę. Obejrzałem ją i o mało się nie zakrztusiłem. Czeki były piękne. Nie, cudowne. Prawdziwe czeki Pan Am, po cztery na każdej stronie, w dwudziestopięciostronicowej książeczce, perforowane! Czuję się, jakbym zdobył jakiś szczyt i niewątpliwie był to szczyt osiągnięć fałszerza czeków.

Papa Lavalier wykonał całe zamówienie w ciągu tygodnia, a ja znowu zdobyłem prawdziwy czek gotówkowy, który był celowo wystawiony przez Pan Am na należną mu sumę.

Papa Lavalier dał mi faktury i pokwitowania i był zadowolony z mojego zadowolenia. Ponieważ nigdy nie miał do czynienia z Amerykanami, prawdopodobnie nawet nie przeszło mu przez myśl, że nasze interesy są jakieś dziwaczne. W końcu byłem pilotem Pan Am. Ręczyła za mnie jego córka. A czeki, które dostał, były ważne i wydane przez linie Pan Am.

- Mam nadzieję, że będziemy jeszcze współpracować z twoją firmą, przyjacielu - powiedział.

- Tak, tak - zapewniłem go. - Jesteśmy tak zachwyceni tym, co pan zrobił, że na pewno zwrócimy się do pana z następnymi zamówieniami.

Pojawiły się kolejne zamówienia, wszystkie fałszywe i wszystkie załatwiałem osobiście, ale papa Lavalier nigdy mnie o nic nie wypytywał. Od czasu kiedy wyprodukował dziesięć tysięcy czeków Pan Am, drukował mi wszystkie fałszywe dokumenty, których potrzebowałem. Poczciwy naiwniak był mi wdzięczny za to, że otworzyłem mu drzwi do „amerykańskiego rynku”.

Oczywiście nie potrzebowałem aż dziesięciu tysięcy czeków. Zamówienie było takie duże tylko dlatego, żeby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń. Nawet papa Lavalier wiedział, że linie Pan Am były gigantem przemysłu lotniczego. Zamówienie na mniejszą liczbę czeków mogłoby wzbudzić w nim jakieś podejrzenia.

Zatrzymałem sobie tysiąc czeków, a reszta spłonęła w paryskich piecach do spalania śmieci. Następnie kupiłem elektryczną maszynę do pisania IBM i wypisałem czek na siebie na sumę 781,45 dolarów, po czym zaniósłem go do banku, przebrany w mundur pilota.

137

Był to niewielki bank.

- Monsieur, jestem pewien, że ten czek jest ważny, ale muszę to sprawdzić, zanim go zrealizuję, a nie wolno nam dzwonić za ocean na koszt banku - powiedział z lekko drwiącym uśmiechem. - Gdyby pan zechciał zapłacić za rozmowę... - Popatrzył na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

- Jasne, niech pan dzwoni, zapłacę.

Nie przewidziałem takich środków ostrożności ze strony banku, ale nie byłem zaniepokojony. Przypadkiem poszedłem zrealizować czek o takiej godzinie, że można było sprawdzić, czy moje fałszerstwo jest coś warte. Była piętnasta trzydzieści w Paryżu. Banki w Nowym Jorku otwarto piętnaście minut temu. Mniej więcej tyle samo czasu zajęło kasjerowi połączenie się z działem księgowości w banku Chase Manhattan. Francuski kasjer mówił biegle po angielsku, chociaż z obcym akcentem.

- Mam tutaj czek, przedłożony przez pilota linii Pan American, a wystawiony na wasz bank, na sumę 781,45 dolarów amerykańskich - powiedział kasjer i zaczął podawać numer konta wypisany przy dolnej krawędzi po lewej stronie sfalszowanego czeku.

- Rozumiem, tak, dziękuję bardzo... Tak, pogodę mamy ładną, dziękuję. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się. - Kiedy dzwonię do Ameryki, zawsze chcę wiedzieć, jaką mamy pogodę. - Podał mi czek do podpisania i zaczął odliczać podaną kwotę, pomniejszoną o 8,92 dolarów za rozmowę telefoniczną. Biorąc pod uwagę wszystkie korzyści, nie była to wygórowana cena.

Zarzucałem Paryż i jego przedmieścia lewymi czekami, wynająłem sejf w banku, płacąc z góry za pięć lat, i schowałem tam swój łup. Bardzo rzadko kwestionowano autentyczność czeku, a jeśli już, to żądano jedynie potwierdzenia. Jeśli banki w Nowym Jorku były jeszcze zamknięte, wracałem nazajutrz, kiedy można się było tam dodzwonić. Tylko raz znalazłem się w podbramkowej sytuacji. Jeden z kasjerów zamiast zadzwonić do banku Chase Manhattan, skontaktował się z biurem Pan Am w Nowym Jorku! Co prawda w rozmowie nie padło ani razu moje fałszywe nazwisko, ale słyszałem, jak kasjer podał nazwę banku, numer konta i nazwisko rewidenta księgowego firmy.

W biurze Pan Am musieli potwierdzić autentyczność czeku, bo kasjer wypłacił mi pieniądze. Byłem zdumiony tym, że wszystko przebiega tak gładko. Ludzie, teraz moje чеки można było rozliczać przez telefon i to w samej siedzibie Pan Am. Wynająłem samochód i kiedy Monique była w powietrzu,

138

zrobiłem sobie wycieczkę po Francji, realizując чеки w dziurach i dużych miastach, w każdym banku, który pojawiał się w zasięgu mojego wzroku. W ciągu kolejnych miesięcy i lat często myślałem, że jedynym powodem bezproblemowej realizacji właśnie tych czeków był fakt, iż firma Pan Am naprawdę za nie płaciła, chociaż nigdy nie sprawdziłem tej teorii.

Papa Lavalier otrzymywał ode mnie mnóstwo zamówień. Zleciłem mu zrobienie nowego identyfikatora Pan Am, który robił znacznie większe wrażenie niż moja stara podróbka. Było to możliwe dzięki temu, że jakiś prawdziwy pilot Pan Am zostawił swój identyfikator na ladzie baru w hotelu Windsor. „Oddam mu to” - powiedziałem barmanowi. I rzeczywiście wysłałem mu ten identyfikator na adres nowojorskiego biura Pan Am, ale dopiero wtedy, kiedy papa Lavalier zrobił dla mnie jego kopię, ale na moje fałszywe nazwisko, z fikcyjną funkcją, i wkleił moje zdjęcie.

Powiedziałem Lavalierowi, że jestem specjalnym wysłannikiem firmy Pan Am w Paryżu i odpowiadam za public relations. Po miesiącu znajomości z Monique powiedziałem jej jednak, że muszę wracać do lotów jako pilot rezerwowy, i złapałem samolot do Nowego Jorku. Przyleciałem tam we wtorek tuż przed południem i natychmiast udałem się do najbliższego oddziału banku Chase Manhattan, w którym kupiłem czek gotówkowy na sumę tysiąca dwustu dolarów, wpisując „Rogera D. Williamsa” jako wpłacającego, a „Franka W. Williamsa” jako beneficjenta.

Jeszcze tego samego dnia poleciałem z powrotem do Paryża, tym razem zatrzymując się w hotelu Król Jerzy V, a kiedy wszedłem do pokoju, zmieniłem na czeku numer Okręgu Banku Rezerwy Federalnej, żeby kiedy go zrealizuję, został odesłany do San Francisco lub Los Angeles.

Potem zaniósłem czek papie Lavalierowi.

- Potrzebuję trzysta sztuk - powiedziałem.

Byłem przekonany, że nie będzie chciał zrobić kopii czeku, który był wyraźnie przekazem pieniężnym, ale się nie sprzeciwił. Dowiedziałem się później, że on tak naprawdę nigdy nie wiedział, co dla mnie drukuje, ale wykonywał wszystkie zlecenia, bezgranicznie ufając mojej uczciwości.

Kiedy dostałem trzysta kopii czeku, które niczym nie różniły się od oryginału, poleciałem z powrotem do Nowego Jorku. Na terenie samego miasta Nowy Jork jest sto dwanaście oddziałów Chase Manhattan. W ciągu trzech dni odwiedziłem sześćdziesiąt z nich, posługując się jedną kopią w każdym banku. Tylko raz zadano sobie jakikolwiek trud, żeby sprawdzić autentyczność czeku.

139

- Proszę pana, ja wiem, że to jest czek banku Chase Manhattan, ale nie został wydany przez nasz oddział - powiedziała kasjerka przeprasającym tonem. - Będę musiała zadzwonić do banku, który wystawił czek. Może pan chwileczkę zaczekać?

- Oczywiście, proszę bardzo - odparłem swobodnie. Rozmawiała, siedząc tak blisko, że wszystko słyszałem. Nie zdziwiło mnie ani jedno słowo.

- Tak, mówi Janice z Queens. Czek gotówkowy numer 023685, możesz mi powiedzieć, komu został wydany, na jaką sumę i podać bieżący stan konta? - Zaczekała na odpowiedź, a potem najwyraźniej powtórzyła to, co usłyszała. - Frank W. Williams, tysiąc dwieście dolarów, piąty stycznia, obecnie zaciągnięty debet. Wszystko w porządku.

- Przepraszam pana - powiedziała z uśmiechem, odliczając gotówkę.

- Nic się nie stało - odparłem. - Nie musi pani przeproszać za to, że wykonuje dobrze swoją pracę. - I naprawdę tak myślałem. Ta dziewczyna co prawda dała się nabrać, ale i tak jest typem pracownika, którego warto zatrudnić. I dzięki niej bank Chase zaoszczędził kupę forsy. Miałem zamiar udać się co najmniej do stu oddziałów banku, ale po jej telefonie musiałem zarzucić ten plan.

Doszedłem do wniosku, że nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ktoś jeszcze zadzwonił do banku, który wydał mój oryginalny czek. Co prawda szansę miałem niemałą, ale nie chciałem ryzykować, że znowu jakiś kasjer będzie chciał sprawdzić czek, a telefon odbierze ten sam urzędnik działu księgowości.

Nowy Jork mnie stresował. Czułem, że muszę znowu wyjechać gdzieś za granicę, ale nie mogłem się zdecydować, czy wrócić do Paryża i Monique, czy też udać w jakieś nowe i egzotyczne miejsce.

Próbując podjąć jakąś decyzję, poleciałem do Bostonu, gdzie dałem się wsadzić do więzienia i obrabowałem bank. To pierwsze było dla mnie szokiem, niczym nieplanowana ciąża. To drugie stanowiło wynik nieodpartej chęci.

Poleciałem do Bostonu tylko po to, żeby uciec z Nowego Jorku. Pomyślałem, że to miasto będzie równie dobrym miejscem do zacumowania, jak każde inne na wschodnim wybrzeżu, a przy okazji znajdowało się tam mnóstwo banków. Kiedy dotarłem na miejsce, wsadziłem torby do schowka na bagaże na lotnisku, wsunąłem kluczyk za okładki identyfikatora i poszedłem do kilku banków, wymieniając trochę kopii czeków Pan Am na prawdziwą walutę. Wróciłem na lotnisko wczesnym wieczorem, mając zamiar jak najszybciej odlecieć stamtąd za granicę.

140

W czasie mojego najazdu na Boston zgarnąłem ponad pięć tysięcy dolarów, z czego cztery osiemset schowałem w torbach, zanim sprawdziłem, dokąd można było polecieć za granicę tego wieczora.

Nie miałem jednak sposobności tego sprawdzić aż do późna wieczór. Kiedy odchodziłem od schowka, wpadłem na ładną stewardesę z Allegheny Airlines, którą poznałem na samym początku swojej kariery pilota.

- Frank! Co za miła niespodzianka! - wykrzyknęła. Oczywiście, musieliśmy się udać na spotkanie po latach. Wróciłem na lotnisko po jedenastej wieczorem i postanowiłem polecieć do Miami, a stamtąd znaleźć jakieś połączenie za granicę.

Podszedłem do lady Allegheny Airlines.

- O której macie najbliższy lot do Miami? - zapytałem kasjera lotniczego na zmianie. Wcześniej oczywiście przebrałem się w mundur pilota.

- Właśnie odleciał - oznajmił mężczyzna, krzywiąc się.

- Jakie linie mają najbliższy lot, National, American? - wypytywałem go.

- Żadne - odparł. - Najbliższy lot do Miami jest dopiero jutro. Po północy nie ma lotów. W Bostonie obowiązuje zarządzenie o kontroli poziomu hałasu i po północy wszelkie wyloty są zabronione. Żaden samolot nie może wystartować przed szóstą 30 rano, a pierwszy lot do Miami jest o dziesiątej 15 samolotem linii National.

- Ale jest dopiero dwudziesta trzecia 40 - powiedziałem. Uśmiechnął się.

- Nie ma sprawy. Chce pan lecieć do Burlington w stanie Vermont? To ostatni lot dzisiaj.

Rozważywszy wszystkie za i przeciw, odmówiłem. Odszedłem od kasy i usiadłem w jednym z foteli w hali, zastanawiając się nad sytuacją. Wokół hali, jak w większości poczekalni na dużych lotniskach, znajdowały się sklepy z pamiątkami, kafejki, bary i inne sklepy. Rozmyślając, zauważyłem, że większość właśnie zamykano. Dostrzegłem również, co natychmiast mnie zainteresowało, że wiele osób zatrzymywało się przy nocnej skrzynce depozytowej jakiegoś dużego miejscowego banku, którą umieszczono w stalowej ścianie w połowie jednego z korytarzy wyjściowych, i wrzucało torebki i wypchane koperty, przypuszczalnie zawierające całodniowe wpływy, do otworu.

Moje obserwacje przerwały dwa przyprawiające o dreszcz słowa.

141

- Frank Abagnale?

Popatrzyłem do góry, usiłując nie wpaść w panikę. Nade mną stało dwóch wysokich policjantów w mundurach, wyglądali groźnie.

- Frank Abagnale, zgadza się? - powiedział jeden z nich lodowatym tonem.

- Mam na imię Frank, ale Frank Williams - odparłem zaskoczony tym, że jestem tak spokojny i opanowany.

- Mogę prosić o dokumenty? - zapytał jeden z nich. - Powiedział to uprzejmym głosem, ale jego wzrok mówił mi, że jeśli natychmiast nie dam mu dokumentów, to złapie mnie za nogi, odwróci głowę w dół i wytrzepie mi je z kieszeni.

Podałem papiery i sfałszowaną licencję pilota.

- Posłuchajcie, nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale popełniacie duży błąd. Latam w Pan American, a te dokumenty powinny stanowić wystarczający dowód.

Jeden z nich obejrzał moje papiery i licencję, po czym podał je swojemu koledze.

- Możesz przestać opowiadać nam te bzdety, synu? Nazywasz się Frank Abagnale, prawda? - odezwał się ten drugi niemalże łagodnym głosem.

- Frank jaki? - zaprotestowałem, udając gniew, żeby ukryć swoje rosnące zdenerwowanie. - Nie wiem, kogo, do cholery, szukacie, ale na pewno nie mnie!

Ten pierwszy zmarszczył brwi.

- Nie będziemy stać tu i kłócić się z tobą - warknął. - Chodźmy, zabieramy cię.

Nie pytali, gdzie mam bagaż, a ja się nie wychylałem. Zabrali mnie na zewnątrz, wsadzili do radiowozu i zawieźli na posterunek policji stanowej. Tam wprowadzono mnie do biura porucznika - szefa zmiany - który wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Co to ma, u licha, znaczyć? - zapytał rozpaczliwym głosem.

- Według nas jest to Frank Abagnale, poruczniku - odezwał się jeden z policjantów. - Twierdzi, że jest pilotem w liniach Pan Am.

Porucznik zmierzył mnie wzrokiem.

- Wyglądasz ciut za młodo jak na pilota - powiedział. - Dlaczego nie powiesz nam prawdy? Nazywasz się Frank Abagnale. Szukamy go od dawna. Przypuszczamy, że może także podawać się za pilota. Pasujesz do rysopisu. Idealnie.

142

- Mam trzydzieści lat, nazywam się Frank Williams, jestem pilotem w liniach Pan Am i chcę rozmawiać ze swoim prawnikiem! - krzyknąłem.

Porucznik westchnął.

- Na razie nie został pan o nic oskarżony - powiedział. - Zabrać go do więzienia miejskiego, zamknąć za włóczęgostwo, a potem pozwolić mu skontaktować się z prawnikiem. I wezwijcie federalnych. To ich ptaszek. Niech oni to wyjaśnią.

- Włóczęgostwo! - zaprotestowałem. - Nie jestem żadnym włóczęgą. Mam przy sobie prawie dwieście dolarów.

Porucznik pokiwał głową.

- Tak, ale nie udowodniłeś, że wykonujesz pracę zarobkową - odparł znużonym głosem. - Zabierzcie go stąd.

Zabrano mnie do więzienia stanowego w centrum Bostonu, które wyglądało tak, jakby dawno temu przeznaczono je do rozbiórki, zresztą tak też było, i zaprowadzono mnie do sierżanta.

- A niech mnie, co on zrobił? - zapytał, spoglądając na mnie.
- Zamknij go za włóczęgostwo. Jutro rano ktoś po niego przyjdzie - powiedział jeden z policjantów.
- Włóczęga! - ryknął sierżant. - Do stu diabłów, jeśli to jest włóczęga, to mam nadzieję, że nigdy nie przyprowadzicie mi więcej tych śmierdzących meneli.
- Przymknij go i już - burknął policjant, po czym obaj wyszli.
- Opróżnij kieszenie, chłopcze - powiedział sierżant szorstkim głosem, wyciągając z szuflady formularz w trzech egzemplarzach. - Dam ci pokwitowanie na rzeczy.

Zacząłem wyjmować swoje skarby.

- Mogę zatrzymać swój identyfikator i licencję pilota? - zapytałem. -Zgodnie z przepisami obowiązującymi w mojej firmie muszę nosić je cały czas przy sobie. Nie jestem pewien, czy obejmuje to również pobyt w areszcie, ale jeśli nie ma pan nic przeciwko, to chciałbym je zatrzymać.

Sierżant obejrzał identyfikator i licencję, po czym przesunął je w moim kierunku.

- Jasne - odparł. - Zdaje się, że zaszła tu jakaś pomyłka, chłopcze. Cieszę się, że nie mam z tym nic wspólnego.

Strażnik więzienny zaprowadził mnie do obskurnej, zardzewiałej celi, sąsiadującej z izbą wytrzeźwień.

- Gdybyś czegoś potrzebował, to wołaj - powiedział ze współczuciem w głosie.

143

Pokiwałem głową, nie odzywając się ani słowem, i ciężko opadłem na pryczę. Nagle poczułem się załamany, przygnębiony i przerażony. Czułem, że gra dobiegła końca. Wiedziałem, że rano zabiorą mnie agenci FBI, a potem czeka mnie jedna rozprawa za drugą. Rozejrzałem się po celi i miałem jedynie nadzieję, że w innych więzieniach cele są znośniejsze. Boże, ta przypominała szczurzą norę. Ale jeśli ktoś oddaje cześć bożkowi hazardu, pomyślałem, to nie ma żadnych szans.

Ale nawet bożek hazardu ma swój zastęp aniołów. I wtedy pojawił się jeden z nich, pogwizdując słabo i nierówno niczym dzieciak, który dodaje sobie odwagi, idąc przez cmentarz. Stał przed moją celą, zjawa w ohydnych garniturze w zieloną kratkę, z twarzą jak szczur, zaciętymi ustami, w których tkwiło śmierdzące cygaro i spojrzał na mnie jak łasica patrząca na mysz.

- Powiedz, co ty tutaj, do cholery, robisz? - zapytał, nie wyjmując z ust cygara.

Nie wiedziałem, kim on jest. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby mi pomóc.

- Włóczęstwo - odparłem krótko.

- Włóczęstwo! - wykrzyknął, patrząc na mnie badawczo. - Jesteś pilotem w Pan Am, prawda? A więc jak, do diaska, możesz być włóczęgą? Czy ktoś ukradł wszystkie twoje samoloty?

- Kim pan jest? - zapytałem.

Sięgnął do kieszeni i podał mi przez kratki swoją wizytówkę.

- Aloyius James „Kaucja” Bailey, przyjaciel lotnika - odparł. - Niewolnik wpłacania kaucji par excellance. Gliny zamykają, a ja wypuszczam. Teraz jesteś na ich terenie, przyjacielu. Ale mogę cię przenieść na swój. To znaczy na ulicę.

Może nadzieja nie owładnęła mną bez reszty, ale zapiałem w myślach z radości.

- Powiem panu prawdę - zacząłem ostrożnie. - Na lotnisku natknąłem się na faceta. Zachowywał się obrzydliwie w stosunku do jakiejś dziewczyny. Skopałem mu tyłek. Zgarnęli nas obu za bójkę. Nie powinienem był się w to wdawać. Kiedy kapitan dowie się, że siedzę w więzieniu, prawdopodobnie wylecę z roboty.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Co ty wygadujesz? Nie masz nikogo, kto wpłaciłby za ciebie kaucję? Zadzwoń, u licha, do któregoś ze swoich przyjaciół.

Wzruszyłem ramionami.

144

- Nie mam tu żadnych przyjaciół. Przyleciałem samolotem towarowym. Bazę mam w Los Angeles.

- A co z resztą załogi? - nalegał. - Zadzwoń do kogoś.

- Polecieli do Istambułu - skłamałem. - Ja dostałem wolne. Miałem polecieć do Miami, żeby zobaczyć się z dziewczyną.

- Jasny gwint! Zdaje się, że wpakowałeś się w kłopoty, co? - powiedział Aloyius James „Kaucja” Bailey. - Po czym uśmiechnął się i nagle przybrał wyraz twarzy figlarnego i dobrotliwego krasnoludka. - Cóż, mój bojowo nastawiony pilocie, zobaczymy, czy nie dałoby się wyciągnąć twojego tyłka z tej bastylki.

Zniknął i nie było go cholernie długo, aż dziesięć minut. Potem znowu pojawił się przed moją celą.

- Kurczę blade, chcą za ciebie pięć tysięcy - powiedział zdziwionym głosem. - Sierżant mówi, że musiałeś nieźle dopiec tym policjantom. Ile masz przy sobie?

Moje nadzieje znowu przysły.

- Tylko dwieście dolarów, może nawet niecałe. - Westchnąłem. Zmrużył oczy.
- Masz jakiś dowód?-zapytał.
- Jasne. - Podałem mu przez kratki swój identyfikator i licencję pilota. - Może pan sprawdzić, jak długo pracuję jako pilot, a w Pan Am jestem od siedmiu lat.

Oddał mi dokumenty.

- Masz czek imienny? - zapytał oschle.
- Tak, to znaczy ten sierżant na dole go ma. A dlaczego pan pyta?
- Bo mam zamiar wziąć od ciebie czek, dżokeju odrzutowców - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Możesz go podpisać, jak sierżant cię wypuści.

Sierżant wypuścił mnie trzydzieści pięć minut później. Wypisałem Baileyowi czek na standardowe dziesięć procent, czyli pięćset dolarów, i wręczyłem mu stówkę w gotówce.

- To bonus, zamiast całusa - rzekłem, śmiejąc się wesoło. - Ucałowałbym cię, gdyby nie to cholerne cygaro!

Kiedy wyjaśniłem mu, że lecę pierwszym samolotem do Miami, podrzucił mnie na lotnisko.

O tym, co działo się później, dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, jak to lubią mawiać reporterzy z Białego Domu. O'Riley jak na skrzydłach przybył do więzienia.

145

- Dawać tu Abagnale'a czy pod jakim innym cholernym nazwiskiem go przymknęliście. - Zachichotał.
- Wpłacił kaucję o wpół do czwartej nad ranem - odezwał się jakiś strażnik; sierżant już dawno poszedł do domu.

O'Riley mało nie dostał ataku apopleksji.

- Kaucja! Kaucja! Kto, do cholery, wpłacił za niego kaucję? - wydusił w końcu z siebie piskliwie.
- „Kaucja” Bailey, a któż by inny? - odparł strażnik. Wściekły O'Riley odszukał Bailey'a.
- To ty wpłaciłeś dzisiaj rano kaucję za Franka Williama? - zapytał. Bailey popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem.
- Za tego pilota? Jasne, wykupiłem go. A dlaczego miałbym tego nie zrobić?
- Jak ci zapłacił? Ile? - O'Riley zazgrzytał zębami.

- O co chodzi, zapłacił normalną stawkę, pięćset dolców. Mam tu jego czek - powiedział Bailey, pokazując mu papierek.

O'Riley popatrzył na czek, po czym rzucił go na biurko Bailey'a.

- Dobrze ci tak - warknął i udał się w stronę drzwi.

- Co ma pan na myśli? - zapytał Bailey, kiedy agent FBI chwycił za klamkę od drzwi.

O'Riley uśmiechnął się szelmowsko.

- Zanieś go do banku, ty fagasio, to zrozumiesz, co miałem na myśli. Na zewnątrz jakiś detektyw z Massachusetts zwrócił się do O'Riley'a.

- Możemy rozesłać za nim list gończy. O'Riley potrząsnął głową.

- Nie ma sensu. Ten skurczybyk jest pewnie jakieś osiemset kilometrów stąd. Żaden glina z Bostonu już go nie złapie.

Każdy rozsądny człowiek byłby już osiemset kilometrów stamtąd. Ale ja nie należałem do rozsądnych. Lubiłem ostrą grę. Ledwo Bailey wysadził mnie na lotnisku i odjechał, wskoczyłem do taksówki i zameldowałem się w pobliskim motelu.

Nazajutrz rano zadzwoniłem do banku, który miał filię na lotnisku.

- Z ochroną proszę - powiedziałem, kiedy usłyszałem głos telefonistki.

- Ochrona, słucham.

- Mówi Connors, nowy strażnik. Nie mam munduru na nocną zmianę. Mój cholerny mundur podarł się w wypadku. Gdzie mogę dostać nowy, proszę pani? - powiedziałem zdenerwowanym głosem.

146

- Zaopatrujemy się w mundury w firmie Bekę Brothers - odparła kobieta łagodnie. - Proszę się tam zgłosić, panie Connors. Dostanie pan nowy mundur.

Odszukałem adres firmy Bekę Brothers. Przewertowałem też inne działy ogłoszeń na żółtych stronach.

Najpierw poszedłem do Bekę Brothers. Nikt nie kazał mi się wylegitymować. W ciągu piętnastu minut wyszedłem stamtąd z kompletnym umundurowaniem strażnika bankowego: koszula, krawat, spodnie i kapelusz. Na prawym rękawie i kieszonce koszuli widniała nazwa banku. Wstąpiłem też do firmy zaopatrującej policję i kupiłem pas oficerski i kaburę. Odwiedziłem sklep z bronią i nabyłem replikę używanego przez policję rewolweru kalibru 38. Był nieszkodliwy, ale tylko idiota zlekceważyłby taką spluwę, jeśli ktoś przystawiłby mu ją do głowy. Następnie

wynająłem kombi i kiedy wyjechałem z motelu, na każdych drzwiach wisiała kartka z napisem: „OCHRONA - BEAN STATE NATIONAL BANK”.

O godzinie dwudziestej trzeciej 30 stałem na baczność przed nocną skrzynką depozytową filii Bean State Bank w Massachussetts, na którym wisiał piękny szyld: „Awaria nocnej skrzynki depozytowej, proszę składać depozyty u strażnika”. Przed skrzynką stał stojak na kółkach z ogromnym workiem, który przypominał pocztowy. Co najmniej trzydzieści pięć osób wrzuciło torebki lub koperty do pojemnika. Żaden z nich nie powiedział nic poza „dobry wieczór” albo „dobranoc”.

Kiedy zamknięto ostatni sklep, zabezpieczyłem wlot płóciennego worka i zacząłem ciągnąć łup w kierunku furgonetki. Utknąłem w przedsionku w drzwiach wejściowych, kiedy próbowałem przeciągnąć wózek. Staralem się z całych sił, ale nie udało mi się przesunąć go przez ten cholerny próg. Po prostu był za ciężki.

- Jakies kłopoty, przyjacielu?

Odwróciłem głowę i mało nie narobiłem w gacie. Nie byli to ci sami policjanci, ale w odległości niecałych dwóch metrów ode mnie stało dwóch mundurowych.

- Mamy awarię skrzynki depozytowej, a ciężarówka mi się popsuła. Na zewnątrz mam firmową furgonetkę, ale brakuje mi podnośnika hydraulicznego, a nie jestem Samsonem - powiedziałem, uśmiechając się ze zmieszaniem.

Starszy, rumiany na twarzy policjant roześmiał się.

- Cholera, dawaj, to ci z tym pomożemy - powiedział, zrobił krok do

147

przodu i chwycił worek. Kiedy pociągnęliśmy go we trzech, przeszedł łatwo przez próg. Pomogli mi zaciągnąć wózek do furgonetki i wrzucić nieporęczny, ciężki ładunek do bagażnika samochodu. Zatrzasnąłem tylną klapę i odwróciłem się do policjantów.

- Wielkie dzięki, chłopaki - powiedziałem, uśmiechając się. - Zaprosiłbym was na kawę, ale muszę odstawić tę małą fortunę do banku.

Roześmiali się, a jeden z nich podniósł rękę.

- Nie ma sprawy. Może następnym razem.

W niecałą godzinę później łup był już w moim pokoju hotelowym i segregowałem gotówkę. Same banknoty. Drobne, kwity z kart kredytowych i czeki wrzuciłem do wanny.

Zgarnąłem sześćdziesiąt dwa tysiące osiemset dolarów w gotówce. Przebrałem się w cywilny garnitur, zapakowałem zdobycz w zapasową koszulę i pojechałem na lotnisko, gdzie odebrałem swoje bagaże. Godzinę później siedziałem na pokładzie

samolotu lecącego do Miami. Miałem trzydziestominutową przesiadkę w Nowym Jorku. Wykorzystałem ten czas, żeby zadzwonić do menedżera lotniska w Bostonie. Nie zastałem go, ale udało mi się porozmawiać z jego sekretarką.

- Słuchaj, powiedz ludziom z Bean State Bank, że w wannie pokoju numer 208 motelu Rest Haven mogą znaleźć większość pieniędzy skradzionych wczoraj wieczór ze skrzynki depozytowej - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Nazajutrz wyleciałem z Miami do Stambułu.

Miałem godzinną przerwę na przesiadkę w Tel Awiwie. Wykorzystałem ten czas na zadośćuczynienie mojemu kodeksowi honorowemu. W całej mojej karierze nigdy nie naciągnąłem żadnego przeciętnego zjadacza chleba.

Znalazłem filię amerykańskiego banku. Położyłem na ladzie przed kasjerem plik banknotów.

- Poproszę czek gotówkowy na pięć tysięcy dolarów - powiedziałem.

- Proszę bardzo. Pańska godność?

- Frank Abagnale junior - odparłem.

- W porządku, panie Abagnale. Czy czek ma być na pańskie nazwisko?

Potrząsnąłem głową.

- Nie - powiedziałem. - Proszę go wystawić na nazwisko Aloyuis James Bailey, Boston, Massachusetts.

148

ROZDZIAŁ ósmy.

Europejskie wakacje.

Spodziewano się przybycia grupy ludzi: prezydenta, królowej Elżbiety, Franka Sinatry, Muhammada Alego, Arnolda Palmera. W zasadzie samych sław.

I pilotów samolotów pasażerskich.

- Do której załogi pan należy? - zapytał mnie recepcjonista w hotelu w Stambule. To pytanie słyszałem już wielokrotnie.

- Nie należę do żadnej załogi - odparłem. - Przyleciałem tutaj, żeby zastąpić pilota, który zachorował. - Była to moja standardowa odpowiedź na takie pytanie, które o wiele częściej zadawano mi w Europie i na Bliskim Wschodzie niż w Stanach

Zjednoczonych. Najwyraźniej w hotelach europejskich pracownicy byli bardziej przyzwyczajeni do przyjmowania całych załóg samolotów. Samotny pilot wzbudzał zainteresowanie.

A zainteresowanie rodzi podejrzenia.

Muszę dołączyć do jakiejś załogi, pomyślałem tego samego wieczora, jedząc kolację w tureckiej restauracji. Przestałem nosić mundur. Z wyjątkiem specjalnych okazji nosiłem go tylko wtedy, gdy meldowałem się w hotelu lub z niego wyjeżdżałem, kiedy realizowałem czeki albo naciągałem linie lotnicze na darmowe przeloty.

Kiedyś już zastanawiałem się nad sprawą przynależności do jakiejś załogi. W zasadzie myślałem o tym za każdym razem, kiedy widziałem jakiegoś kapitana w towarzystwie pozostałych członków załogi. Stanowisko

149

kapitana było nie tylko bardziej wiarygodne niż moje, ale jeszcze wyglądało na to, że oni bawią się znacznie lepiej ode mnie. Zauważyłem, że stewardesy zachowują się wobec pilotów usłużnie. Jako fałszywy pilot prowadziłem w gruncie rzeczy żywot samotnika. Człowiek, który nieustannie musi uciekać, jest samotny. Trudno jest być duszą towarzystwa, kiedy się biega jak poparzony. Ogólnie rzecz biorąc, moje flirty miały trwałość związków między królikami i przynosiły mi mniej więcej tyle samo satysfakcji.

Moje fantazje na temat własnej załogi były oczywiście spowodowane czymś więcej niż jedynie pragnieniem towarzystwa. Załoga - pod którym to terminem miałem na myśli wyłącznie stewardesy - dodałaby większej wiarygodności mojej roli pilota. Zorientowałem się, że samotny pilot był zawsze przedmiotem zainteresowania. I odwrotnie, pilot, który ciągnął za sobą sznureczek atrakcyjnych stewardes, znajdował się poza wszelkimi podejrzeniami. Gdybym miał stadko ślicznych stewardes, mógłbym rozrzucić fałszywe czeki niczym konfetti i przyjmowano by je równie chętnie, jak obsypywanie ryżem na ślubie. Nie chodziło o to, żebym miał jakieś problemy z realizacją moich czeków, ale musiałem robić to raz na jakiś czas. Gdybym miał załogę, mógłbym realizować czeki hurtem.

Po tygodniu pobytu w Stambule poleciałem do Aten.

- Nie jest pan ze swoją załogą? - zapytał recepcjonista. - Odpowiedziałem mu to, co zwykle, czując się zmęczony.

Nazajutrz poleciałem do Paryża odwiedzić Lavalierów.

- Chciałabym, żebyś latał w Air France. Mogłabym wtedy należeć do twojej załogi - powiedziała w pewnej chwili Monique. Ta uwaga utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinienem mieć własną załogę.

Lecz jak pilot bez lat przepracowanych w zawodzie, który nie miał pojęcia o lataniu, miałby stworzyć załogę? Znalazłbym może kilka dziewcząt na chybił trafił i rzucił propozycję: „Hej, dziewczyny, chciałybyście polecieć do Europy? Mam wspaniały patent na wprowadzanie w obieg fałszywych czeków...”. Ale ponieważ nie miałem żadnych znajomości w świecie przestępczym, amerykańskim czy europejskim, tam też nie mogłem szukać pomocy.

Byłem właśnie w Berlinie, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiło się rozwiązanie. Co prawda było długoterminowe i wiązało się z dużym ryzykiem, ale stanowiło również spore wyzwanie. Ale linie Pan Am zawsze dostarczały mi mnóstwo miodu. Jeśli nie były moją macierzystą firmą, to

150

w pewnym sensie stanowiłem jej nieślubne dziecko, zatem musiałem się wykazać synowską lojalnością.

Wpadłem na pomysł, że pozwolę liniom Pan Am stworzyć dla mnie załogę.

Poleciałem do Nowego Jorku i zaraz po przyjeździe zadzwoniłem do działu personalnego Pan Am, przedstawiając się jako dyrektor do spraw personalnych w małym college'u Prescott Presbyterian Normal na zachodzie kraju.

- Wiem, że wysyłacie swoje komisje rekrutacyjne do różnych college'ów i uniwersytetów i chciałbym zapytać, czy przewidujecie w tym roku wizytę w naszej uczelni? - zapytałem.

- Przykro mi, ale nie mamy w planie odwiedzenia pańskiej szkoły - odparł pracownik działu personalnego, który odebrał mój telefon. - Ale wysyłamy naszą komisję na uniwersytet stanowy w Arizonie w drugiej połowie października, będzie tam przeprowadzać rozmowy kwalifikacyjne ze studentami. Jestem przekonany, że nasi pracownicy z chęcią spotkają się również ze studentami państwa uczelni, którzy będą zainteresowani pracą w naszej firmie. Możemy przesłać panu materiały informacyjne, jeśli pan sobie życzy.

- Byłoby mi bardzo miło - odparłem i podałem mu fikcyjny adres nie istniejącego college'u.

Mój plan wymagał odwagi alpinisty. Włożyłem mundur i pojechałem na lotnisko Kennedy'ego do hangaru numer czternaście linii Pan Am. Ze swoim fałszywym identyfikatorem przyczepionym do kieszonki marynarki nie miałem żadnych problemów z wejściem na teren hangaru, po czym spędziłem pół godziny, włączając się po magazynie i gromadząc wszystkie potrzebne akcesoria: koperty na listy, duże szare koperty, papier listowy, wszystkie z logo Pan Am, a także blok kwestionariuszy osobowych i stos kolorowych broszur.

Kiedy wróciłem do motelu, siadłem i napisałem list do dyrektora działu personalnego uniwersytetu w Arizonie. Wyjaśniłem w nim, że linie Pan Am wprowadzają w tym roku nową technikę rekrutacji. Oprócz stałych specjalistów z działu rekrutacji rozmowy z kandydatami przeprowadzać będą również piloci i stewardesy, ponieważ mają oni większą orientację w tym, jakie warunki musi spełniać przyszły pracownik personelu latającego, i co za tym idzie, potrafią lepiej ocenić kandydatów.

„Nasz pilot przyjedzie do kampusu waszej uczelni w poniedziałek, dziewiątego września i przez trzy dni będzie przeprowadzał rozmowy kwalifikacyjne z kandydatkami na stewardesy.

151

Osobną pocztą wysyłamy materiały informacyjne i formularze osobowe dla zainteresowanych kandydatów".

Podpisałem się nazwiskiem dyrektora do spraw personalnych linii Pan Am i włożyłem list do koperty firmowej. Spakowałem broszury informacyjne i druki kwestionariuszy osobowych do jednej z dużych szarych kopert. Następnie udałem się do siedziby Pan Am, odszukałem dział wysyłkowy i podrzuciłem listy jakiemuś młodemu pracownikowi, szorstkim głosem zlecając mu ich wysłanie.

Pomyślałem sobie, że nalepka pocztowa z małą notką reklamową „Najbardziej doświadczone linie lotnicze na świecie" doda przesyłkom odrobinę stylu.

Wysłałem list i pozostałe materiały osiemnastego sierpnia. Dwudziestego ósmego sierpnia zadzwoniłem na uniwersytet w Arizonie i połączono mnie z Johnem Hendersonem, dyrektorem zajmującym się ofertami pracy dla studentów.

- Dzień dobry, panie Henderson, mówi Frank Williams, drugi pilot w Pan Am World Airways - przedstawiłem się. - Wyznaczono mnie do przeprowadzenia rozmów na waszym uniwersytecie za kilka tygodni. Dzwonię by upewnić się, czy otrzymali państwo materiały informacyjne i czy odpowiada państwu podany termin.

- Oczywiście, panie Williams - odparł zachwyconym głosem Henderson. - Czekamy na pana i dostaliśmy wszystkie materiały. Rozprowadziliśmy je w kampusie i powinien mieć pan sporo chętnych.

- Nie wiem, co dokładnie napisano w tym liście - skłamałem. - Ale dostałem wytyczne od szefa lotów, aby przeprowadzić rozmowy tylko ze studentkami najmłodszych i najstarszych lat.

- Rozumiemy to, panie Williams - powiedział Henderson. - W zasadzie wszystkie pytania, z którymi się do mnie do tej pory zwracano, pochodziły od studentek najmłodszych i najstarszych lat. - Zaproponował mi zakwaterowanie na terenie

kampusu, ale podziękowałem, tłumacząc, że już zarezerwowałem pokój w hotelu, z którym współpracuje firma.

Pojawiłem się w kampusie uniwersytetu stanowego w Arizonie w poniedziałek dziewiątego września o ósmej rano, a Henderson powitał mnie serdecznie. Oczywiście miałem na sobie mundur. Henderson zarezerwował na mój użytek małą salę.

- Mamy trzydzieści kandydatek, które podzieliłem na trzy dziesięcioosobowe grupy, każda na jeden dzień - powiedział.

152

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że będzie pan chciał porozmawiać z nimi indywidualnie i może pan ustalić własny harmonogram rozmów, jeśli pan sobie życzy. Pierwsza grupa pojawi się tutaj o dziewiątej.

- Myślę, że najpierw porozmawiam z całą grupą, a potem z każdą kandydatką osobno - odparłem.

Pierwsza grupa studentek była w całości po prostu prześliczna. Patrząc na te dziewczyny, bardziej niż kiedykolwiek odczułem potrzebę posiadania własnej załogi. Wszystkie patrzyły na mnie, jakbym był co najmniej Elvisem Presleyem, który za chwilę zacznie koncert.

Przybrałem profesjonalny ton.

- Po pierwsze, moje panie, chciałbym wam powiedzieć, że ta sytuacja jest dla mnie równie nowa jak dla was. Jestem bardziej przyzwyczajony do kabiny pilotów niż do sali wykładowej, ale firma przydzieliła mi to zadanie i mam nadzieję, że uda mi się z niego z powodzeniem wywiązać. Myślę, że dzięki waszej pomocy i wyrozumiałości będzie to możliwe. Powiedziałem „wyrozumiałości”, ponieważ nie do mnie będzie należało ostatnie słowo na temat tego, kto zostanie zatrudniony, a kto nie. Moim zadaniem jest wybranie tych dziewcząt, które według mnie są najlepszymi kandydatkami na stanowisko stewardesy i zarekomendowanie ich. Dyrektor do spraw personalnych ma prawo odrzucić część kandydatur albo wszystkie, które mu zaproponuję. Ale z drugiej strony dzięki mojej rekomendacji możecie również zostać przyjęte do pracy bez konieczności uczestniczenia w kolejnych rozmowach kwalifikacyjnych. Jest jeszcze jedna sprawa - istnieje małe prawdopodobieństwo, żeby któraś z was została zatrudniona w liniach Pan Am przed ukończeniem studiów. Ale jeśli wybierzemy jedną z was jako kandydatkę na przyszłą stewardesę, to będziemy się starać towarzyszyć jej w ciągu ostatniego roku studiów, żeby nie skusiła jej perspektywa innej pracy. Czy wyrażam się jasno?

Wyrażałem się jasno. Dziewczyny tak powiedziały. Następnie zwolniłem je jako grupę i zacząłem przeprowadzać indywidualne rozmowy. Nie byłem do końca

pewien, jaki typ dziewczyn chcę mieć w swojej „załodze”, ale za to wiedziałem na pewno, jakich nie chcę. Nie chciałem dziewczyny, która nie poradziłaby sobie, gdyby dowiedziała się, że wrobiono ją w grubą aferę.

Natychmiast skreślałem kandydatki, które były całkowicie naiwne i wyraźnie świętoszkowate. Przy tych, które były atrakcyjne, ale superuczciwe (typ dziewczyny, który linie lotnicze lubią zatrudniać), stawiałem znak zapytania. Wybierałem dziewczyny, które zrobiły na mnie wrażenie opanowaniem,

153

odrobiną łatwości, przebojowością albo lekkomyślnością, skrajnie liberalnymi poglądami i umiejętnością zachowania zimnej krwi w ekstremalnych sytuacjach. Uznałem, że dziewczyny o takich właśnie cechach charakteru będą najlepszymi kandydatkami do mojej fikcyjnej załogi.

Henderson towarzyszył mi w porannych rozmowach, ale w czasie przerwy na lunch zaprowadził mnie do archiwum na tyłach swojego biura i pokazał mi drzwi obok wejścia do sali, w której przesłuchiwałem dziewczyny. Wręczył mi klucz do tych drzwi.

- Rzadko ktoś ma tu dyżur, ponieważ akta naszych studentów są dostępne w całości w bazie komputerowej - powiedział. - Dlatego będzie panu potrzebny klucz. Wyciągnąłem dokumenty wszystkich kandydatek i położyłem je panu na tym biurku, na wypadek gdyby chciał pan przejrzeć teczkę jakiejś konkretnej studentki. W ten sposób może pan działać niezależnie, chociaż gdyby była panu potrzebna jakakolwiek pomoc, to oczywiście może pan na nas liczyć.

Zainteresowało mnie, jak działa system danych na temat studentów i Henderson uczynnię mi go zaprezentował, po czym zaprosił mnie na lunch.

Wczesnym popołudniem skończyłem przeprowadzanie rozmów z pierwszą dziesiątką kandydatek, a nazajutrz rano spotkałem się z kolejną grupą. Wyjechałem do nich z tą samą gadką i równie chętnie przystały na moje warunki jak ich koleżanki. Ostatnia grupa wysłuchała tej samej bajeczki i po południu trzeciego dnia zawęziłem liczbę kandydatek do dwunastu.

Spędziłem kilka godzin, studiując akta całej dwunastki, przypominając sobie przeprowadzone z nimi rozmowy i własne wrażenia, i wybrałem spośród nich osiem dziewcząt. Kiedy wychodziłem z archiwum, przyszedł mi do głowy zabawny pomysł, którego zrealizowanie zabrało mi mniej niż pół godziny. Gdy wyszedłem z pokoju, w aktach było zapisane, że Frank Abagnale junior, rodem z Bronxville, uzyskał tytuł licencjata i magistra nauk społecznych.

Nazajutrz rano wygłosiłem obronę mojej „pracy magisterskiej” przed ośmioma kandydatkami, ponieważ to właśnie one zapewniały mi wymarzoną przykrywkę.

Dziewczyny były podekscytowane, kiedy w doskonałym nastroju zebrałem te wybrane, żeby wtajemniczyć je w swój oszukańczy plan.

- Proszę o spokój, uspokójcie się - błagałem je. - Nie zostałyście zatrudnione jako stewardesy. Myślę, że powiniście o tym wiedzieć.

154

Moje słowa spowodowały zbiorowy szok. I momentalnie zapadła cisza. Potem uśmiechnąłem się szeroko i wyjaśniłem im.

- Dlatego że wszystkie jesteście studentkami młodszych lat i chcemy, żebyście dokończyły swoją edukację, zanim zaczniecie pracę w Pan Am -powiedziałem. - Jak już wcześniej wspominałem, nasza firma chce towarzyszyć wybranym kandydatkom w trakcie ich ostatniego roku studiów i jestem upoważniony do złożenia całej waszej ósemce oferty, która, jak miemam, was zainteresuje. Poinformowano mnie, że nasza firma zamierza przyjąć pewną liczbę dziewcząt w okresie letnim na staż. Te dziewczyny polecą do Europy w różnych grupach i będą pełnić funkcję przedstawielek firmy i pracowników public relations. To znaczy, będą pozować do zdjęć reklamujących linie Pan Am w różnych czasopismach na całym świecie - na pewno widziałyście te reklamy - a niektóre wezmą udział w pogadankach w szkołach, spotkaniach z różnymi ludźmi, seminariach biznesowych i innych tego rodzaju przedsięwzięciach. Jest to podróż promująca firmę i zwykle wykorzystujemy w takich sytuacjach prawdziwe stewardesy albo profesjonalne modelki ubrane w stroje firmowe. Ale tego lata chcemy zatrudnić dziewczęta, które złożyły podania o pracę na stanowisku stewardes i będzie to dla nich swego rodzaju szkolenie wstępne. Osobiście uważam, że jest to dobry pomysł co najmniej z kilku powodów. Po pierwsze, dzięki temu nasi specjaliści od reklamy będą mogli wykorzystać zdjęcia naszego personelu, zrobione w miastach, do których latamy, a po drugie nie będziemy musieli odrywać od pracy naszych stewardes. Taka praktyka zawsze utrudniała pracę stewardesom, ponieważ na miesiące letnie przypada szczyt ruchu pasażerskiego, a jeśli ściągamy ze zmiany stewardesę, to musi ją zastąpić koleżanka. A więc, jeśli któraś z was albo wszystkie chcecie wziąć udział w naszym letnim programie, jestem upoważniony do tego, żeby was przyjąć. Będziecie miały opłaconą wycieczkę po Europie. Dostaniecie pensję początkującej stewardesy i strój służbowy, ale nie będziecie pełnoprawnymi stewardesami. Otrzymacie również zaświadczenie o zatrudnieniu, co jest dla was bardzo istotne. Oznacza to, że te z was, które zdecydują się pracować jako stewardesy po ukończeniu studiów, będą ubiegać się o pracę jako byli pracownicy firmy Pan Am i będą mieć pierwszeństwo przed wszystkimi pozostałymi kandydatkami. Czy któraś z was się decyduje?

Zgłosiły się wszystkie.

- Dobrze - powiedziałem z uśmiechem. - Teraz wszystkie musicie mieć paszporty. To wasz problem. Potrzebne mi też wasze adresy do korespondencji.

155

Jestem pewien, że otrzymacie powiadomienie o zatrudnieniu w ciągu miesiąca. To wszystko, moje panie. Było mi bardzo miło was poznać i mam nadzieję, że jeśli kiedyś zostaniecie stewardesami, będę miał przyjemność współpracować z niektórymi z was.

Poinformowałem Hendersona o ofercie, jaką złożyłem dziewczętom, i był nią równie zachwycony jak one. Henderson, jego żona i te osiem studentek zorganizowali dla mnie przyjęcie nad stawem w ogrodzie Hendersonów.

Wróciłem do Nowego Jorku i wynająłem skrzynkę pocztową w firmie, która miała biuro w budynku Pan Am. Była to doskonała przykrywka, ponieważ w korespondencji z dziewczętami mogłem korzystać z adresu siedziby Pan Am, a jednocześnie wszystkie listy od nich przesyłano do mojej skrzynki.

Po jakimś tygodniu wysłałem każdej ze studentek „powiadomienie o zatrudnieniu”, do którego dołączyłem list wyjaśniający podpisany przeze mnie (czyli Franka Williama), informujący, że - co za niespodzianka! - wyznaczono mnie na koordynatora akcji promocyjnej w Europie, więc w końcu będą w mojej „załodze”. Dołączyłem również własnoręcznie zrobiony mały kwestionariusz, który zawierał pytania o wymiary w celu uszycia odpowiednich strojów firmowych. Kazałem im zwracać się ze wszystkimi pytaniami bezpośrednio do mnie, na adres skrzynki pocztowej.

Następnie sam zacząłem przygotowywać się do podróży. Paszport, który miałem, był jedynie tymczasowy i na moje prawdziwe nazwisko. Doszedłem do wniosku, że potrzebuję stałego paszportu, którym mógłbym się posługiwać jako Frank Williams, i postanowiłem skorzystać z tego, że w biurze paszportowym w Nowym Jorku panuje zbyt duży ruch, żeby pracownicy bawili się w gliniarzy.

Pewnego ranka wszedłem do biura, oddałem swój paszport tymczasowy i po dziesięciu dniach wydano mi stały paszport. Byłem bardzo zadowolony z posiadania tego dokumentu, ale mimo wszystko wypisano go na Franka W. Abagnale'a juniora. Nie był to paszport, którym mógłby się posłużyć „pierwszy oficer Pan Am Frank W. Williams”, jeśliby zaszła taka potrzeba. Zacząłem się rozglądać i znalazłem to, czego potrzebowałem w Urzędzie Stanu Cywilnego w pewnym dużym mieście na wschodnim wybrzeżu. Było to świadectwo zgonu Francisa W. Williama, wiek rok

1 osiem miesięcy, który zmarł 22 listopada 1939 roku. W dokumentach było napisane, że dziecko urodziło się 12 marca 1938 roku w miejscowym szpitalu.

156

Zdobyłem odpis aktu urodzenia za trzy dolary, przedstawiając się jednemu z urzędników jako ten sam Francis W. Williams. Wydawało mi się logiczne, i jestem pewien, że tak rzeczywiście było, że każdy mężczyzna o imieniu „Francis” wolałby, aby zwracać się do niego „Frank”.

Zaniosłem odpis aktu urodzenia do biura paszportowego w Filadelfii, dołączyłem wymagane zdjęcia i dwa tygodnie później miałem drugi paszport, który tym razem pasował do mojego munduru pilota. Byłem gotowy, żeby zostać „kapitanem” swojej załogi, pod warunkiem że w ciągu kolejnych kilku miesięcy nie miało się wydarzyć nic, co pokrzyżowałoby mi szyki.

Spędziłem ten czas, włócząc się po kraju i na ogół starając się nie zwracać na siebie uwagi, chociaż od czasu do czasu realizowałem parę fałszywych czeków Pan Am albo podrobionych czeków gotówkowych.

Kiedyś wylądowałem w Miami i zatrzymałem się w apartamencie na ostatnim piętrze hotelu Fontainebleau w Miami Beach. Udawałem kalifornijskiego maklera giełdowego, wyposażonego w walizkę pełną banknotów dwudziesto-, pięćdziesięcio- i studolarowych oraz rollsa, którego wynająłem w Los Angeles i którym przyjechałem na Florydę.

Wszystko to było częścią wielkiego planu, który polegał na tym, że miałem stworzyć pozory człowieka cieszącego się dużym szacunkiem, po czym zrealizować w kilku bankach Miami i ekskluzywnych hotelach parę fałszywych czeków na naprawdę duże sumy. Zyskałem uznanie w dużej mierze przez czysty przypadek. Dołożyłem starań, żeby zapoznać się z kilkoma ludźmi z zarządu hotelu, a jeden z nich spotkał mnie kiedyś w holu i przedstawił pewnemu maklerowi z Florydy, który - jak wiedziałem - był geniuszem finansowym.

Zagorzały patriota lokalny Florydy nie ukrywał zbyt swojej pogardy dla Kalifornii, a w czasie naszego przypadkowego spotkania wywnioskowałem z jego wypowiedzi, że nie darzył również szacunkiem kalifornijskich maklerów. Zachowywał się tak niegrzecznie i arogancko, że dyrektor hotelu był wyraźnie zakłopotany. Był tak wrogo nastawiony, że po kilku minutach przeprosiłem ich. Kiedy wychodziłem, chwycił mnie za ramię.

- Co pan sądzi o ofercie Saturn Electronics? - zapytał z uśmiechem wyższości. Nigdy nie słyszałem o takiej firmie i w zasadzie nie wiedziałem, że w ogóle istnieje. Popatrzyłem na niego szyderczym wzrokiem, po czym przymknąłem jedno oko. - Kupuj, ile się da - powiedziałem i wyszedłem.

Kilka dni później znowu natknąłem się na tego faceta, kiedy obaj czekaliśmy, aż pod wejście hotelu podstawią nasze samochody. Przywitał się ze mną, okazując wymuszony szacunek, co mnie kompletnie zaskoczyło.

- Powinienem być pana posłuchać w sprawie tych akcji Saturna - powiedział. - Skąd u licha pan wiedział, że Galaxy Communications ma zamiar przejąć tę firmę?

Uśmiechnąłem się tylko i znowu do niego mrugnąłem. Później dowiedziałem się, że akcje firmy Saturn Electronics po jej przejęciu przez Galaxy w ciągu ostatnich czterech dni skoczyły w górę o pięć do ośmiu punktów.

Tego samego wieczora zaczepił mnie przy windzie zadbany mężczyzna po trzydziestce, który przedstawił mi się jako wysoki urzędnik miejscowego magistratu.

- Rick (jeden z członków zarządu hotelu) opowiadał mi o panu, panie Williams - zaczął rozmowę. - Mówił mi, że być może założy pan u nas biuro i niewykluczone, że pomieszka pan w Miami przez część roku.

Skinąłem głową.

- Rzeczywiście, rozważam taką możliwość - odparłem z uśmiechem. - Prawdopodobnie podejmę decyzję w ciągu kilku tygodni.

- Przypuszczalnie mogę panu pomóc - powiedział. - Wydajemy dzisiaj z żoną przyjęcie, na którym będzie śmietanka lokalnych władz samorządowych i biznesmenów, łącznie z burmistrzem i kilkoma osobami z biura gubernatora. Chciałbym pana zaprosić, jeśli oczywiście zechce pan przyjść. Myślę, że miło spędzi pan czas i jak już mówiłem, może pozna pan kilku ludzi, którzy pomogą panu w podjęciu decyzji.

Przyjąłem zaproszenie, ponieważ w pewnym sensie miał rację. Niewykluczone, że niektórzy jego goście mogli mi pomóc. Pozwalając się oskubać.

Na przyjęciu obowiązywały stroje wieczorowe, ale nie miałem żadnego problemu ze znalezieniem otwartej wypożyczalni smokingów, gdzie szybko dobrali mi odpowiedni strój. Nie miałem również kłopotów z trafieniem do domu tego szacownego notabla; jak się okazało, stał on niewygodnie blisko domu pewnej dyrektorki banku. Miałem nadzieję, że nie została zaproszona, ale na wszelki wypadek kazałem parkingowemu postawić swój samochód tak, żebym mógł szybko uciec.

Wśród gości nie było dyrektorki banku, ale za to dostrzegłem najbardziej zachwycającą i atrakcyjną blondynkę, jaką kiedykolwiek poznałem, przedtem i potem.

Zauważyłem ją kilka chwil po tym, jak wmieszałem się w tłum gości, i nie mogłem oderwać od niej wzroku przez cały wieczór. Co najdziwniejsze, mimo że przez cały czas otaczał ją wianuszek wielbicieli, wyglądało na to, że nie przyszła tutaj z żadnym z mężczyzn, którzy dotrzymywali jej towarzystwa. Gospodarz przyjęcia potwierdził moje obserwacje.

- To Cheryl - wyjaśnił. - Standardowa ozdoba tego typu przyjęć. Jest modelką, a jej zdjęcia były na okładkach kilku czasopism. Zawarliśmy z nią dość korzystną umowę. Dodaje pikanterii naszym przyjęciom, a my w zamian dokładamy starań, żeby została wymieniona we wszystkich kolumnach towarzyskich. Chodź, przedstawię cię.

Natychmiast dała mi do zrozumienia, że też ją zainteresowałem.

- Zauważyłam, kiedy przyszedłeś - powiedziała, podając mi rękę. - Piękny rolls. Twój czy pożyczony specjalnie na tę okazję?

- Nie. To jeden z kilku, które mam - odparłem. Uniosła brwi.

- Jeden z kilku? Masz więcej niż jednego rolls-royce'a?

- Mam kilka - odpowiedziałem. - Jestem kolekcjonerem. - Sądząc po błysku w jej oczach, zyskałem oddaną przyjaciółkę. Najwyraźniej bogactwo i dobra materialne robiły na niej wrażenie. Szczerze mówiąc, przez resztę wieczoru nie mogłem się nadziwić, że pod taką piękną powierzchownością kryje się takie sprzedajne i chciwe wnętrze. Ale nie interesował mnie u niej brak cnót. Pociągały mnie jej widoczne słabostki. Była urzekająco zachłanna.

Nie trzymaliśmy się razem przez cały wieczór. Od czasu do czasu rozdzielaliśmy się i grasowaliśmy osobno, niczym dwa lamparty, które szukają ofiary w tej samej dżungli. Ja znalazłem zdobycz, której szukałem. Dwa tłuste i soczyste gołębie w postaci bankierów. Ona też znalazła swoją ofiarę. Mnie.

Odciągnąłem ją na stronę około wpół do trzeciej nad ranem.

- Posłuchaj, przyjęcie już dogorywa. Może pojedziemy do mojego apartamentu i zjemy śniadanie? - zaproponowałem.

Jej odpowiedź była policzkiem dla mojego ego.

- Ile jesteś skłonny zapłacić, żebym pojechała z tobą do hotelu? - zapytała, patrząc na mnie prowokacyjnym wzrokiem.

- Myślałem, że jesteś modelką - wydusiłem zaskoczony. Uśmiechnęła się.

- Istnieją różne rodzaje pozowania. Niektóre są droższe - powiedziała.

Nigdy nie zapłaciłem dziewczynie, żeby poszła ze mną do łóżka. Świat zawodowego seksu był dla mnie nieznaną dziedziną. Jeśli dobrze pamiętam, nigdy przedtem nie spotkałem dziwki ani luksusowej prostytutki. Ale najwyraźniej kiedyś musi być pierwszy raz. Mimo wszystko nadal chciałem się z nią przespać i po ustaleniu jej prawdziwej profesji spróbowałem ustalić cenę. Co, do cholery, przecież miałem kupę forsy.

- Hm, trzysta - spróbowałem.

Skrzywiła się kokieteryjnie i potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że trzysta to trochę za mało - odparła.

Byłem zdumiony. Najwyraźniej od lat pławiłem się w luksusie, nie zdając sobie sprawy z wartości dóbr, z których korzystałem.

- Dobra, niech będzie podwójna stawka, sześćset. - Kolejne podejście. Spojrzała na mnie chłodnym, przenikliwym wzrokiem.

- To już lepiej - powiedziała. - Ale myślę, że takiego zamożnego mężczyznę jak ciebie stać na więcej.

Popatrzyłem na nią wkurzony. Odkąd wszedłem na drogę przestępczą, przestrzegałem pewnego kodeksu etycznego. Wśród wielu zasad była taka, że nigdy nie płaciłem za ubrania i inne rzeczy osobistego użytku fałszywymi czekami. Gdyby sprzedawca przyjął czek za garnitur, po czym okazałoby się, że jest bez pokrycia, to jego obciążono by kosztami. Moimi celami były zawsze duże korporacje - banki, linie lotnicze, motele i inne firmy chronione ubezpieczeniem. Kiedy chciałem kupić nową garderobę albo inną rzecz natury osobistej, zawsze nabierałem bank lub hotel na potrzebną sumę.

Nagle przyszło mi na myśl, że Cheryl będzie ślicznym wyjątkiem od tej reguły.

- Posłuchaj, możemy tu stać całą noc i spierać się o cenę - powiedziałem. - Nie lubię się sprzeczać. Może zamiast do mojego pokoju, poszlibyśmy do twojego lokum, spędzili tam godzinę albo coś koło tego i dam ci tysiąc dolarów.

Sięgnęła po torebkę.

- Chodźmy - zgodziła się. - Ale ja teraz nie mam mieszkania. Skończyła mi się umowa i mieszkam na razie w hotelu w Miami Beach. - Wymieniła nazwę hotelu, który znajdował się niedaleko od mojego i byliśmy na miejscu w ciągu pół godziny.

Wkładała klucz do zamka drzwi do swojego pokoju, kiedy odwróciłem się.

- Zaraz wracam - powiedziałem.

160

Chwyciła mnie za ramię.

- Hej, a ty dokąd? - zapytała nieco zdenerwowana. - Chyba nie masz zamiaru się wycofać, co?

Zdjąłem jej rękę z mojego ramienia.

- Słuchaj, chyba nie sądzisz, że noszę przy sobie tysiąc dolarów? Idę na dół zrealizować czek.

- O wpół do czwartej nad ranem! - wykrzyknęła. - Nikt o takiej porze nie zrealizuje ci czeku na taką sumę. Nie zdołałbyś spieniężyć nawet czeku na sto dolarów.

Uśmiechnąłem się z wyższością.

- Mylisz się. Znam właścicieli tego hotelu. Poza tym to jest poświadczony czek gotówkowy, wystawiony na bank Chase Manhattan w Nowym Jorku. Te czeki są tu traktowane jak złoto najwyższej próby. Cały czas z nich korzystam.

- Mogę zobaczyć? - zapytała. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnąłem jeden z fałszywych czeków banku Chase Manhattan, które zdobyłem tuż przed przyjazdem do Miami. Ten opiewał na sumę tysiąca czterystu dolarów. Przyjrzała mu się i pokiwała głową. - Rzeczywiście jak złoto - oceniła. - A może przepiszesz go na mnie?

- Nie - odmówiłem. - To jest czek na tysiąc czterysta dolarów. Umówiliśmy się na tysiąc. Nie chodzi bynajmniej o te czterysta, ale umowa jest umową.

- Zgadzam się - odparła. - Podpisz go. Dam ci te czterysta dolarów. - Sięgnęła do torebki i wyjęła cienki plik studolarówek, z którego odliczyła cztery banknoty. Podpisałem czek i wręczyłem jej.

Dalszy ciąg tej historii znam, jak to mawiają reporterzy, z wiarygodnych źródeł. Kilka dni później, kiedy w banku poinformowano Cheryl, że jej czek gotówkowy jest sfalszowany, zadzwoniła wściekła do biura szeryfa okręgu Dade. W końcu skontaktował się z nią O'Riley.

- Dlaczego dał pani ten czek? - zapytał O'Riley.

- To nie ma znaczenia - warknęła. - Dał mi czek, który jest fałszywy, i chcę, żeby złapali tego drania.

- Rozumiem - powiedział O'Riley. - Ale żeby go złapać, muszę znać jego tok myślenia. Rysopis, który pani podała, pasuje do Franka Abagnale'a, ale on nigdy nie naciąga zwykłych ludzi. Nie realizuje fałszywych czeków nawet w sklepach detalicznych. A więc dlaczego nagle daje zwykłemu człowiekowi, który jest do tego piękną kobietą, bezwartościowy czek na tysiąc czterysta dolarów? Jaki miał w tym cel?

O'Riley sam jest swego rodzaju oszustem. Wyciągnął z niej całą historię.

- Nie przeszkadza mi to, że wziął sobie za darmo - podsumowała gorzko. - A niech to, rozdawałam za darmo już wcześniej. Ale ten skurczybyk naciągnął mnie na czterysta dolarów. Tego już nie mogę znieść.

Zawsze zgadzałem się z oceną sytuacji O'Rileya. Zrobiłem ich w konia.

Ale epizod ze mną był dla Cheryl zapewne przyjemniejszy i mniej kosztowny niż dla dwóch bankierów, z którymi spotkałem się przed wyjazdem z Miami. Wyrołowałem każdego z nich na ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Zrobiłem też na szaro hotel Fontainebleau, płacąc rachunek fałszywym czekiem gotówkowym, dzięki któremu zyskałem kilkaset dolarów reszty w gotówce.

Rollsa zostawiłem w wynajętym garażu i wysłałem telegram do kalifornijskiej wypożyczalni samochodów z informacją, w którym miejscu go zostawiłem. Cheryl miała rację. To był piękny samochód i zasługiwał na coś więcej niż porzucenie go na pastwę wandalii.

Na zimę zaszyłem się w Sun Valley, starając nie zwracać na siebie uwagi i zachowywać się uczciwie. Kiedy nadeszła wiosna, poleciałem do Nowego Jorku, zainstalowałem się w mieszkaniu w domu z piaskowca w eleganckiej części Manhattanu i wysłałem listy „przypominające” do każdej z moich przyszłych „stewardes”. Odpowiedzi, które od nich otrzymałem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że nadal wierzą w mój fikcyjny status pracownika szczebla kierowniczego Pan Am działu promocji, więc przystąpiłem do realizacji moich marzeń. Znałem nazwę firmy w Hollywood, która projektowała i szyła wszystkie stroje dla stewardes Pan Am. Poleciałem do Hollywood i włożywszy mundur pilota, udałem się do firmy odzieżowej. Przedstawiłem fikcyjny list polecający kobiecie odpowiedzialnej za rozliczenia z Pan Am, opisujący szczegółowo trasę fikcyjnej trasy promocyjnej po Europie, a ta przyjęła moje wyjaśnienia za dobrą monetę.

- Stroje będą gotowe za sześć tygodni - powiedziała. - Przypuszczam, że chciałby pan również zamówić torby podróżne dla każdej z dziewcząt?

- Oczywiście - odparłem.

Kiedy realizowano zamówienie, zatrzymałem się w okolicach Los Angeles i zajmowałem innymi sprawami niezbędnymi w planowanej wyprawie. Przebrany za pilota złożyłem wizytę w magazynie Pan Am na lotnisku w Los Angeles i wziąłem wszystkie naszywki na czapki i mundury, jakie były potrzebne.

Dziewczyny przesłały mi kolorowe zdjęcia formatu 2,5x2,5 cm.

Wykorzystałem je do sfabrykowania fałszywych identyfikatorów Pan Am, podobnych do mojego, na których wpisałem jako stanowisko pracy „stewardesa”.

Kiedy uszyto mundury, przyjechałem po nie osobiście wynajętą furgonetką ze sfalszowanymi emblematami Pan Am na drzwiach i zapłaciłem za zamówienie, podpisując fakturę.

Pod koniec maja wysłałem każdej z dziewcząt list z dołączonym biletem lotniczym - kupiłem je, płacąc gotówką - i poleciłem im stawić się w holu lotniska w Los Angeles 26 maja.

Zebranie owych orląt było jednym z najbardziej karkołomnych i ekstrawaganckich przedsięwzięć w mojej karierze. Poszedłem do jednego z bardziej luksusowych hoteli w pobliżu lotniska i zarezerwowałem pokoje dla każdej z dziewcząt, a także wynająłem salę konferencyjną na następny dzień. Wszystkie rezerwacje zrobiłem na firmę Pan Am, ale zapłaciłem gotówką. Zaspokoilem ciekawość zastępcy dyrektora, który załatwiał wszystkie formalności, wyjaśniając, że nie jest to typowa działalność linii Pan Am, ale „specjalny projekt” działu promocji.

Tego rana, kiedy miały przylecieć dziewczęta, włożyłem mundur pilota, poszedłem do działu obsługi Pan Am na lotnisku i zapytałem o szefa działu transportu.

- Czekam na osiem stewardes, które przylatują dzisiaj o czternastej i mają uczestniczyć w specjalnym projekcie. Potrzebuję jakiegoś środka transportu, żeby zawieźć je do hotelu - powiedziałem. - Czy mógłby mi pan pomóc?

- Jasne - odparł. - Mam wolny samochód firmowy. Sam je zawiozę. Będzie pan tam?

- Przyjdę tutaj o wpół do drugiej i pójdę tam z panem - powiedziałem. - Czy mam coś podpisać?

- Nie, jest pan kryty. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Tylko niech mi pan tam jakąś wyszuka.

Dziewczyny pojawiły się o umówionym czasie, a błyszczący samochód firmowy Pan Am, który był po prostu trochę większą furgonetką, zrobił na nich należyte wrażenie. Szef transportu załadował ze mną ich bagaże, a potem odwiózł nas wszystkich do hotelu, gdzie znowu pomógł rozładować torby i umieścić dziewczyny w pokojach. Kiedy skończyliśmy, zaprosiłem go na drinka, ale odmówił.

- Podoba mi się ta twoja fucha - powiedział, szczerząc zęby. - Zawsze możesz na mnie liczyć.

Nazajutrz rano zebrałem dziewczęta w sali konferencyjnej, gdzie rozdałem im identyfikatory i wręczyłem mundury oraz torby firmowe. Kiedy oglądały stroje i torby, na których widniały monogramy każdej z nich i logo Pan Am, aż piszczały z zachwytu.

Kolejne piski radości rozległy się, kiedy przedstawiłem naszą trasę: Londyn, Paryż, Rzym, Ateny, Genewa, Monachium, Berlin, Madryt, Oslo, Kopenhaga, Wiedeń i inne miasta europejskie. Uciszyłem je i przybrałem ton surowego ojca.

- Zabrzmiało to jak perspektywa dobrej zabawy i mam nadzieję, że tak będzie, ale mamy również poważne zadania do wykonania i nie będę tolerował wygłupów - zapowiedziałem im. - Mam prawo zwolnić każdą z was za złe prowadzenie się albo za wygłupy i jeśli będę musiał odesłać którąś z was do domu, to tak zrobię. Postawmy sprawę jasno -jestem waszym szefem, więc macie stosować się do moich poleceń i postępować zgodnie z zasadami przeze mnie określonymi. Myślę, że moje zasady będą dla was jasne i nie powinnyście mieć żadnych problemów z ich przestrzeganiem, a co za tym idzie - żadnych problemów.

Po pierwsze, zauważcie, że każda z was ma na swoim identyfikatorze wpisane stanowisko stewardesy. Dla personelu hoteli, w których będziemy się zatrzymywać, i dla fotografów, z którymi będziemy współpracować, jesteście stewardesami. Ale przez cały czas będziemy podróżować jako cywile, zarówno samolotami, jak i środkami transportu kołowego, i wtedy ja będę decydował, kiedy macie przebrać się w mundury. Uczestniczcie w bardzo atrakcyjnej wycieczce, w projekcie, który może wywołać protesty i zazdrość wśród stewardów i stewardes na stałe pracujących w naszej firmie. Dlatego jeśli będziecie miały okazję spotkać się z naszymi stałymi pracownikami, po prostu mówcie, że pracujecie w naszym nowojorskim dziale promocji, właśnie wykonujecie zadanie specjalne i w miarę możliwości odpowiedzcie na kilka pytań dotyczących waszego statusu. Gdyby ktoś was naciskał, odeślijcie go do mnie.

Co dwa tygodnie będziecie otrzymywać pensję w formie czeku. W Europie bardzo trudno jest zrealizować czek, więc kiedy go ode mnie dostaniecie, wystarczy wasz podpis, a ja wymienię go na gotówkę w jednym z oddziałów Pan Am albo w bankach i hotelach, z którymi mamy podpisane umowy.

Teraz pewnie zadajecie sobie pytanie, dlaczego nie można po prostu odesłać czeków do kraju i zdeponować ich w banku. Są dwa powody. Po pierwsze, taki czek będzie zapewne wydany na jedno z naszych kont europejskich.

Firma lubi, kiedy realizujemy czeki w Europie. Po drugie dochodzi sprawa kursów dewizowych. Jeśli zrealizujecie czek na własną rękę, będzie przeliczony na gotówkę po aktualnie obowiązujących kursach walut i w rezultacie na ogół na tym stracie. Dlatego lepiej będzie, jeśli ja zrealizuję dla was czek, dam wam gotówkę, a potem gdybyście chciały, to możecie wysłać pieniądze do domu w formie przekazu pieniężnego albo czeku gotówkowego. Czy są jakieś pytania? Nie było żadnych pytań. Uśmiechnąłem się.

- W porządku, a więc przez resztę dnia i nocy macie czas wolny. Ale wyśpijcie się dobrze. Jutro odlatujemy do Londynu.

Tak też się stało, a bilety lotnicze kosztowały mnie małą fortunę w gotówce. Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku w Londynie, był wczesny świt i mżył deszcz. Poleciałem dziewczętom przebrać się w mundury, zanim pojechaliśmy do hotelu.

Ze zrozumiałych powodów byłem zdenerwowany i pełen obaw przed wprowadzeniem w życie mojego planu, ale bez zastanowienia rzuciłem się w wir wypadków. Zameldowałem nawet całą ekipę w hotelu Royal Gardens w Kensington, stawiając na to, że żaden z pracowników nie skojarzy pilota TWA Franka Adamsa z pierwszym oficerem Pan Am, Frankiem Williamsem. Wynająłem furgonetkę, którą dotarliśmy z lotniska do hotelu, i ku mojej wielkiej uldze okazało się, że recepcjonistę widziałem po raz pierwszy w życiu.

- Jesteśmy załogą lotu 738 linii Pan Am - powiedziałem. - Zostaliśmy tu skierowani z Shannon i nie wiem, czy ktoś zrobił dla nas rezerwację.

- Nie ma problemu, kapitanie - odparł recepcjonista. - To znaczy, jeśli dziewczętom nie będzie przeszkadzało, że przenocują w pokojach dwuosobowych. Mamy tylko pięć wolnych pokoi.

Dziewczęta spały prawie do południa. Potem dałem im czas wolny na zwiedzanie miasta, wyjaśniając, że muszę „zorganizować sesję zdjęciową” w lokalnym oddziale Pan Am. Tymczasem tak naprawdę przewertowałem książkę telefoniczną i znalazłem to, czego szukałem, to znaczy adres atelier fotograficznego. Zadzwoiłem do firmy i przedstawiłem się jako przedstawiciel Pan Am do spraw public relations.

- Mam osiem dziewcząt w hotelu Royal Gardens, stewardesy, i chciałbym im zrobić trochę kolorowych i czarno-białych zdjęć do celów reklamowych - rozumie pan, słodkie zdjęcia dziewcząt na Picadilly, kilka ujęć na mostach Tamizy, coś w tym rodzaju - powiedziałem. - Czy dałby pan radę to zrobić?

- Jasne, że tak! - odparł z entuzjazmem mężczyzna, z którym rozmawiałem. - Zaraz wyślę do pana jednego z moich chłopców z próbkami zdjęć. Jestem pewien, że ubijemy interes, panie Williams.

Przedstawiciel atelier zjadł ze mną lunch i ubiliśmy interes. Wyglądało na to, że wybrałem jedną z lepszych firm w Londynie. Mieli już nawet kiedyś okazję współpracować z Pan Am.

- To całkiem nowy projekt, który właśnie wprowadzamy w życie - oświadczyłem. - Myślę, że będzie pan zadowolony, ponieważ płacimy w gotówce na koniec każdego dnia. Wystarczy, że da mi pan fakturę na całą sumę.

- A co z odbitkami? - zapytał pracownik atelier.

- Wygląda na to, że zaraz wyślę nas do innego miasta, dlatego proszę przesłać odbitki do działu promocji i reklamy linii Pan Am w Nowym Jorku - zaproponowałem. - Jeśli zdecydują się wykorzystać jakieś zdjęcia, zapłacą panu osobno za każde wybrane zdjęcie.

Zagwizdał i uniósł szklankę z piwem.

- Rzeczywiście, to całkiem nowe podejście do interesów i w dodatku podoba mi się - rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem.

Następnego dnia rano do hotelu przyjechał bus wyładowany po brzegi sprzętem i trzyosobowa ekipa fotografów, która zabrała moje kurczaki. Nie pojechałem z nimi, tylko powiedziałem fotografowi, że polegam na jego wyczuciu i wyobraźni, i że ma mi zwrócić dziewczyny w przyzwoitym stanie.

- Jasne, szefie. - Zaśmiał się i zagonił dziewczęta do samochodu. Miałem do załatwienia własne interesy. Wyruszyłem w tę nielegalną

podróż zaopatrzonej we wszystkie potrzebne grzeszne akcesoria: fałszywe czeku gotówkowe (własnej roboty), czeku Pan Am na wydatki służbowe i czeku na wypłatę pensji (dzieła sztuki nieświadomego niczego papy Lavaliera) oraz formularze zwrotu kosztów (ukradzione z samego magazynu Pan Am) - te ostatnie bardziej dla blefu niż w jakimś konkretnym celu.

Mnóstwo czynników mi sprzyjało. Londyn i większość europejskich miast na naszej trasie było usianych filiami największych amerykańskich banków.

Nazajutrz rano zebrałem dziewczęta w swoim pokoju i wyjaśniłem im podejście personelu hotelowego do załóg samolotów, po czym rozdałem im osiem fałszywych „czeków na wydatki służbowe” do podpisania. Każdy czek opiewał oczywiście na znacznie większą sumę niż rachunek za hotel.

- Potrzebne mi wasze identyfikatory, a kiedy będę regulował rachunki, macie wszystkie stać tak, żeby kasjer was widział - przykazałem im. Żadna z nich nie miała wątpliwości co do wysokości sumy na czeku, jeśli w ogóle któraś zadała sobie trud, żeby ją przeczytać.

Cała operacja przebiegła gładko. Dziewczęta stały w grupie w holu w zasięgu wzroku kasjera, a ja zapłaciłem za nasze zakwaterowanie i inne usługi ośmioma fałszywymi czekami. Kasjer zadał tylko jedno pytanie.

- Te чеки opiewają na dość duże sumy, kapitanie. Nie jestem pewien, czy mam tyle dolarów amerykańskich, żeby wydać panu resztę - powiedział, przeszukując szufladę kasy. - Niestety, nie mam. Obawiam się, że będę panu musiał wydać resztę w funtach.

Udałem niezadowolonego, ale przystałem na jego propozycję, wiedząc, że na tym zyska, a przynajmniej tak mu się wydawało. W każdym razie funty, które mi dał, były prawdziwe. W przeciwieństwie do czeków Pan Am.

Tego samego popołudnia odlecieliśmy do Rzymu, gdzie w ciągu kolejnych trzech dni powtórzyłem całą procedurę. Kasjer hotelowy w Rzymie również zapytał, dlaczego kwoty na czekach są takie wysokie, ale moje wyjaśnienia rozwiały jego wątpliwości.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - powiedziałem. - Ale to osiemnasty dzień naszej podróży po Włoszech i oczywiście, jeśli panu wygodniej, może mi pan wydać resztę w lirach.

Oczywiście było mu wygodniej, ponieważ zarobił na tym jakieś pięćdziesiąt dolarów.

Postanowiłem, że nie będziemy podróżować po Europie samolotem; nie z powodu kosztów, ale ponieważ dziewczęta miałyby kontakt z prawdziwymi załogami linii lotniczych. Ta kwestia stanowiła największy problem, jaki napotkałem, wprowadzając w życie swój plan - jak uchronić moje dziewczęta przed kontaktami z prawdziwym personelem latającym. Jak wspomniałem wcześniej, ludzie z linii lotniczych uwielbiają rozmawiać o pracy, szczególnie jeśli pracują dla tego samego przewoźnika.

Oczywiście nie dało się uniknąć wszystkich kontaktów z członkami innych załóg, ponieważ powodzenie mojego planu opierało się na tym, że nocowaliśmy w hotelach, które obsługiwały personel latający. Zawsze istniało ryzyko, że któraś z dziewcząt, będąc w mundurze, natknie się na prawdziwą stewardesę Pan Am i nawiąże z nią katastrofalną w skutkach rozmowę.

Prawdziwa stewardesa: „Cześć, jestem Mary Alice, z Los Angeles. Gdzie masz bazę?”.

Dziewczyna: „Właściwie nigdzie. Biorę udział w sesji reklamowej”.

Prawdziwa: „To ty nie jesteś stewardesą?”.

Dziewczyna: „Niezupełnie. Jest nas osiem i pozujemy do zdjęć reklamowych”.

Prawdziwa (do siebie): „Do cholery. Pracuję w Pan Am od pięciu lat i nigdy nie słyszałam o takich projektach. Lepiej powiem o tym szefowi i zobaczymy, czy to nie jacyś oszuści”.

Chciałem uniknąć podobnego scenariusza, więc często robiłem dziewczętom wykłady na ten temat.

- Posłuchajcie, jeśli będziecie ubrane po cywilnemu i spotkacie stewardesę Pan Am w mundurze, nie mówcie, że pracujecie w tej samej firmie, ponieważ tak nie jest - ostrzegałem je. - Jeśli będziecie w mundurze i spotkacie stewardesę Pan Am, która zakwestionuje waszą tożsamość, po prostu powiedzcie, że jesteście na wakacjach. Możecie odnieść wrażenie, że wprowadzacie kogoś w błąd, bo tak będzie, ale mamy ku temu swoje powody. Nie chcemy, żeby inne linie lotnicze dowiedziały się o naszym przedsięwzięciu, ponieważ najprawdopodobniej, co byłoby w pewnym sensie uzasadnione, puściliby plotkę, że w reklamach Pan Am nie występują prawdziwe stewardesy. A my nie chcemy, żeby nasze stewardesy dowiedziały się o tym, jak już wspominałem, ponieważ na pewno odezwałyby się głosy protestu. Dla pracującej stewardesy byłoby to z pewnością duże wyróżnienie.

Dziewczęta wspaniale stosowały się do tych zasad. A tymczasem wynająłem wygodny, niemal luksusowy mikrobus volkswagena na naszą dalszą podróż po Europie. Czasami realizacja mojego planu bardziej przypominała beztrudne wakacje niż oszukańcze przedsięwzięcie. Często spędzaliśmy całe dni, a nawet tygodnie w malowniczych małych wioskach tego czy innego kraju, w trakcie których ograniczałem swoją działalność przestępczą. Mój plan nie przewidywał naciągania chłopów.

Ale w większych miastach wracałem do realizacji swojego projektu. Zanim wjeżdżaliśmy do dużych metropolii, zatrzymywaliśmy się, żeby włożyć mundury, a kiedy przyjeżdżaliśmy do wybranego przeze mnie hotelu, cała procedura zaczynała się od początku.

Co dwa tygodnie wręczałem dziewczętom fałszywe czekki i dawałem im je do podpisu w zamian za gotówkę.

Ponieważ pokrywałem wszystkie koszty (choć każda myślała, że to Pan Am pokrywa wszystkie rachunki), na ogół wysyłały pieniądze przekazami rodzicom albo do banku.

Oczywiście dziewczęta były zupełnie niewinne. W ciągu całego lata żadna z nich nie zorientowała się, że została wciągnięta w jakiś przestępczy proceder. Wszystkie były przekonane, że zostały legalnie zatrudnione przez Pan Am. Całkowicie dały się nabrać na moje oszustwo.

Moja intryga była sielanką, ale często gorączkową i wyczerpującą. Stojąc na czele stada ośmiu ślicznych, tryskających energią, żywych dziewcząt, przypominałem kowboja, który pędzi stado młodych jałówek, siedząc na kulawym koniu - to prawie niemożliwe. Postanowiłem na samym początku, że nie będę wchodził w intymne kontakty z żadną z dziewcząt, ale w ciągu tego lata dziesiątki razy zachwiałem się w moim postanowieniu. Każda z nich była niepoprawną flirtiarą, a ja oczywiście byłem księciem flirtu i kiedy któraś chciała się do mnie za bardzo zbliżyć (a każda próbowała kilkakrotnie), ledwo dawałem radę odeprzeć jej atak. Ale zawsze mi się udawało.

Nie oznacza to, że w tamtym czasie żyłem w celibacie. Miałem liczne możliwości nawiązywania przygodnych romansów we wszystkich miejscach, w których się zatrzymywaliśmy, i wykorzystywałem każdą sposobność.

Monique nie należała do moich przelotnych romansów. Kiedy przylecieliśmy do Paryża i odszukałem ją, poinformowała mnie, że ze mną zrywa.

- Możemy być nadal przyjaciółmi i mam nadzieję, że pomożesz papie w jego interesach, ale ja chcę się ustatkować, a ty nie - oznajmiła. - Poznałam innego mężczyznę, pilota Air France, i poważnie myślimy o wspólnej przyszłości.

Zapewniłem ją, że doskonale to rozumiem i w zasadzie trochę mi ulżyło. Potwierdziłem też, że jej ojciec nadal będzie otrzymywał zlecenia z Pan Am, chociaż było to kłamstwo. Zacząłem czuć się winny, że obłudnie wykorzystuję papę Lavaliera i postanowiłem zwolnić go z roli pionka w mojej brudnej grze. W każdym razie zrobił dla mnie tyle czeków, że gdybym chciał je wszystkie wykorzystać, mógłbym wyczyścić kilka skarbców bankowych.

Swoją podróż po Europie zakończyliśmy w Kopenhadze, gdzie wsadziłem dziewczęta do samolotu lecącego do Arizony. Wysłałem je do Stanów, wręczając im bukiety róż i wygłaszając kwiecistą mowę, która miała rozproszyć wszelkie wątpliwości,

169

jakie mogły przyjść im do głowy w ciągu najbliższych kilku tygodni.

- Zatrzymajcie swoje mundury, identyfikatory i odcinki kontrolne czeków (zawsze oddawałem im odcinki kontrolne, kiedy zrealizowałem czek) - poleciłem im. - Jeśli firma zażąda zwrotu mundurów i identyfikatorów, ktoś się z wami skontaktuje. Wracajcie na studia, ponieważ nie zatrudnimy was na stałe, dopóki nie ukończycie szkoły, a potem skontaktuje się z wami przedstawiciel firmy. Prawdopodobnie nie będę to ja, ponieważ wracam do swojej pracy pilota. Ale mam nadzieję, że kiedyś znajdziecie się w mojej załodze, ponieważ wspaniale się z wami bawiłem.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, rzeczywiście wspaniale się bawiłem. Dziewczyny przyprawiły mnie o wiele siwych włosów, ale nieświadomie pomogły mi zarobić mnóstwo pieniędzy. W sumie jakieś trzysta tysięcy dolarów.

Dziewczyny właściwie dostały wiadomość z Pan Am. Kiedy przez trzy miesiące z dziesiątek europejskich miast bez przerwy przychodziły zdjęcia tych samych ośmiu dziewcząt ubranych w kostiumy stewardes linii Pan Am, szefowie działu reklamy wszczęli śledztwo. W rezultacie cała sprawa dostała się w ręce O'Rileya, a ten sprytnie ją rozwiązał i powiadomił o wszystkim pilotów Pan Am i zainteresowane dziewczęta. Rozumiem, że dziewczęta przyjęły tę wiadomość taktownie, delikatnie rzecz ujmując.

Po pożegnaniu z dziewczętami zostałem jeszcze kilka tygodni w Europie, a potem wróciłem do Stanów, gdzie przez parę tygodni włóczyłem się z miejsca na miejsce jak cygan, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej niż trzy dni. Zacząłem znowu być markotny, nerwowy i poirytowany, a świadomość tego, że prawdopodobnie zawsze będę musiał uciekać jak lis nieustannie ścigany przez psy, zaczynała mi ciążyć.

Praktycznie zarzuciłem swój proceder fałszowania czeków z obawy, że psy są już zbyt blisko, a nie miałem ochoty zostawiać świeżego tropu. Rzadko ulegałem wyzwaniu, żeby pokazać swoją przestępczą fantazję.

Jedna z takich sytuacji przydarzyła mi się w dużym mieście na środkowym zachodzie. Po przylocie siedziałem w restauracji na lotnisku, jedząc lunch, kiedy zainteresowała mnie rozmowa przy sąsiednim stoliku, prowadzona pomiędzy starszym mężczyzną o surowym wyglądzie a jego bardzo młodym towarzyszem o służalczej postawie, najwyraźniej pracownikiem. Wywnioskowałem, że starszy mężczyzna był bankierem, który wybierał się na konferencję do San Francisco i oczekiwał, iż podczas jego nieobecności bank zarobi jakieś pieniądze.

170

Był nieprzyjemny, zrzędlawy, arogancki i najwyraźniej dumny z tego, że zajmuje takie wysokie stanowisko, a kiedy wywołano go przez megafon, usłyszałem, jak się nazywa: Jasper P. Cashman.

Tego samego popołudnia zrobiłem dyskretny wywiad na temat osoby Jaspera P. Cashmana, wykorzystując do tego celu bibliotekę miejscowej gazety. Cashman był wybitną osobistością w lokalnej społeczności, potentatem, który doszedł do wszystkiego sam. Zaczął od posady kasjera w swoim banku, którego aktywa były wtedy warte pięć milionów dolarów. Obecnie był prezesem tego samego banku, którego aktywa przekraczały sumę stu milionów.

Zwiedziłem ten bank następnego dnia. Mieścił się w nowym budynku, a na jego ogromnym frontowym oknie nadal widniał slogan dotyczący planów rozwoju. Wnętrza były przestronne i przyjemne. Po jednej stronie siedzieli kasjerzy, a wzdłuż przeciwległej ściany urzędnicy niższej rangi. Natomiast urzędnicy wyższej rangi zajmowali przestronne biura z przeszklonymi ścianami. Biuro prezesa znajdowało się na trzecim piętrze. J. P. Cashman nie był zwolennikiem spoufalania się z podwładnymi.

Wynająłem samochód, pojechałem do jakiejś małej miejsciny oddalonej o dwieście osiemdziesiąt kilometrów, otworzyłem rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy na dziesięć tysięcy dolarów, przedstawiając sfalszowany czek gotówkowy. Następnie wróciłem do miasteczka Cashmana i nazajutrz udałem się do jego banku. Nie zależało mi na pieniądzach. Cashman drażnił mnie swoim sposobem bycia i po prostu chciałem go użądlić.

Kiedy wszedłem do banku, wyglądałem jak zamożny biznesmen. Szary trzyczęściowy garnitur, wyglansowane buty z krokodylej skóry, elegancki krawat i zgrabny skórzany neseser.

Towarzysz Cashmana z lotniska okazał się jednym z młodych urzędników. Na jego biurku panował ład i porządek. Identyfikator z jego nazwiskiem błyszczał nowością. Najwyraźniej właśnie awansował. Usiadłem na krześle przed jego biurkiem.

- Czy mogę w czymś pomóc, proszę pana? - zapytał, najwyraźniej będąc pod wrażeniem mojego ubioru i wyglądu.

- Istotnie, może pan - odparłem swobodnie. - Nazywam się Robert Leeman, jestem z Junction i chciałbym zrealizować czek na sporą sumę. Mam wszystkie niezbędne dokumenty i może pan zadzwonić do mojego banku, żeby potwierdzić autentyczność czeku, ale nie sądzę, żeby to było konieczne. J.P. Cashman zna mnie i poręczy za czek. Może pan do niego zadzwonić.

171

Nie, może ja do niego zadzwonię, bo i tak muszę z nim pogadać.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, sięgnąłem po telefon i wykręciłem numer wewnętrzny do biura Cashmana. Odebrała jego sekretarka.

- Chciałbym rozmawiać z panem Cashmanem... Nie ma go... Ach, tak, wspominał mi coś w zeszłym tygodniu, ale zupełnie o tym zapomniałem. Kiedy wróci, proszę mu powtórzyć, że szukał go Bob Leeman i powiedzieć, że Jean i ja czekamy na niego i Mildred w Junction na polowaniu. Będzie wiedział, o co chodzi... Tak, dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i wstałem z grymasem na twarzy.

- Zdaje się, że mam dzisiaj pecha - powiedziałem smutnym głosem. - Potrzebowałem tych pieniędzy. Nie zdążę pojechać do Junction i wrócić na czas, żeby ubić ten interes. No cóż, życzę panu miłego dnia.

Ruszyłem do wyjścia, kiedy młody urzędnik mnie zatrzymał.

- Na jak dużą sumę jest ten czek, panie Leeman?

- Dość spora sumka - odparłem. - Potrzebuję siedmiu i pół tysiąca dolarów. Mógłby pan się tym zająć? Podam panu numer mojego konta w Junction. - Nie czekając na odpowiedź, usiadłem z powrotem na krześle, szybko wypisałem czek na siedem tysięcy pięćset dolarów i podałem mu go. Zgodnie z moimi przypuszczeniami nie zadzwonił do banku w Junction. Wstał i odwrócił się w kierunku jednego z przeszklonych biur. - Będę musiał dać to do zatwierdzenia panu Jamesowi, wiceprezesowi banku, który, jak mniemam, nie będzie miał żadnych zastrzeżeń. Zaraz wracam.

Wszedł do gabinetu wiceprezesa i powiedział (jak się później dowiedziałem) dokładnie to, co mu wmówiłem.

- Przyszedł tutaj pan Leeman z Junction i chce zrealizować czek na dość dużą sumę. Jest przyjacielem pana Cashmana i chciał się z nim spotkać, ale jak pan wie, pan prezes jest teraz w San Francisco.

- Przyjaciel naszego staruszka?

- Tak, panie prezesie, prywatnie i zawodowo, o ile dobrze zrozumiałem.

- Zrealizuj mu ten czek. Nie będziemy, u licha, denerwować żadnych współników starego.

Chwilę później młody urzędnik wręczył fałszywy czek kasjerce.

- Proszę zrealizować ten czek dla pana. Cieszę się, że mogłem panu pomóc, panie Leeman.

Nie byłem zbyt zadowolony z tego, że po raz kolejny uległem odruchowi psa Pawłowa.

172

W zasadzie nie sprawiło mi to żadnej przyjemności. Tego samego dnia wyjechałem z miasta, a kilka dni później zatrzymałem się w jakiejś dziurze w stanie Vermont,

żeby pomedytować nad swoim losem. Moje refleksje były ponure. Doszedłem do wniosku, że ja już nie żyję, ale jedynie usiłuję przetrwać. Zbiłem fortunę na swoich fałszywych wcieleniach, oszustwach i przekrętach, ale bynajmniej nie cieszyły mnie owoce mojej przestępczej działalności. Stwierdziłem, że najwyższy czas, żebym porzucił tę drogę, ukrył się jak lis w jakimś odległym i bezpiecznym legowisku, gdzie mógłbym się zrelaksować i zacząć budować nowe, uczciwe życie.

W myślach zrobiłem przegląd miejsc, które odwiedziłem. Delikatnie rzecz biorąc, byłem zdziwiony tym, jak wiele podróżowałem w ciągu ostatnich kilku lat. Przemierzyłem kulę ziemską wzdłuż i wszerz, od Singapuru po Sztokholm, od Tahiti do Triestu, od Baltimore po Bałtyk i wiele innych miejsc, o których już zdążyłem zapomnieć.

Ale jedno miejsce wbiło mi się szczególnie w pamięć. Jego nazwa ciągle powracała w moich myślach, kiedy szukałem bezpiecznego raju. Montpellier we Francji.

Montpellier. To był mój rajski azyl. Podjąłem decyzję, a nawet jej nie przemyślałem.

A powinienem.

173

ROZDZIAŁ dziewiąty.

Francuska gościnność.

W winnicach dolnej Langwedocji produkuje się więcej wina niż w pozostałych trzech francuskich krainach winnic razem wziętych. Jeśli chodzi o jakość wina z Langwedocji, może z jednym czy dwoma wyjątkami, mają cały bukiet, moc i smak zwietrzałego piwa korzennego. Zwykle wino z Langwedocji z pieczenią rzymską przyrządzoną z resztek mięsa gospodarz podaje gościom, których więcej nie zobaczy na oczy.

Ogólnie rzecz biorąc, jest to naprawdę podły sikacz. Na całe szczęście dla Francji właściciele winnic, robotnicy zatrudnieni przy zrywaniu winogron, pracownicy, którzy rozlewają wino do butelek, i znaczna większość społeczeństwa spożywają większość win z Langwedocji. Francja eksportuje tylko najlepsze wina z winnic Burgundii, Bordeaux i Szampanii, które słusznie słyną ze swojej wysokiej jakości.

Nauczyłem się wszystkiego o uprawie winorośli w Montpellier. Pierwsza zasada, jakiej się nauczyłem, mówiła, że nie pija się lokalnych vins dupays.

Prawdopodobnie byłem jedynym mieszkańcem Montpellier, który pijał wodę. Ale nie przyjechałem tam po to, żeby pić wino czy wodę. Miałem się tam ukryć. Żywiłem nadzieję, że na zawsze. Osiągnąłem szczyt przestępczych możliwości, ale rzeczywistość wcale nie przedstawiała się tak wspaniale. Teraz potrzebowałem cichej miejscowości, w której mógłbym się schronić.

174

Przejeżdżałem przez Montpellier, jadąc z Marsylii do Barcelony w trakcie mojej pierwszej eskapady po Europie. Wyjechałem za miasteczko, zaparkowałem w cieniu ogromnego drzewa oliwnego i urządziłem sobie piknik, zakupiwszy wcześniej w mieście ser, chleb, kiełbaski i napoje. Tuż obok pracownicy zatrudnieni przy zbieraniu winogron krzątali się jak mrówki po rozległej winnicy, a w oddali błyszczały w słońcu ośnieżone szczyty Pirenejów. Poczułem się swobodnie, spokojnie, niemal szczęśliwie. Jak w domu.

W pewnym sensie byłem w domu. Moja matka pochodziła z tej części południowej Francji. Urodziła się tutaj, potem poślubiła mojego ojca, a po wybuchu wojny w Algierii jej rodzice wrócili tu razem z pozostałymi dziećmi. Moi dziadkowie ze strony matki, kilka ciotek i wujków i stado kuzynów nadal mieszkali o jakąś godzinę jazdy samochodem od tego drzewa. Stłumiłem w sobie pokusę, żeby zjechać z trasy i odwiedzić rodzinę mojej matki, a potem pojechać do Hiszpanii.

Nigdy nie zapomniałem tego spokojnego i przyjemnego pikniku koło Montpellier. A kiedy w sędziwym wieku dwudziestu lat postanowiłem odejść na emeryturę z mojej posady fałszerza czeków, wybrałem właśnie Montpellier na miejsce schronienia. Nie byłem uszczęśliwiony faktem, że musiałem wrócić tam i przybierać kolejną fałszywą tożsamość, ale nie miałem wyboru.

Montpellier pod wieloma względami stanowiło dla mnie idealne miejsce. Nie było atrakcją turystyczną. Leżało w głębi lądu, za daleko od Morza Śródziemnego, żeby zwabić miłośników Riwiery, a jednocześnie wystarczająco blisko, żeby szybko dostać się samochodem na wybrzeże.

Miało wystarczająco dużą populację (80000 mieszkańców), żeby jakiś Amerykanin mógł tam zamieszkać, nie wzbudzając zbytniego zainteresowania, a jednocześnie było zbyt małym miastem, aby zasługiwać na porządne lotnisko albo zwabić duże sieci hotelowe. W Montpellier człowiek nie natknie się na żadne Hiltony ani Sheratony, a małe lotnisko obsługuje jedynie awionetki. Brak lotniska i drogich hoteli był mi na rękę. Istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, żebym spotkał tam pilota, stewardesę czy pracownika hotelu, który by mnie rozpoznał.

Zaprezentowałem się w Montpellier jako Robert Monjo, wzięty pisarz i autor scenariuszy z Los Angeles. „Wzięty” po to, żebym mógł otworzyć konto na pokazną

sumę w jednym z lokalnych banków. W dodatku nie zdeponowałem tam wszystkich pieniędzy, które przywiozłem ze sobą do Montpellier. Gdybym to zrobił, mogłoby to wzbudzić jakieś podejrzenia co do prawdziwych źródeł mojego utrzymania.

175

Zatrzymałem przy sobie trzy razy tyle, ile wpłaciłem do banku, schowałem pieniądze w bagażach. Mieszkańcy Montpellier w zasadzie nie byli wścibscy. Kiedy postanowiłem zostać obywatelem miasteczka, zadano mi jedynie niezbędne i pobieżne pytania.

Kupiłem mały domek, uroczy i elegancki, z małym podwórkiem na tyłach ogrodzonym wysokim płotem z desek, gdzie poprzedni właściciel uprawiał maluteńki ogród. Właściciel sklepu, w którym kupowałem wyposażenie domu, polecił mi usługi swojej żony, profesjonalnej dekoratorki wnętrz, w wyborze odpowiednich mebli i wystroju wnętrza. Zamieniłem jeden pokój na gabinet i bibliotekę, umacniając swój wizerunek pisarza zajmującego się zgłębianiem i tworzeniem literatury.

Kupiłem renault, jeden z lepszych modeli ale nie na tyle luksusowy, żeby przyciągał uwagę. Po dwóch tygodniach czułem się jak w domu, bezpieczny i zadowolony z mojego nowego otoczenia.

A jeśli Bóg poskąpił Langwedocji dobrych winogron, to nadrobił te straty, stwarzając wspaniałych ludzi. Tamtejsi mieszkańcy w większości byli śmiali, mili, uprzejmi i towarzyscy, często się uśmiechali i chętnie oferowali pomoc. Gospodynie domowe z sąsiedztwa zawsze pukały do drzwi i przynosiły mi ciasto, świeżo upieczony chleb albo obiad. Najbardziej lubiłem mojego najbliższego sąsiada, Armanda Perigueux. Był to postawny, żyłasty siedemdziesięcioletni mężczyzna, który nadal pracował jako nadzorca w winnicy i jeździł do pracy na rowerze.

Gdy odwiedził mnie po raz pierwszy, przyniósł ze sobą dwie butelki wina, białe i czerwone.

- Większość naszych win nie odpowiada amerykańskim podniebieniom - powiedział. Głos miał silny, a zarazem łagodny. - Ale w Langwedocji produkuje się kilka naprawdę dobrych win, a te dwa do nich należą.

Nie jestem koneserem, ale kiedy raz skosztowałem dobrych win, postanowiłem nigdy nie próbować innych. Ale mieszkańcy Montpellier pijali więcej wina niż jakichkolwiek innych napojów. Żaden lunch ani kolacja nie mogły się obejść bez wina. Widziałem nawet, jak ktoś pił wino na śniadanie.

Od Armanda dowiedziałem się, że Bóg w zasadzie nie ma nic wspólnego z niskimi notowaniami Langwedocji jako producenta win markowych. Powiedział mi, że prawie sto lat temu jakiś szkodnik o nazwie filoksera spustoszył wszystkie francuskie winnice, niemalże doprowadzając do upadku cały przemysł produkcji win.

176

- Słyszałem, że ten szkodnik dostał się do Francji przyczepiony do korzeni winorośli sprowadzonych ze Stanów - opowiadał Armand. - Ale nie wiem, czy to prawda.

Za to Armand wiedział na pewno, że duża część francuskich odmian winorośli miała amerykańskie korzenie - odporne na te szkodniki - na których szczepiono francuskie rośliny. A kiedy nabrał do mnie zaufania, wyznał w tajemnicy, że Amerykanie i mieszkańcy innych krajów prawdopodobnie nawet nie zdają sobie sprawy, ile win, które piją, pochodzi właśnie z Langwedocji. Poinformował mnie, że prawie codziennie cysterny napelnione winem z Langwedocji telepały się na północ do słynnych francuskich regionów uprawy winorośli, gdzie ich zawartość mieszano z najlepszymi gatunkami win z Burgundii i Bordeaux.

- To jest naciąganie, tak jak dolewanie wody do whisky - podsumował Armand. - Myślę, że to nieuczciwe.

Jak powiedział, Montpellier to dobre miejsce, żeby nauczyć się czegoś o winach.

- W naszym miasteczku działa Francuski Uniwersytet Wiedzy o Winach - oświadczył z dumą. - Możesz się tam zapisać i studiować.

Nigdy nie odwiedziłem tego uniwersytetu. Ponieważ nie należałem do smakoszy win, chociaż piłem je w towarzystwie, nie miałem również ochoty zdobywać wiedzy na ten temat. Zadowalały mnie okruchy wiedzy, którymi karmił mnie Armand. Był dobrym nauczycielem. Nigdy nie robił klasówek ani nie stawiał ocen. Miałem kłopot ze znalezieniem sobie jakiegoś zajęcia. Obijanie się to naprawdę ciężka praca. Spędzałem mnóstwo czasu, jeżdżąc tu i tam. Wybierałem się na wybrzeże i kilka dni chodziłem po piaszczystych wydmach. Albo jechałem do granicy z Hiszpanią i godzinami włóczyłem się po przedgórzu Pirenejów. Czasami odwiedzałem Armanda w jego winnicy albo udawałem się do jakiejś innej winnicy. Pod koniec pierwszego miesiąca zawędrowałem do małej wioski, w której mieszkali moi dziadkowie i posiedziałem u nich kilka dni. Moja babcia regularnie korespondowała z mamą i wiedziała o wszystkim, co działo się w naszym domu. Wypytałem ją o nich dyskretnie, ponieważ nie chciałem, żeby się zorientowała, iż uciekłem z domu. Moja matka miewała się dobrze, podobnie jak siostra i bracia. Ojciec nadal zabiegał o względy mamy, co babcia uważała za zabawne. Najwyraźniej mama powiedziała babci, że "Jeździłem autostopem" po całym świecie, próbując zdecydować się, czego chcę w życiu, i w czasie mojego pobytu utrzymywałem ich w tym przekonaniu.

Powiedziałem dziadkom, że mieszkam w Montpellier. Skłamałem, że właśnie jadę do Hiszpanii z myślą o zapisaniu się na jakiś tamtejszy uniwersytet. W trakcie mojego pobytu w Montpellier odwiedziłem ich jeszcze raz. Wtedy powiedziałem im, że nie znalazłem w Hiszpanii uczelni, która stanowiłaby dla mnie odpowiednie wyzwanie, i wracam do Włoch, żeby przyjrzeć się włoskim uniwersytetom.

Ponieważ pobyt we Francji coraz bardziej mi służył, zacząłem rozważać myśl, żeby podjąć na nowo przerwana edukację. Montpellier jest siedzibą jednego z dwudziestu francuskich okręgów akademickich i małego, ale dobrego państwowego uniwersytetu. Poszedłem do kampusu i dowiedziałem się, że obcokrajowcy mogą uczestniczyć w kilku kursach, chociaż żaden z nich nie jest prowadzony w języku angielskim. Nie stanowiło to jednak dla mnie najmniejszej przeszkody, ponieważ dzięki matce byłem dwujęzyczny.

Zacząłem również myśleć o znalezieniu pracy albo założeniu jakiejś niedużej firmy, może sklepu papierniczego, ponieważ zacząłem puchnąć w oczach od tego beczynnego i luksusowego trybu życia, jaki prowadziłem. Nawet Armand skomentował moją wciąż powiększającą się otyłość.

- Pisarz nie ma zbyt wiele ruchu, prawda, Robercie? - powiedział, wskazując na mój brzuch.

- Może byś przyszedł popracować u mnie w winnicy, to będziesz miał lepszą kondycję i schudniesz. - Odmówiłem. Praca fizyczna nie należy do moich ulubionych. Nie mogłem się również zmusić do ćwiczeń.

Nadal rozważałem możliwość zapisania się na uniwersytet i znalezienia jakiegoś uczciwego zajęcia, kiedy nagle jedno i drugie stanęło pod znakiem zapytania. Po czterech miesiącach mieszkania w Montpellllier poznałem gorzką prawdę: kiedy psy mają pomoc, nie ma takiego miejsca, w którym lis mógłby się bezpiecznie ukryć.

Robiłem zawsze zakupy na małym (jak na amerykańskie warunki) targu na przedmieściach Montpellier, w sklepie spożywczym, który polecił mi Armand. Jeździłem do sklepu dwa razy w tygodniu. Tego dnia przyjechałem po większe zakupy, a kiedy sprzedawca pakował je do torby, przypomniałem sobie jeszcze o mleku. Poprosiłem chłopaka, żeby odstawił moją torbę na bok (stały tam również inne siatki) i poszedłem na koniec sklepu po mleko. Wracając, obszedłem półkę z puszkami i zobaczyłem czterech mężczyzn, którzy stali przy kasie, gdzie nie było już ani sprzedawcy, ani klientów.

Jeden z nich miał dubeltówkę, drugi trzymał w ręku coś, co wyglądało na krótki pistolet maszynowy, a pozostali dwaj uzbrojeni byli w rewolwery. Z początku

pomyślałem, że to napad na sklep i wszyscy pracownicy, a także klienci leżą już na podłodze.

Ale kiedy odwróciłem się, próbując ukryć się za półkami, jeden z mężczyzn krzyknął: „Abagnale!”.

Dałem nura za półki tylko po to, żeby stanąć oko w oko z trzema żandarmami w mundurach, którzy mierzyli do mnie z rewolwerów. Następnie otoczyli mnie ze wszystkich stron faceci w mundurach, goście ubrani po cywilnemu, a wszyscy celowali do mnie z broni. Rozkazy świszczały mi w uszach niczym uderzenia pejcza.

- Ręce do góry!
- Ręce za głowę!
- Twarzą do półek, rozsuń nogi!
- Kładź się twarzą do podłogi!

Trzymałem ręce do góry. Nie wiedziałem, którego polecenia mam posłuchać, ale z pewnością nie chciałem, żeby mnie zastrzelili. A paru z nich trzymało broń w sposób, który mnie przerażał. W zasadzie napędzili stracha nawet swoim kolegom.

- Na miłość boską, nie strzelajcie! - krzyknąłem. - Niech jeden z was powie, co mam zrobić, to go posłucham.

Wysoki, szczupły mężczyzna o surowych rysach twarzy wycelował we mnie rewolwer.

- Na podłogę, twarzą w dół! - warknął. Zrobiłem tak, jak powiedział, w czym niezbyt delikatnie pomogło mi kilka uczynnych rąk. Ktoś brutalnie wykręcił mi ręce do tyłu, a inny bez ceregieli zatrzaskał mi kajdanki na przegubach.

Potem bez ceremonii postawili mnie na nogi i w otoczeniu detektywów Surete, agentów Interpolu, żandarmów i Bóg jeden wie kogo jeszcze, zostałem wyciągnięty ze sklepu i wepchnięty na tylne siedzenie jakiegoś nieoznakowanego sedana. Nie mogę powiedzieć, że francuska policja jest brutalna, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że traktuje podejrzanych z nadmierną surowością. Zawieziono mnie prosto na posterunek policji w Montpellier. W czasie drogi nikt nie odezwał się ani słowem.

Na posterunku detektyw o surowym wyrazie twarzy, dwóch innych oficerów i agenci Surete wprowadzili mnie do małego pokoju. Francuska policja ma dużą swobodę w traktowaniu przestępców, a szczególnie w przesłuchiowaniu podejrzanych. Przechodzą od razu do sedna sprawy,

nawet nie odczytując przestępcy, jakie ma prawa. Tak na marginesie, nie sądzę, żeby oszust miał jakiegokolwiek prawa we Francji.

- Nazywam się Marcel Gaston, jestem agentem Surete - powiedział szczupły oficer szorstkim głosem. - Frank Abagnale, prawda?

- Nazywam się Robert Monjo - odparłem oburzony. - Jestem pisarzem z Kalifornii, Amerykaninem. Obawiam się, że popełniliście panowie bardzo poważny błąd.

Gaston uderzył mnie w twarz, a cios był bolesny.

- Popełniam czasem błędy, monsieur, ale tym razem się nie mylę. Nazywasz się Frank Abagnale.

- Nazywam się Robert Monjo - utrzymywałem, usiłując dopatrzeć się na ich twarzach cienia wątpliwości.

Jeden z pozostałych agentów Surete zrobił krok do przodu i zacisnął rękę w pięść, ale Gaston położył mu rękę na ramieniu, wciąż patrząc na mnie przenikliwie. Potem wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy to z ciebie wyciągnąć, ale nie ma potrzeby - oświadczył. - Mam mnóstwo czasu, Abagnale, choć nie mam zamiaru poświęcać go zbyt wiele twojej osobie. Możemy cię tu trzymać do dnia Sądu Ostatecznego albo przynajmniej do czasu, kiedy znajdziemy świadków, którzy potwierdzą twoją tożsamość. Do tej pory, jeśli nie będziesz chciał współpracować, umieszczę cię w celi dla pospolitych pijaczków i drobnych złodziejasków. Będziesz tam siedział tydzień, dwa, może miesiąc, to dla mnie bez znaczenia. Ale nie dostaniesz jedzenia i wody, dopóki się nie przyznasz. Więc lepiej powiedz nam teraz to, co chcemy usłyszeć. Wiemy, kim jesteś. Wiemy, co zrobiłeś. Tylko pogarszasz swoją sytuację. I jeszcze jedno, Abagnale. Jeśli będziesz nam utrudniał zdobycie informacji, o które nam chodzi, nigdy ci tego nie zapomnę. A konsekwencje tego długo będziesz pamiętał, przyrzekam.

Spojrzałem na Gastona i wiedziałem, że dotrzyma każdego słowa, które wypowiedział. Marcel Gaston był twardym skurczybykiem.

- Nazywam się Frank Abagnale - przyznałem.

Nigdy nie złożyłem zeznań, o które im chodziło. Nigdy dobrowolnie nie ujawniłem żadnych szczegółów przestępstw, które popełniłem na terenie Francji. Ale jeśli sami dowiedzieli się o jakimś oszustwie i opisali mi je ze szczegółami, przytakiwałem i mówiłem: „Mniej więcej tak to się odbyło” albo „Tak, ja to zrobiłem”.

Gaston przygotował dokument, w którym opisał wiele przestępstw, jakie popełniłem,

okoliczności mojego aresztowania i przesłuchanie, a następnie dał mi go do przeczytania.

- Jeśli wszystko zasadniczo się zgadza, pomożesz sobie, podpisując się pod tym - rzekł.

Nie miałem nic do zarzucenia temu dokumentowi. Gaston napisał nawet, jak uderzył mnie w twarz. Podpisałem.

Pisemne oświadczenie pod przysięgą, które podpisałem, zawierało również opis okoliczności, w jakich zostałem schwytany. Okazało się, że do Montpellier co prawda nie latają samoloty dużych linii lotniczych, ale za to często przyjeżdżają stewardesy i inny personel latający. Kilka tygodni wcześniej stewardesa linii Air France, która przyjechała tam odwiedzić rodzinę, rozpoznała mnie, gdy robiłem zakupy. Widziała, jak wsiałam do samochodu i zanotowała numery rejestracyjne. Kiedy wróciła do Paryża, poszła do swojego kapitana i opowiedziała mu o swoich podejrzeniach. Była na tyle przekonująca, że kapitan zawiadomił policję.

„Jestem przekonana, że to był on. Przecież się z nim umawiałam” -upierała się.

Nigdy się nie dowiedziałem, która stewardesa Air France mnie rozpoznała. Nikt nie chciał mi o tym powiedzieć. W ciągu kilku lat spotykałem się z paroma. Miałem nadzieję, że to nie była Monique, ale do dzisiejszego dnia nie znam nazwiska informatora. Nie sądzę jednak, żeby to była Monique. Gdyby to ona zobaczyła mnie w Montpellier, na pewno by do mnie podeszła.

W Montpellier trzymano mnie przez sześć dni, w ciągu których swoje usługi zaoferowało mi kilku adwokatów. Wybrałem prawnika w średnim wieku, którego manieri przypominały mi Armanda, chociaż szczerze powiedział mi, że nie sądzi, aby udało mu się doprowadzić do mojego uniewinnienia.

- Przejrzałem wszystkie akta policji. Wiedzą o tobie wszystko - oświadczył. - W najlepszym razie możemy liczyć na łagodny wyrok.

Powiedziałem, że to by mnie w zupełności satysfakcjonowało.

Zaledwie tydzień po moim aresztowaniu, zostałem przeniesiony, ku swojemu zaskoczeniu, do Perpignan, a dzień później stanąłem przed sądem na sesji wyjazdowej, w którego skład wchodził sędzia, dwóch oskarżycieli i dziewięciosobowa ława przysięgłych; mieli wspólnie orzec czy jestem winny, czy też nie.

Tak naprawdę to wszystko nie przypominało procesu i trwało niecałe dwa dni.

181

Gaston przedstawił akt oskarżenia i dowody, które zebrał. Świadków było pod dostatkiem.

- Jak oskarżony odpowiada na postawione mu zarzuty? - zapytał sędzia mojego adwokata.

- Mój klient nie kwestionuje postawionych mu zarzutów - odparł prawnik. - Żeby oszczędzić czas, chcielibyśmy teraz przedstawić nasze stanowisko w tej sprawie.

Po czym wygłosił w moim imieniu wzniosłą mowę, apelując o pobłażliwość sądu. Powołał się na mój młody wiek - nie miałem jeszcze dwudziestu jeden lat - i przedstawił mnie jako nieszczęśliwego i zagubionego chłopca, który jest ofiarą rozbitego domu „i mimo wszystko jest raczej młodocianym przestępcą niż bezwzględnym kryminalistą”. Podkreślił, że kiedy odsiedzę już swoje we Francji, wiele innych krajów europejskich, na których terenie popełniłem podobne przestępstwa, wystąpi oficjalnie o ekstradycję.

- Ten młody człowiek prawdopodobnie nie zobaczy ojczyzny przez długie lata, a nawet kiedy tam wróci, to i tak w kajdankach i tylko po to, żeby znowu dostać się do więzienia - argumentował adwokat. - Nie muszę zwracać uwagi sądu na surowość życia więziennego w naszym kraju. Proszę sąd o wzięcie tego pod uwagę przy wydawaniu wyroku.

Uznano mnie za winnego. Ale jednocześnie byłem uradowany, bo chociaż mój adwokat przegrał bitwę, ale za to wygrał całą wojnę. Sędzia skazał mnie tylko na rok więzienia. Zostałem umieszczony w więzieniu Perpignan „La Maison d'Arret”, mrocznej i posępnej twierdzy wzniesionej z kamienia w siedemnastym wieku, i dopiero po kilku dniach pobytu tam doceniłem pobłażliwość sędziego.

Przejęło mnie dwóch strażników, którzy szorstko kazali mi się rozebrać, po czym nagiego zaprowadzili piętro wyżej, gdzie szliśmy wąskim korytarzem, z którego nie było widać cel. Po jednej stronie wznosiła się tylko kamienna ściana z solidnymi stalowymi drzwiami. Strażnicy zatrzymali się przed wybranymi wrotami, które jeden z nich otworzył. Ich skrzywienie przywodziło na myśl sceny z horrorów. Następnie drugi strażnik popchnął mnie do środka ciemnego pomieszczenia. Potknąłem się i poleciałem do przodu, uderzając głową w ścianę celi, ponieważ podłoga znajdowała się nieco niżej. Nie zauważyłem dwóch schodków, którymi schodziło się na dół. W zasadzie później też ich nigdy nie widziałem.

Ogarnęła mnie całkowita ciemność. Wilgotna, chłodna, dusząca, przerażająca ciemność.

182

Wstałem, żeby poszukać po omacku wyłącznika światła, i uderzyłem głową w stalowy sufit.

Nie znalazłem żadnego włącznika. W celi nie było światła. W zasadzie w celi nie było nic oprócz wiadra. Brakowało łóżka, toalety, miednicy, studzienki ściekowej.

Stało tylko wiadro. Właściwie to nie była cela, lecz dziura, loch, który miał może półtora metra szerokości, tyle samo wysokości, sufit i drzwi ze stali, a podłogę i ściany z kamienia. Od sufitu i ścian bił chłód. Ściany nieustannie ronili chłodne łzy wilgoci.

Czekałem, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności. Do celi nie wpadało żadne światło. Nie było żadnych szpar w suficie czy ścianach. Starodawne wrota do mojej klatki ze stali i kamienia wydawały się wtopione we framugę, niczym hermetyczna plomba. Moje oczy nie przywykły do tego mroku. Nie można przyzwyczaić wzroku do całkowitej ciemności.

Do celi wpadało powietrze. Czasami czułem na skórze zimny powiew, niczym dotyk wilgotnych palców, który przyprawiał mnie o gęsią skórę z powodu niesamowitego wrażenia, jakie wywoływał, i chłodu. Byłem ciekaw, skąd tak wiało, ale i tak niczego nie mogłem dostrzec. Osunąłem się bezwładnie na podłogę, drżąc z zimna i czując się, jakbym został żywcem pogrzebany. Nie dość tego, że cały się trząsałem, to jeszcze wpadłem w panikę. Próbowałem się uspokoić, szukając logicznego powodu, dla którego przebywam w tej norze. To z pewnością nie jest cela, tłumaczyłem sobie, w której będę siedział przez cały ten rok. Pewnie znajduję się tu na obserwacji. Natychmiast odrzuciłem tę teorię. Jeśli ktoś chciałby mnie obserwować w tej celi, musiałby mieć w oczach promienie rentgenowskie. Dobrze, pewnie chcą, żebym posmakował, co mnie może spotkać, jeśli będę się źle zachowywał. Chwyciłem się kurczowo tego drugiego przypuszczenia. Tak, specjalnie traktują mnie w ten sposób, żeby mieć pewność, że będę się dobrze zachowywał, kiedy umieszczą mnie z innymi więźniami. Przecież tylko niesubordynowanych więźniów zamyka się w izolatce w takich surowych warunkach, prawda? Z pewnością w żadnym cywilizowanym kraju nie pozwolono by, żeby strażnicy więzienni traktowali kogoś w tak okrutny i nieludzki sposób.

Ale we Francji pozwala się na to. Albo pozwalano.

Pierwszego dnia mojego pobytu w Perpignan nie dostałem nic do jedzenia. Wtrącono mnie do tej ponurej celi późnym popołudniem. Kilka godzin później wyczerpany, zmarznięty, głodny, zdezorientowany, przerażony i załamany położyłem się na twardej podłodze i zasnąłem.

183

Spąłem zwinięty w kłębek i to dość duży, ponieważ mam metr osiemdziesiąt wzrostu.

Obudziło mnie skrzypnięcie drzwi. Usiadłem, obolały z powodu spania w niewygodnej pozycji. W drzwiach pojawił się niewyraźny zarys strażnika. Postawił

coś na schodkach do mojej krypty, a kiedy wyprostował się i zaczął zamykać drzwi, zdołował mnie do działania.

- Zaczekaj! Zaczekaj! - krzyknąłem i usiłowałem go zatrzymać, rzucając się do przodu i opierając ręce na drzwiach. - Dlaczego mnie tu trzymacie? Jak długo będę tu siedział?

- Do końca wyroku - odparł i zatrzasnął drzwi. Jego słowa zadźwięczały mi w uszach równie złowrogo, jak metaliczny odgłos zamykanych drzwi.

Cofnąłem się ogłuszony tą potworną wiadomością. Rok? Miałem żyć przez rok w tej czarnej trumnie? Bez światła? Bez łóżka? Bez ubrania? Bez łazienki? I Bóg wie, bez czego jeszcze? To niemożliwe, powiedziałem sobie. Żaden człowiek nie jest w stanie przeżyć w takiej ciemnej norze i w takich warunkach przez rok. Umarłby powoli i w męczarniach. Lepiej już, żeby skazali mnie na gilotynę. Kochałem Francję. Ale co to za kraj, który wymierza takie kary za takie wykroczenia jak moje? A jeśli rząd nie wie, jakie warunki panują w więzieniach, nieświadom jest, kim są specjaliści od systemu penitencjarnego, w których ręce mnie oddano? Bez wątplenia byli niemoralnymi potworami, szaleńcami i zbrojcami.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie, a właściwie lęk. Nie wiedziałem, jak i czy w ogóle zdołam przetrwać rok w tym Hadesie. Do tej pory dręczą mnie koszmary o moim pobycie w Perpignan. W porównaniu z tamtym więzieniem Czarna Dziura w Kalkucie była kurortem, a Wyspa Diabelska rajem.

Nie spodziewałem się, że w więzieniu prowadzi się lekkie i przyjemne życie. Siedziałem za kratkami tylko raz i to zaledwie kilka godzin, ale przekonałem się wtedy, że areszty i więzienia nie należą do przyjemnych miejsc. Ale w życiu do głowy by mi nie przyszło, że w jakimś więzieniu można być potraktowanym tak brutalnie i bezdusznie jak w tym.

Wyczułem i namacałem jedzenie, które przyniósł mi strażnik - garnuszek wody i mały bochenek chleba. To skąpe śniadanie nawet nie stało na żadnej tacce. Strażnik po prostu postawił garnuszek na schodku, a chleb położył obok. Nieważne, pożarłem chleb i wypłem wodę jednym haustem. Potem oparłem się zrozpaczony o wilgotną granitową ścianę i rozmyślałem nad knowaniami francuskiego wymiaru sprawiedliwości.

184

Mój pobyt w więzieniu nie był zwykłą odsiadką, ale gehenną, która miała na celu wyniszczenie ciała i złamanie ducha.

Menu w Perpignan było niezmiennie. Na śniadanie dostawałem chleb i wodę. Lunch składał się z cienkiego rosółu i bochenka chleba. Na kolację serwowano filiżankę czarnej kawy i bochenek chleba. Te monotonne posiłki różniły się jedynie tym, że

podawano je o różnych porach i w różnej kolejności. Wkrótce straciłem poczucie czasu, ponieważ nie miałem go jak odmierzać, a strażnicy, którzy przynosili jedzenie, jeszcze utrudniali całą sprawę, zmieniając pory podawania skąpych posiłków. Na przykład przez kilka dni przynosili śniadanie, lunch i obiad regularnie o siódmej rano, w południe i o siedemnastej, ale później nagle podano obiad o dziesiątej rano, kolację o czternastej i śniadanie o osiemnastej. To były takie godziny według moich szacunków. Tak naprawdę nigdy nie wiedziałem, o której godzinie przynosili mi jedzenie ani czy to było w nocy, czy za dnia. A nierzadko zdarzało się, że dawali mi jeść tylko raz albo dwa razy dziennie. Niekiedy nie jadłem nic przez cały dzień.

Przez cały czas siedziałem w celi. Ani razu w trakcie mojego pobytu w tych wiekowych murach nie pozwolono mi wyjść, żebym mógł się pogimnastykować albo odprężyć. Jeśli nawet w tym więzieniu znajdowała się jakaś świetlica, w której więźniowie mogli poczytać, napisać list, pooglądać telewizję albo w coś pograć, nie było mi dane skorzystać z takiej możliwości. Nie wolno mi było pisać listów, a jeśli ktoś z moich krewnych wiedział, że siedziałem w Perpignan, i napisał do mnie, i tak nie otrzymałem żadnej korespondencji. Prosiłem strażników, żeby skontaktowali się z moją rodziną, prawnikiem, Czerwonym Krzyżem, naczelnikiem więzienia albo amerykańskimi władzami konsularnymi, ale mnie ignorowano, z wyjątkiem jednego razu.

Wtedy strażnik uderzył mnie w głowę swoją ogromną łapą.

- Nie rozmawiaj ze mną - warknął. - To zabronione. Nie rozmawiaj, nie śpiewaj, nie gwizdź, nie nuć, nie wydawaj z siebie żadnych odgłosów, bo spuścimy ci lanie. - Zatrzasnął ciężkie wrota, nie chcąc słuchać żadnych próśb.

Wiadro służyło mi za latrynę. Nie dostawałem żadnego papieru toaletowego ani nie opróżniano wiadra. Wkrótce przyzwyczałem się do smrodu, ale kiedy po paru dniach wiadro się przepełniło, musiałem poruszać się i spać we własnych odchodach. Byłem zbyt przybity, żeby się buntować. Jednak w końcu odór stał się tak silny, że najwyraźniej przyprawiał o mdłości nawet strażników. Pewnego dnia, między posiłkami,

185

drzwi otworzyły się ze zgrzytem i do środka wpadł jakiś inny skazaniec o spojrzeniu i zachowaniu szczura, porwał wiadro i uciekł. Kilka minut później oddano mi je opróżnione. Podczas mojej odsiadki w tym małym grobowcu powtarzano tę procedurę jakieś sześć razy. Ale tylko dwukrotnie uprzątnięto fekalia z podłogi. Za każdym razem przy drzwiach stał strażnik, podczas gdy więzień sflukiwał celę szlauchem i zgarniał mopem nadmiar wody do kratki ściekowej. Dwa razy zdołałem

wziąć prowizoryczny prysznic pod strumieniem szlauchu, narażając się na gniew strażnika. Za każdym razem czyszczono celę w absolutnej ciszy.

Były to jedyne okazje w czasie mojej odsiadki, kiedy mogłem trochę się umyć, chociaż czasami używałem mojego przydziału wody, żeby obmyć ręce albo twarz. Nie pozwolono mi się ogolić ani nie ostrzyżono mi włosów. Mam gęstą czuprynę, która rosła też opamiętania. Wkrótce ta pełna kołtunów, wilgotna gmatwanina sięgała mi do ramion, a broda zasłaniała mi klatkę piersiową. Włosy i brodę miałem błyszczącą i wyperfumowaną ekskrementami, ponieważ nie mogłem uniknąć paprania się we własnych odchodach.

Wszy i inne pasożyty, które były na tyle małe, żeby dostać się do cuchnącej celi, zagnieździły się w owłosieniu na ciele i żerowały na mnie. Od ciągłego drapania zrobiły mi się rany, w które wdała się infekcja na skutek kontaktu z wszechobecnym brudem. Moje ciało wkrótce wyglądało jak jeden wielki strup, żywa szalka Petriego do hodowli niezliczonej ilości bakterii. W ciasnocie tej nory, okryty całunem ciemności, straciłem poczucie równowagi i często, kiedy próbowałem się poruszyć, rozprostować albo wykonać proste ćwiczenia, przewracałem się i uderzałem w chropowate ściany albo o twardą podłogę nabijałem sobie guza i dołączałem zadrapania do mojej kolekcji ran.

Kiedy zamknęli mnie w Perpignan, ważyłem dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Niewyszukana strawa nie dostarczała mi odpowiedniej ilości składników odżywczych i kalorii. Mój organizm zaczął uruchamiać rezerwy energetyczne, a mięśnie i ścięgna pożerały zapasy tłuszczu zgromadzone w tkankach, żeby dostarczać paliwa niezbędnego do funkcjonowania serca i całego układu krążenia. Po kilku tygodniach mogłem objąć bicepsy palcami.

Nie byłem osamotniony w swoim nieszczęściu. Wkrótce zorientowałem się, że w większości cel w Perpignan, jeśli nie we wszystkich, siedzieli podobni nieszczęśnicy.

Kamienne ściany pomiędzy celami były co prawda zbyt grube, żeby

186

można było porozmawiać z więźniem z sąsiedniej celi, ale nie dźwiękoszczelne. Nieustannie z korytarza dochodziły niezrozumiałe wrzaski i przekleństwa, krzyki bólu i cierpienia, stłumione jęki i płacz, które czasami nagle się urywały, żeby po chwili wybuchnąć na nowo. Te wszystkie odgłosy, które zawsze przepelniało cierpienie, przenikały ściany mojej wilgotnej klatki, sącząc się przez kamienie i wydobywając z podłogi, jak westchnienia i szlochy jakiejś uwięzionej zjawy. Czasami dźwięki te wyrażały złość i wściekłość, przypominały wówczas dobiegające z dali wycie wilka albo skowyt zranionego kojota.

Niekiedy sam wydawałem podobne odgłosy, ponieważ w samotności często mówiłem do siebie, żeby usłyszeć ludzki głos. Albo stawałem schylony przed drzwiami i krzychałem do strażników, żeby mnie wypuścili, lub żądałem traktowania z godnością i uwagą, jeśli nie z szacunkiem. Przeklinałem ich. Rzucałem gromami i wydzierałem się, płakałem i krzychałem, skandowałem i śpiewałem, śmiałem się i wylem, wrzeszczałem i rzucałem wiadrem o ściany, rozbryzgując ekskrementy po całej ciasnej celi. Czułem, że wariuję.

Nie miałem wątpliwości, że wielu więźniów w Perpignan zwariowało z powodu niewyobrażalnego okrucieństwa, z jakim ich traktowano. Po kilku tygodniach byłem przekonany, że stracę rozum. Przestałem rozróżniać zjawiska realne od nierealnych i zacząłem miewać halucynacje. Przenosiłem się z powrotem do hotelu Royal Gardens, otoczony moją śliczną „załogą”, jadłem na kolację homara albo rostbef lub spacerowałem wzdłuż złotych plaż Costa Brava, obejmując ramieniem Monique. Byle tylko nie zwariować w tym zatęchłym lochu, gdzie mogłem się tylko tarzać we własnych odchodach i przeklinać los, który przygnał mnie do Perpignan.

Myślę, że gdyby nie moja bujna wyobraźnia, z pewnością bym zwariował albo umarł w tym więzieniu. Wyobraźnia, dzięki której mogłem dokonać tych wszystkich błyskotliwych oszustw i z powodu której popadłem w takie tarapaty, teraz miała mi uratować życie.

Postanowiłem, że jeśli mam mieć zwidy, to chcę mieć na nie wpływ, i sam zacząłem snuć różne fantazje. Na przykład siedziałem na podłodze i przypomiinałem sobie, jak wyglądałem w mundurze pilota, a potem udawałem prawdziwego pilota, kapitana 707. I nagle ciasna, obrzydliwa i przesiąknięta wilgocią nora, w której byłem uwięziony, zamieniała się w elegancki, lśniący odrzutowiec, z radosnym tłumem pasażerów na pokładzie, któremu towarzyszyły atrakcyjne stewardesy.

187

Używałem wszystkich żargonowych zwrotów, udając, że kołuję samolotem, dostaję pozwolenie na start z wieży kontrolnej i unoszę maszynę w powietrze, by po jakimś czasie osiągnąć pułap jedenastu tysięcy metrów.

Następnie wziąłem do ręki mikrofon. „Panie i panowie, mówi kapitan. Witam na pokładzie samolotu linii lotniczych Abagnale, lot numer 572, z Seattle do Denver. Obecnie lecimy ze stałą prędkością dziewięciuset dwudziestu kilometrów na godzinę i spodziewamy się dobrych warunków atmosferycznych, a tym samym miłego lotu na całej trasie do Denver. Pasażerowie siedzący po prawej stronie samolotu powinni dobrze widzieć poniżej w oddali Mount Rainier. Szczyt Mount Rainier, wznoszący się na wysokość 4392 m n.p.m., jest, jak państwo zapewne wiecie, najwyższym szczytem w stanie Waszyngton...

Oczywiście czasem byłem bohaterem walczącym swoim ogromnym samolotem z potwornymi burzami albo przewyciężającym poważne problemy techniczne, żeby dowieźć pasażerów bezpiecznie do celu i rozkoszować się ich wdzięcznością. Szczególnie wdzięcznością kobiet. Zwłaszcza ładnych kobiet.

Albo wyobrażałem sobie, że jestem kierowcą autokaru wycieczkowego i grupie słuchających uważnie turystów pokazuję wspaniałości Wielkiego Kanionu lub atrakcje San Antonio, Nowego Orleanu, Rzymu, Nowego Jorku (przypomniałem sobie, że Nowy Jork też miał swoje atrakcje) albo innego miasta. „Rezydencja, którą widzą państwo po prawej stronie, należała do J.P. Greenstuffa, jednego z założycieli tego miasta. Przez większą część życia zarabiał duże pieniądze. Problem w tym, że zarobił za dużo i teraz spędza resztę życia w więzieniu federalnym” - zabawiałem ich dowcipnym gadaniem.

W fantazjach wcielałem się w różne role, przeważnie te same, które odegrałem w ciągu pięciu lat przed aresztowaniem, ale nieco ulepszone i przejawione. Wyobrażałem sobie, że jestem sławnym chirurgiem, który operuje prezydenta i dzięki swoim umiejętnościom ratuje mu życie. Albo wielkim pisarzem, który dostał Nagrodę Nobla. Czy też reżyserem filmowym, którego epos zdobył Oscara. Byłem przewodnikiem górskim, który ratował bezbronnych alpinistów uwięzionych na niebezpiecznej ścianie, wędrownym naprawiaczem garnków, krawcem, indiańskim wodzem, piekarzem, bankierem i pomysłowym złodziejem. Czasami odgrywałem na nowo moje najlepsze numery. I najlepsze sceny miłosne.

Zawsze w końcu musiała jednak spaść kurtyna i powracałem do rzeczywistości,

188

ale zdawałem sobie sprawę, że podróżuję po świecie iluzji, siedząc w chłodnej, ponurej, mrocznej i obrzydliwej celi.

Pewnego dnia drzwi otworzyły się ze zgrzytem o niespodziewanej porze i strażnik wrzucił coś do mojej celi. Był to cienki, brudny i śmierdzący materac, który prawie nie miał pianki, ale rozłożyłem go na podłodze i z rozkoszą zwinąłem się na nim w kłębek. Zasnąłem, zastanawiając się, czym zasłużyłem sobie na taką luksusową nagrodę.

Obudziłem się, kiedy jakiś krzepki strażnik wyszarpnął spode mnie materac i zaśmiał się szyderczo, zamykając drzwi. Nie wiem, o której godzinie to było. W każdym razie na długo przed tym, nim przyniesiono mi śniadanie. Czasami po kolacji drzwi otwierały się z piskiem i na schodkach lądował materac. Porywałem go i kładłem się na nim, czując jego miękkość i przytulając się doń, niczym do kobiety. Ale znowu budził mnie bezwzględny strażnik, który wyciągał spode mnie materac. Po czym znowu w jakimś nieoczekiwanym momencie materac lądował na schodkach.

Zaświtała mi w głowie prawda. Strażnicy grali ze mną w okrutną i barbarzyńską grę, ale mimo wszystko grę. Inne szczury pewnie im pozdychały, pomyślałem i zrezygnowałem z posłania. Moje ciało przyzwyczało się do gładkiej kamiennej podłogi, przynajmniej w takim stopniu, w jakim miękkie ciało może się dostosować do twardej skały. Nigdy więcej nie skorzystałem z tego materaca, chociaż strażnicy nadal mi go podrzucali, jak przypuszczałem w nadziei, że znowu będę na nim spał i dostarczę im rozrywki.

W ciągu piątego miesiąca mojego pobytu w więzieniu Perpignan (jak ustaliłem później) usłyszałem pukanie, po czym drzwi częściowo się rozsunęły i przez niewielką szparę wpadło do celi światło. Byłem zaskoczony tym, że drzwi do celi mają mechanizm do rozsuwania, ponieważ był tak przebiegle skonstruowany.

- Frank Abagnale? - zapytał jakiś głos należący niewątpliwie do Amerykanina.

Rzuciłem się do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. W korytarzu stał wysoki, chudy mężczyzna z kościstą twarzą, który wzdrygając się od smrodu, przykładał do ust i nosa chusteczkę.

- Jestem Frank Abagnale - odparłem niecierpliwie. - Jest pan Amerykaninem? Z FBI?

- Nazywam się Peter Ramsey i pracuję w konsulacie amerykańskim w Marsylii - odpowiedział chudy mężczyzna, odsłaniając usta. - Jak pan się miewa?

189

Wlepiłem w niego wzrok, zdziwiony pytaniem. Mój Boże, zachowywał się tak, jak byśmy rozmawiali przy kieliszku wina, siedząc w jakiejś przytulnej kafejce w Marsylii. Nagle z moich ust popłynął potok słów.

- Jak się miewam? - powtórzyłem jego pytanie niemal histerycznym głosem. - Powiem panu, jak się miewam. Jestem chory, obolały, nagi, głodny i chodzą po mnie wszy. Nie mam łóżka. Nie mam toalety. Nie mam miednicy. Sypiam we własnym gównie. Nie mam światła, maszynki do golenia, pasty do zębów, niczego. Nie wiem, która jest teraz godzina. Ani jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia. Nie wiem, jaki jest teraz miesiąc. Nie mam nawet pojęcia, który to rok, na miłość Boską... Traktują mnie tutaj jak wściekłego psa. Jeśli jeszcze trochę tutaj posiedzę, to pewnie zwariuję. Umieram. Tak właśnie się miewam!

Oparłem się ciężko o drzwi wyczerpany swoją tyradą.

Wyraz twarzy Ramseyego, oprócz wyraźnej reakcji na odór bijący z mojej celi, nie zmienił się ani trochę. Kiedy skończyłem mówić, obojętnie skinął głową.

- Rozumiem - powiedział spokojnie. - Cóż, być może powinienem wyjaśnić cel mojej wizyty. Jakies dwa razy do roku robię objazd swojego rejonu, odwiedzając

Amerykanów, a o tobie dowiedziałem się dopiero niedawno. Zanim zaczniesz robić sobie jakieś nadzieje, muszę powiedzieć, że nie mogę ci w żaden sposób pomóc... Zdaję sobie sprawę z warunków, jakie panują w tym więzieniu, i z tego, jak cię tutaj traktują. I właśnie z powodu tego traktowania nie mogę nic zrobić. Musisz wiedzieć, Abagnale, że jesteś traktowany dokładnie tak samo, jak każdy Francuz, który odsiaduje tutaj wyrok. Zachowują się w stosunku do ciebie tak samo, jak wobec wszystkich pozostałych współwięźniów. Każdy z nich mieszka w takich samych warunkach jak ty. Każdy siedzi w identycznej wilgoci. Każdy dostaje to samo do jedzenia. Każdy z nich jest pozbawiony tych samych praw, których pozbawili ciebie. Nie traktują cię tak ostro, bo sobie ciebie upatrzyli, Abagnale. A dopóki traktują cię tak samo jak swoich, nie mogę nic zrobić w sprawie twojego kłopotliwego położenia. Nie mam nawet prawa złożyć skargi. Gdyby zaczęli cię dyskryminować albo traktować inaczej, dlatego że jesteś Amerykaninem, obcokrajowcem, mógłbym interweniować w twojej sprawie i złożyć zażalenie. Niewykluczone, że nie wyszłoby ci to na dobre, ale wtedy mógłbym interweniować. Ale dopóki wymierzają taką samą karę tobie jak rodakom, tak już musi być. Francuskie więzienia to francuskie więzienia. Nie wierzą tutaj w resocjalizację. Wyznają zasadę oko za oko, ząb za ząb.

190

Innymi słowy wierzą, że skazanych przestępców należy ukarać, a ty jesteś skazanym przestępcą. I tak masz szczęście. Dawniej było jeszcze gorzej, jeśli potrafisz w to uwierzyć. Kiedyś więźniów codziennie bito. Dopóki nie znęcają się nad tobą, nic nie mogę zrobić.

Jego słowa spadały na mnie jak uderzenia bicia. Poczulem, że właśnie wydano na mnie wyrok śmierci. Po czym Ramsey, z cieniem uśmiechu na twarzy, pocieszył mnie.

- O ile mi wiadomo, zostało ci już tylko jakieś trzydzieści dni - powiedział. - Oczywiście nie będziesz wolny. Powiedziano mi, że władze jakiegoś innego kraju, nie pamiętam którego, mają zamiar cię aresztować i wytoczyć ci proces. Jednak obojętnie dokąd cię zabiorą, na pewno będziesz tam lepiej traktowany niż tu. Jeśli chcesz, żebym napisał do twoich rodziców i poinformował ich, gdzie jesteś, albo żebym skontaktował się z kimkolwiek, chętnie to zrobię.

Był to miły gest z jego strony, którego nie musiał robić, i miałem wielką ochotę się zgodzić, ale tylko przez moment.

- Nie, to nie jest konieczne - rzekłem. - Ale dziękuję, panie Ramsey. Znowu skinął głową.

- Życzę ci powodzenia, Abagnale - powiedział na pożegnanie. Odwrócił się i wydawało się, że zniknął w eksplozji światła. Dopiero później dowiedziałem się, co

się stało. Korytarze były oświetlone lampami o regulowanej mocy. Kiedy otwierano drzwi do celi albo odsłaniano judasza, światła były przyciemnione, żeby nie raziły w oczy więźnia, który siedział w swojej ciemnej norze niczym kret. Kiedy pojawiał się ktoś taki jak Ramsey, światła wzmacniano, żeby widział drogę. Kiedy stanął przed drzwiami mojej celi, światła znowu przyciemniono. Ale kiedy wychodził, strażnik za wcześnie podkręcił światło. Troska o wzrok była jedynym przywilejem, który należał się więźniom w Perpignan.

Po wyjściu Ramseya usiadłem i oparłem się o ścianę, a kiedy ustąpił ból oczu, zacząłem zastanawiać się nad tym, co mi powiedział. Czyżby mój wyrok dobiegał końca? Naprawdę minęło jedenaście miesięcy od momentu, kiedy wepchnięto mnie do tej obrzydliwej krypty? Nie miałem o tym pojęcia, ponieważ straciłem poczucie czasu, ale czułem, że powiedział mi prawdę.

Od tamtej pory próbowałem rachować dni, żeby odliczyć trzydzieści w moim wirtualnym kalendarzu, ale okazało się to niemożliwe. Po prostu nie da się odmierzać czasu, siedząc w śmierdzącej norze, pozbawionej światła, gdzie każdą chwilę poświęca się na to, żeby przeżyć.

191

Jestem pewien, że minęło zaledwie kilka dni, kiedy znowu skoncentrowałem się wyłącznie na tym, żeby zachować zdrowy rozsądek.

Ale mimo wszystko czas płynął. I pewnego dnia drzwi się rozsunęły, a do środka wpadł snop przyciemnionego światła, które widziałem dopiero po raz drugi.

- Odwróć się, stań twarzą do tylnej ściany i zamknij oczy - usłyszałem szorstki głos. Zrobiłem, tak jak kazał, a serce waliło mi jak młot. Czyżby to był dzień, w którym miałem wyjść na wolność czy też czekało mnie jeszcze coś innego?

- Nie odwracaj się, ale otwórz powoli oczy i pozwól im przyzwycząić się do światła - poinstruował mnie głos. - Zostawię celę otwartą na godzinę, a potem wrócę.

Powoli otworzyłem oczy i zobaczyłem, że stoję w jasnym, złotym blasku światła, zbyt jasnym jak na mój słaby wzrok. Musiałem natychmiast zamknąć oczy przed tym oślepiającym światłem. Stopniowo moje źrenice przyzwycząiły się jednak do tego blasku i mogłem rozejrzeć się dookoła bez bólu i mrużenia oczu. Nawet wtedy cela nadal wydawała mi się mroczna, jak o brzasku w deszczowy dzień. Po godzinie wrócił ten sam strażnik, a przynajmniej miał podobny głos.

- Zamknij znowu oczy - powiedział. - Światło teraz stanie się silniejsze. - Zrobiłem, jak mi kazał, po czym zgodnie z jego instrukcją powoli i ostrożnie otworzyłem oczy. Małe pomieszczenie zostało zalane przez oślepiające światło, więc zmrużyłem oczy. Blask rozjaśnił celę jak świetlisty obłok otaczający ciemną gwiazdę, po raz pierwszy w pełni wydobywając z mroku wnętrze tej ciasnej krypty. Widok, który ukazał się

moim oczom, napawał obrzydzeniem. Poczulem wściekłość. Ściany były wilgotne i oblepione pleśnią. Podłoga była uwalana ekskrementami, a w wiadrze, którego nie opróżniano od jakiegoś czasu, aż roiło się od larw. Wstrętne robaki pełzały też po podłodze.

Zwymiotowałem.

Zanim strażnik wrócił, minęła kolejna godzina. Tym razem otworzył drzwi.

- Pójdiesz ze mną - powiedział.

Bez wahania wygramoliłem się z tej cuchnącej nory i natychmiast poczułem przeszywający ból w karku, barkach, ramionach i nogach, ponieważ po raz pierwszy od przybycia do więzienia mogłem się wyprostować. Miałem trudności z chodzeniem, ale poczłapałem za strażnikiem jak na wpół pijana kaczką, miejscami opierając się o ściany.

192

Zaprowadził mnie na dół do skromnie umeblowanego pokoju.

- Zaczekaj tutaj - powiedział i zniknął w otwartych drzwiach, które prowadziły do następnego pomieszczenia. Odwróciłem się i rozejrzałem po pokoju, po tylu dniach spędzonych w cuchnącej dziurze nie mogłem się nadziwić, jaki był duży i przestronny, i nagle znieruchomiałem, ponieważ zobaczyłem najszkaradniejszą kreaturę, jaką kiedykolwiek widziałem.

Był to jakiś człowiek. To musiał być człowiek, ale, rany boskie, jak on wyglądał. Wysoki i wychudzony, na głowie miał brudną i rozczochraną strzechę włosów, które sięgały mu do pasa, a twarz schowaną za obrzydliwą splątaną brodą, która opadała mu na brzuch. Ślina ciekła mu z jakiejś szczeliny, najwyraźniej ust, a z zapadniętych oczodołów spoglądały dziko oczy, które błyszczały jak rozżarzone węgle. Był nagi, a jego ciało pokrywał brud, wrzody i strupy, co sprawiało, że wyglądał jak trędowaty. Długie paznokcie u rąk i nóg zakrzywiały się niczym szpony sępa. Zadygotałem, kiedy przyjrzałem się temu człowiekowi. Wzdrygnąłem się, kiedy go rozpoznałem.

To było moje lustrzane odbicie.

Kiedy strażnik wrócił z przewieszonymi przez ramię ubraniami i parą butów w ręce, nadal stałem przerażony swoim wyglądem.

Rozpoznałem swoje ubrania, w których mnie tam przywieźli.

- Nałóż to - powiedział szorstko strażnik, podając mi ubranie i rzucając buty na podłogę.

- Czy mógłbym najpierw wziąć prysznic i się ogolić? - zapytałem.

- Nie, wkładaj te ciuchy - powiedział, patrząc na mnie wrogo. Pośpiesznie włożyłem ubranie, które teraz było na mnie o kilka numerów za duże. Ktoś ukradł mi pasek od spodni. Zmarszczyłem spodnie wokół wychudzonego brzucha i spojrzałem na strażnika. Poszedł do sąsiedniego pokoju i wrócił z kawałkiem sznurka. Przewiązałem się nim w pasie.

Niemal w tym samym momencie pojawiło się dwóch żandarmów, a jeden z nich przyniósł całą kolekcję rzeczy służących do skrępowania. Jeden z nich zapiął mi wokół talii szeroki skórzany pas, który z przodu miał trzpień z kółkiem, a drugi nałożył mi na nogi ciężkie kajdany. Potem skuli mi ręce kajdankami, a wokół szyi zapięli długi, cienki stalowy łańcuch, łańcuch od kajdanek przy nadgarstkach przeciągnęli przez kółko i przymocowali za pomocą zamka do łańcucha od dybów przy nogach. Kiedy mnie związywali, żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Następnie jeden wskazał drzwi i popchnął mnie lekko, podczas gdy drugi poszedł przodem.

193

Powlokłem się za nim, z trudem powłócząc nogami z powodu skutych nóg i strachu przed tym, dokąd mnie zabierają. Nigdy przedtem nie byłem tak skrępowany łańcuchami. Myślałem, że w ten sposób traktuje się tylko brutalnych i niebezpiecznych przestępców.

- Dokąd idziemy, gdzie mnie zabieracie? - zapytałem, mrużąc oczy przed blaskiem słońca. Był jeszcze bardziej oślepiający niż lampy w więzieniu. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na moje pytanie.

Wsadzili mnie bez słowa na tylne siedzenie nieoznakowanego sedana, jeden z nich usiadł za kierownicą, a drugi zajął miejsce obok mnie.

Odwieźli mnie na dworzec kolejowy. Popołudniowe słońce, chociaż przyciemnione we wnętrzu samochodu, przyprawiło mnie o zawroty głowy i mdłości. Wiedziałem, że te nudności nie były spowodowane jedynie nagłym kontaktem z dziennym światłem po wielu miesiącach spędzonych w ciemnościach. Byłem chory od jakiegoś miesiąca - gorączka, wymioty, biegunka, czasami dreszcze. Nie skarżyłem się strażnikom w Perpignan. Zignorowaliby to, tak jak zignorowali wszystkie moje skargi i protesty.

Na stacji kolejowej wyciągnięto mnie z samochodu, po czym jeden z żandarmów zatrzasnął koniec łańcucha na moim pasku. Drugi koniec owinął sobie wokół dłoni i jak psa na smyczy prowadzono mnie przez tłum ludzi zgromadzonych na dworcu, a następnie wepchnięto do pociągu. Konduktor zaprowadził nas do przeszklonego przedziału, gdzie znajdowały się dwie ławki, a na drzwiach widniał napis, że przedział ten jest zarezerwowany dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Pozostali

pasażerowie, kiedy przechodziliśmy obok nich, patrzyli na mnie z przerażeniem, szokiem albo wstrętem, a niektórzy cofali się z odrazą, czując mój smród. Już dawno przestałem czuć odór swojego ciała, ale rozumiałem ich. Musiałem śmierdzieć jak stado skunksów.

Przedział był wystarczająco duży, żeby pomieścić osiem osób, i kiedy pociąg się zappełnił i nigdzie nie było już wolnych miejsc, od czasu do czasu pojawiał się jakiś wytrzymały wieśniak i prosił o zgodę na zajęcie miejsca w naszym przedziale. Chłopom najwyraźniej nie przeszkadzało, że tak ode mnie śmierdzi. Żandarmi za każdym razem machnięciem ręki dawali im szorstko do zrozumienia, żeby sobie poszli.

Potem pojawiły się trzy energiczne, ładne Amerykanki, ubrane skąpo w jedwabie i nylony i obwieszone reklamówkami wyładowanymi prezentami, pamiątkami, winem i jedzeniem. Rozkosznie pachniały drogimi perfumami i jeden z żandarmów, uśmiechając się szeroko, wstał i szarmancko wskazał im miejsce na sąsiedniej ławce.

194

Natychmiast próbowały wciągnąć policjantów w rozmowę, chcąc się dowiedzieć, kim jestem i jakie przestępstwo popełniłem. Oczywiście zakuty w takie kajdany, musiałem wyglądać na seryjnego mordercę, co najmniej klasy Kuby Rozpruwacza. Dziewczyny wydawały się bardziej zachwycone niż przerażone i żywo dyskutowały na temat mojego obrzydliwego smrodu.

- Śmierdzi, jakby trzymali go w ściekach - zauważyła jedna. Pozostałe zaśmiały się, przytakując.

Nie chciałem, żeby dowiedziały się, że jestem Amerykaninem. W ich obecności czułem się poniżony i zawstydzony swoim wyglądem. W końcu trzej żandarmi dali im do zrozumienia, że ani nie mówią po angielsku, ani nic nie rozumieją i kiedy pociąg odjeżdżał ze stacji, młode kobiety zaczęły rozmawiać między sobą.

Nie wiedziałem, dokąd mnie zabierają. Wtedy nie miałem poczucia kierunku, a pytanie żandarmów o cel naszej podróży uznałem za bezcelowe. Siedziałem ściśnięty między policjantami, chory i przygnębiony, i od czasu do czasu oglądałem krajobraz za oknem albo ukradkowo przyglądałem się dziewczynom. Wywnioskowałem z ich rozmowy, że są nauczycielkami z okolic Filadelfii i spędzają wakacje w Europie. Były już w Hiszpanii, Portugalii i w Pirenejach, a teraz jechały do jakiegoś innego pięknego miejsca. Ciekawe, czy ten pociąg jedzie do Paryża, zastanawiałem się.

W miarę pokonywania przez pociąg trasy zgłodniałem, pomimo że źle się czułem. Dziewczyny wyjęły z siatek sery i pieczywo, pasztety w puszkach i wino i zaczęły jeść, dzieląc się swoim posiłkiem z żandarmami. Jedna z nich usiłowała nakarmić

mnie kanapką (miałem związane ręce, żebym nie mógł jeść bez pozwolenia), ale żandarm chwycił ją delikatnie za rękę.

- Nie - powiedział zdecydowanym głosem.

W pewnym momencie, kilka godzin po odjeździe z Perpignan, młode kobiety przekonane, że ani żandarmi, ani ja nie rozumiemy angielskiego, zaczęły dyskutować o swoich wakacyjnych przygodach miłosnych z takimi intymnymi szczegółami, że byłem zdumiony. Porównywały atrybuty fizyczne, sprawność i osiągnięcia swoich kochanków tak soczystym językiem, że właściwie poczułem się zakłopotany. Nigdy wcześniej nie słyszałem podobnej rozmowy kobiet na tematy z męskiej szatni, pełnej wulgarnych słów i lubieżnych komentarzy. Doszedłem do wniosku, że muszę się jeszcze sporo nauczyć o kobietach i jednocześnie zastanawiałem się,

195

jakbym wypadł w ich seksualnych igrzyskach olimpijskich. Zapisałem sobie w myślach, że jeśli kiedykolwiek się spotkamy, wystartuję w tych zawodach.

Naszym celem podróży okazał się Paryż. Żandarmi postawili mnie na nogi, pożegnali się z dziewczynami i wypchnęli mnie z pociągu. Ale wcześniej też zdążyłem się pożegnać.

Kiedy wypychali mnie przez drzwi przedziału, odwróciłem głowę i uśmiechnąłem się lubieżnie do trzech młodych nauczycielek.

- Pozdrówcie ode mnie wszystkich w Filadelfii - powiedziałem ze swoim akcentem z Bronksu.

Wyraz ich twarzy podniósł na duchu moje podupadłe ego.

Odwieziono mnie do więzienia paryskiej prefecture de police i oddano w ręce prefet de police, pulchnego, łysiejącego mężczyzny o gładkich policzkach i chłodnym, bezlitosnym spojrzeniu. Kiedy mnie jednak zobaczył, w jego oczach dostrzegłem szok i obrzydzenie; natychmiast zabrał się do przywracania mi normalnego wyglądu. Jakiś policjant odprowadził mnie pod prysznic, a kiedy zmyłem z siebie nagromadzony brud, wezwano więziennego fryzjera, żeby zgolił mi brodę i ostrzygł włosy. Następnie zaprowadzono mnie do celi, która w rzeczywistości była małym i skromnym pomieszczeniem, ale w porównaniu z moim poprzednim miejscem zakwaterowania stanowiła czysty luksus.

Stało tam wąskie żelazne łóżko z cienkim materacem i szorstką, ale czystą pościelą, mała miednica i nocnik. W celi było również światło z wyłącznikiem na zewnątrz.

- Możesz czytać do dziewiątej wieczór. Potem gasimy światło - poinformował mnie strażnik.

Nie miałem nic do czytania.

- Jestem chory - powiedziałem. - Czy mogę pójść do lekarza?

- Zapytam - odparł. Wrócił godzinę później, niosąc tacę, na której stała miska chudego gulaszu, bochenek chleba i pojemnik z kawą. -Nie ma doktora - oznajmił. - Przykro mi. - Myślę, że naprawdę było mu przykro.

Gulasz, w którym pływało mięso, stanowił dla mnie prawdziwą ucztę. Ten skromny posiłek był zbyt obfity jak na mój żołądek, nie przyzwyczajony do takiej smacznej stawy. Zwymiotowałem cały posiłek w godzinę po jego zjedzeniu.

Nadal nie miałem pojęcia, co mnie czeka. Nie wiedziałem, czy znowu wytoczą mi proces w Paryżu, czy będę siedział dalej w tym więzieniu,

196

czy też przekażą mnie rządowi innego państwa. Wszystkie moje pytania pozostawiano bez odpowiedzi.

Jednak nie miałem zostać w Paryżu. Nazajutrz rano po śniadaniu złożonym z kawy, chleba i sera, których tym razem nie zwymiotowałem, wyprowadzono mnie z celi i znowu skuto jak dzikie zwierzę. Dwóch żandarmów umieściło mnie w przeszklonym mikrobusie, nogi przykuli mi łańcuchem do podłogi i pojechaliśmy trasą, którą szybko rozpoznałem. Zawieziono mnie na lotnisko Orly.

Na lotnisku wyciągnięto mnie z mikrobusu i zaprowadzono przez terminal do punktu obsługi Scandinavian Airlines Service. Moje przejście przez terminal wzbudziło ogromne zainteresowanie i ludzie wychodzili nawet z kafejek i barów, żeby pogapić się, jak powłóczę nogami, dzwoniąc i szczękając łańcuchami.

Rozpoznałem kasjerkę stojącą za ladą SAS. Kiedyś zrealizowała jeden z moich fałszywych czeków. Nie mogłem sobie przypomnieć, na jaką sumę. Jeśli nawet mnie poznała, nie dała tego po sobie poznać. W końcu mężczyzna, który realizował u niej czek, był tęgi, opalony, ważył ponad czterdzieści kilogramów, i tryskał zdrowiem. Skuty kajdankami więzień, który teraz stał przed nią, przypominał szkielet, był chory, przygarbiony, twarz miał bladą jak płótno i zapadnięte oczy. W zasadzie spojrzała na mnie tylko raz, po czym odwróciła wzrok.

- Posłuchajcie, przecież nic wam nie zrobią, jeśli powiecie, co się tu dzieje - naciskałem żandarmów, którzy bacznie przyglądali się ludziom kręcącym się w pobliżu kasy biletowej.

- Czekamy na szwedzką policję - odparł jeden z nich oschle. - A teraz zamknij się. Nie odzywaj się do nas więcej.

Nagle stanęła przed nim drobna i zgrabna kobieta o długich blond włosach i olśniewających niebieskich oczach, elegancko ubrana w dopasowany niebieski

kostium i modnie skrojony płaszcz. Pod ręką trzymała cienką skórzaną aktówkę. Zza niej wyloniła się młodsza i wyższa Walkiria, podobnie ubrana i też z teczką pod ręką.

- Czy to jest Frank Abagnale? - zapytała ta niższa żandarma po mojej lewej stronie. Stał przed mną, zatrzymując ją gestem ręki.

- Nie twój interes - warknął. - W każdym razie nie wolno mu z nikim rozmawiać. Jeśli to pani znajomy, nie wolno pani z nim rozmawiać.

Jej oczy zaczęły miotać błyskawice, a drobne ramiona wyprostowały się.

- Będę z nim rozmawiać, panie policjancie, i proszę zdjąć mu te łańcuchy, natychmiast!

197

- Ton jej głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Potem uśmiechnęła się do mnie, popatrzyła na mnie czułym wzrokiem a jej rysy twarzy złagodniały.

- Nazywasz się Frank Abagnale, prawda? - zapytała perfekcyjną angielszczyzną. - Mogę mówić do ciebie Frank?

198

ROZDZIAŁ dziesiąty.

Abagnale - poszukiwany żywy lub martwy!

Dwaj żandarmi stanęli jak wryci ze zdziwienia, niczym dwa niedźwiedzie grizzly, którym rzuciła wyzwanie wiewiórka. Tymczasem ja gapiłem się na tę śliczną zjawę, która zażądała, żeby zdjąć mi kajdanki, i wyglądało na to, że była zdecydowana wyrwać mnie z rąk prześladowców.

Wyciągnęła szczupłą dłoń i położyła ją na moim ramieniu.

- Jestem inspektor Jan Lundström z policji szwedzkiej - przedstawiła się, po czym wskazała na ładną dziewczynę, która jej towarzyszyła.

- To jest moja asystentka, inspektor Kersten Berglund. Jesteśmy tu po to, żeby eskortować cię do Szwecji, gdzie, o czym na pewno wiesz, zostanie ci wytoczony proces.

Kiedy mówiła, wyjęła z kieszeni małe skórzane etui i otworzyła je, pokazując francuskim policjantom swoje dokumenty i małą złotą odznakę.

Jeden z żandarmów z zakłopotaniem spojrział na swojego kolegę. Drugi żandarm wyjął plik papierów.

- To jej więzień - powiedział, wzduszając ramionami. - Zdejmij mu łańcuchy.

Uwolniono mnie z kajdanków. Tłum ludzi zebrany wokół nas zaczął bić brawo, a owacji towarzyszyły gwizdy i tupanie nogami. Inspektor Lundström wzięła mnie na bok.

- Chcę, żeby wszystko było do końca jasne - powiedziała. - W Szwecji nie mamy zwyczaju stosować kajdanek czy innych środków bezpośredniego przymusu.

199

Sama nigdy ich przy sobie nie noszę. Nie będziemy stosować tego typu środków bezpieczeństwa w trakcie podróży. Ale samolot, którym polecimy, ma międzylądowanie w Danii i wtedy nałożymy ci kajdanki, żeby zadośćuczynić duńskim przepisom. To standardowa procedura w takich sytuacjach. W Danii będziemy przebywać na lądzie tylko godzinę, Frank. Ale mamy zobowiązania wobec rządu francuskiego, duńskiego oraz naszego i dopilnuję, żebyś dotarł do Szwecji i nie uciekł po drodze. Mogę cię zapewnić, że szwedzkie areszty i więzienia w niczym nie przypominają francuskich. Nasi więźniowie są traktowani po ludzku. Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno, Frank. Jestem uzbrojona. Kersten także. Obie doskonale posługujemy się bronią. Jeśli będziesz próbował uciec, będziemy musiały do ciebie strzelać. A jeśli do ciebie strzelimy, Frank, to na pewno zginiesz. Jasne?

Te słowa zostały wypowiedziane spokojnie i bez podniecenia, tonem, jakim mówi się turyście, jak ma gdzieś dojść - pomocnym, ale nie do końca przyjacielskim. Otworzyła dużą torebkę, którą miała zawieszoną na ramieniu. Wśród jej zawartości dostrzegłem półautomatyczny pistolet kalibru 45.

Popatrzyłem na inspektor Berglund. Uśmiechnęła się anielsko i poklepała własną torebkę.

- Zrozumiałem - odparłem. Prawdę mówiąc, myślałem, że blefuje. Żadna z moich ślicznych porywaczek nie wyglądała na Annie Oakley. Inspektor Lundström zwróciła się do kasjerki biletowej: „Jesteśmy gotowi”. Dziewczyna skinęła głową i wezwała z pokoju za kasą innego urzędnika, młodego mężczyznę. Przeprowadził nas przez biuro znajdujące się za ladą, miejsce odbioru bagażu, punkt obsługi naziemnej do tunelu dla odlatujących.

Pomijając wyświechtane ubrania, które miałem na sobie, wyglądaliśmy jak trójka zwykłych pasażerów. A sądząc po braku zainteresowania moją osobą, wzięto mnie prawdopodobnie za jeszcze jednego hipisa.

Zanim wylądowaliśmy w Kopenhadze, rozniesiono poczęstunek. Zwyczajne, proste jedzenie, jakie podaje się w samolotach, ale smacznie przyrządzone i był to mój pierwszy przyzwoity posiłek, odkąd dostałem się do więzienia. Dla mnie była to

wspaniała ucztą i musiałem powstrzymać się, żeby nie zjeść porcji, które chciały mi odstąpić towarzyszki podróży.

W Danii międzylądowanie potrwało dłużej, niż planowano, bo aż dwie godziny. Dwie młode policjantki natychmiast zaprowadziły mnie do jednej z restauracji

200

w terminalu pasażerskim i zamówiły dla siebie oraz dla mnie obfity posiłek, chociaż jestem pewien, że nie mogły tak szybko zgłodnieć. Czułem, że był to jedynie sposób, by zaspokoić mój wilczy apetyt. Zanim weszliśmy z powrotem na pokład samolotu, kupiły mi jeszcze kilka batoników i trochę angielskojęzycznych czasopism.

W czasie podróży traktowały mnie raczej jak kolegę niż więźnia. Nalegały, żebym mówił do nich po imieniu. Rozmawiały ze mną po przyjacielsku, wpytując o rodzinę, upodobania, rzeczy, których nie lubię i inne sprawy. Pobieźnie zapytały o karierę przestępczą, po czym chciały się dowiedzieć, jak okrutnie traktowano mnie w więzieniu Perpignan. Byłem zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że siedziałem w tej piekielnej jamie tylko sześć miesięcy. Całkowicie straciłem poczucie czasu.

- Jako obcokrajowiec nie miałeś prawa do zwolnienia warunkowego, ale sędzia mógł skrócić ci wyrok i tak też zrobił - powiedziała Jan. Nagle poczułem wdzięczność do tego surowego jurysty, który mnie skazał. Wiedząc, że odsiedziałem tylko pół roku, zdałem sobie sprawę, iż nie przetrwałbym roku w Perpignan. Niewielu więźniom się to udało.

W trzydzieści minut po starcie z Kopenhagi samolot wylądował w Malmö, w Szwecji. Ku mojemu zaskoczeniu wysiedliśmy w Malmö, odebraliśmy bagaż, po czym Jan i Kersten zaprowadziły mnie do szwedzkiego radiowozu, który stał na parkingu lotniska; za jego kierownicą siedział umundurowany policjant. Pomógł załadować do samochodu nasze bagaże - w zasadzie bagaże dziewczyn, ponieważ ja nic nie miałem przy sobie - a następnie odwiózł nas na posterunek policji w miejscowości Klippan, położonej niedaleko Malmö.

Zaintrygował mnie wygląd posterunku policji w Klippan. Przypominał raczej staromodną gospodę niż komisariat policji. Rumiany na twarzy i uśmiechnięty sierżant przywitał nas, Jan i Kersten po szwedzku, a mnie płynną angielszczyzną z lekkim akcentem. Uścisnął mi dłoń, jakby witał przyjaciela.

- Oczekiwałem pana, panie Abagnale. Mam tutaj wszystkie akta.

- Sierżancie, Frank potrzebuje lekarza - powiedziała Jan po angielsku. - Obawiam się, że jest bardzo chory i potrzebuje natychmiastowej opieki lekarskiej.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, ale sierżant tylko skinął głową.

- Już się robi, pani inspektor - rzekł, kiwając na młodego policjanta, który stał obok, przyglądając się całej scenie. - Karl, zaprowadź więźnia do jego kwatery.

201

- Ja, min herre - powiedział, uśmiechając się do mnie. - Zechce pan pójść za mną. - Poszedłem za nim nieco oszołomiony. Jeśli w Szwecji przestępcy przysługują takie traktowanie, to jak oni traktują uczciwych ludzi?

Zaprowadził mnie wzdłuż holu do ogromnych dębowych drzwi, które otworzył. Kiedy wszedłem do środka, stanąłem jak wryty. To nie była żadna cela, tylko apartament, ogromny, przestronny pokój z wielkim przeszklonym oknem z widokiem na wioskę, ogromnym łóżkiem z rzeźbionym wezglowiem i częścią dolną oraz kolorowymi rustykalnymi meblami, a także osobną łazienką, w której była i wanna, i prysznic. Ściany zdobiły sztychy przedstawiające sceny bitewne z historii Szwecji, a gustowne zasłony, w tym momencie zasłonięte, zapewniały prywatność i chroniły przed wzrokiem przechodniów.

- Mam nadzieję, że niedługo pan wydobrzeje, min herre - odezwał się Karl swoją angielszczyzną zabarwioną silnym obcym akcentem i zamknął drzwi.

- Dziękuję - odparłem, chociaż chciałem powiedzieć znacznie więcej. Po jego wyjściu obejrzałem dokładnie pokój. Okna były zrobione z grubego płaskiego szkła i nie dało się ich otworzyć, a drzwi można było otworzyć tylko od zewnątrz. Ale to nieważne. Nie miałem zamiaru uciekać z tego więzienia.

Tej nocy nie dane mi było zasnąć w tym łóżku. Po kilku minutach drzwi otworzyły się i do środka weszła Jan i łysy, sympatyczny, ale bardzo rzeczowy lekarz.

- Proszę się rozebrać - powiedział po angielsku. Zawahałem się, ale Jan nie miała zamiaru wyjść, więc zdjąłem z siebie skąpe ubranie i naprawdę zawstydzilem się, kiedy stanąłem przed nią nagi. Jednak nie zobaczyłem w jej oczach nic oprócz troski. Jak się później dowiedziałem, nagość dla Szwedów ma charakter seksualny tylko w pewnych okolicznościach.

Doktor ostukał mnie, obejrzał i osłuchał, używając do tego celu różnych przyrządów, klepał, dotykał i naciskał w ciszy, po czym odłożył wszystkie instrumenty i pokiwał głową.

- Ten człowiek cierpi na poważne niedożywienie i awitaminozę, ale co najgorsze, według mnie ma obustronne zapalenie płuc. Proponuję wezwać karetkę, pani inspektor.

- Dobrze, doktorze - odparła Jan i wybiegła z pokoju. W ciągu pół godziny umieszczono mnie w osobnym pokoju w małym, czystym i dobrym szpitalu.

202

Przebywałem tam miesiąc, wracając do zdrowia, a przed drzwiami mojego pokoju stał cały czas umundurowany policjant, który zachowywał się bardziej jak kolega niż strażnik. Codziennie odwiedzała mnie Jan albo Kersten, sierżant czy też Karl, i za każdym razem coś mi przynosili, bukiet kwiatów, słodycze, czasopismo i inne drobne upominki.

W czasie pobytu w szpitalu ani razu nie byłem przesłuchiwany w związku z popełnionymi przestępstwami, nie wspomniano również o procesie, który mnie czekał, czy o postawionych mi zarzutach.

Pod koniec miesiąca wróciłem do swojej „celi”, zbliżała się właśnie pora lunchu i w południe Karl przyniósł mi menu.

- Nie prowadzimy własnej kuchni - powiedział przepraszająco. - Możesz zamówić z tej karty, co chcesz, i przywiozą jedzenie z restauracji. Zapewniam, że bardzo smacznie gotują.

Rzeczywiście tak było. Po miesiącu ważyłem z powrotem ponad dziewięćdziesiąt kilo.

Nazajutrz po wypisaniu mnie ze szpitala przyszła do mnie Jan w towarzystwie jakiegoś chudego, energicznego mężczyzny.

- Jestem inspektor Jan Lundström ze szwedzkiej policji - powiedziała oficjalnym tonem. - Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że będzie pan tu przebywał przez jakiś czas, a także że mam pana przesłuchać. To jest pastor, który będzie pełnił funkcję tłumacza. Mówi biegle po angielsku i zna wszystkie zwroty idiomatyczne i slang amerykański.

Oślupiałem.

- Daj spokój, Jan, przecież doskonale mówisz po angielsku - zaprotestowałem. - Co się tu dzieje?

- Zgodnie ze szwedzkim prawem przy przesłuchiwaniu obcokrajowca musi być obecny tłumacz, który biegle włada rodzimym językiem więźnia - wyjaśniła Jan, nadal mówiąc oficjalnym tonem, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. - Przepisy mówią również, że ma pan prawo do skorzystania z pomocy adwokata, który musi być obecny przy wszystkich przesłuchaniach. Ponieważ nie stać pana na adwokata, rząd szwedzki zapewni panu obrońcę. Nazywa się Elsa Kristiansson i spotka się z panem później. Czy zrozumiał pan wszystko, co do tej pory powiedziałam?

- Doskonale - odparłem.

- A więc do zobaczenia jutro - powiedziała i wyszła.

Godzinę później usłyszałem pukanie do drzwi. Jeden ze strażników przyniósł mi kolację, obfite i smaczne danie, które podał mi na przenośnym stoliku, jakby był kelnerem, a nie strażnikiem.

203

Kiedy przyszedł zabrać puste naczynia, uśmiechnął się do mnie.

- Masz ochotę na spacer? - zapytał. - Co prawda możemy spacerować tylko w obrębie budynku, po trasie, którą robię obchód, ale pomyślałem, że zawsze to lepiej, niż siedzieć w zamknięciu.

Poszedłem z nim do kuchni, gdzie kelner z pobliskiej restauracji odebrał tacę z brudnymi naczyniami. Kuchnia była raczej kątem kuchennym, w którym strażnicy mogli sobie zrobić kawę. Potem zabrał mnie na wycieczkę po więzieniu, dwupiętrowym budynku, który mógł pomieścić tylko dwudziestu więźniów. Pukał do każdej celi, zanim otworzył drzwi, witał uprzejmie jej mieszkańca i pytał, czego potrzebuje. Zanim zamknął drzwi na klucz, życzył każdemu zdrowej i spokojnej nocy.

Kiedy wróciłem do swojej celi, czekała na mnie Elsa Kristiansson, a także tłumacz, wielebny Carl Greek. Zastanawiałem się, po co przyszedł, dopóki nie wyjaśnił mi, że pani Kristiansson nie mówi w ogóle po angielsku. Nie poświęciła też ani minuty, żeby zapytać o szczegóły mojego położenia. Przedstawiła się tylko i powiedziała, że będzie do mojej dyspozycji nazajutrz rano, kiedy Jan zacznie mnie przesłuchiwać.

Była wysoką, przystojną kobietą, według moich szacunków około czterdziestki, spokojną i uprzejmą, ale miałem złe przeczucia co do jej kwalifikacji jako adwokata. Nie miałem jednak wyboru. Nie miałem pieniędzy, żeby wynająć odpowiedniego obrońcę. Jak przypuszczałem, francuska policja zaopiekowała się wszystkimi moimi aktywami. Po aresztowaniu i w czasie odsiadki nikt nie wspomniał słowem o moim łupie, i oczywiście po zwolnieniu nie oddano mi ani grosza. A w Szwecji nie miałem możliwości wyciągnięcia funduszy z moich ukrytych zapasów.

Nazajutrz rano pojawiła się Jan w towarzystwie pani Kristiansson i wielebnego Greeka. Zaczęła od razu wypytywać mnie o przestępstwa, które popełniłem na terenie Szwecji, a wielebny tłumaczył jej pytania pani Kristiansson, która siedziała cicho i jedynie od czasu do czasu kiwała głową.

W czasie dwóch pierwszych przesłuchań stosowałem wobec Jan uniki. Odmawiałem odpowiedzi albo mówiłem „nie pamiętam”, czy też „nie potrafię powiedzieć”. Podczas trzeciego przesłuchania doprowadziłem Jan do rozpacz.

- Frank! Frank! - wykrzyknęła. - Dlaczego tak się bronisz? Dlaczego robisz uniki? Jesteś tutaj, będziesz miał sprawę w sądzie i byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś był ze

mną szczerzy. Wiemy, kim jesteś i co zrobiłeś, i zdajesz sobie sprawę, że mamy na to dowody. Dlaczego nie chcesz mówić?

204

- Ponieważ nie chcę iść do więzienia na dwadzieścia lat, choćby nawet było tak przyjemne jak to - wypaliłem prosto z mostu.

Wielebny przetłumaczył moje słowa pani Kristiansson. Wszyscy troje zareagowali w dość nieoczekiwany sposób. Wybuchnęli śmiechem. Popłakali się ze śmiechu jak na dobrej komedii. Siedziałem, patrząc na nich ze zdziwieniem.

Jan trochę się uspokoiła, ale nadal trzęsła się ze śmiechu. Spojrzała na mnie.

- Dwadzieścia lat? - powiedziała, dławiąc się ze śmiechu.

- No pięć lat, dziesięć, wszystko jedno - odparłem, broniąc się zirytowany ich reakcją.

- Pięć lat? Dziesięć lat? - wykrzyknęła Jan. - Frank, maksymalna kara za przestępstwo, o które jesteś oskarżony, wynosi rok i byłabym zdziwiona, gdybyś dostał aż tak surowy wyrok, ponieważ nie byłeś wcześniej karany. Frank, w tym kraju mordercy i bandyci napadający na banki rzadko dostają więcej niż dziesięć lat. Popełniłeś poważne wykroczenie, ale u nas rok więzienia jest surową karą i zapewniam cię, że to maksymalny wyrok, jaki możesz dostać.

Opowiedziałem jej o wszystkich swoich transakcjach na terenie Szwecji, podając każdy szczegół, który udało mi się przypomnieć. Tydzień później postawiono mnie przed sądem przysięgłych w Malmö, złożonym z ośmiu mężczyzn i kobiet, którzy mieli określić moją winę i karę. Przyznanie się do winy wykluczało moją niewinność.

Ale i tak mi się udało. A raczej udało się pani Kristiansson. Zaskoczyła mnie kompletnie, kiedy po tym, jak przedstawiono dowody przeciwko mnie, zakwestionowała całe postępowanie prawne. Oskarżono mnie o „poważne oszustwo dokonane przy użyciu czeków”, jak powiedziała przewodniczącemu składowi sędziowskiego.

- Chciałabym zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że przedstawione tutaj dowody zgodnie z prawem obowiązującym w naszym kraju nie są czekami - utrzymywała. - To rzeczy, które pozwany sam zrobił. Nigdy nie były czekami. I nie można ich nazwać czekami w chwili obecnej. Zgodnie ze szwedzkim prawem, Wysoki Sądzie, te dowody nigdy nie mogły być czekami, ponieważ są w całości sfałszowane. W świetle prawa, Wysoki Sądzie, mój klient tak naprawdę nie sfałszował żadnych czeków, ponieważ te papierki nie są czekami, ale jego własnoręcznymi wyrobami, dlatego też oskarżenia przeciwko mojemu klientowi powinny zostać oddalone.

Oskarżeń nie oddalono. Ale zmniejszono ciężar gatunkowy przestępstwa,

205

które zostało postawione na równi z uzyskiwaniem pieniędzy pod fałszywym pretekstem, i sąd skazał mnie na pół roku więzienia. Uznałem to za zwycięstwo i podziękowałem entuzjastycznie pani Kristiansson, która również była zadowolona z takiego wyroku.

Wróciłem do swojej celi w więzieniu w Klippan, a nazajutrz pojawiła się Jan z gratulacjami. Ale miała też dla mnie niepokojące wiadomości. Dowiedziałem się, że nie będę odsiadywał wyroku w wygodnym i domowym pensjonacie w Klippan, ale zabiorą mnie do państwowego więzienia w Malmo, które znajduje się na terenie kampusu Uniwersytetu Lund, najstarszej uczelni w Europie.

- Zobaczysz, że nie ma to nic wspólnego z więzieniem we Francji. W zasadzie różni się też od więzień w Ameryce - zapewniła mnie Jan.

Wszelkie obawy opuściły mnie, kiedy zostałem przywieziony do więzienia, znanego w kampusie jako „dzielnica dla przestępców”. Na terenie tej „dzielnicy” nic nie przypominało atmosfery więzienia. Nie było tam żadnych murów, budek strażniczych, krat, żadnych przejść czy drzwi zamykanych elektronicznie. W zasadzie cały ten teren łączył się z innymi ogromnymi i majestatycznymi budynkami kampusu. Praktycznie cały ten teren nie był zamknięty.

Zameldowano mnie i odprowadzono do mojego lokum, ponieważ nigdy więcej nie nazywałem szwedzkich aresztów celami. Mój pokój był nieco mniejszy, ale równie wygodny i podobnie umeblowany i wyposażony jak ten, w którym mieszkałem w Klippan.

Przepisy więzienne były luźne, a restrykcje pobłażliwe. Mogłem chodzić we własnych ubraniach, a ponieważ miałem tylko jeden komplet, zaprowadzono mnie do sklepu w mieście i kupiono mi dwie zmiany ubrań. Miałem nieograniczoną wolność w pisaniu i otrzymywaniu listów i innych przesyłek, a mojej korespondencji nie cenzurowano. Ponieważ w więzieniu mieszkało tylko stu skazanych, uważano, że z ekonomicznego punktu widzenia nie opłaca się utrzymywać kuchni, zamawiano więc jedzenie w restauracjach i więzień mógł ułożyć własne menu, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Więzienie było koedukacyjne. Przebywało w nim kilka kobiet, ale kontakty seksualne między współwięźniami były zabronione. Wizyty małżeńskie przysługiwały mężom i żonom skazanych albo ich przyjacielowi czy przyjaciółce. Więźniowie mieli czas wolny między siódmą rano a dwudziestą drugą. A odwiedzających mogli przyjmować w swoich pokojach codziennie od szesnastej do dwudziestej drugiej.

Skazanych zamykano w pokojach o dwudziestej drugiej, od której obowiązywała cisza nocna.

Nie było tam groźnych przestępców. Wśród jego mieszkańców znajdowali się fałszerze czeków, złodzieje samochodów, malwersanci i inni drobni przestępcy. Więźniowie zajmowali wielopokojowe budynki według wieku, płci i rodzaju popełnionych przestępstw. Zostałem zakwaterowany w jednym budynku z innymi fałszerzami czeków i oszustami w swoim wieku.

W szwedzkich więzieniach podejmuje się próby resocjalizacji więźniów. Poinformowano mnie, że w czasie mojego pobytu w więzieniu mogę uczęszczać na zajęcia na uniwersytecie albo pracować w fabryce spadochronów, która znajduje się na terenie aresztu. Mogłem też nie robić nic. Jeśli chciałbym się uczyć, to rząd szwedzki pokryje koszty nauki i potrzebnych materiałów. Jeśli wybiorę pracę w fabryce, dostanę zapłatę według powszechnie obowiązujących stawek.

Ucieczka byłaby łatwa, gdyby nie jedna sprawa. Szwedzi już w młodym wieku dostają dowody tożsamości. Rzadko są legitymowani, ale policjant ma prawo poprosić każdego obywatela o okazanie dowodu tożsamości. Dowód jest wymagany przy przekraczaniu granicy oraz przy międzynarodowych przelotach i przejazdach kolejowych. Nie miałem tego dowodu ani pieniędzy.

Zresztą to było bez żadnego znaczenia. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby stamtąd uciec. Uwielbiałem więzienie w Malmo. Pewnego dnia, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, odwiedziła mnie jedna z moich ofiar, młody urzędnik bankowy, który przyniósł mi koszyk świeżych owoców i kilka szwedzkich serów.

- Pomyślałem, że może chciałbyś wiedzieć, iż nie miałem żadnych przykrości w związku z tym, iż zrealizowałem twoje czeki - oznajmił młody mężczyzna. - Chciałbym również, żebyś wiedział, że nie żywię do ciebie urazy. Pewnie bardzo trudno jest wytrzymać w więzieniu.

Naprawdę nabrałem tego dzieciaka. Właściwie zaprzyjaźniłem się z nim i nawet byłem u niego w domu, żeby go oszukać. Ujął mnie swoim gestem.

Podjąłem pracę w fabryce i jednocześnie chodziłem na zajęcia, co najwyraźniej spodobało się więziennym opiekunom. Studiowałem sztukę użytkową, chociaż byłem bardziej biegły w niektórych technikach niż wykładowcy.

Pół roku szybko minęło. Za szybko.

W trakcie czwartego miesiąca mojego pobytu pojawiła się pani Kristiansson z zatrważającymi wiadomościami. Rządy Włoch, Hiszpanii, Turcji, Niemiec, Anglii,

Szwajcarii, Grecji, Danii, Norwegii, Egiptu, Libanu i Cypru złożyły formalne wnioski o moją ekstradycję po zakończeniu wyroku i przyznano im pierwszeństwo w podanej kolejności. Po odsiedzeniu wyroku miałem zostać przekazany w ręce władz włoskich, które miały zdecydować, jaki kraj mnie przejmie, kiedy już spłacę swój dług wobec Włochów.

Jeden z moich współwięźniów odsiadywał wyrok w jakimś włoskim więzieniu. Koszmary, o których mi opowiadał, utwierdziły mnie w przekonaniu, że więzienia we Włoszech były równie potworne jak Perpignan, jeśli nie gorsze. Pani Kristiansson także słyszała, że we włoskich więzieniach panowały skrajnie surowe warunki. Miała również informacje, że włoscy sędziowie i ławy przysięgłych nie słyną bynajmniej z pobłażliwych wyroków.

Rozpoczęliśmy zdecydowaną kampanię, żeby uchronić mnie przed ekstradycją do Włoch. Zarzuciłem sędziego, który przewodniczył mojej rozprawie, ministra sprawiedliwości i nawet samego króla petycjami i prośbami o azyl. Chciałem po zwolnieniu z więzienia pozostać w Szwecji albo być deportowanym do Stanów Zjednoczonych. Podkreśliłem, że jeśli odmówią mi azylu w Szwecji, będę ciągle karany za to samo przestępstwo i najprawdopodobniej przez resztę życia będę zwiedzał jedno więzienie po drugim.

Odrzucono wszystkie moje prośby. Ekstradycja do Italii wydawała się nieunikniona. W noc przed tym, jak miały mnie przejąć władze włoskie, leżałem w łóżku i nie mogłem zasnąć, zastanawiając się nad desperackimi planami ucieczki. Czułem, że nie przeżyję pobytu we włoskim więzieniu, jeśli panuje tam taki ostry rygor, jak mówiono. Pomyślałem, że właściwie chyba wolałbym, żeby mnie zastrzelili w czasie próby ucieczki, niż gdybym miał umrzeć w jakiejś norze podobnej do Perpignan.

Trochę po północy pojawił się strażnik.

- Ubieraj się, Frank, i spakuj wszystkie rzeczy - poinstruował mnie. -Przyszło po ciebie kilku ludzi.

Usiadłem na łóżku, przerażony.

- Jakich ludzi? - zapytałem. - Powiedziano mi, że Włosi mają mnie zabrać dopiero jutro rano.

- To nie Włosi - odparł. - Tylko szwedzcy policjanci.

- Szwedzka policja! - wykrzyknąłem. - Czego oni chcą? Potrząsnął głową.

208

- Nie wiem. Ale mają wszystkie potrzebne papiery, żeby cię zabrać. Wyprowadził mnie z budynku i podeszliśmy do oznakowanego wozu

policyjnego, który stał zaparkowany przy krawężniku. Umundurowany policjant siedzący na tylnym siedzeniu otworzył drzwi i skinął na mnie, żebym usiadł koło niego.

- Sędzia chce się z tobą widzieć - oznajmił.

Zawieźli mnie do domu sędziego, skromnego domku w atrakcyjnej dzielnicy, gdzie przywitała mnie jego żona. Policjanci zostali na zewnątrz. Zaprowadziła mnie do gabinetu męża i wskazała na duży skórzany fotel.

- Proszę usiąść, panie Abagnale - powiedziała miłym głosem. - Przyniosę panu herbatę, a mąż zaraz do pana przyjdzie. - Mówiła biegle po angielsku.

Sędzia, który pojawił się kilka minut później, również doskonale mówił po angielsku. Przywitał się ze mną, usiadł naprzeciwko i przyglądał mi się w ciszy przez dłuższą chwilę. Nie odezwałem się ani słowem, chociaż chciałem mu zadać dziesiątki pytań.

W końcu sędzia zaczął mówić łagodnym i spokojnym tonem.

- Młody człowieku, w ciągu ostatnich dni dużo o panu myślałem. Właściwie zrobiłem wywiad na temat pana pochodzenia i przestępstw, które pan popełnił. Jest pan bystrym, młodym mężczyzną, panie Abagnale, i myślę, że mógłby pan oddać spore usługi społeczeństwu, nie tylko w swoim kraju, ale i za granicą, gdyby tylko obrał pan inną drogę. Godne ubolewania jest to, że popełnił pan tyle błędów.

Przerwał.

- Tak, panie sędzio - odparłem potulnie, mając nadzieję, że nie wezwał mnie tylko po to, żeby wygłosić wykład.

- Obaj wiemy, młody człowieku, że jeśli jutro pojedziesz do Włoch, możesz dostać dwadzieścia lat więzienia - kontynuował sędzia. - Znam trochę włoskie więzienia, panie Abagnale. Bardzo przypominają francuskie. A o ile wiem, kiedy odsiedzi pan wyrok we Włoszech, wydadzą pana Hiszpanom. Jak pan słusznie zauważył w swojej petycji, może pan spędzić resztę życia w więzieniach całej Europy. I niewiele możemy w tej sprawie zrobić. Musimy przystać na wniosek Włochów o ekstradycję, tak jak Francja uwzględniła nasz. Nie można świadomie łamać prawa. - Tu znowu przerwał. \

- Wiem, panie sędzio - odparłem, tracąc nadzieję. - Chciałbym zostać w Szwecji, ale, jak widzę, to niemożliwe.

Wstał, zaczął chodzić po gabinecie i jednocześnie mówił do mnie.

- A jeśli miałby pan szansę zacząć życie od nowa, panie Abagnale? -zapytał. - Myśli pan, że tym razem wybrałby pan konstruktywne życie?
- Tak, panie sędzio, jeśli miałbym taką szansę.
- Myśli pan, że ta lekcja czegoś pana nauczyła, jak to mawiają w szkole?
- Tak, panie sędzio, naprawdę dostałem nauczkę - powiedziałem, a moje nadzieje znowu powróciły.

Usiadł i popatrzył na mnie, a w końcu pokiwał głową.

- Tej nocy zrobiłem coś, panie Abagnale, co mnie samego zaskoczyło. Gdyby jeszcze dwa tygodnie temu ktoś mi powiedział, że coś takiego zrobię, to wziąłbym go za wariata. Tej nocy, młody człowieku, zadzwoniłem do swojego przyjaciela z ambasady amerykańskiej i poprosiłem go o coś, co według szwedzkiego prawa jest pogwałceniem twoich praw. Poprosiłem go, żeby anulował pański paszport, panie Abagnale. I on to zrobił.

Gapiałem się na niego, a sądząc po jego uśmiechu, zauważył moje zdziwienie. Naprawdę nie rozumiałem jego posunięcia, ale szybko mi to wyjaśnił.

- Teraz jest pan w Szwecji persona non grata, panie Abagnale - powiedział sędzia z uśmiechem. - I mogę wydać legalne polecenie ekstradycji pana do Stanów Zjednoczonych, niezależnie od wszelkich innych żądań. Za kilka minut, panie Abagnale, wydam polecenia oficerom policji, żeby odwieźli pana na lotnisko i wsadzili do samolotu odlatującego do Nowego Jorku. Wszystko jest już załatwione. Oczywiście powinien pan wiedzieć, że kiedy wysiądzie pan z samolotu, na lotnisku będzie czekać na pana amerykańska policja. W swoim kraju też jest pan poszukiwanym przestępcą i uznałem za stosowne poinformować amerykańską policję o podjętych przez siebie krokach. Poinformowałem FBI o numerze pańskiego lotu i godzinie wylądowania na lotnisku w Nowym Jorku. Jestem pewien, że w Ameryce też będzie miał pan proces. Ale przynajmniej, młody człowieku, będzie pan wśród swoich i jestem przekonany, że rodzina wesprze pana i odwiedzi w więzieniu, jeśli zostanie pan skazany. Aha, na wszelki wypadek gdyby nie był pan tego świadom, chciałbym panu powiedzieć, że kiedy odsiedzi pan wyrok w Ameryce, żaden kraj nie może już zażądać pana ekstradycji. Prawo Stanów Zjednoczonych zabrania ekstradycji swoich obywateli z rodzinnego kraju. Podjąłem te kroki, młody człowieku, ponieważ uznałem, że leży to w interesie wszystkich zainteresowanych, a szczególnie w pańskim. Sądzę, że kiedy już poniesie pan karę w swoim kraju, może pan prowadzić owocne i szczęśliwe życie...

210

Stawiam na to swoje dobre imię, panie Abagnale. Mam nadzieję, że mnie pan nie zawiedzie.

Chciałem go uścisnąć i ucałować. Zamiast tego ścisnąłem mu rękę z całej siły i ze łzami w oczach obiecałem, że wykorzystam tę szansę. Miałem złamać tę obietnicę w ciągu osiemnastu godzin.

Policjanci odwieźli mnie na lotnisko, gdzie ku mojemu zadowoleniu czekała na mnie Jan, która miała się mną zająć. Miała ze sobą dużą kopertę, znajdował się w niej mój paszport, inne dokumenty i pieniądze, które zarobiłem w fabryce spadochronów. Dała mi banknot dwudziestodolarowy jako kieszonkowe, zanim wręczyła kopertę pilotowi.

- Ten mężczyzna jest deportowany - powiedziała kapitanowi samolotu. - Amerykańska policja odbierze go na lotnisku i aresztuje. Proszę przekazać im te dokumenty.

Odwróciła się i wzięła mnie za rękę.

- Do widzenia, Frank, i powodzenia. Mam nadzieję, że kiedyś będziesz szczęśliwy.

Pocałowałem ją ku zdziwieniu pilota i stewardesy, którzy przyglądali się całej scenie. Był to z mojej strony pierwszy gest sympatii wobec Jan i wyrażał mój szczerzy podziw.

- Nigdy cię nie zapomnę - rzekłem. I nie zapomniałem. Jan Lundström zawsze pozostanie dla mnie wspaniałą i wyrozumiałą osobą, wiernym i oddanym przyjacielem.

Był to bezpośredni lot do Nowego Jorku. Posadzono mnie z przodu, koło kabiny pilotów, gdzie załoga mogła mnie mieć na oku, ale poza tym traktowano jak zwykłego pasażera. Podczas lotu mogłem swobodnie poruszać się w części pasażerskiej samolotu.

Nie mam pojęcia, kiedy przyszło mi na myśl, żeby uciec policji, albo czemu poczułem, że muszę zawieść zaufanie, jakim obdarzył mnie sędzia. Być może wtedy, kiedy zacząłem sobie przypominać krótki pobyt w więzieniu w Bostonie, jego obskurne cele i toalety. Oczywiście były luksusowe w porównaniu z norą w Perpignan, ale jeśli inne więzienia wyglądały podobnie, to nie chciałem siedzieć w żadnym z nich. Po sześciu miesiącach spędzonych w Klippan i Malmö byłem rozpuszczony.

Lecieliśmy samolotem VC-10 brytyjskiej wytwórni Viscount, który był mi bardzo dobrze znany. Pewien pilot BOAC oprowadził mnie kiedyś po wszystkich zakamarkach tego samolotu, tłumacząc każdy szczegół jego budowy, łącznie z konstrukcją toalet.

Z moich doświadczeń lotniczych wiedziałem, że odrzutowiec wyląduje

na pasie 13 na lotnisku Kennedy'ego, a kołowanie do terminalu zajmie mu około dziesięciu minut.

Dziesięć minut przed tym, jak samolot zaczął podchodzić do lądowania, wstałem z miejsca, poszedłem do jednej z toalet i zamknąłem się od środka. Sięgnąłem ręką na dół i wymacałem gałki zatrzaskowe; wiedziałem, że znajdują się u podstawy toalety, wyciągnąłem je, przekręciłem i wyjąłem całą muszlę, odkrywając otwór wielkości 60x60 cm, przez który opróżniano nieczystości.

Czekałem. Samolot gwałtownie wylądował, a później stopniowo zwalniał, ponieważ pilot zaczął hamować, włączając wsteczny ciąg silników i używając klap. Kiedy byliśmy przy końcu pasa startowego, wiedziałem, że samolot zwolni prawie do zera, ponieważ będzie skręcał na pas do kołowania prowadzący do terminalu. Gdy uznałem, że samolot jest już prawie w tym miejscu, otworzyłem właz, prześlizgnąłem się przez niego i trzymając się kurczowo, zawisłem trzy metry nad asfaltem. Zdawałem sobie sprawę, że kiedy otworzę właz, w kabinie pilotów włączy się alarm, ale wiedziałem również, że właz często otwierał się samorzutnie pod wpływem siły lądowania, a piloci, jako że już wylądowali, zwykle wyłączaali alarm, ponieważ otwarty właz nie stanowił żadnego zagrożenia.

Naprawdę nie obchodziło mnie, czy ten pilot zachowa się podobnie jak inni, czy też nie. Wylądowaliśmy w nocy. Kiedy ogromny odrzutowiec zwolnił prawie do zera, zeskoczyłem na pas i rzuciłem się do ucieczki. Uciekałem w ciemności prosto przez pas startowy, a później dowiedziałem się, że nikt mnie nie zauważył. Nie mieli pojęcia, jak udało mi się zwać, dopóki wściekły O'Riley i inni agenci FBI nie przeszukali samolotu i nie znaleźli włazu w toalecie.

Przeskoczyłem mur od strony autostrady Van Wyck i zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę.

- Na Grand Central Station, proszę - powiedziałem. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zapłaciłem taksówkarzowi z dwudziestu dolarów, jakie miałem przy sobie i wsiadłem do pociągu jadącego do Bronksu.

Nie poszedłem do domu. Przeczuwałem, że mieszkanie mojej matki i dom ojca są pod obserwacją, ale zadzwoniłem do mamy, a później do taty. Po raz pierwszy od pięciu lat usłyszałem ich głosy i zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem płakaliśmy do słuchawki. Odmówiłem ich usilnym prośbom, żebym przyszedł do domu któregoś z nich i oddał się w ręce policji. Chociaż było mi wstyd, że złamałem obietnicę daną sędziemu z Malmö, miałem dość życia w więzieniu.

W zasadzie pojechałem do Bronksu, żeby spotkać się z pewną dziewczyną, u której ukryłem trochę pieniędzy i ubrań. Był wśród nich garnitur, w którym schowałem klucz do sejfu w jednym z banków w Montrealu. Mój widok ją zaskoczył.

- Dobry Boże, Frank! - wykrzyknęła. - Myślałam, że zniknąłeś na dobre. Jeszcze kilka dni, a wydałabym twoje pieniądze i oddała ubrania Armii Zbawienia.

Nie chciałem się wdawać w dłuższą pogawędkę. Nie byłem pewien, ile moich przyjaciółek i znajomych zdołali namierzyć agenci FBI, ale wiedziałem, że do kilku dotarli. Chwyciłem ubrania, dałem jej niecałe pięćdziesiąt dolarów i złapałem pociąg do Montrealu.

W sejfie bankowym w Montrealu miałem schowane dwadzieścia tysięcy dolarów. Miałem zamiar zabrać pieniądze i polecieć najbliższym samolotem do Sao Paulo w Brazylii, gdzie chciałem się zaszyć na jakiś czas. W więzieniu można się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy, a w Malmö powiedziano mi, że Brazylia i Stany Zjednoczone nie mają podpisanej umowy o ekstradycji. Ponieważ nie popełniłem żadnych przestępstw na terenie Brazylii, pomyślałem, że będę tam bezpieczny, bo nawet jeśli mnie złapią, to władze brazylijskie nie zgodzą się na moją ekstradycję.

Wybrałem pieniądze. Ale nie poleciałem do Brazylii. Kiedy czekałem w kolejce do kasy biletowej na lotnisku w Montrealu, ktoś poklepał mnie po ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę o sympatycznym wyrazie twarzy, który miał na sobie mundur Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej.

- Frank Abagnale? Jestem posterunkowy James Hastings. Jest pan aresztowany - powiedział policjant, przyjaźnie się uśmiechając.

Nazajutrz odtransportowano mnie do granicy kanadyjsko-amerykańskiej niedaleko Nowego Jorku i przekazano policji granicznej, która oddała mnie w ręce agentów FBI, a ci zabrali mnie do Nowego Jorku i umieścili w więzieniu federalnym.

Komisarz policji postawił mnie w stan oskarżenia i wyznaczył kaucję w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, po czym umieścił w areszcie śledczym do czasu podjęcia decyzji przez prokuraturę, gdzie odbędzie się mój proces.

Dwa miesiące później przetarg wygrał prokurator dystryktu północnego stanu Georgia i komendanci policji odwieźli mnie do okręgu Fulton w Georgii, gdzie miałem czekać w więzieniu na proces.

Więzienie w okręgu Fulton było brudną jak zaraza, potworną norą.

- Mam złe wiadomości, koleś - powiedział do mnie jakiś więzień, którego spotkałem w świetlicy naszego prymitywnego lokum. - Jedyne przyzwoite miejsce w tym lokalu jest szpital, ale żeby się tam dostać, musiałbyś być umierający.

W świetlicy znajdował się automat telefoniczny. Wrzuciłem dziesięciocentówkę i wykręciłem numer sierżanta dyżurnego.

- Mówi doktor John Petsky - powiedziałem autorytatywnym tonem. - Przebywa u was mój pacjent, niejaki Frank Abagnale. Abagnale cierpi na zaawansowaną cukrzycę i często zapada w śpiączkę. Byłbym wdzięczny, sierżancie, gdyby mógł pan umieścić go na oddziale szpitalnym, gdzie mógłbym go odwiedzać i zastosować odpowiednie leczenie.

W ciągu pół godziny przyszedł strażnik więzienny, żeby odprowadzić mnie na oddział, a inni współwięźniowie, którzy słyszeli moją rozmowę, uśmiechali się z podziwem.

Tydzień później do więzienia przyszedł szeryf, który zawiózł mnie do Federalnego Aresztu Śledczego w Atlancie, gdzie miałem czekać na proces. Właśnie w tym więzieniu dokonałem tego, co musiało figurować w annałach historii więziennictwa jako jedna z najzabawniejszych ucieczek. A przynajmniej ja uznałem ją za zabawną i nadal rozśmiesza mnie ten epizod z mojego życia, chociaż znam kilku ludzi, którzy nie widzieli w tym nic śmiesznego.

W zasadzie nie była to typowa ucieczka, ale coś w rodzaju eksmisji, której sprzyjał czas i okoliczności. Dostałem się do tego aresztu śledczego w okresie, kiedy amerykańskie więzienia były potępiane przez organizacje walczące o przestrzeganie praw obywatelskich, poddawane dokładnej analizie przez komisje Kongresu i badane przez urzędników Departamentu Sprawiedliwości. Inspektorzy kontrolujący więzienia pracowali w nadgodzinach i w przebraniu, wzbudzając wrogość i nienawiść strażników oraz dyrektorów więzień.

Dostałem się w sam środek tych animozji w okolicznościach, które nie mogły być lepsze. Szeryf, który przywiózł mnie do aresztu, nie miał przy sobie odpowiednich dokumentów, ale za to był dość porywczy.

Urzędnik, który miał mnie przejąć, zadawał mi mnóstwo pytań. Kim jestem? Dlaczego chcą mnie tu zamknąć? Dlaczego szeryf nie ma odpowiednich dokumentów?

Szeryf stracił panowanie nad sobą.

- Jest tutaj na polecenie sądu - warknął. - Wsadźcie go do tej cholernej celi i dawajcie mu jeść, aż po niego przyjdziemy.

Urzędnik niechętnie przyjął mnie do aresztu. Tak naprawdę nie miał wyboru. Wypadł wściekły z pokoju. Myślę, że w świetle tego, co usłyszałem, spokojnie mogłem za nim pójść i nikt by mnie nie zatrzymywał.

- Następny pieprzony inspektor, co? - zamruczał pod nosem strażnik, który odprowadzał mnie do celi.

- Nie jestem żadnym inspektorem. Mam tu czekać na proces - odparłem szczerze.

- Jasne. - Strażnik zaśmiał się, zamykając drzwi. - Myślicie sobie, sukinsyny, że jesteście tacy sprytni, prawda? Przez was zwolnili dwóch naszych kumpli. Już nauczyliśmy się was rozpoznawać.

Nie dostałem białego bawełnianego ubranka, w którym paradowali pozostali więźniowie. Pozwolono mi zatrzymać własne ubranie. Zauważyłem też, że cela, w której mnie umieszczono, nie była co prawda elegancka, ale nadzwyczaj wygodna. Karmiono mnie dobrze i codziennie dostawałem miejscowe gazety, zwykle z sarkastycznymi komentarzami. Nigdy nie mówiono mi po imieniu, za to zwracano się do mnie per „kapuś”, „kabel”, „007” albo używano innych szyderczych określeń, które miały demaskować moją prawdziwą rolę inspektora więziennictwa. Dzięki gazecie, w której czytałem artykuły na temat warunków panujących w więzieniach federalnych, uświadomiłem sobie, że personel więzienia naprawdę podejrzewał, iż jestem agentem FBI w przebraniu skazańca.

Gdybym rzeczywiście nim był, nie musieliby się niczym przejmować, a ja nie mogłem pojąć, dlaczego tylu wpływowych ludzi uważało, że amerykańskie więzienia przynoszą hańbę całemu narodowi. Według mnie tamto więzienie było wspaniałe. Co prawda nie dorównywało standardowi więzienia w Malmö, ale było lepsze niż niejeden motel, w którym miałem okazję mieszkać. Pomyślałem, że jeśli strażnicy koniecznie chcą widzieć we mnie inspektora, to mogę nim zostać. Skontaktowałem się z nadal mi oddaną przyjaciółką z Atlanty. Przepisy więzienne nie były zbyt łagodne, ale raz w tygodniu można było zadzwonić do kogoś prywatnie. Kiedy przyszła moja kolej, zadzwoniłem do tej dziewczyny.

- Posłuchaj, mam pomysł, jak się stąd wydostać - oznajmiłem jej. -A teraz posłuchaj, co musisz zrobić, żeby tu wejść. Przyjdiesz?

Nazywała się Jean Sebring i nie musiała zbytnio się wysilać, żeby się ze mną zobaczyć. Powiedziała tylko, że jest moją przyjaciółką, a właściwie narzeczoną, i pozwolono jej na odwiedziny. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie po przeciwległych końcach stołu w jednej z dużych sal odwiedzin. Byliśmy oddzieleni metrowej wysokości szybą,

znajdował się w niej otwór z drucianą siatką, przez który mogliśmy rozmawiać. Z tyłu każdego pomieszczenia stał strażnik, ale był za daleko, żeby słyszeć, o czym mówimy.

- Jeśli chce pani coś przekazać więźniowi, proszę to podnieść, a my damy znać skinieniem głowy, jeżeli jest to dozwolone - poinstruował ją jeden ze strażników.

Ułożyłem plan działania, zanim przyszła Jean. Wiedziałem, że mogło się okazać, iż było to jedynie ćwiczenie umysłowe, ale uznałem, że warto zaryzykować. Ale najpierw musiałem przekonać Jean, żeby mi pomogła, ponieważ kluczowe znaczenie w moim planie miała odegrać pomoc z zewnątrz. Jean łatwo dała się przekonać.

- Jasne, czemu nie - przystała, uśmiechając się. - To będzie cholernie zabawne, jeśli się uda.

- Czy spotkałaś się albo rozmawiałaś z Seanem O'Rileyem, agentem FBI? - zapytałem.

Skinęła głową.

- Kiedyś przyszedł wypytywać o ciebie i zostawił mi wizytówkę - odparła.

- Doskonale! - wykrzyknąłem zachwycony. - Myślę, że ubijemy interes, złotko.

I naprawdę ubiliśmy. Jeszcze tego samego tygodnia Jean, podając się za niezależną dziennikarkę, pojechała do amerykańskiego urzędu do spraw więziennictwa w Waszyngtonie i przeprowadziła fikcyjny wywiad z inspektorem C.W. Dunlapem, kierując rozmowę celowo na temat środków bezpieczeństwa przeciwpożarowego w więzieniach federalnych. Zrobiła to wspaniale, ale w końcu Jean jest nie tylko utalentowaną dziennikarką, ale i cizią, inteligentną i śliczną kobietą, z którą każdy mężczyzna ochoczo rozmawia.

Kiedy wychodziła, odwróciła się jeszcze przy drzwiach.

- Aha, czy mogłabym dostać pana wizytówkę, inspektorze, na wypadek gdyby przyszły mi do głowy jeszcze jakieś pytania i musiałabym do pana zadzwonić? - zapytała.

Dunlap natychmiast wręczył jej swoją wizytówkę.

Kiedy znowu mnie odwiedziła, zaśmiewając się, opowiedziała mi wszystko ze szczegółami, następnie podniosła wizytówkę Dunlapa, i kiedy strażnik skinął głową, podała mi ją nad szybą.

Jej wizyty utwierdziły tylko wszystkich strażników w przekonaniu, że jestem agentem federalnego urzędu do spraw więziennictwa.

- Kim ona jest, twoją sekretarką czy też agentem? - zapytał strażnik, kiedy odprowadzał mnie do celi.

- To jest dziewczyna, z którą się ożenię - odparłem wesoło. Następnie Jean odwiedziła punkt małej poligrafii.

- Mój ojciec właśnie przeprowadził się do nowego mieszkania i zmienił numer telefonu - wyjaśniła pracownikowi. - Zamierzam mu dać pięćset nowych wizytówek w prezencie na nowe mieszkanie. Chciałabym, żeby były dokładnie takie same jak te, ale z nowymi numerami telefonu do domu i do biura. - Po czym podała mi wizytówkę CRileya.

Nowe telefony CRileya były numerami stojących obok siebie automatów telefonicznych w jednym z centrów handlowych w Atlancie.

Zamówienie Jean zostało zrealizowane w ciągu trzech dni. W trakcie swojej następnej wizyty wręczyła mi jedną z wizytówek i przystąpiliśmy do realizacji naszego planu. Jean powiedziała, że zwerbowała do pomocy jakiegoś znajomego, tak na wszelki wypadek.

- Oczywiście nie wtajemniczałam go w żadne szczegóły. Po prostu powiedziałam, że mamy zamiar zrobić kawał - wyjaśniła.

- W porządku. Spróbujemy jutro wieczorem - zdecydowałem. - Miejmy nadzieję, że nikt nie będzie korzystał z tych telefonów po dwudziestej pierwszej.

Nazajutrz tuż przed dziewiątą wieczór wezwałem strażnika, którego wychowałem sobie na przyjaznego adwersarza.

- Posłuchaj, Rick, pojawił się pewien problem i muszę się zobaczyć z porucznikiem, który ma dzisiaj dyżur. Miałaś rację. Jestem inspektorem. Oto moja wizytówka. - Wręczyłem mu wizytówkę Dunlapa, na której był tylko jego numer w Waszyngtonie. Gdyby ktoś postanowił zadzwonić do urzędu do spraw więziennictwa, dowiedziałyby się jedynie, że biuro o tej porze jest już nieczynne.

Rick spojrział na wizytówkę i się roześmiał.

- Wiedzieliśmy, że mamy rację co do pana - zachichotał. - Combs na pewno się ucieszy. Chodźmy. - Otworzył drzwi do celi i zaprowadził mnie do biura porucznika Combsa. Porucznik też był bardzo zadowolony, kiedy potwierdziły się jego przypuszczenia, że jestem inspektorem.

- Od razu się domyśliliśmy - mruknął uprzejmie, rzucając na biurko wizytówkę Dunlapa, przyjrzawszy się jej dokładnie.

Uśmiechnąłem się szeroko. - I tak wszystko wydałoby się we wtorek - rzekłem.

- Ale chciałbym wam powiedzieć, że nie macie się czego obawiać. Na pokładzie waszego statku jest czysto i panuje porządek, a nasz urząd lubi się pochwalić takimi miejscami. Będziecie zadowoleni z mojego raportu.

Na twarzy Combsa pojawił się wyraz zadowolenia, a ja brnąłem dalej.

- Ale teraz mam do załatwienia pilną sprawę - powiedziałem. - Muszę skontaktować się z tym agentem FBI. Możecie do niego przekreślić, na pewno jest jeszcze u siebie w biurze. - Podałem im sfalszowaną wizytówkę, na której było nazwisko O'Rileya, jego stanowisko w FBI i dwa fikcyjne numery telefonów.

Combs nie miał nic przeciwko. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer „służbowy”.

- Czytałem o tym gościu, O'Rileyu - zauważył, wykręcając numer. - Podobno jest zmorą wszystkich bandytów, którzy rabują banki.

Telefon „służbowy” zaczął dzwonić. Jean odebrała słuchawkę po drugim sygnale.

- Dobry wieczór, Federalne Biuro Śledcze. W czym mogę pomóc?

- Czy mogę rozmawiać z inspektorem O'Rileyem? - zapytał Combs. - Mówi Combs z więzienia federalnego. Ktoś chciałby z nim porozmawiać.

Nawet nie czekał, aż „O'Riley” podejdzie do telefonu, tylko natychmiast oddał mi słuchawkę.

- Powiedziała, że połączy pana z inspektorem - powiedział Combs. Odczekałem kilka sekund, po czym odegrałem swoją rolę.

- Tak, inspektor O'Riley? Nazywam się Dunlap, C.W. Dunlap z urzędu do spraw więziennictwa. Jeśli ma pan pod ręką listę, mój kod identyfikacyjny to 16395-A... Tak, zgadza się... Jestem jeszcze w tym więzieniu, ale już się ujawniłem... Musiałem... Tak... Proszę posłuchać, inspektorze, otrzymałem pewne informacje na temat tej sprawy z Filadelfii, którą pan prowadzi, i muszę je panu przekazać jeszcze dziś wieczór... Nie, proszę pana, nie mogę tego powiedzieć przez telefon... To zbyt delikatna sprawa... Musimy się spotkać i to w ciągu godziny... Musimy się śpieszyć... Ach, tak... Cóż, ci goście na pewno pana nie wydadzą... Nie, zajmie mi to jakieś dziesięć minut... Proszę chwilę zaczekać, rozmawiam z porucznikiem, na pewno się zgodzi.

Zakryłem słuchawkę i spojrzałem na Combsa.

- Te chłopaki od Hoovera są naprawdę nie do wytrzymania. Pracuje nad jakąś sprawą w przebraniu i nie chce wchodzić do środka... Jakaś tajna robota - powiedziałem do Combsa. - Jeśli zaparkuje przed więzieniem, mogę wyjść i porozmawiać z nim w samochodzie przez dziesięć minut?

Combs się skrzywił.

- Dlaczego, u licha, nie zadzwoni pan po swoich ludzi i nie ujawni się od razu? - zapytał. - Zdaje się, że nie jest pan już tutaj potrzebny, prawda?

- Nie - odparłem. - Ale musimy postępować zgodnie z wytycznymi. We wtorek przyjedzie po mnie szeryf. Szef chce, żebym w ten sposób załatwił sprawę, i tak będzie. I byłbym wdzięczny, gdybyście nie pisnęli ani słowem, że się ujawniłem. Musiałem to zrobić. To zbyt poważna sprawa.

Combs wzruszył ramionami.

- Pewnie, że może się pan spotkać z O'Rileyem. Jeśli pan chce, do stu diabłów, to może z nim pan gadać nawet godzinę.

Wróciłem do rozmowy przez telefon.

- O'Riley, w porządku...Tak, przed budynkiem... Biało-czerwony buick... Zrozumiałem... Nie, nie ma problemu. Ci goście są w porządku. Naprawdę nie rozumiem, czemu jest pan tak cholernie ostrożny. Oni też należą do naszej drużyny, rozumie pan.

Rick przyniósł mi filiżankę kawy, a ja stanąłem przy oknie i popijając kawę, rozmawiałem z Combsem.

- Przyjechał ten buick - oznajmił piętnaście minut później Rick. Combs wstał i wziął ze sobą duży pęk kluczy.

- Chodźmy - powiedział. - Sam pana wypuszczę.

Za jego biurem była winda, z której korzystali tylko strażnicy. Zjechaliśmy nią, po czym Combs odprowadził mnie do małego foyer, strażnik otworzył bramę. Wyszedłem przez nią, a strażnik przyglądał mi się z zainteresowaniem, ale bez żadnych komentarzy, i podszedłem do zaparkowanego samochodu. Za kierownicą siedziała Jean, włosy miała schowane pod męskim kapeluszem z szerokim rondem i była ubrana w męski płaszcz.

Kiedy wskoczyłem do samochodu, zachichotała.

- A niech mnie! Udało się! Uśmiechnąłem się. - Wiej stąd najszybciej, jak potrafisz - powiedziałem, uśmiechając się z zadowoleniem.

Ruszyła stamtąd jak kierowca rajdowy w damskim przebraniu, paląc gumy i zostawiając na ulicy ślady opon na pamiątkę. Kiedy oddaliliśmy się od więzienia, zwolniła, nie chcąc zwracać uwagi policjantów patrolujących okolice, po czym, klucząc po Atlancie, zawiozła mnie na dworzec autobusowy. Pocałowałem ją na pożegnanie i wsiałem do autokaru jadącego do Nowego Jorku.

Jean udała się do domu, spakowała i wyjechała do Montany. Jeśli nawet kiedykolwiek łączono ją z tym incydentem, nigdy nie postawiono jej żadnych zarzutów.

Pracownicy więzienia znaleźli się w bardzo kłopotliwej sytuacji. W aktach FBI odnotowano, iż kiedy Combs i Rick zorientowali się, że ich nabrałem, próbując ratować swoją skórę, złożyli raport, iż używając przemocy uciekłem z więzienia. Jednak prawda, jak mawiają mądrzy ludzie, zawsze wychodzi na jaw.

Wiedziałem, że zrobią na mnie wielką obławę i znowu postanowiłem, że polecę do Brazylii, ale dopiero kiedy wszystko trochę ucichnie. Zdawałem sobie sprawę, że przez kilka następnych dni wszystkie miejsca, z których można uciec z kraju, będą pod ścisłą obserwacją.

Wiadomość o mojej ucieczce znalazła się na pierwszej stronie jednej z nowojorskich gazet. „Frank Abagnale, znany policji całego świata pod pseudonimem „Latający Holender”, który już raz uciekł policji przez toaletę na pokładzie samolotu, znowu jest na wolności...” - pisano.

Nie miałem w Nowym Jorku ukrytych pieniędzy, ale Jean pożyczyła mi wystarczająco dużo, żebym mógł przeżyć do czasu, kiedy nagonka na mnie się uspokoi. Zaszyłem się w Queens i w dwa tygodnie później wsiadłem do pociągu jadącego do Waszyngtonu, gdzie wypożyczyłem samochód i zameldowałem się w motelu na przedmieściach stolicy.

Pojechałem do Waszyngtonu, ponieważ miałem w kilku skrytkach w bankach nad Potomakiem ukryte zapasy pieniędzy, a samo miasto ze swoją olbrzymią i wielorasową populacją stanowiło idealne schronienie. Nie sądziłem, żeby ktoś zwrócił na mnie uwagę.

Mylłem się. Godzinę po tym, jak wszedłem do pokoju, przypadkiem wyjrzałem przez szparę w zasłonach i zobaczyłem kilku policjantów, którzy w pośpiechu zajmowali pozycje wokół tej części motelu. Dowiedziałem się, że recepcjonistka, która pracowała kiedyś jako stewardesa, od razu mnie rozpoznała, przez godzinę biła się z myślami, czy ma się w to mieszać, i zadzwoniła na policję.

Tylko jedna rzecz przemawiała na moją korzyść, ale wtedy jeszcze sobie z tego nie zdawałem sprawy. O'Riley, dowiedziawszy się, że mnie otoczono, zabronił policji wkraczać do środka, dopóki nie przyjedzie i sam nie przejmie dowodzenia akcją. O'Riley, którego widziałem jedynie przelotnie po tym, jak postawiono mnie w stan oskarżenia, chciał sam odebrać swoją zdobycz.

Ale wtedy znajdowałem się na skraju hysterii.

Mimo nocy zarówno przednia, jak i tylna część budynku były dobrze oświetlone. Obawiałem się, że nie uda mi się przemknąć niezauważenie przez oświetlony parking. Ale wiedziałem również, że muszę spróbować. Włożyłem płaszcz, wymknąłem się tylnym wyjściem i ruszyłem powoli w kierunku załomu budynku. Ale zdołałem zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy zza rogu wyskoczyło dwóch policjantów. Obaj wycelowali we mnie rewolwery.

- Stać, policja! - krzyknął jeden, co przypominało scenę z filmu sensacyjnego.

Tylko że ja wcale nie stanąłem. Szedłem nadal prosto na lufy ich rewolwerów, wyciągając jednocześnie portfel.

- Davis, FBI - powiedziałem sam zaskoczony swoim opanowanym i zdecydowanym głosem. - Czy O'Riley już przyjechał?

Opuścili broń.

- Nie wiem, sir - odparł jeden z nich. - Jeśli przyjechał, to jest gdzieś od frontu.

- Dobrze - odpowiedziałem rzeczowo. - Obstawcie ten teren. A ja pójdę sprawdzić, czy O'Riley już przyjechał.

Stanęli obok, a ja poszedłem dalej. Nie oglądałem się za siebie. Odszedłem i zniknąłem w mroku za parkingiem.

Koniec